



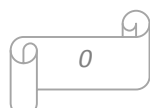
Penny Jordan



U KRESU SIŁ



Tytuł oryginału: Power Games



PROLOG

Pokój był słabo oświetlony i sprawiał dość nieprzyjemne wrażenie. W powietrzu unosił się zwietrzały zapach środków dezynfekujących, a na metalowych szafkach na akta zalegała warstwa kurzu. Oszklone matowymi szybami okno wychodziło na szpitalny parking. Widać było ciemne zarysy zajeżdżających i odjeżdżających samochodów oraz zamglone sylwetki przechodzących osób.

Dziewczyną siedząca na krześle obserwowała apatycznie ten monotony teatr cieni. Natomiast starsza kobieta za biurkiem kierowała wzrok ponad jej głowę na mężczyznę, który stał oparty o framugę uchylonych na korytarz drzwi, jakby nie mógł się zdecydować, czy lepiej się cofnąć, czy też wejść do środka. Swoim wyglądem budził zaufanie, lecz sądząc z wyrazu jego twarzy, sam stracił ufność w porządek tego świata.

Pokój był klitką i nadawałby się raczej na rupieciarnię. Z korytarza dobiegały typowe odgłosy szpitalnego dnia - rozmowy pielęgniarek, turkot kółek łóżka toczącego po linoleum, wrzaski noworodków, czyjeś niestrudzone matczyne „a-a-a...”.

Dziewczyna oderwała wzrok od okna. Miała bladą twarz i bardzo szczupłe ciało. W jej głosie wyczuwało się lęk i napięcie.

- I jest pani pewna, że nikt się nie dowie... dosłownie nikt? - pytała. Miała zaledwie dziewiętnaście lat, wyglądała jednak na dużo młodszą... ale i dużo starszą niż w rzeczywistości.

- Nikt. Nikt się nie dowie - zapewniła ją kobieta.

W otwartych drzwiach na jedną chwilę pojawiła się niosąca dziecko pielęgniarka. Dziewczyna drgnęła.

- Gdzie mam podpisać? - spytała przytłumionym głosem.

Kobieta pokazała jej miejsce na dole dokumentu.

- Mam nadzieję, że podjęła pani swoją decyzję w pełni świadomie - powiedziała, gdy dziewiętnastolatka sięgnęła po długopis. - Z chwilą gdy podpis zostanie złożony, nie będzie już odwrotu. - Spojrzała na stojącego w drzwiach mężczyznę, który kiwnął głową.

- Tak, tak, zdaję sobie z tego sprawę - potwierdziła dziewczyna. Jej głos szeleścił jak jesienne liście sypiące się z drzew za oknem. Sięgnęła po pióro i drżącą ręką napisała najpierw swe imię, później nazwisko.

Starsza kobieta współczuła jej, ale nie mogła pomóc.

- Tak chyba będzie najlepiej. Zobacz pani. Czas leczy rany. Z czasem pani zapomni.

- Zapomnę? - Dziewczyna ożywiła się, jej oczy zabłyśły. - Nigdy nie zapomnę. Przenigdy. Nie zasługuję na dar zapomnienia.

- Czy już czytałeś moją ocenę oferty Japończyków?

Bram Soames oderwał wzrok od półnagich koron drzew londyńskiego skweru i odwrócił się twarzą do syna.

Obu mężczyzn łączyło daleko idące fizyczne podobieństwo. Obaj byli słusznego wzrostu, mocno zbudowani i gibcy w ruchach, co świadczyło, że nie stronią od sportu i codziennej gimnastyki. Obaj mieli też takie same grube i gęste ciemnobrązowe włosy, chłodne zielone oczy i arystokratyczne rysy twarzy. Zresztą kropelka błękitnej krwi bodaj nawet krążyła w ich żyłach, gdyż w ich rodzinie mówiło się o nielegalnym związku miłosnym pomiędzy praprababką Brama ze strony ojca i pewnym parem zasiadającym w Izbie Lordów. Była to klasyczna i raczej sentymentalna opowieść o uwiedzeniu niewinnej córki pastora przez rozpustnego, zblazowanego arystokratę. W głębi duszy Bram odnosił się z rezerwą do tej historii, ale ponieważ z natury był człowiekiem tolerancyjnym wobec słabostek bliźnich, nigdy publicznie nie kwestionował słów swojej babki, jako że to ona właśnie była strażniczką i przekazicielką rodzinnej tradycji.

Jednym z elementów tej tradycji było również i to, że najstarszy syn otrzymuje na chrzcie przechodzące z pokolenia na pokolenie imię swych przodków. Tak więc jemu, Bramowi nadano trzy imiona - Brampton Vernon Piers.

W przypadku Jaya, jego syna, rzeczy ułożyły się zdecydowanie inaczej, z tym że ten akurat przypadek...

Nie dokończył swych rozmyślań, gdyż Jay zapytał ponownie, nie uzyskawszy odpowiedzi na swe pytanie.

- Więc jak? Czytałeś?

Postronni obserwatorzy brali ich bardziej za braci niż za ojca i syna. Bram traktował te pomyłki z wrodzoną sobie pobłażliwością, ale Jay irytował się i pieklił.

Było zresztą rzeczą zrozumiałą, że piętnaście lat różnicy mogło zamącić w głowie niejednej osobie przyzwyczajonej do typowych pokoleniowych przedziałów czasowych.

A teraz Jay czekał na jego odpowiedź, którą, Bram wiedział to z absolutną pewnością, nie będzie zachwycony.

- Przykro mi, synu, lecz nie pójdziemy na to. Jesteśmy firmą zbyt małą, by ryzykować aż taką ekspansję. Po prostu brak nam zarówno środków, jak ludzi. Ten japoński projekt, gdybyśmy podłączyli się do niego, wymagałby zatrudnienia całej masy prawników i księgowych, by tylko na tych dwóch specjalnościach skończyć.

- Tak, tyle że zyskalibyśmy szansę, która być może więcej się nie powtórzy - przerwał mu Jay z pierwszymi oznakami gniewu. - Teraz, przy najlepszych szacunkach, plasujemy się zaledwie w trzeciej lidze firm komputerowych. Poparcie Japończyków...

- Moja ocena różni się od twojej. Mały nie znaczy zły. Gdybyśmy nie znajdowali się w czołówce, nie zainteresowałby się nami żaden Japończyk.

- Ale musimy się rozwijać! - eksplodował Jay. - Kto stoi, ten cofa się. Przede wszystkim jest do zdobycia rynek amerykański, cenny ze względu na swoją ogromną chłonność, ale także Europa Środkowa, gdzie komputeryzacja nabiera coraz większej dynamiki. Zaopatrywaliśmy do tej pory firmy specjalistyczne, zwróćmy naszą ofertę do całych społeczeństw. Spójrz na to...

- Z naszymi produktami możemy być tylko tam, gdzie jesteśmy. Jakość jest naszą dewizą i na niej zbudowaliśmy swoją pozycję. Zadowolamy fachowców. Nie starajmy się zadowolić wszystkich, gdyż fachowcy się od nas odwrócą.

- A w czym to niby jesteśmy tacy dobrzy? - Jaya roznosiła wściekłość. - Zresztą zapytam o coś innego. Dałeś mi biuro i wygodne stanowisko dyrektorskie, ale gdzie moja realna władza, gdzie wsparcie z twojej strony? - W zielonych oczach syna pogarda walczyła o lepsze z wrogością; serce Brama zdrętwiało od smutku i gorczy.

Władza, kontrola, uznanie - wszystko to odgrywało dla Jaya niebagatelną rolę; Rozkapryszone dziecko, które przez całe lata zaspokajało swoje zachcianki tylko dlatego, że wina i ból odebrały Bramowi siłę stanowczości, zmieniło się w porywczego i wiecznie niezadowolonego z życia młodego mężczyznę.

Ale powiedzenie Jayowi, że jego pragnienie władzy ma swoje korzenie w bolesnych przeżyciach okresu dzieciństwa, byłoby równoznaczne z drażnieniem tygrysa krwawiącym ochłapem mięsa.

Tak, Jay był dla Brama ciągłym wyzwaniem, raną, która nie chciała się zagoić, a w końcu nawet zagrożeniem. Bram wiele by dał, żeby było inaczej.

Rozłożył ręce.

- Przykro mi, Jay. Korzystaj rozważnie z tej skromnej władzy, jaką posiadasz. A co do Japończyków, to na ten skok nie piszemy się.

W pretensji Jaya kryła się sugestia, że stanowisko, jakie zajmował, Bram stworzył specjalnie z myślą o podporządkowaniu go sobie i utrzymaniu w stanie zależności. Rzeczywistość przedstawiała się jednak inaczej. Bram przez wiele lat pielęgnował w sobie nadzieję, iż jego syn wybierze zawód nie związany z rodzinnym biznesem. Ale Jay odziedziczył nie tylko kolor jego oczu i włosów. Już jako mały chłopiec zainteresował się komputerami i zaliczał się obecnie do najzdolniejszych i najbardziej twórczych programistów komputerowych swojego pokolenia. Opracowywanie specjalistycznych programów nie wystarczało mu już jednak. Wbił sobie do głowy, że przyszłość firmy leży w agresywnej ekspansji i masowym rynku.

- Więc po prostu tylko ci przykro i nic cię nie obchodzi, że poświęciłem temu projektowi całe dwa tygodnie wyteżonej pracy i że lecę dziś wieczorem do Nowego Jorku na spotkanie z Japończykami i Amerykanami. Zechciej wczuć się w moje położenie, gdy będę musiał im oznajmić, że nie wchodzimy do spółki.

Tak, Jay był dumnym mężczyzną, a tacy panicznie boją się stracić twarz.

- Jeśli w ogóle znam Japończyków, to założę, że wycofanie się jest tylko grą pozorów, mającą na celu wynegocjowanie lepszych warunków.

Jay zmarszczył czoło. Obojętnie, co pomyślą sobie Japończycy, najważniejsza była przyszłość firmy i ona leżała mu na sercu. Nie zamierzał rezygnować ze swych planów. Musiał przełamać opór ojca. Musiał mu udowodnić, że to on ma rację.

Dokąd sięgał pamięcią, zawsze w ich wzajemnych stosunkach było coś, co wymykało się racjonalnej definicji. Jay wiedział tylko, że od początku pragnął ze strony ojca bezwzględnej wyłączności i traktował z agresywną wrogością każdego, kto chciałby zawładnąć choć częścią myśli i uczuć Brama. A teraz, kiedy miał dwadzieścia siedem lat, a więc, wydawałoby się, był dostatecznie dorosły, by móc zrezygnować ze swych roszczeń, wciąż pod tym jednym względem pozostawał dzieckiem. Nadal pragnął mieć ojca wyłącznie dla siebie i nadal u źródeł tego pragnienia leżał nieokreślony strach.

Zdarzało się, że pogrążał się w utopijnych marzeniach o całkowitej władzy nad ojcem, wręcz o ubezwłasnowolnieniu go, by potem troskliwie się nim zająć. Komiczna strona tej utopii tłumaczyła się faktem, że Bram miał zaledwie czterdzieści dwa lata i ani myślał wypuszczać cugli z rąk.

Tymczasem jednak następowały błyskawiczne zmiany. Przemysł komputerowy rozwijał się w rekordowym tempie, zagarniał dla swoich potrzeb najświetniejsze umysły i oferował wręcz co godzina jakąś nowinkę. Przyszłość tego przemysłu, podobnie jak przemysłu

samochodowego, leżała w masowych, a nie tradycyjnych i wyspecjalizowanych rynkach.

Na domiar złego ojciec w ostatnim okresie planował zaangażować się w coś, co jeszcze bardziej miało zawęzić tę specjalizację. Chodziło o opracowanie programów dla indywidualnych potrzeb ludzi ułomnych, i to zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym. Szczytna idea, lecz na szczytnych ideach jeszcze nikt nie zarobił złamanego grosza. I dlatego Jay wybuchnął teraz wściekłą tyradą przeciwko temu pomysłowi. A kiedy skończył, usłyszał w odpowiedzi:

- Zdaję sobie sprawę, że w najbliższej przyszłości żadnych zysków z tego nie możemy się spodziewać. Ale czy oznacza to, że nie powinniśmy zaoferować pomocy tym, którym grozi zepchnięcie na całkiem już boczny tor? Poza tym, jeśli się nam poszczęści, zyskamy wówczas na tym polu wyłączny patent, a w dalszej kolejności godne uwagi profity.

- Tylko mi nie mów, że robisz to dla jakichś przyszłych zysków - obruszył się Jay, by zaraz sarkastycznie się uśmiechnąć. - Bzdury. Robisz to, bo jesteś litościwą duszą i wszyscy o tym wiedzą. Anthony Palliser to nie jest facet, który przyszedł zaproponować ci pieniądze. On dobrze wie, że poza tobą nikt w biznesie nie poszedłby na opracowywanie takich programów...

- Programów - wpadł mu w słowo Bram - które sprawiają, że osoby posługujące się nimi będą zdolne do społecznego komunikowania się. Pomyśl, co to znaczy, Jay.

- Pomyślałem i uważam, że będzie to zwykłe trwonienie czasu i pieniędzy.

- Mojego czasu i moich pieniędzy - uściślił Bram.

Ano właśnie. Czas ojca i pieniądze ojca. Obie te dziedziny, egzystencjalna i materialna, ukształtowały też jego, Jaya, duszę. Pamiętał z okresu wczesnego dzieciństwa ów zimny kobiecy głos: „Bram, na miłość boską, opamiętaj się. Odpowiedzialność za dziecko to jedna sprawa, a fakt, że stoisz przed szansą zrobienia pieniędzy, to druga. Potrzebujesz ich i to zaraz, natychmiast.”

Nienawidził tej kobiety i ta nienawiść przetrwała w nim do dzisiaj. Helena zresztą odpłacała mu pięknym za nadobne.

- O której lecisz do Nowego Jorku? - usłyszał pytanie ojca.

- O wpół do siódmej wieczorem? Dlaczego pytasz? - dodał podejrzliwie.

- Mam się spotkać z Anthonym o wpół do piątej, więc pomyślałem sobie, że mógłbyś mi towarzyszyć.

- Po co? Przecież już klamka zapadła. Zaangażowałeś swój czas i swoje pieniądze.

- Jay... - zaczął Bram, lecz jego syn, uznawszy widocznie, że dalsza rozmowa nie ma sensu, odwrócił się i sztywnym krokiem opuścił gabinet.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że wyszedł z gniewem i obrazą w sercu.

„Manipuluje tobą, a ty pozwalasz mu na to” - niejednokrotnie ostrzegała go w tamtych latach Heleną i oczywiście miała rację. Ale

jak powiedzieć małemu dziecku, które budziło się po nocach z płaczem za swoją matką i dziadkami, dziecku, którego agresja była tylko formą obrony przed paraliżującym je strachem, że jeśli dalej będzie tak się zachowywało, to wyrzeknie się go również jego własny ojciec? Jak karać takie dziecko za jego nieznośny upór i nadmierną dumę, skoro wiadomo, że są tylko maską, za którą Jay skrywał rozpaczliwe pragnienie miłości? Jak mimo jego bezwzględного sprzeciwu i buntu, wyrażającego się czasem nawet fizyczną agresją, nie przytulić go do piersi i nie chronić własnym ciałem przed ciosami, których nie szczędzi los?

Tak, bez wątpienia najbardziej bolesne i brzemiennie goryczą w tym wszystkim było to, że Jay konsekwentnie odrzucał wszystkie dowody ojcowskiej miłości. Jakby pocałunki Brama paliły mu policzki, a pieszczoty porażały prądem.

- Naprawdę nie musisz czuć się winny - zapewniała go Helena, widząc, jak głęboko przeżywa każde takie odtrącenie.

- Sęk w tym, że czuję się winny. Ostatecznie jestem jego ojcem.

- Miałeś zaledwie piętnaście lat - przypominała mu. - To jeszcze smarkaty wiek.

- Tak - godził się Bram. - Ale to właśnie Jay płaci teraz za moją niedojrzałość. Żaden piętnastoletni chłopak nie może być ojcem, jeśli to słowo ma oznaczać coś więcej niż tylko danie nasienia. W jakimś więc sensie ograбіłem Jaya z szansy urodzenia się w prawdziwej rodzinie, gdzie byłby chciany, kochany i gdzie czułby się bezpiecznie.

- Przecież zapewniłeś mu bezpieczeństwo - upierała się Helena. -
Dałeś mu dom i wyrzekłeś się dla niego swojego prywatnego życia,
swoich planów i swoich przyjaciół. Powinien być ci za to wdzięczny,
a nie dręczyć cię przy każdej okazji.

- Mylisz się. Żadne dziecko nie musi poczuwać się do
wdzięczności za miłość i rodzicielską troskę. Wiem, że Jay jest
trudnym chłopcem...

- Trudnym! Chciałeś chyba powiedzieć „nie do zniesienia”. On
rujnuje ci życie. I dlatego w równym stopniu dla jego dobra, co dla
swego własnego, powinienes mu zapewnić jakąś specjalną opiekę...

Co Bram ciągle dostrzegał w swoim już dorosłym synu, a co
umykało uwadze innych, to strach dziecka, które wie, że musi
zabiegać o miłość swojego ojca, miłość kapryśną i zależną od
okoliczności, jako że nie ma trwałych uczuć na tym świecie. I tego
właśnie - niepewności i strachu w oczach dziecka - on, Bram, nie
mógł sobie wybaczyć.

Żywił kiedyś nadzieję, że gdy Jay dorośnie, zrozumie, że ten
strach, który motywował całe jego postępowanie, był niepotrzebny i
niczym nie usprawiedliwiony. I że wystarczyło zwolnić ów zazdrosny
uścisk, pozwolić ojcu swobodniej odetchnąć, otworzyć drzwi domu na
przyjęcie przyjaciół, a życie ich obu stałoby się pełniejsze i bogatsze.
Niestety, nic takiego się nie wydarzyło.

Z upływem czasu doszło jedynie do niewielkiego przesunięcia
akcentów. Do tamtej zazdrości o ich wspólną prywatność dołączyła
się zazdrość o swoją własną. Skrywanie ogarnęło również tę sferę.

Bram wiedział jedynie z plotek, przypadkowo zasłyszanych słów oraz biurowej poczty pantoflowej, że jego syn sieje spustoszenie wśród kobiet, żądając jednak wyłącznie ich ciał i ze swej strony oferując dokładnie to samo.

Raz na pewnym przyjęciu niechcący podsłuchał rozmowę eks kochanki Jaya z jej przyjaciółką.

- Pod względem fizycznym Jay potrafi być wspaniały - zwierzała się ognista czarnulka. -Zna wszystkie pozycje, wie, które klawisze trzeba nacisnąć, żeby odebrać kobiecie przytomność, ale w końcu zaczynasz uświadamiać sobie, że to w zasadzie wszystko. Ma się wrażenie, jakby dokładnie realizował jakiś komputerowy program. Jest zimny, dokładny, racjonalny, kompetentny. Nie będę zazdrościć kobiecie, z którą się ożeni. Złowi pewnie jakiś świeży, dziewiczy, arystokratyczny egzemplarz, a kiedy już będzie po weselisku i rytualnym zapłodnieniu, zostawi ją w jej rodowym zameczku na prowincji, sam zaś wróci do Londynu, by na nowo podjąć swą misję.

- Aż do tego stopnia opętany jest seksem? - spytała przyjaciółka, nie kryjąc ekscytacji.

- Tu nie chodzi o seks, moja droga, tylko o jego stosunki z ojcem. Jay chciałby mieć ojca wyłącznie dla siebie i wydaje się to najważniejszym celem jego życia. Reszta mało się liczy.

- Boi się, że może nie przejąć firmy?

- Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Byłam raz umówiona z nim na obiad, lecz tego samego dnia przed południem nieopatrznie mu wspomniałam, że Bram zamierza spędzić ten weekend u mojej

kuzynki, a jego starej przyjaciółki. Jay bez słowa usprawiedliwienia czy przeprosin odwołał obiad, po czym dowiedziałam się od tejże kuzynki, że zwałił się jej na głowę w kilka godzin po przyjeździe Brama, zostając niemal na całe dwa dni pod pretekstem przedyskutowania z ojcem jakichś nie cierpiących zwłoki spraw zawodowych.

- Przypuszczam, że gdyby Bram się ożenił i miał z tego małżeństwa dzieci, Jay siłą rzeczy poniósłby znaczne straty majątkowe. A poza tym Bram, choć nie ma opinii rozplodowego ogiera, jest moim zdaniem bardzo, ale to bardzo seksownym mężczyzną...

Ognista czarnulka skinęła głową na znak potwierdzenia i coś zaczęła mówić, lecz Bram już dłużej nie chciał podsłuchiwać. Zastyszana ocena jego osoby bardziej go rozbawiła, niż polechtała jego męską próżność.

Doprawdy, nie mógł pochwalić się wieloma podbojami, poza tym swoje sporadyczne kontakty z kobietami utrzymywał niemal w konspiracji. Ta praktyka miłosnej tajemnicy mogłaby wielu osobom wydawać się nawet pasjonującą przygodą, na niego jednak działała przygnębiająco.

Każda znajomość kończyła się mniej więcej tak samo. Kochanka zaczynała irytować się i niecierpliwić, następnie zaś zadrećcać go pytaniem, dlaczego ukrywa ich stosunek przed synem. Kiedy zaś Bram, podobnie jak ona zmęczony sekretem, decydował się na ujawnienie związku, do akcji włączał się Jay, którego przemyślnie

zabiegi przynosiły wkrótce określone skutki - kochanka wycofywała się.

- Kocham cię, Bram - powiedziała jedna z tych skazanych przez Jaya na niebyt. - Masz wszystko, czego pragnę i co lubię u mężczyzny. Przebywanie z tobą daje mi szczęście. Jay jednak odbiera mi wszystko, co od ciebie otrzymuję.

- Dlaczego nie umieścisz go w jakiejś szkole z internatem? - zapytała go inna.

Zależało mu na niej i rozumiał ją, lecz mimo to stanowczo odrzucił ten pomysł.

Już i tak skrzywdził Jaya w dostatecznym stopniu. Dodatkowe karanie go w ogóle nie wchodziło w rachubę. Próbował za to czynić wszystko, żeby go wyzwolić z jego strachu. Przede wszystkim na różne sposoby przekonywał syna, że nikt i nic nie jest w stanie odebrać mu jego ojcowskiej miłości. Miłość do kobiety i miłość do dziecka, mówił, to dwie całkiem różne rzeczy, które nie wchodzą ze sobą w sprzeczność, a przeciwnie, mogą wspaniale się uzupełniać.

Jay nie wierzył jego słowom. Nie chciał mu uwierzyć. Nie zamierzał wypuścić go z rąk.

Być może sprawy ułożyłyby się inaczej, gdyby on, Bram, uwikłał się w naprawdę głęboką i namiętą miłość. Ale już dawno, przez wzgląd na Jaya, nauczył się tłumić porywy serca i zmysłów, aż wreszcie stało się to dla niego przyzwyczajeniem.

Nie był cynikiem, ale nie mógł oprzeć się poczuciu, że kobiety, które upatrzyły go sobie, nie zawsze ograniczały swój horyzont tylko

do jego osoby. Dzięki prasie, i to zarówno brukowej, jak i finansowej, jego ogromny majątek nie był dla nikogo żadną tajemnicą.

Zaczął dorabiać się pieniędzy jeszcze jako student Cambridge. Koledzy namawiali go, żeby poszedł w ich ślady i znalazł sobie stałą pracę z comiesięczną pensją w jednej z licznych firm komputerowych, które wyławiały najlepszych absolwentów.

Bram ani myślał czekać, aż zostanie wyłowiony. Potrzebował pieniędzy dla siebie i Jaya. Potrzebował też jednak czasu. Wolał zachować pozycję wolnego strzelca, z mniejszymi, być może, dochodami, lecz za to z możliwością przebywania w domu.

To właśnie Helena, przyjaciółka z lat studenckich, odpowiedziała mu, żeby założył własne przedsiębiorstwo. Zawsze miała główkę do interesów!

Nie tak jak Plum lub jej ojciec.

Helena nadała swojej córce piękne imię Victoria, ale Flyte MacDonald, jej pierwszy mąż - potężny, rudowłosy i lewicujący Szkot, którego poślubiła wbrew woli rodziców - natychmiast zmienił je na Plum, i tak już pozostało.

Plum urodziła się chyba jedynie po to, żeby świat się przekonał, jak rozkosznie słodkie, uwodzicielskie i zniewalające mogą być małe dziewczynki.

Flyte był rzeźbiarzem, który z czasem dorobił się sławy i uznania. Helena rozwiodła się z nim, gdy ich córka miała trzy latka. Potem wyszła za Jamesa, któremu urodziła dwie córki. Żadna z nich nie mogła równać się z Plum.

Ukończywszy szesnaście lat, Plum obwieściła, że porzuca szkołę i przeprowadza się do ojca.

Helena, zazwyczaj uosobienie spokoju i opanowania, wpadła w prawdziwą furję. Trzęsła się jeszcze wówczas, gdy opowiadała o swoim kłopotcie Bramowi.

- Oczywiście, wszystkiemu winny jest Flyte. To on ją do tego podbechtał. A dla Plum im bardziej niezwyczajnie, tym ciekawiej. Były problemy, wiesz, z chłopakami w szkole. James zainterweniował i jakoś wszystko rozeszło się po kościach. A teraz ona tak się nam odpląca. I co ludzie powiedzą, kiedy już stanie się głośne, że Plum przeprowadziła się do ojca? Flyte przebija swobodą prowadzenia się nawet paryską bohemę z początku stulecia. Gorszą reputacją, doprawdy, już nie można się pochwalić.

- Jest jej ojcem, Heleno - przypomniał jej Bram.

W głębi duszy podejrzewał, że nieunormowane życie Flyte'a, które Plum siłą rzeczy będzie musiała dzielić, bardzo prędko ją zmęczy.

Flyte mieszkał w niewielkim segmencie na obrzeżach Chelsea, który kupił po rozwodzie z Heleną. On, artysta, nie mógł sobie wybrać gorszego sąsiedztwa. Wokół siebie miał niemal samych przedstawicieli klasy średniej, konwencjonalnie układnych i przestrzegających wszystkich społecznie usankcjonowanych norm. Na tym morzu przyzwoitości mieszkanie Flyte'a było wysepką rozpusty, pijaństwa i pracy artystycznej.

Sąsiad przez ścianę, makler londyńskiego City, pewnego razu zapukał do niego ze skargą. Wyznał, iż boi się, że jego dzieci, wrażliwe i podatne na wpływy, mogą jeszcze złapać bakcyła tej artystycznej rozwiązłości, po czym dorzucił prośbę, by modelki Flyte'a nie myliły drzwi jego domu z drzwiami swojego pracodawcy, co, nawiasem mówiąc, zdarzało się nagminnie.

Zamiast przeprosić, Flyte podarował sąsiadowi rzeźbę, przedstawiającą parę splecionych w miłosnym uścisku nagich kochanków, których twarze charakteryzowało zastanawiające podobieństwo do twarzy sąsiada i jego szanownej małżonki.

Nie uszło ono uwagi maklera, który sam już nie wiedział, czy rąbnąć rzeźbiarza w zęby, czy też podziękować i przyjąć podarunek. Nie chcąc awantury, zdecydował się na to drugie. Wróciwszy jednak do domu, natychmiast ukrył bezwstydną rzeźbę na samym dnie stojącego w piwnicy kufra.

Jak przewidział Bram, Plum długo nie wytrzymała z ojcem, który zachował się bardzo rozsądnie i nie pozwolił jej na opuszczenie szkoły.

Plum wprawdzie wróciła do matki i Jamesa, ale kłopoty z nią bynajmniej się nie skończyły.

- Wiem, że wiele się zmieniło od czasów naszej młodości - powiedziała Helena podczas jednego z ostatnich spotkań - ale James twierdzi, że jeśli nie zacznie zachowywać się przyzwoicie, to będzie musiała się wyprowadzić. Obawia się, że styl życia Plum może mieć zgubny wpływ na nasze dwie pozostałe córki. Widząc, że

przebaczamy jej za każdym razem, mogą zacząć ją naśladować. Ale co my możemy jeszcze zrobić, Bram? Nie umiem znaleźć z nią wspólnego języka. Była zawsze takim trudnym dzieckiem, dzieckiem bardziej Flyte'a niż moim. Niekiedy czuję, że między mną a Plum istnieją tylko same różnice. Jest taka wybuchowa... taka nieopanowana...

I tak silnie promieniująca swym niezwykłym erotycznym magnetyzmem, dodał w myślach Bram.

Bo Plum emanowała wręcz erotyzmem, a taka dziewczyna już z definicji nie może zachowywać się jak mniszka.

Właściwie Bram w głębi duszy współczuł jej, i to pomimo faktu, że...

Dźwięk telefonu w sekretariacie obok przerwał tok jego myśli. Spojrzał na zegarek. Jeżeli chciał zdążyć na spotkanie z Anthonym, musiał czym prędzej opuścić biuro.

Znał Anthony'ego, który obecnie nosił przed imieniem i nazwiskiem godne szacunku „sir”, jeszcze z czasów studenckich. Podtrzymywali dawną przyjaźń, pomimo że ich drogi po skończeniu studiów rozeszły się w różne strony. Bram obrał karierę biznesmena, Anthony zaś poświęcił się działalności charytatywnej. Szefował obecnie jednej z największych instytucji dobroczynnych.

- Mam dla ciebie pewną propozycję, którą możesz potraktować również jako wyzwanie - powiedział Anthony podczas pewnego spotkania przed kilku miesiącami, a kiedy przedstawił rzecz, Bram roześmiał się i wyraził zgodę.

- Masz rację, to jest wyzwanie.

Teraz Bram śpieszył korytarzem, odpowiadając na powitania pracowników. Nagle o czymś sobie przypomniał. Wrócił się kilka metrów i otworzył drzwi po prawej.

- Jay? - rzekł, wchodząc do środka.

- Tak.

Udał, że nie dosłyszał wrogości w głosie syna.

- Chyba nie zapomniałeś o osiemnastych urodzinach Plum?
Musisz pomyśleć o prezencie dla niej.

Mina Jaya starczała za całą odpowiedź. Czego jak czego, ale cieplejszych uczuć do Plum nie można było się w nim doszukać.

- A niby to o jakim prezencie?! - wybuchnął. - W grę mógłby wchodzić jedynie pas cnoty albo egzemplarz „Kamasutry”. Co do tego jednak szacownego dzieła, to, sądząc z plotek, Plum zna wszystkie opisane w nim pozycje i jeszcze kilka innych, które sama wymyśliła. Pas cnoty natomiast kojarzyłby się z zamykaniem drzwi do stajni po tym, jak koń dawno już poniósł. A swoją drogą, dobrze jest wiedzieć, że nawet tej niezawodnej Helenie nie udało się jako matce ustrzec zasadniczych błędów.

Bram przez chwilę patrzył w milczeniu na syna. Jay nie cierpiał zarówno Plum, jak i Heleny. Pozostawała tylko kwestia, której bardziej.

- Plum jest jeszcze dzieckiem, Jay - powiedział, starając się wynaleźć coś na obronę swojej chrześniaczki. -Ona...

- Ona jest kurewką, która niebawem uzyska pełnoletność -
dokończył brutalnie Jay.

Pięć minut później Bram opuszczał budynek firmy. Na pytanie recepcjonistki, czy ma wezwać szofera, odparł przeczącym ruchem głowy. Było dość ciepłe słoneczne popołudnie, a on bynajmniej nie czuł się zgrzybiałym starcem. Półgodzinny spacer ulicami miasta dobrze mu zrobi.

Przemierzając skwer, kilka razy głęboko odetchnął. Wyczuł zapach spalin. Zatęsknił za polami i podmokłymi łąkami Cambridge.

Decyzja o przeniesieniu firmy do Londynu podjęta została pod naciskiem wielu okoliczności. Przede wszystkim centralna lokalizacja ułatwiała kontakty z klientami na całym świecie. Nie mniej istotny był wymóg zapewnienia Jayowi bardziej inspirującego środowiska, jak również porządnej szkoły. Lecz mimo wszystkich zalet wielkiej metropolii Bram w głębi duszy przechowywał tęsknotę za tamtym wiejskim krajobrazem, cichym, bardzo swojskim i melancholijnym.

Chcąc nie chcąc, musiał jednak wrócić do teraźniejszości, czyli do sprawy Anthony'ego. Wciąż nie był do końca pewien, czy uda mu się spełnić jego oczekiwania. A przecież chciał tego, naprawdę bardzo chciał. Pamiętał ten film zrobiony na taśmie wideo, który wyświetlił mu Anthony. Historia młodego mężczyzny, niemowcy, który dzięki specjalnie skonstruowanemu komputerowi uzyskał zdolność dźwiękowego porozumiewania się z otoczeniem. Czy kosztowna produkcja takich komputerów przyniesie firmie godny uwagi zysk? Bardzo wątpliwe. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że inicjatywa

tego typu dostarczy jemu, Bramowi, ogromnej satysfakcji. Ofiarować niemym zdolność mówienia - był to dar graniczący z cudem.

Wrócił myślami do jednego ze zdarzeń, które zachowało się w jego pamięci, i które przywoływał teraz, ilekroć zdarzało mu się rozważać pomysł Anthony'ego. Pewnego razu, mieszkając jeszcze w Cambridge, zaszedł do kościoła. Akurat odbywała się próba parafialnego chóru. Modlitewna antyfona ulatywała na skrzydłach organowej muzyki ku gotyckiemu sklepieniu. Bram wzruszył się do łez. Nie umiał śpiewać, nie znał słów, lecz całą duszą łączył się ze śpiewającymi w ich radosnym hymnie. Gdyby wówczas zdobył się na śpiew, byłby jak ten niemy, który nagle odzyskał zdolność mówienia i słowami wyraża swą radość.

Uśmiechnął się kącikami warg. Gdyby Jay znał jego myśli, uśmierciłby go chyba swoją zimną ironią.

Wszedł przez artystycznie zdobione drzwi do ogromnej secesyjnej kamienicy. Tu właśnie mieścił się sztab Anthony'ego i tutaj zawiesiła na nim wzrok młoda recepcjonistka.

Spodobał się jej. Oceniała jego męską urodę bardzo wysoko. Miała zaufanie do mężczyzn około czterdziestki. Przynajmniej wiedzą, jak się zachować w łóżku, pomyślała. Mają doświadczenie, a równocześnie potrafią być czuli i delikatni. Ten był mocno zbudowany, lecz ogólnie sprawiał wrażenie szczupłego i zwinnego. Nie tak jak jej chłopak, który uprawiał kulturystykę i nadmuchał sobie mięśnie sztuczną siłą.

- Nazywam się Brampton Soames - przedstawił się dziewczynie.

Masz ci los! A więc ów seksowny facet był na dokładkę Bramptonem Soamesem, owym sławnym multimilionerem, o którym rozpisywały się gazety. Zarumieniła się po czubki włosów.

- Sir Anthony musiał wyjść w pewnej bardzo ważnej sprawie - powiedziała z trochę niepewnym uśmiechem.

- Dziękuję, Jane. Ja zajmę się panem Soamesem... - usłyszała za plecami kobiecy głos.

Zawiedziona, Jane patrzyła z żalem, jak sekretarka sir Anthony'ego zabiera sprzed jej biurka mężczyznę, z którym rozmowa, gdyby w ogóle miał ochotę na rozmowę, mogłaby być czymś ciekawym i ekscytującym, i to w każdym sensie.

Tymczasem Bram i sekretarka wsiedli do windy.

- Dowiedziałem się właśnie, że sir Anthony'ego nie ma w biurze - powiedział Bram.

- Tak. Wynikła konieczność niespodziewanego spotkania z naszym sponsorem. Sir Anthony gorąco pana przeprasza.

- Prosiłem przez telefon o pewne materiały...

- Wiem o tym. Sir Anthony skontaktował się już w tej sprawie z kierowniczką naszego archiwum. Jest to osoba o niemal dwudziestoletnim stażu pracy, najbardziej kompetentna; żeby udzielić panu wszystkich niezbędnych informacji. Więc jeśli dysponuje pan czasem...

- Tak, z przyjemnością z nią porozmawiam.

- W takim razie zaprowadzę pana do niej. Nazywa się Taylor Fielding.

- Taylor... Czyżby Amerykanka?

- Nie sędzę. W każdym razie jej akcent tego nie zdradza. Może ma jakieś rodzinne powiązania ze Stanami. Przyznam, że mało o niej wiem, mimo że pracuję tu już od ośmiu lat.

Bram zrezygnował z dalszych pytań. Z natury ciekaw był innych ludzi, fascynowali go, lecz zawsze zatrzymywał się przed zamkniętymi drzwiami i nie próbował ich wyważać. Brzydził się nachalnością i Cenił sobie takt. Poza tym wyczuł pewną powściągliwość w głosie sekretarki i to go zastanowiło. Zazwyczaj kobiety, które pracują razem, są bardziej otwarte i szczerze w kontaktach ze sobą niż mężczyźni. Tym dziwniejsze więc było, że mimo ośmiu lat prawdopodobnie dość bliskiej współpracy jedna kobieta tak niewiele wiedziała o drugiej.

Chyba że dzielił je mur wzajemnej niechęci, lecz w tym wypadku nic nie wskazywało na taki przypadek.

W sumie Taylor Fielding wydała się Bramowi tajemniczą i dziwaczną istotą. Podobnie jak jej amerykańskie imię.

Pewnie jakaś zastrachana szara mysz, pomyślał.

Winda zatrzymała się na czwartym piętrze. Wyszli na wyłożoną marmurami klatkę schodową. Sekretarka zapukała do drugich drzwi po lewej.

I wówczas to Taylor Fielding po raz pierwszy ujrzała Bramptona Soamesa.

2

I wówczas też Brampton Soames po raz pierwszy ujrzał Taylor Fielding.

Szła ku niemu od biurka kobieta wysoka, smukła, o urodzie tak subtelnej i tak zmysłowej zarazem, tak, można by rzec, wyrafinowana, że widok jej ciała (bo przecież udało mu się zobaczyć jej ciało poprzez granatowy kostium z miękkiej wełny i skromną białą bluzkę ze stojącym kołnierzykiem) wzbudził w nim pragnienie zarówno śmiechu, jak płaczu.

Śmiechu, gdyż było rzeczą niemal komiczną, by tak wspaniałe ciało oblekać w tak niestosowny ubiór; w tym wypadku nawet najbardziej udane projekty głośnych krawców francuskich byłyby zaledwie godne tej precudnej szyi i tych obłądnych nóg. A płaczu dlatego, bo taka piękność boli. Chciałoby się wyciągnąć rękę i dotknąć jej, może nawet pogłaskać ją - nie z żądy, ale niemal z religijnej czci, jaką wzbudziła w patrzącym. O nie, ta kobieta nie była Amerykanką, nie z tą bladą, prawie przezroczystą skórą, której, wydawało się, nigdy nie pieściło słońce, i nie z tymi świetlistymi szarobłękitnymi oczami i włosami w kolorze ciemnego mahoni, zebranymi w kok na tyle głowy.

I nagle wszystko stało się dla nich jasne. On wiedział, że został przez nią przebudzony z długotrwałej śpiączki, ona zaś odgadła to i swój sprzeciw wyraziła gniewnym spojrzeniem.

Świadomość narastającej gwałtownie ekscytacji, połączonej z całkowitą utratą kontroli nad sobą, wprawiła go w stan irytacji.

Zachowywał się jak szczeniak i, doprawdy, nie dawał tym o sobie najlepszego świadectwa. Co też ta „miss” Taylor Fielding sobie o nim pomyśli?

Wiedział, że była wolnego stanu, gdyż dostrzegł to właśnie słowo - miss - wypisane na tabliczce przytwierdzonej do drzwi jej gabinetu.

- Taylor, przedstawiam ci pana Soamesa - powiedziała sekretarka.

- Bram - rzekł wyciągając rękę.

Taylor odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym zimnej wyniosłości. Prawdopodobnie nie raz już musiała spotykać się z tego rodzaju reakcjami na jej niezwykłą urodę.

- Wybrałam dla pana informacje, o które prosił mnie sir Anthony - powiedziała, gdy sekretarka zostawiła ich samych.-Oto one...

Pchnęła ku niemu dokumenty i błyskawicznie cofnęła rękę, jakby obawiając się, że on chwyci ją i przytrzyma. W każdej innej sytuacji ta połączona z bojaźnią ostrożność wprawiłaby go w pyszny humor, ale teraz czuł się jedynie boleśnie dotknięty. Bądź co bądź, obawiała się go osoba, do której za wszelką cenę musiał się zbliżyć.

- Podobno pracuje pani tutaj już od dwudziestu lat. Tym razem nie płochliwe cofnięcie ręki, tylko płochliwe spojrzenie, które uciekło gdzieś w bok, wyraziło jej strach. Lecz tak naprawdę to czego się zlekła? Jego słów, które odsłoniły studnię czasu, czy też tego, co w nim narastało i co dobrze wyczuła swoją kobiecą intuicją?

Zaintrygowany, Bram zapragnął dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Chciał też uwolnić ją od tego napięcia, spowodować przemianę tej kobiety z istoty czujnej i nieufnej w rozluźnioną i roześmianą.

Lecz jak miał tego dokonać? Droga wiodąca do jej duszy i... łóżka wydawała się w tym przypadku kręta i usiana zasadzkami.

Nagle skarcił siebie w myślach. Czy już i tak nie miał dostatecznie skomplikowanego życia, by jeszcze fundować sobie nowe powikłania? Stał naprzeciwko kobiety, która nie kryła, że uwiedzenie jej może okazać się zadaniem ponad jego siły.

- Pańskie materiały - powtórzyła Taylor Fielding. Patrzyła na Bramptona Soamesa i zapytywała siebie

w duchu, co kryje się za tym jego natarczywym spojrzeniem. Nie lubiła mężczyzn, którym wydawało się, że mają pełne prawo przekraczania oczyma granic kobiecej prywatności i sięgania aż do sfery najbardziej intymnej. Były to spojrzenia łupieżców, gotowych w każdej chwili przejść do bezpośredniego działania. Tu również musiała liczyć się z koniecznością odparcia agresji. Bo patrzył tak, jakby szykował się do pierwszego skoku. Nie myliła się. Atak nastąpił.

- Czy zje pani ze mną kolację? - zapytał, nie bawiąc się w żadne wstępne uprzejmości.

Zalała ją fala gniewu. Ten natręt, ten najeźdźca, który już zdążył pozbawić ją spokoju, choćby przez sam fakt pojawienia się przed nią i

unieruchomienia jej w swoim zdobywczym spojrzeniu, liczył na dużo, ale to dużo większe łupy. Musiała poskromić go i pozbawić złudzeń.

Tymczasem Bram dobrze wiedział, jaką otrzyma odpowiedź. Wiele kobiet poruszyłoby niebo i ziemię, byleby tylko pokazać się w jego towarzystwie, lecz Taylor bez wątpienia została ulepiona z innej gliny. Po chwili usłyszał więc dokładnie to, czego się spodziewał:

- Nie.

Nawet nie zadała sobie trudu, by ubrać tę odmowę w formę konwencjonalnej grzeczności. Cisnęła w niego słówkiem „nie” niczym granatem ręcznym, zupełnie jakby chciała widzieć go rozerwanego na strzepy. Było już zbyt późno na udowadnianie jej, że on, Bram, jest całkiem innym człowiekiem od tego wyobrażenia o jego osobie, które zapewne powzięła na podstawie sztubackiego zachowania, jakim się popisał. Wątpił, by uwierzyła jakimkolwiek słownym zapewnieniom, wątpił nawet w jej dobrą wolę uwierzenia. Zbyt już zraził ją tym, że ośmielił się tak brutalnie przekroczyć linię, którą wokół siebie zakreśliła.

Bram natknął się już na kobiety, które szczerze nienawidziły mężczyzn, lecz między nimi a Taylor istniała pewna zasadnicza różnica. Postawę tamtych dawało się sprowadzić do beznamietnej pogardy, nienawidziły mężczyzn bardziej rozumem niż zmysłami. Natomiast w tej kobiecie płonęły ognie przeróżnych namietności i wzruszeń. Była niczym rzeźba z alabastru, w którą wtłoczono kipiącą krew. W związku z tym zadawał sobie pytanie, czy ona zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest pociągająca, a przez to narażona na atak, w

tym wypadku na atak z jego strony? Bo o tym, żeby się wycofał i poszedł swoją drogą, nie mogło już być mowy.

- Trudno. Będę z panią w kontakcie. Jeszcze nie tracę nadziei.

Drgnęła, a jej blada twarz stała się jeszcze bledsza. Zagroził jej obłączeniem - czyż tak postępuje się w sytuacji, gdy zachowaniem drugiej strony kieruje strach? Jak mógł okazać się takim głupcem, prostakiem i barbarzyńcą? Zamiast podsycać jej bojaźń, powinien był raczej dać jej do zrozumienia, że nie ma w nim woli zdobywania i że to wszystko to tylko takie sobie igraszki. Czuł jednak, że w tym wypadku nie wolno mu mijać się z prawdą. Zdecydowany był zdobyć tę niezwykłą kobietę i nie zamierzał ukrywać przed nią swojej determinacji.

- Rany, ale seksowny gość! - skomentowała współpracownica Taylor, która chwilę wcześniej minęła się w drzwiach z wychodzącym Bramptonem. - Powiesz coś o nim?

- To Brampton Soames, właściciel Soames Computac.

- Nieźle! Więc do tych wszystkich zewnętrznych wspaniałości można dodać jeszcze pieniądze! Słyszałam o milionerze o tym nazwisku, ale myślałam, że ci bogacze są zazwyczaj starzy. Ten, o ile wiem, ma już dorosłego syna.

- Nie mam pojęcia. Nie interesowałam się dotąd życiem prywatnym pana Soamesa - odrzekła Taylor.

Nie interesowała się w przeszłości i nie miała zamiaru interesować się w przyszłości. Nic nie obchodził jej seksowny wygląd tego mężczyzny, jego status majątkowy ani też jego dorosły syn.

Soames istniał dla niej od pięciu minut tylko pod jednym względem. Był mężczyzną, który dostrzegł jej istnienie i przysiągł sobie, wiedziała to, wycisnąć na nim swoje piętno. W żadnym wypadku nie mogła na to pozwolić, i to niezależnie od tego, co o nim myślały inne kobiety.

Podśluchiwała raz rozmowę dwóch swoich młodszych koleżanek.

- Co się z nią dzieje, z tą Taylor? - zapytywała jedna. -

Zachowuje się i ubiera jak staroświecka panna z przedwojennego filmu. To wręcz nie wypada, by do tego stopnia obnosić się ze swoim dziewictwem. Zresztą, ma jeszcze czas. Gdyby choć trochę zadbała o swój wygląd, inaczej czesała się i ubierała, wciąż miałyby szansę znaleźć jakiegoś faceta.

„Znaleźć jakiegoś faceta”.

Gdy usłyszała to zdanie, musiała aż zagryźć wargi, żeby nie wykrzyknąć, że mężczyzna, jakikolwiek mężczyzna, był ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła.

- Widocznie - powiedziała druga z koleżanek - nie odczuwa normalnych kobiecych potrzeb.

Teraz Taylor roześmiała się w duchu na wspomnienie tych słów. Spojrzała na zegarek. Ale nie po to, żeby sprawdzić godzinę, tylko żeby pójść śladem jednego z wątków pamięci.

Dostała ten zegarek od rodziców w nagrodę za postępy w nauce w klasie maturalnej. Pamiętała, że przez cały poprzedni rok żyła w ustawicznym strachu. Bała się, że może zawieść oczekiwania ojca i matki. Jej starsza siostra Caroline ukończyła Bristol University z

oceną najwyższą z możliwych i z miejsca zapisała się na podyplomowe studia, by pogłębić i poszerzyć swą wiedzę.

Caroline chciała zostać chirurgiem, ale ojciec odradzał jej wybór tego zawodu.

- Gdyby była chłopakiem, to co innego - mówił. - Lecz jako przyszła żona i matka nie może za bardzo poświęcać się pracy zawodowej. Chirurgia to ustawiczna praktyka. Tutaj nie można wyjść z wprawy. Niestety, to nie jest zajęcie dla kobiet.

Ojciec zaliczał się do wąskiej czołówki angielskich biologów. Jego rozległa wiedza i błyskotliwa inteligencja budziły powszechny podziw i szacunek. Pragnął, by jego córki dorównały mu pod względem intelektualnym. Ale był równocześnie człowiekiem mocno trzymającym się ziemi.

W swoich ocenach i sądach zachowywał rozwagę i zmysł praktyczności. Dlatego ona, Taylor, nigdy nie ośmielała się lekceważyć sobie jego krytyki bądź aprobaty. Jego nieznaczne zmarszczenie brwi podczas śniadania, gdy, powiedzmy, pojawiła się przy stole w jakiejś zbyt krzykliwej bluzce, lub, odwrotnie, dwa lub trzy ciepłe słowa na temat jej nowej fryzury - wszystko to kładło się cieniem lub słonecznym promieniem na cały dzień, który dopiero co miał się zacząć.

Matka miała równie wysokie wymagania. Była patologiem, ale z racji prowadzenia domu i wychowywania dzieci pracowała tylko na pół etatu. W ogóle w rodzinie Taylor zawód lekarza miał już tradycję kilku stuleci. Zaliczali się do górnej warstwy klasy średniej. Taylor i

Caroline ukończyły prywatne szkoły, w których w równym stopniu kładziono nacisk na zdobywanie wiedzy, co kształcenie osobistej kultury.

Nigdy nie padło żadne słowo w tej kwestii, ale Taylor wiedziała, że rodzice snują w związku z nią wielkie nadzieje. Caroline posłuchała się rad ojca i wróciwszy do kraju po rocznym pobycie u dalszych krewnych w Australii, postanowiła studiować prawo. To znaczy decyzję podjął ojciec, a ona tylko ją zaakceptowała.

I wówczas to Taylor po raz ostatni widziała swoją siostrę. Stało się bowiem tak, że Caroline niedługo później raz jeszcze wyjechała do Australii, gdzie wyszła za mężczyznę, którego poznała podczas swojego pierwszego tam pobytu, a którego ojciec i matka nie chcieli i nie mogli zaakceptować. Rodzice, rzecz jasna, wyrzekli się jej, gdyż złamała obowiązujące w rodzinie niepisane reguły gry. Czuli się znieważeni decyzją starszej córki. Wyrzucili ją ze swojego życia, Taylor zaś dowiedziała się, że jeśli nie chce zbudować pomiędzy sobą a nimi równie wysokiego muru, musi respektować ich żądania. Przyjęła postawione warunki. Postąpiła zgodnie z własnym sumieniem. Przyrzekła im, że nigdy ich nie zawiedzie.

Powiodła nie do końca przytomnym wzrokiem po swoim gabinecie. Zamierzała dziś skończyć pracę wcześniej niż zazwyczaj. Czekają ją zakupy, miała też odebrać zamówioną książkę z biblioteki. Nie lubiła włóczyć się po mieście nocną porą. Oczywiście, jesienią i zimą, kiedy zmierzch zapadał bardzo wcześnie, nie miała żadnej możliwości wyboru. Przynajmniej więc, jeżeli nie było to absolutnie

konieczne, unikała korzystania z publicznych środków transportu i przemieszczała się taksówkami. Był to dość kosztowny kaprys, ale wolała oszczędzić na ubraniach czy jedzeniu.

Zawsze światło dnia witała z radością i niezmiennie wieczorny mrok napełniał ją lękiem. Przyzwyczała się zasypiać przy zapalanej nocnej lampce. Spała płytkim snem. Budziła się przy najlżejszym szmerze. Zdarzały się noce, kiedy nie mogła doliczyć się tych przebudzeń.

Była pewna, że noce Bramptona Soamesa nie mogły przypominać jej nocy. Nie wątpiła, że Soames zapada w sen niczym kamień w wodę, budzi się zaś świeży i wypoczęty. Niewiele o nim wiedziała. Właściwie tylko to, że zgodził się opracować i wdrożyć do produkcji specjalistyczne programy komputerowe przeznaczone dla osób dotkniętych kalectwem. Ambitne i chwalebne zamierzenie, ale czy dojdzie do skutku? Cóż, jeśli nawet nie, to i tak firma Bramptona skorzysta na rozgłosie, jakim będzie się cieszyło samo to eksperymentalne przedsięwzięcie.

Rzecz dziwna, ale niemal milczące spotkanie z tym człowiekiem całkowicie wyprowadziło ją z równowagi.

Przyczyna jej fatalnego samopoczucia tkwiła nie tyle w tym, co reprezentował sobą Soames, ile w niczym nie stonowanej jego reakcji na jej osobę. Tak jakby ujrawszy ją, utracił kontrolę nad sobą, akceptując w pełni ów stan odurzenia i oszołomienia, w jakim się znalazł.

I kto go tak oszołomił? Ona? To, oczywiście, wydawało się mało prawdopodobne. Musiała już na samym początku popełnić błąd w interpretacji. Mężczyzna w jego wieku i z jego doświadczeniem...

„Jeszcze nie tracę nadziei”, tak powiedział.

Trudno, i tak nie miał najmniejszych szans. Będzie więc musiał stracić tę nadzieję, pomyślała, po czym zaczęła szykować się do wyjścia.

Kiedy tylko Jay znalazł się w swym apartamencie na dwunastym piętrze nowojorskiego hotelu, natychmiast zadzwonił do swojej sekretarki w Londynie z zapytaniem, czy nie ma dla niego jakichś pilnych i ważnych wiadomości. Nie miała. Poprosił więc, żeby połączyła go z ojcem i po chwili otrzymał odpowiedź, że pana Soamesa nie ma ani w biurze, ani w domu. Odłożył z trzaskiem słuchawkę.

Podszedł do okna i przez chwilę patrzył na jedyną w swoim rodzaju panoramę Manhattanu. Przyleciał do Nowego Jorku concordem, przeznaczając czas podróży na ostateczny przegląd strategii, jaką zastosuje w negocjacjach z Japończykami. Przede wszystkim będzie musiał grać na zwłokę. Bez zgody ojca nie mógł przecież podpisać żadnej umowy. Nie mógł nawet złożyć swojego podpisu pod zwykłą deklaracją intencji. Łudził się więc, że może tym razem przekona ojca w rozmowie telefonicznej, ale Bram okazał się nieuchwytny.

Przeklął pod nosem i nerwowo wystukał palcami kilka taktów na szybie. Istnieje jeszcze możliwość okłamania Japończyków, czyli

poinformowania ich o zgodzie właściciela w sytuacji, gdy tę zgodę trzeba będzie dopiero na nim wymusić. Ale nie. Łączyło się to ze stanowczo zbyt dużym ryzykiem.

Nie uprzedził ojca, że zamierzał spędzić w Ameryce pełne dwa tygodnie. Miał tu przyjaciół z Harvardu, z którymi chciał się spotkać. Wielu z nich zajmowało obecnie wysokie i wpływowe stanowiska. Warto było zabiegać o ich wsparcie, gdyż mogłoby to dać mu możliwość przeciwstawienia się ojcu, który torpedował wszystkie jego co śmielsze pomysły.

Ani myślał bowiem rezygnować z projektu przejścia na masową i standardową produkcję. Prędzej czy później zmusi wreszcie ojca do ustępstw, choćby nawet miał w tym celu odwołać się do intryg i manipulacji. Ten pobyt w Nowym Jorku mógł się okazać pod tym względem bardzo owocny.

Podszedł do łóżka i wyjął z leżącego na nim neseseru kasetę z taśmą wideo. Uśmiechnął się zjadliwie. Była to całkiem wyjątkowa taśma. Oczywiście nie z uwagi na swoją jakość, tylko treść nagrania.

Kiedy widzieli się po raz ostatni, ojciec przypomniał mu o urodzinach Plum. No więc miał dla niej prezent i spodziewał się, że sprawi on Plum swego rodzaju perwersyjną przyjemność. Wątpił tylko, czy dziewczę doceni oryginalność pomysłu.

Schował na powrót taśmę do torby i po kwadransie siedział już w taksówce, która wiozła go pod pewien adres w Soho. Spojrzał na zegarek. Był umówiony na obiad ze swoją eks- dziewczyną i miał nadzieję, że to wcześniejsze spotkanie w dzielnicy burdeli i lokalików

stripteasowych nie zajmie mu dużo czasu. Za kilkanaście minut miał zadzwonić do pewnego mieszkania, strychu przerobionego na komfortowy lokal, gdzie swego czasu zbierali się nowojorscy artyści. Właścicielka lokalu też była artystką, choć dość szczególnego rodzaju. Jay natrafił na nią przez przyjaciółkę przyjaciółki, która akurat dobrze zorientowana była w charakterze jej usług.

Kazał zatrzymać się taksówkarzowi u wylotu uliczki i kilkadziesiąt dzielących go od budynku metrów przebył piechotą. Zatrzymał się przed drzwiami, na których wisiała tabliczka informująca, że wewnątrz mieści się studio filmowe „Afrodyta”. Tabliczka była dyskretna i nie rzucała się w oczy.

Co to było za studio i kim była jego właścicielka? Przede wszystkim była klasą-sama dla siebie. Zaspokajała popyt, który sama stworzyła. Nie miała nic wspólnego z produkcją filmową typu hollywoodzkiego, ale też odżegnywała się od zwykłej pornografii. Przynajmniej od takiego zapewnienia Bonnie Howlett rozpoczynała rozmowę z każdą ze swoich licznych, coraz liczniejszych klientek.

Klientki jej pewne były przynajmniej dwóch rzeczy. Po pierwsze wiedziały, że dostaną dokładnie to, po co zwróciły się do Bonnie, po drugie zaś mogły polegać na jej absolutnej dyskrecji. Inkasując od nich pieniądze, Bonnie zawsze podkreślała, że ewentualny jednorazowy szantaż przyniósłby jej dużo mniejsze dochody od stałego prowadzenia interesu wedle uczciwych i czytelnych zasad.

I Bonnie cieszyła się pełnym zaufaniem u swojej licznej klienteli. Zasługiwała na nie, gdyż mimo że prowadziła swój interes

od lat, ani razu nie zdarzyło się jej złamać słowa. Nikt też prócz niej i zainteresowanej osoby nie widział finalnego produktu, który zresztą nie posiadał kopii. Co z taśmą następnie robiła klientka, za to już Bonnie nie mogła brać odpowiedzialności.

Wśród kobiet, które nawiązywały z nią kontakt, zdarzały się takie, które wolałyby raczej śmierć niż pokazanie taśmy komuś drugiemu, jak też i takie, które otwarcie przyznawały, że planują niespodziankę dla chłopca, męża lub kochanka.

Bonnie już dawno przestała się dziwić różnorodności ludzkich pomysłów i potrzeb. Czasem czuła smutek lub litość, ale zawsze skrywała je pod maską pogodnej życzliwości. Prowadziła interes i jej zadaniem było wywiązywanie się z zamówień. Na uczucia, nastroje czy wątpliwości nie było tu miejsca.

Bonnie przyjęła Jaya w pokoju przypominającym bardziej salon niż gabinet. Kiedy usiadł, obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Rzadko w tym miejscu spotykała się z mężczyznami i gdyby nie to, iż zapewnił ją, że chodzi tylko o drobną poprawkę pewnego nagrania, kazałaby mu szukać szczęścia gdzie indziej. Jej praca polegała na dostarczaniu kobietom urealnionych obrazów tego, co widziały one dotąd jedynie w swych erotycznych fantazjach. Mężczyznami nie zajmowała się.

Owszem, pojawiali się mężczyźni, tyle że w całkiem innej roli. Byli to z reguły chwilowo bezrobotni młodzi aktorzy, którzy godzili się na taką pracę w zamian za gwarancję zachowania wszystkiego w głębokiej tajemnicy. Kontakty z pornografią, o ile rzecz przedostałaby

się do wiadomości publicznej, przekreśliłyby zaraz na początku dalszą karierę aktorską tych młodych ludzi. Bonnie jednak właśnie potrafiła dochować sekretu, poza tym dobrze płaciła. Lub raczej dobrze płaciły jej klientki. Któraś z nich życzyła sobie dwóch partnerów. Nie ma sprawy, Bonnie równie dobrze mogła dostarczyć dziesięciu.

Zdarzały się i bardziej wyrafinowane żądania. Na przykład zgwałcenie w powozie przez rozbójnika, przy czym gwałcony i gwałciciel musieli być ubrani w osiemnastowieczne stroje, konie zaś musiały ponosić. Takim kaprysom Bonnie również mogła sprostać.

A teraz siedziała naprzeciwko Jaya i próbowała wyrobić sobie zdanie o tym szczególnym kliencie. Wiedziała już, że taśma, którą jej wręczył, nie zawiera ani kawałka jego ciała. Wyglądał na zbyt ostrożnego i zbyt podejrzliwego, by bezpośrednio angażować się w coś, co mogłoby być użyte przeciwko jego osobie.

- I co mam zrobić z tą taśmą? - zapytała.

- Podrasować ją - padła nieprecyzyjna, choć zrozumiała odpowiedź w najczystszej angielszczyźnie.

- Podrasować - powtórzyła, jakby usiłowała sobie przypomnieć wszystkie znaczenia tego słowa. - Najpierw będę musiała ją obejrzeć.

- Jak długo to potrwa? - Spojrzał na zegarek. Pomyślała, że jest bardzo arogancki i bardzo pewny siebie, może nawet za bardzo.

- Dwa do trzech tygodni. Raczej trzy niż dwa, gdyż mam ostatnio dużo pracy.

Obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem.

- Wykluczone. Za dwa tygodnie wyjeżdżam z Nowego Jorku. To prezent urodzinowy. Bliska przyjaciółka mojego ojca... Więc kiedy sprecyzuje pani termin?

- Zobaczę, co da się zrobić. Proszę zadzwonić do mnie za trzy dni, wtedy otrzyma pan wiążącą odpowiedź.

Nie był zachwycony. Ale też nie miał możliwości wyboru. Musiał zaakceptować jej warunki.

Jay umówił się z Nadią na obiad jeszcze przed odlotem z Londynu i teraz żałował tej pochopnej decyzji. Poznali się na uniwersytecie, a stali się kochankami w rezultacie jego długich i zmuśnych zabiegów, gdyż Nadia zaliczała się do najbardziej obleganych dziewczyn w kampusie. Ich romans skończył się z chwilą, gdy Nadia mu oświadczyła, że w łóżku, owszem, jest bardzo dobry, ale poza tym kiepski z niego kochanek.

Odrzucony, Jay nie wpadł bynajmniej w rozpacz czy przygnębienie. Przenikliwa inteligencja Nadii oraz jej zdrowa kobieca intuicja tworzyły mieszankę, która zaczynała go już męczyć i irytować. Nadia zadawała zbyt wiele pytań i wyciągała zbyt wiele wniosków. Zajmowała teraz kluczowe stanowisko w jednej z potężniejszych nowojorskich firm doradczych i Jay jeszcze przed ostatnią rozmową z ojcem pomyślał sobie, że może mu się przydać w negocjacjach z Japończykami. Teraz jednak sprawa ta znajdowała się w martwym punkcie, a wizyta u Bonnie Hewlett też nie poprawiła mu humoru.

Ta Howlett kpiła sobie z niego w żywe oczy, mówiąc mu o tych dwóch czy trzech tygodniach. Poza tym nie był jeszcze do końca pewien, czy wręczy Plum ten „prezent” publicznie czy też na osobności. Ten drugi wariant wydawał się rozsądniejszy, choć publiczna emisja sprawiłaby mu dużo więcej satysfakcji. Plum zasługiwała na dotkliwą karę, skoro była tak głupia, żeby, po pierwsze, robić te rzeczy, a nadto zostawiać dowód koronny ich praktykowania w miejscu, gdzie był w zasięgu ręki dosłownie każdego.

Jay niezmiennie wpadał w szewską pasję, gdy ojciec próbował bronić i tłumaczyć Plum. Łatwo było odgadnąć, skąd wzięły się u ojca te zapędy adwokackie. Oto pozwolił bowiem tej panienczce zakochać się w nim, a nadto uważać go za najseksowniejszego faceta pod słońcem.

- Pięknie, że tak o mnie myślisz, maleńka, lecz jestem dla ciebie stanowczo za stary - odparł Bram na jej kochliwe pomruki.

Jay znał tę odpowiedź, gdyż Plum, chlapiąc i krzycząc, że Bram złamał jej serce (jakby ona w ogóle miała serce!) wszystko mu powtórzyła.

Jednak owo krwawiące i złamane serce nie przeszkadzało Plum oddawać się rozmaitym uciechom na skalę godną adeptki markiza de Sade'a. Lecz co drażniło Jaya najbardziej, to jej wygląd - wygląd niewinnego dziewczątka, wiosennego kwiatuszka, którego nie zapyliła jeszcze żadna pszczołka.

Ale teraz Plum była daleko, a Nadia stosunkowo blisko. Musiał wreszcie podjąć decyzję, czy idzie na to spotkanie z nią, czy też przekłada obiad na kiedy indziej. Znajdował się w kiepskim nastroju, a Nadia była dobrym psychologiem. Pewnie z miejsca zarzuci go tymi swoimi pytankami. Rozejrzał się, a zobaczywszy budkę telefoniczną, ku niej skierował swe kroki.

RS

Tymczasem w Londynie Bram szykował się do wyjścia z domu. Mogłoby się wydawać, że wybiera się tego wieczoru na spotkanie z dawną lub nową kochanką, tak elegancko był ubrany, faktycznie szedł tylko na przyjęcie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Znał mniej więcej listę zaproszonych gości i wiedział, że odnajdzie wśród nich wielu swoich dobrych znajomych. Rok temu powstał pomysł wpisania jego nazwiska na listę kandydatów do tytułu szlacheckiego, jego reakcja jednak była stanowcza i jednoznaczna - nie zasłużył sobie na ten zaszczyt. Fortuna, jaką zgromadził, nie mogła być dostatecznym powodem i wytłumaczeniem takiego wywyższenia. Owszem, doszedł do pieniędzy uczciwie i ciężką pracą, lecz ostatecznie, jakby na to nie patrzeć, było to tylko pomnażanie własnego dobra.

- Łożysz na cele publiczne sumy większe niż którykolwiek z biznesmenów - przypomniał mu Jay. - Założę się, że innych nominowanych bynajmniej nie dręczy sumienie.

- Zgoda, odprowadzam na dobroczynność drobną część moich dochodów, ale to wszystko. Tymczasem o zasłudze można mówić jedynie wtedy, gdy człowiek całkowicie angażuje się w jakieś działania. Ja nic takiego nie robiłem i nie robię.

Światowe ambicje nigdy nie odgrywały w życiu Brama poważniejszej roli. Nie przeceniał siebie. Po prostu znalazł się na właściwym miejscu i we właściwym czasie, do tego z właściwym

pomysłem. Jego sukces zależał od szczęścia i trafu, nigdy jednak nie uderzył mu do głowy. Był obecnie władcą małego imperium, zapewniającym pracę i utrzymanie setkom ludzi, tym większa więc była jego odpowiedzialność za ich los. Obawiał się, że Jay nie zauważył dotąd tego aspektu ich wysokiej pozycji i dlatego wszystkie sprzeciwy ojca tłumaczy sobie jego złą wolą.

Zresztą on, Bram, musiał przyznać, że nie potrafił ustrzec się pewnych błędów. Na przykład najprawdopodobniej błędem było przypominanie Jayowi o zbliżających się urodzinach Plum. Był przecież tak wrogo do niej usposobiony. I tylko nasuwało się pytanie, skąd wzięła się ta jego wrogość?

Bram miał swoją teorię. Otóż Jaya i Plum łączyło pewne podobieństwo. Swobodne prowadzenie się Plum, jej rozpaczliwe pragnienie bycia kochaną przez mężczyznę, i to bynajmniej nie przez rówieśnika, tylko właśnie mężczyznę dużo od niej starszego - wszystko to posiadało swoją przyczynę w przeżyciach z okresu dzieciństwa. Również w dzieciństwie zrodziła się ta szczególna skłonność Jaya do kontrolowania wszystkiego i wszystkich. Kontrolować znaczyło dla niego posiadać, posiadać jako wyłączną własność.

Jay miał zbyt przenikliwy umysł, by nie dostrzec tej paraleli między sobą a Plum. Kto wie, może również paraleli pomiędzy nim, Bramem, a Heleną. Oboje kochali, a równocześnie przecież zawiedli swoje dzieci. Helena zapewne niejednokrotnie w chwilach rozpacz

zadawała sobie pytanie, jak w ogóle mogło do tego dojść. Jego też ciągle gryzło sumienie...

Tak, kiedy Jay wróci z Nowego Jorku, spróbuje spokojnie wytłumaczyć mu wszystkie przyczyny, które nie pozwoliły na przyjęcie jego projektu.

On, Bram, cenił sobie równowagę i umiar. Nigdy zresztą nie kierował się marzeniami o jakichś oszałamiających sukcesach. Najpierw po prostu chciał tylko zarobić na znośne życie. Sukces pojawił się zniemacka i zaskoczył najbardziej jego samego. Wraz z sukcesem przybyło odpowiedzialności, ubyło zaś przyjemności. Rzecz, którą warto było przedstawiać i tłumaczyć innym.

Czy jednak słusznie postępował, skazując Jaya na rolę spadkobiercy, który posiwieje, zanim doczeka się spadku? Jay bez wątpienia miał ogromny talent do interesów. Pod jego kierownictwem dochody firmy zapewne w niedługim czasie podwoiłyby się lub potroiły. Ale co z ludźmi? Czy materialny i socjalny status pracowników podwyższyłyby się proporcjonalnie do zysków?

Bram zadawał sobie te i inne pytania, wszystkie związane z Jayem, ale tylko do momentu, gdy wszedł do dużej sali w gmachu ministerstwa. Wówczas bowiem pomyślał o kimś innym.

Tym kimś była Taylor.

A pomyślał o niej, gdyż dostrzegł ją wśród gości sir Anthony'ego.

Rozejrzał się, by zrobić przegląd dalszych znajomych, lecz w tym samym momencie usłyszał tuż przy swoim uchu miły kobiecy głos.

- Bram, ależ mam szczęście, że cię tu spotykam. Czy ostatnio widziałeś się z Heleną?

Olivia Carstairs i Helena były szkolnymi koleżankami. Podtrzymywały dawną przyjaźń i to właśnie przez Helenę Bram poznał Olivie.

- Otrzymaliśmy zaproszenie na osiemnastkę Plum, ale tak się fatalnie składa, że Gerald będzie musiał w przeddzień wyjechać do Rosji. Martwi mnie to, co dzieje się z Plum, i szczerze współczuję Helenie. Te dojrzewające dziewczęta to prawdziwe utrapienie. - W głosie Olivii przebijała pewność siebie matki czterech chłopców. - Zawsze pojawia się ten sam problem - ciągnęła. - Kiedy dziewczyna ochłonie i dojdzie ze sobą do ładu, Uświadomi sobie, że zepsuła sobie reputację i na naprawienie jej jest już za późno. Pamiętam, kiedy byłam... - Przerwała, uśmiechając się przepaszająco. - No widzisz? Ja tu gadu, gadu, a tam Gerald ma minę, jakby znalazł się w poważnych tarapatach. Szkoda, że na tego rodzaju przyjęciach nie można nagadać się do woli. Przekaż Helenie moje naj-naj-naj...

- Przekażę-przyrzekł jej Bram.

Uwagi Olivii na temat Plum, obojętnie, czy dyktowała je złośliwość, czy też szczerą troską, popsuły mu humor. W innych okolicznościach już dawno porozmawiałby z dziewczyną i starał się ją przekonać, że w seksie, nieokiełznanym i dzikim, nie znajdzie

bynajmniej poczucia bezpieczeństwa. Ale teraz, kiedy wiedział, iż Plum wzięła sobie, że go kocha, sprawy cokolwiek się skomplikowały.

Pewnej nocy, dwa lata temu, kiedy Plum miała zaledwie szesnaście lat, wszedł do sypialni i zastał ją w swoim łóżku. Chciała mu sprawić prezent na jego czterdzieste urodziny. Taka właśnie była Plum.

Stanowiła zgubne połączenie wybujałej erotyki i młodego ciała. Patrząc na jej dziecienną wciąż twarz, Bram czuł zarazem rozpacz i niesmak. Jak miał jej wytłumaczyć, że miłość z nią niewiele by się różniła od pedofilii? Już sama myśl o tego rodzaju praktykach napełniała go odrazą. Jej chude i długie nogi żrebaka, jej twarde i małe piersi, które ukazywała mu z beztroskim bezwstydem, były nogami i piersiami dziecka, nie zaś kobiety.

W końcu tylko westchnął, rozłożył ręce i zostawiwszy ją w swoim łóżku, udał się na tę noc do hotelu. Plum nie ponowiła już prób okupowania jego sypialni, lecz za to zaczęła zasypywać go miłosnymi wyznaniem.

Rozejrzył się. Na drugim końcu sali Anthony pogrążony był w rozmowie z pewnym znanym konserwatywnym politykiem. Bram zaczął torować sobie ku nim drogę.

- Ach, Bram. - Anthony powitał go uśmiechem, po czym przedstawił swojemu rozmówcy. - Właśnie rozmawiałem z Charlesem o tobie. Wybacz, że musiałem wyjść z biura przed twoją wizytą, lecz mam nadzieję, że Taylor dostarczyła ci wszystkie potrzebne materiały.

- Tak, otrzymałem dokładnie to, na czym mi zależało - zapewnił go Bram, lecz kiedy polityk zostawił ich samych, dodał: - Z tym że...

- Jakiś problem? - zapytał Anthony, zaniepokojony wahaniem w głosie Brama.

- Rzecz w tym, że nie byłem przygotowany aż na taką ilość materiału. W rezultacie nie zdążyłem jeszcze się z nim zapoznać. Zorientowałem się tylko, że nie uda mi się wyłowić wszystkich potrzebnych danych bez pomocy osoby biegłej w statystyce i wprowadzonej w meritum sprawy.

- Nie przejmuj się, stary - powiedział Anthony. - Taylor świetnie będzie się do tego nadawała. Pracuje u nas już kawał czasu, a poza tym cały nasz system gromadzenia i segregowania danych to jej dzieło.

- No cóż, skoro uważasz, że znajdzie dla mnie wolną chwilę... Sprawia wrażenie osoby kompetentnej.

Bram rozmawiał z przyjacielem, a równocześnie zdumiewał się dwulicowością swojego zachowania. Nie podejrzewał nigdy u siebie takich talentów. Nie chodziło mu przecież o żadną pracę, tylko o bliski kontakt z tą fascynującą kobietą.

- Pewnie trafiła do ciebie wprost po ukończeniu studiów - powiedział, brnąc coraz dalej w oszustwo.

- Owszem, studiowała, ale rzuciła uczelnię bodaj na trzecim roku. Nie wiem, dlaczego. - Anthony ściągnął brwi. - To bardzo tajemnicza osoba, która nawet najbliższych przyjaciół potrafi trzymać na dystans. O ile się jednak nie mylę, w końcu uzyskała dyplom na

studiach zaocznych. Ma nieprzeciętną inteligencję, jest poważna, rzeczowa, ale nie pozbawiona poczucia humoru. W sumie jednak bardzo rzadko się śmieje, jakby się obawiała, że w śmiechu może odsłonić coś ze swego wnętrza... Ale wracając do sprawy, jak oceniasz swoje szanse zrobienia tego dla nas?

- Pozwól, że na razie wstrzymam się z oceną - powiedział Bram.
- Najpierw muszę uzyskać pełny wgląd w dane, a potem przemyśleć rzecz pod kątem technicznym. Ale sama idea wydaje mi się porywająca.

- Taylor utwierdzi cię w tym przekonaniu, a poza tym naprawdę może okazać się pomocna. Jutro z samego rana porozmawiam z nią na ten temat. Nie wydaje mi się, żeby czyniła jakieś trudności. W zeszłym tygodniu skarżyła mi się nawet, że odkąd mamy ten nowy system komputerowej ewidencji, cierpi na nadmiar wolnego czasu.

Nadmiar wolnego czasu. On, Bram, z miłą chęcią zadysponowałby tym jej czasem.

Kiedy opuszczał gmach ministerstwa, była już pierwsza po północy. Ale wróciwszy do domu, nie poszedł do sypialni, tylko do gabinetu, który znajdował się od strony ogrodu.

Nie docierał tu hałas wielkiego miasta i miało się wrażenie, jakby dom położony był nie w środku wielkiej metropolii, lecz na wsi.

Prawie... Gdyż o ile w Londynie Bram otoczony był niemal luksusem, o tyle jego wiejski domek w Cambridge zdumiewał wręcz swoją prostotą i skromnością. Dwa miejsca, dwa style życia, dwa odrębne światy, a przecież tu i tam czuł się tą samą osobą.

Chociaż nie, ostatnio bardzo się zmienił. Zmiana ta dokonała się podczas spotkania z Taylor. Kobieta ta zaintrygowała go, wzbudziła jego erotyczną ciekawość, podrażniła zmysły. Czy pożądanie to było czymś złym? Złym nie, ale na pewno wariackim i lekkomyślnym.

Usiadł przy biurku i zaczął przeglądać dokumenty. Przy odrobinie samozaparciu mógłby samodzielnie przebrnąć przez ten gąszcz danych, ale Taylor mogła mu ująć tego trudu. Jeśli jednak odmówi współpracy, wiedziona intuicją, że tu nie o współpracę chodzi?

Gwałtownie wyprostował się w fotelu. Nagle bowiem dostrzegł, co narysowała pośpiesznie jego dłoń, w której trzymał ołówek - po górnym marginesie dokumentu biegła mała szara mysz.

Z okien apartamentu Jaya widać było zapchaną samochodami Piątą Aleję, dalej zaś, po prawej, nęcący zielonością cienistych zakątków Central Park. Dni były coraz cieplejsze i wraz ze zbliżaniem się lata kobiety pozbywały się wierzchnich okryć. Nowojorskie ulice poczęły nabierać owego szczególnego klimatu, na który składa się głównie zwiewność letnich sukienek oraz powab rysujących się pod nimi bioder i piersi. Tutaj śmignęły długie opalone nogi, tam wiatr rozpląszczył na krągłych pośladkach kwiecisty kreton czy jedwab. Mężczyznom mogło zdawać się, że świat znowu stoi przed nimi otworem.

Jay patrzył z okna na to święto odrodzenia, lecz nie odczuwał potrzeby uczestniczenia w nim. Gnębił go sprzeciw ojca, który okazał się głuchy na jego argumenty.

Jedyną pociechę czerpał z faktu, że spotkanie z Japończykami nie okazało się jego klęska i kompromitacją, jak się obawiał. Partnerzy ze zrozumieniem przyjęli stwierdzenie, że dla podjęcia ostatecznej decyzji, bądź co bądź brzemiennej w doniosłe i nieodwracalne skutki, on i jego ojciec potrzebują trochę więcej czasu. Przyjacielskiej atmosfery nie zepsuła nawet uwaga, że ów czas musi być jednak czasem ograniczonym i że o oczekiwaniu w nieskończoność nie może być mowy. Zaraz też padły nazwy kilku małych firm komputerowych, którymi strona japońska była również

zainteresowana. Zabrzmiało to jak ostrzeżenie, którego nie sposób było lekceważyć.

Umówili się na ponowne spotkanie za sześć tygodni. Czy czterdzieści dwa dni wystarczą, by zmusić ojca do przyjęcia jego punktu widzenia? Łączyło się to przede wszystkim z koniecznością uświadomienia mu, jak bardzo potrzebują tej współpracy z Japończykami.

Na razie jednak Jay był w Nowym Jorku i nie miał na ojca żadnego wpływu. Ta utrata kontroli nad osobą, którą starał się mieć na oku zawsze i nieprzerwanie, wprawiała go w stan rozdrażnienia i gniewu. Cholera! Bram mógł w tej chwili podejmować właśnie jakąś decyzję, on zaś dowie się o niej, o ile w ogóle się dowie, najwcześniej za dwa tygodnie.

Nie miał jednak wyjścia i musiał uzbroić się w cierpliwość. Plum warta była „prezentu”, który zamierzał jej ofiarować.

Był na ten wieczór umówiony z Nadią. Tym razem odwołanie spotkania nie wchodziło w rachubę. Nadia powiedziała, że koniecznie chce się z nim widzieć.

Skończyli ze sobą sześć lat temu i chociaż dzięki wspólnym znajomym mógł śledzić z daleka oszałamiające postępy, jakie czyniła w budowaniu swojej kariery, nie doszło w tym okresie do żadnego spotkania.

Stanowili pod każdym względem dwa przeciwstawne bieguny. Nadia była prawnuczką rosyjskich emigrantów, którzy uciekli przed bestialstwami leninowskiej rewolucji. Miała namiętny i porywczy

charakter. Kiedy w coś uwierzyła, wierzyła w to bezgranicznie i z uporem neofitki. Zależało też jej na tym, by najbliżsi podzielali jej wiarę. Za każdym więc razem gdy Jay ośmielił się mieć odmienne zdanie, nazywała go zimnym racjonalistą, który pragnąłby wtłoczyć namiętności i uczucia w gorset schematów i reguł.

Ale Nadii nie była bynajmniej obca zdolność logicznego myślenia. I właśnie kierując się logiką, doprowadziła do ich ostatecznego zerwania. Powiedziała mu, że jakkolwiek pod względem seksualnym nie można mu jako kochankowi niczego zarzucić, to koszty łączące się z utrzymywaniem z nim znajomości są inwestycją, na którą jej nie stać.

- Tylko ja wkładam w nasz związek uczucie, ty natomiast angażujesz wyłącznie swój czas i energię - mówiła tym swoim tonem pewnej swych racji intelektualistki. - Mam zbyt wiele szacunku dla samej siebie, zbyt dużo pragnę w życiu osiągnąć, abym miała się teraz uginać pod ciężarem tej dysproporcji. Jesteś ubogi duchem, Jay, i nikt w tej sferze nie nasyci cię i nie nakarmi.

Boże drogi, i to z tą właśnie kobietą miał się niebawem spotkać, rozmawiać...? O czym? O tamtych dniach, kiedy spali ze sobą i sprzeczali się? Nie, Nadia nie była osobą, która trwoniłaby czas na roztrząsanie zdarzeń minionych. Ona żyła wyłącznie terażniejszością i pracowała dla przyszłości.

- Jestem obywatelką świata - lubiła mawiać. - Los, który wykorzenił mnie z mojej ojczyzny i z mojej kultury, ofiarował mi zarazem wolność od różnych determinizmów łączących się z tradycją

i wychowaniem. Nie zamierzam wyzybywać się tej wolności i wiązać z jakąś konkretną kulturą i jakimś konkretnym narodem. Żyję wyłącznie dla siebie i nikomu nie jestem nic dłużna.

Tak właśnie Nadia mówiła zawsze - dobitnie, z przekonaniem, jakby jej umysł ogarniał całą złożoność świata i był w stanie wyjaśnić wszelkie komplikacje. Poza tym jednak można było odnaleźć w niej mnóstwo sprzeczności.

I tak na przykład, mimo że buntowała się przeciwko sprowadzaniu miłości do seksu, była prawdziwą artystką w łóżku. Jay nawet podejrzewał, że na tym polu musiała niegdyś zafundować sobie dobry trening pod kierunkiem jakiegoś starszego i doświadczonego mężczyzny. Za każdym razem domagała się pełnego zaspokojenia, a jeśli zdarzyło się, że Jay z jakichś przyczyn nie stanął na wysokości zadania, słyszał z jej ust słowa bezwzględnej krytyki.

On również miał swoje poglądy na seks. Jego zdaniem seks był nie tyle źródłem przyjemności, co wzajemną usługą. Ostatnie dziesięciolecia dwudziestego wieku zaowocowały w tym zakresie swobodą na niespotykaną dotąd skalę, a hałas wokół AIDS był jakby biciem w dzwony alarmowe. Skok z kobietą do łóżka stracił tym samym coś ze swojej poprzedniej spontaniczności. Coraz częściej towarzyszyły temu namysł i kalkulacja. Zmiany dawały się zauważyć wręcz gołym okiem, nie ominęły też jego życia intymnego. Z pewną dozą autoironii mógł stwierdzić, że w ostatnich latach jego aktywność seksualna wyraźnie osłabła.

Poza tym w swoich stosunkach z partnerkami, bo przecież wciąż je miał, zaczął wyczuwać pewną pustkę, pewien dolegliwy brak czegoś istotnego. Pomyślał o innym wymiarze, o którym kiedyś wspomniała mu Nadia, i zacisnął zęby. Ta kobieta gotowa jeszcze sprawić, że stanę się sentymentalny, pomyślał ponuro i poszedł do łazienki wziąć prysznic.

Nadia stała przed lustrem i krytycznym spojrzeniem przyglądała się swojemu odbiciu.

Oto zbliżała się nieuchronnie do owego przełomowego momentu w życiu, kiedy kobieta z rozkosznie smukłej staje się już całkiem zwyczajnie chudą; kiedy cudowne dołeczki na policzkach zmieniają się w smętne zapadliska, ocienione przez skaliste występy kości policzkowych; kiedy wreszcie jedwabista gładkość cery zaczyna ujawniać pęknięcia i rysy niczym gliniasta ziemia podczas suszy.

Pod tym względem w dużo lepszej sytuacji znajdowały się pulchne kobiety, które nie musiały zastanawiać się, czy nosić w ustach przemyślnie kuleczki do wypełniania zapadniętych policzków.

Wprawdzie ona, Nadia, też jeszcze nie musiała myśleć na serio o tych kulkach, ale już z pewnych oznak, które ona jedynie dostrzegała, mogła przewidzieć nieuchronne zmiany, które miały nastąpić w ciągu najbliższych pięciu, może dziesięciu lat. Na razie jednak udawało się jej konserwować swoją urodę. Ciągłe jej skóra w dotknięciu posiadała gładkość kuli bilardowej, a jej dyskretnie opalone ciało wabiło świeżością brzoskwini.

Miała na sobie prostą, lecz elegancką sukienkę z czarnej wełenki, która, doskonale dopasowana, uwydatniała giętkość jej talii, smukłość bioder i delikatną wypukłość piersi. Dla bystrego obserwatora, a Jay niewątpliwie posiadał tę cechę, były one wciąż jeszcze dostatecznie jędrne, by nie zachodziła potrzeba krępowania ich gorsetem stanika.

To wszystko mogło gwałtownie się zmienić, jeśli wyjdzie za Alarica. Znała go i wiedziała, że będzie próbował zaprząć ją do kieratu macierzyństwa.

Poza tym, oczywiście, byłby pod każdym względem wspaniałym mężem. Stała przed wielką szansą i nie mogła już dłużej zwlekać z decyzją.

Zmarszczka na jej czole pogłębiła się. Jay pojawił się w Nowym Jorku bodaj w najmniej odpowiedniej chwili. Słusznie zwykło się mówić, że kobieta nigdy nie zapomina swojego pierwszego kochanka. I jakkolwiek Jay nie był tym pierwszym w sensie dosłownym, to przecież jego pierwszego pokochała.

Nie widzieli się sześć lat. Sześć lat to szmat czasu. Kogo zobaczy Jay, gdy dziś wieczorem skieruje na nią swoje spojrzenie? Czy aby na pewno kobietę godną pożądania? Czy może tylko podniszczonego przez czas sobowtóra swojej dawnej kochanki? Życie na Wall Street, gdzie pracowała i gdzie odnosiła swoje niezwykle sukcesy, było dostatecznie twarde nawet dla mężczyzny; a co dopiero, gdy było się kobietą...

Spojrzała na zegarek. Dochodziło wpół do ósmej. Trzeba było się zbierać. Sięgnęła po torebkę.

Zobaczyła Jaya, zanim on ją zobaczył. Stał w wejściu do głównej sali i błędził wzrokiem po stolikach. Przyćmione światło nie ułatwiało obserwacji, a przecież zdołała zauważyć, iż ściągnął na siebie spojrzenia wszystkich obecnych w lokalu kobiet.

I nic dziwnego. Sama bowiem znalazła się pod wrażeniem przemiany, jaka dokonana się w nim przez te lata. Z przystojnego chłopaka stał się rasowym mężczyzną. Świetność jego w pełni już dojrzałej męskiej urody nie miała sobie równych. Okrzepł, spoważniał, budził fascynację i respekt. Samym swoim widokiem intrygował i podniecał, co bodaj nawet się stało, jeżeli twarze kobiet siedzących przy stolikach i lustrujących Jaya spod opuszczonych rzęs wyrażały prawdę.

Nareszcie dostrzegł ją i podszedł. Uniosła głowę. Ogarnął ją z bliska spojrzeniem swoich chłodnych zielonych oczu.

- Nadia...

Zabroniła sobie wszelkich wzruszeń, jakichkolwiek banalnych westchnień. Chciała być tą, która kontroluje sytuację.

- Napijesz się? - zapytała, kiedy usiadł. - Słyszałam, że twoje sprawy z Japończykami nie układają się najlepiej.

Nie udało mu się ukryć zdumienia. Wzruszył ramionami, po czym uśmiechnął się lekko.

- Sądziłem, że raczej wiodło mi się dotąd całkiem nieźle, ale widzę, że oceniasz rzeczy inaczej.

- Nie byłeś w stanie dać im żadnych konkretnych obietnic.

- Bo i wcale nie leżało to w moich zamiarach. Ich oferta jest jedną z wielu, które obecnie rozważamy.

- My? - podchwyciła. - Ach, oczywiście, twój ojciec. To on rezerwuje dla siebie ostatnie słowo w każdej sprawie, czy tak?

Poruszył się na krześle, lecz zamiast udzielić odpowiedzi na jej pytanie, powiedział:

- Nadio, zechciej łaskawie powiedzieć mi, dlaczego nalegałaś na to spotkanie. Chyba nie po to, żeby rozmawiać ze mną o interesach?

A więc udało się jej zdenerwować go. Ciekawe, jak by zareagował, gdyby powiedział? mu, że jego partnerzy w negocjacjach są jej klientami. W związku z tym po raz pierwszy w życiu złamała jedną z podstawowych zawodowych zasad. Zataiła przed Japończykami istotną informację, że obojętnie, co powie im Jay, i tak ostateczną decyzję może podjąć tylko jego ojciec. Pozostawało, rzecz jasna, pytanie, dlaczego tak postąpiła.

- Oczywiście, że nie - odparła z uśmiechem. - Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Minęło trochę czasu od naszego ostatniego spotkania.

- Starymi przyjaciółmi? - zapytał z mieszaniną ironii i powątpiewania. - Ty i ja nigdy nie byliśmy przyjaciółmi.

Kochankami, owszem, ale nie przyjaciółmi. Pewnie zamierzasz wyjść za mąż?

Jeśli liczył na to, że zaskoczy ją tym pytaniem, to czekało go rozczarowanie.

- Całkiem możliwe - powiedziała, odruchowo spoglądając na kelnera, który przyniósł im drinki.

- No to jesteś w romantycznym nastroju.

- Małżeństwo nie ma nic wspólnego z romantyzmem. Prawdę tę odkryli jeszcze sami romantyczni poeci. Romantyzm bowiem jest...

- Dla kochanków?- wyręczył ją.

Bawił się z Nadią, kąsał ją swoją ironią, a wszystko po to, by osłabić napięcie, w jakim żył od kilku dni.

- Romantyzm jest złudzeniem, piękną iluzją, oto co chciałam powiedzieć. Oferuje nam słodczyce, od których w końcu dostajemy mdłości.

- A zatem twoje małżeństwo ma być pozbawione romantyzmu. Czy również miłości?

Wstąpił tym pytaniem na bardzo niebezpieczny grunt i wiedział o tym.

- Nie, miłość będzie w nim obecna - odparła, pomijając jednak milczeniem dość istotny fakt, że będzie to miłość jednostronna, to znaczy miłość Alarica do niej. - A jak zdrówko twojego szanownego papy? - zapytała, dysząc żądzą odwetu.

- Dziękuję, trzyma się wyśmienicie. Posłuchaj mnie, Nadio...

- Wciąż w stanie wolnym? Cóż za marnotrawstwo! Wiesz, Jay, szkoda, że poznaliśmy się, gdy byłam taka młoda. Gdyby stało się to dzisiaj, a ty przedstawiłbyś mi swojego ojca, podejrzewam, że to jego bym wybrała.

Miała dwadzieścia jeden lat, gdy poznała Jaya. Był jej rówieśnikiem, ją zaś zmęczyli starsi kochankowie. Widziała Bramptona Soamesa dwa razy, kiedy odwiedził syna w studenckim kampusie, lecz Jay ani myślał przedstawić ją ojcu.

Różnie tłumaczyła sobie tę jego niechęć. Jednak dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że Jay mógł po prostu bać się, iż odnajdzie w ojcu potencjalnego rywala. Soames mógł w równym stopniu zainteresować ją swoją osobą, co okazać jej szczególne względy, zaś Jay chciał mieć ojca wyłącznie dla siebie. Widział w nim bowiem osobę do swej wyłącznej dyspozycji.

- Coś mi szepcze do ucha, że wciąż jeszcze nie wyrosłeś z kompleksu swojego papy - mruknęła, robiąc słodką minkę. - Ale to przecież mężczyzna w każdym calu. Nie zamkniesz go w zakonie i nie zakazesz mu kontaktu z kobietami. Współczuję mu. Na pewno nie jest rzeczą łatwą mieć takiego syna jak ty - zachłannego, zazdrosnego, opętanego obsesją...

Miał w tej chwili lekko pobladłą twarz, lecz nie widziała w jego oczach ani złości, ani też wzburzenia. Role odwróciły się. To on obecnie kontrolował sytuację, ona zaś dała się ponieść sprzecznym uczuciom, wśród których najsilniejszy był trudny do wytłumaczenia, irracjonalny gniew.

- Czego oczekujesz po tym spotkaniu, Nadio? - zapytał cichym głosem. - Jeżeli chcesz dać upust narosłej w tobie agresji, to powinnaś była wybrać do tego miejsce bardziej ustronne i pozbawione świadków. Podobnie, gdybyś miała wobec mnie całkiem inne

zamiary... Seks w miejscach publicznych nigdy mnie nie pociągał i kto jak kto, ale ty powinnaś o tym wiedzieć.

Ledwie udało się jej powstrzymać od krzyku. Zalała ją fala gorąca. Już zapomniała, że Jay potrafi ciąć słowem niczym chirurgicznym skalpelem.

- Mylisz się, Jay. Nie chcę ani kłócić się z tobą, ani iść z tobą do łóżka.

- Kłamczucha. Przecież wszystko, co potrafiliśmy niegdyś robić, to albo drzeć ze sobą koty, albo pieprzyć się do samego rana.

Mylił się albo celowo fałszował przeszłość. Specjalnie też był wulgarny. Potrafili przecież śmiać się, kochać, dyskutować i grać w szachy.

- Czy ten twój wybraniec jest dobry w łóżku?

- Kocha mnie.

Kelner przyniósł przystawki. Spojrzała na nie z niesmakiem. Jay - odwrotnie, ochoczo zabrał się do jedzenia.

- Nie o to pytałem - rzekł, biorąc do ust pierwszy kęs. - Ale mniejsza z tym. Odpowiedz lepiej, czego chcesz ode mnie?

- Niczego. Wszystko, czego chciałam, właściwie już otrzymałam. A chciałam utwierdzić się w przekonaniu, że dobrze robię, wychodząc za takiego człowieka jak Alaric, a nie za takiego jak ty.

- Naprawdę? - zapytał z udanym albo może prawdziwym zdumieniem.

- Naprawdę - potwierdziła stanowczo. - Pragnę mężczyzny, który będzie tylko mój, mężczyzny w pełnym tego słowa znaczeniu, nie zaś wiecznego chłopca, opętanego obsesją na punkcie swojego ojca, którego chciałby mieć wciąż w zasięgu ręki. O tak, będę współczuła kobiecie, z którą się ożenisz, o ile w ogóle kiedykolwiek podejmiesz taką decyzję. A co zrobisz, jeśli twój ojciec pierwszy stanie na ślubnym kobiercu? To całkiem możliwe, wyglądał mi na człowieka zdolnego do miłości, prawdziwej miłości.

- Mój ojciec nie ożeni się - powiedział, a raczej wykrzyknął Jay, tak iż kilka osób siedzących przy sąsiednich stolikach odwróciło głowy w ich stronę.

- Słowem, chcesz powiedzieć, że nie pozwolisz mu na to. Ale jak tego dokonasz, jeśli twój ojciec naprawdę mocno zaangażuje się w jakiś romans? Wciąż jeszcze jest młody. Te czterdzieści kilka lat, najwyżej pięćdziesiąt, to jeszcze nie jest wiek, który odbierałby mu szansę założenia rodziny. Ogólnie wiadomo, że mężczyźni w tym wieku szaleją wręcz na punkcie dzieci. Więc jak ci się podoba, Jay, pomysł posiadania braciszka lub siostrzyczki? Lub też braciszka i siostrzyczki?

- Mój ojciec nie ożeni się - powtórzył z jakimś tępym uporem. - Dziecko czy też dzieci, to ostatnia rzecz, jakiej by pragnął.

- Doprawdy? Powiedział ci to?

Wiedziała, że znęca się nad nim. Dotykała brutalnie najczulszej i najwrażliwszej struny. Był to odwet za tamten ból, który musiała znieść, gdy uświadomiła sobie, że nigdy nie zajmie w jego sercu

pierwszego miejsca, ponieważ Jay cały nakierowany był na swojego ojca i cały nim wypełniony. Tak, było to szalone, niezwykle, wręcz nienormalne, ale Jay kochał wyłącznie swego ojca.

Dzięki Bogu, poznała Alarica, który wielbił ją niczym święty obrazek, a sprzeciw rodziców wobec jej osoby skwitował wzruszeniem ramion. I który poruszyłby niebo i ziemię, żeby tylko ją mieć w małżeńskim łóżku.

- Nie potrzebował mi tego mówić - wybuchnął Jay. - Rozumie się samo przez się, że mężczyzna w jego wieku...

Przerwał, gdyż zareagowała śmiechem.

- Mężczyzna w jego wieku... Och, Jay, nie zgrywaj się. Ile on właściwie ma lat?

- Czterdzieści dwa - powiedział głosem człowieka rozpiętego na stole tortur.

Szybko dokonała w myślach prostego arytmetycznego działania. Tego, zaiste, nie spodziewała się. Bądź co bądź, rzadko się zdarzało, by piętnastoletni chłopcy zostawali ojcami. Ale ten fakt tłumaczył zarazem tak wiele, właściwie wszystko.

- Czterdzieści dwa... Ależ to przecież jeszcze młodzieniaszek.

- Młodzieniaszek czy staruszek, gdyby miał się ożenić, gdyby w ogóle miał na to ochotę, zrobiłby to już dawno temu.

- A może prawda jest taka, że znalazłeś jakiś sposób, żeby wybić mu to z głowy?

- Mój ojciec żyje swoim własnym życiem i...

- Chciałeś powiedzieć: życiem, które ty mu ustawiasz i reżyserujesz.

- Bzdura. Jest dorosłym facetem, który własną pracą, inteligencją i przedsiębiorczością dorobił się ciężkich milionów. Taki człowiek nie może przypominać poruszanej sznureczkami marionetki.

- Nie wątpię w inteligencję twojego ojca i jego inne przymioty. Przede wszystkim należy mu się szacunek jako ojcu właśnie - wrażliwemu, czułemu, oddanemu, pełnemu poświęcenia. Każda kobieta życzyłaby sobie takiego ojca dla swojego dziecka. Zresztą nie muszę informować cię o czymś, o czym dobrze wiesz. Rzecz w tym, że swoim ojcem nie chcesz się z nikim podzielić. Nie zniósłbyś obok siebie siostrzyczki lub braciszka, który zabrałby choć cząstkę...

- Ty chyba oszalałaś, kobieto! - przerwał jej Jay i poderwał się z krzesła.

Stał nad nią, wielki i dyszący, a ona nie miała odwagi spojrzeć na jego zmienioną furią twarz. Po chwili nie miała już możliwości. Cisnąwszy bowiem na stół jakieś banknoty, odwrócił się i odszedł.

A zatem koniec, pomyślała i gorzko uśmiechnęła się w duchu.

Wkrótce pojawił się kelner.

- Mój znajomy musiał odejść - poinformowała go Nadia, choć przecież wcale nie musiała tego robić.

Pół godziny później, w drodze powrotnej do domu, uświadomiła sobie, że nie tak wyobrażała sobie finał tego spotkania. Lecz właściwie co miał jej przynieść ten wieczór? Chwilowy zawrót głowy

przed ostatecznym ustatkowaniem się? Nostalgiczną podróż w przeszłość, kiedy to cały jej świat ograniczał się do ramion Jaya?

Jak to się stało, że mogła go w ogóle pokochać? Akurat na to pytanie nietrudno jej było znaleźć odpowiedź. Ponieważ Jay posiadał owo w gruncie rzeczy dość rzadkie znamię barbarzyństwa i dzikości, tchnął samczą brutalnością, która na kobietę, nawet inteligentną i wykształconą kobietę, a taką przecież była, działa niczym magnes, podczas gdy dobroć, sumienność i delikatność, jak chociażby dobroć, sumienność i delikatność Alarica, mogły pozostawiać ją obojętną.

Do diabła z Jayem! Do diabła z nim! Do diabła! Zgniotła serwetkę, wyszła pospiesznie na ulicę i na ostatek rozplakała się.

Kiedy Jay wypadł z restauracji, przez chwilę wahał się, czy nie wziąć taksówki. W końcu jednak postanowił zrobić sobie mały spacer. Musiał ochłonać.

Nie zaliczał się do gwałtowników, nigdy nawet nie odczuł pokusy podniesienia ręki na kobietę, ale gdyby został tam dłużej, wystawiając się na ataki ze strony Nadii, mogłoby dojść do najgorszego. Zawsze było tak, że jeśli chciała zaleźć mu za skórę, robiła to z wprawą złaźnionego krwi kleszcza. Doceniał jej psychologiczną intuicję. Tym bardziej więc zaniepokoiły go jej słowa o możliwym ożenku ojca.

Stanął przed wystawą jubilerskiego sklepu i przymknął oczy. Hałas wielkowiejskiej ulicy przycichł i złaźniał. Jay przeniósł się wspomnieniem dwadzieścia lat wstecz.

- Nie kochasz mnie! - krzyknął do ojca podczas jednego z prześladowających go napadów histerycznego lęku.

- Ależ oczywiście, że cię Kocham - zapewnił go Bram ciepłym i łagodnym głosem.

- Ale nie chciałeś mnie. Nie chciałeś, żebym się urodził - upierał się, mając w uszach okrutne uwagi swych dziadków.

Rodzice Brama i rodzice matki Jaya byli mieszkańcami tej samej zamożnej dzielnicy, w której stały jednorodzinne domy, otoczone ogródkami i trawnikami.

Dziadek ze strony matki zajmował wysokie stanowisko w administracji okręgu i miał tylko jedno dziecko, córkę. Z kolei ojciec Brama był wziętym i cenionym architektem i również miał jedno dziecko, syna. Żadna z żon nie pracowała, a oba małżeństwa spotykały się od czasu do czasu na gruncie towarzyskim. Mężczyźni należeli do tego samego klubu golfowego, kobiety zaś udzielały się na różnych dobroczynnych imprezach parafialnych. Było więc rzeczą nieuchronną, że Bram i przyszła matka Jaya prędzej czy później się poznają, mimo że chodzili do różnych szkół, odpowiednio - męskiej i żeńskiej, i mimo że ona była od niego o trzy lata starsza.

Jay pamiętał swoją matkę jako istotę piękną, ciepłą i czułą, lecz równocześnie zdominowaną przez swojego ojca. Owszem, potrafiła wymóc na nim pieniądze na nowe ciuszki czy kosztowne wakacje, lecz gdy chodziło o jej dziecko... Niestety, Jay był zaledwie tolerowany przez dziadka, chociaż nawet i o pełnej tolerancji nie mogło być mowy. Był bowiem hańbą tej rodziny, jej wstydem i

bólem. Wobec obcych poświęcano mu wiele uwagi i mógł liczyć nawet na jakąś pieśczętę, natomiast w zaciszu domowego ogniska na powrót stawał się „bękartem, który ściągnął nieszczęście na ten dom”. Były to słowa dziadka, który zwykł je powtarzać przy każdej nadarzającej się okazji.

Niebawem też Jay uświadomił sobie, że brakuje mu czegoś, co posiadają inne dzieci. A raczej nie czegoś, lecz kogoś.

- Mój tatuś jest lekarzem - obwieścił mu raz jeden z jego rówieśników, z którym bawił się w piaskownicy. - A co robi twój tatuś?

Głęboko zakłopotany, Jay nic na to nie odpowiedział i rzucił do ataku swoje tanki i bataliony, jako że bawili się akurat w wojnę na pustyni. Lecz kiedy wrócił do domu, zapytał matki:

- Gdzie jest mój tatuś?

Wybuchnęła płaczem, tak głośnym i spazmatycznym, że aż usłyszała go babka, mimo że była daleko, bo aż w ogrodzie. Płacz matki i gniew babki nie były jedyną odpowiedzią na jego pytanie. Pełną odpowiedź dał mu dziadek, gdy wrócił wieczorem do domu.

- Interesuje cię, gdzie jest twój tatuś - powiedział swoim surowym głosem. - Otóż wiedz, że nie masz ojca. Inne dzieci mają ojców, lecz ty jesteś pod tym względem wyjątkiem. Twój ojciec wyparł się ciebie i zrujnował nam życie. Taka jest prawda.

Prawda była jednak inna. Jay poznał ją dużo, dużo później. Awanturował się właśnie z Heleną, gdy ta wykrzyknęła, nie bacząc na to, że jej słowa mogą go boleśnie zranić.

- Powinieneś dziękować Bogu, że masz takiego ojca jak Bram. Miał zaledwie piętnaście lat, gdy to się stało. Piętnaście lat! Twoja matka górowała nad nim wiekiem i dojrzałością, ale rzecz jasna Bram, jako dżentelmen do szpiku kości, całą winę wziął na siebie. Zresztą mogłoby cię w ogóle nie być na tym świecie, gdyż ojciec twojej matki nalegał na usunięcie ciąży. Zawiózł ją już nawet do szpitala - oznajmiła, a gdy zorientowała się, że powiedziała za wiele i że teraz, gdy Jay patrzy na nią zdumionym, nieruchomym wzrokiem, nie da się tak łatwo porzucić drażliwego tematu, mówiła dalej, spokojniejszym już głosem. - Na szczęście dla ciebie okazało się, że jest już za późno. Rodzice Brama dowiedzieli się o wszystkim i chcieli cię adoptować, lecz spotkali się z kategoryczną odmową. Ba, postawiono im warunki. Bram miał zniknąć z horyzontu i zaniechać prób kontaktowania się z tobą, zaś jego rodzice zobowiązani zostali do wpłacenia dziesięciu tysięcy funtów na koszty twojego wychowania, co zresztą chętnie uczynili. Jeżeli chcesz poznać moje zdanie, to nie mogę wykluczyć, że Bram tak naprawdę nie jest twoim ojcem. Twoja matka miała romans z kim innym. Doszło do zerwania i wówczas zwróciła się do Brama po pociechę. Wtedy to właśnie miałeś zostać poczęty. Przynajmniej taka była wersja twojej matki. Osobiście jednak uważam, że...

Jay dalej już nie chciał słuchać. Uciekł od Heleny, tak jak teraz uciekł od Nadii. Miał wówczas trzynaście lat.

Dzisiaj był starszy o lat czternaście i wiedział, że ucieczką nikt jeszcze nie rozwiązał tego rodzaju problemów.

Helena okazała się jedyną osobą, która ośmieliła się poddać w wątpliwość ojcostwo Brama, potwierdzone zresztą i potwierdzone wciąż od nowa daleko idącym fizycznym podobieństwem. Słowa Heleny mogły się więc tłumaczyć jedynie frustracją i urazą; nienawidziła go, gdyż w jej przeświadczeniu i odczuciu stawał pomiędzy nią a Bramem.

Prawdę mówiąc, była to tylko jego interpretacja. Usłyszawszy ją, Helena bez wątpienia by jej zaprzeczyła. Ale Jay wiedział, że już dawno w swoich uczuciach do Brama wyszła poza granice przyjaźni. A może nawet zawsze go kochała.

Raniła go Helena, raniła go Nadia. Cięgi od Heleny dostawał jako chłopak, cięgi od Nadii jako dorosły już mężczyzna. Zazwyczaj jednak dorośli mężczyźni mają grubszą skórę od chłopców. Dlaczego więc okazał się tak głupi i pozwolił Nadii, by tak boleśnie go dotknęła?

- Jesteś dla Nadii okrutnikiem bez serca - powiedział raz Bram, kiedy on, Jay, złożył mu w napadzie wisielczego humoru relację z ich ostatniej kłótni. - Czy nie widzisz, jak ona cię kocha?

Miłość... Czym to się w ogóle jadło? Co to był w ogóle za zwierz?

Odwrócił się od wystawy sklepu, przeciął chodnik i stanął na światłach, by przejść na drugą stronę ulicy. Teraz zależało mu na jak najszybszym powrocie do hotelu. Musiał zadzwonić do ojca.

- Mam więc współpracować z Bramem Soamesem? A co z moją pracą tutaj? - zapytała Taylor sir Anthony'ego, który siedział po przeciwnej stronie biurka i zdawał się nie słyszeć brzmiącego w jej głosie zdenerwowania.

- Sama mi przecież powiedziałaś, że odkąd wprowadziliśmy ten nowy system komputerowy, miewasz mnóstwo wolnego czasu - przypomniał jej z ojcowskim uśmiechem na twarzy.

- Rzeczywiście, ale może wystarczyłaby jedna z moich zastępczyń...

Tak, ktokolwiek, kto bądź, byle tylko nie ja, pomyślała, walcząc z ogarniającą ją paniką. Kiedy szef poprosił ją do swego gabinetu na rozmowę, ani się domyśliła, jaką to przygotował jej niespodziankę. Cierpła z przerażenia na myśl, że przez ileś tam dni z rzędu będzie musiała spotykać się z człowiekiem, który ośmielił się grozić jej swoimi awansami. Poza tym bała się, żeby ktoś nie domyślił się jej strachu. W rezultacie bała się podwójnie.

- Wątpię. Żadna z nich nie posiada twojego doświadczenia. Wiem, że proszę cię o rzecz wyjątkową, która nie wchodzi w zakres twoich obowiązków, lecz moim zdaniem warto walczyć i zabiegać o Brama. Stoimy przed realną szansą uzyskania od niego komputerowego programu...

- Najpierw musi ten program opracować, co, zdaje się, nie będzie łatwe - wyraziła swoją wątpliwość.

- Jeżeli Bram zdecydował się poświęcić nam bezinteresownie swój czas, to już ta jedna rzecz daje gwarancje...

- Bezinteresownie? Ci biznesmeni nigdy nie robią niczego bez nadziei na zysk.

- Ale nie Bram - zapewnił ją sir Anthony.

- Dlaczego? Czym zasłużył sobie na swoją wyjątkową pozycję? - zapytała i natychmiast pożałowała swojego pytania. Nie chciała wdawać się w dyskusję o człowieku, o którym miała już wyrobiony sąd, i to sąd negatywny.

- Chcesz wiedzieć? Proszę bardzo. Zacznijmy od Jaya. To jego syn - wyjaśnił, widząc w jej oczach dezorientację. - Bram wziął go pod swoje skrzydła, kiedy matka dziecka zginęła w wypadku samochodowym. Muszę dodać, że Bram był jeszcze wówczas studentem. Jego rodzice gotowi byli przygarnąć dziecko, ale on nie chciał o tym słyszeć. Twierdził, że to jego syn i że sam musi się nim opiekować. Iluż młodych mężczyzn zrzuciłoby w takiej sytuacji cały ciężar wychowania dziecka na dziadków, ale nie Bram. Jego profesorowie radzili mu zresztą, by skupił się wyłącznie na nauce. Wróżyli mu wspaniałą karierę uniwersytecką. On jednak postawił syna na pierwszym miejscu.

- Czyżby miało go to wynieść na ołtarze? - spytała z cierpką ironią. - Tysiące młodych kobiet poświęca własne kariery zawodowe dla wychowywania dzieci i jakoś nikt z tego powodu nie śpiewa na ich cześć hymnów pochwalnych.

- Być może - zgodził się sir Anthony z uprzejmym, choć nieco pobłażliwym uśmiechem. - Ale to one wybrały macierzyństwo, reszta zaś jest tylko konsekwencją tamtej decyzji. Bram natomiast nie miał wyboru. Nikt go nie pytał, czy chce czy też nie chce zostać ojcem.

- Nonsens - zaproponowała Taylor, a na jej policzkach pojawiły się delikatne rumieńce. - Przecież tamta kobieta czy dziewczyna nie przywiązała go do łóżka i nie zmusiła, żeby ją zapłodnił.

Sir Anthony zrobił zaskoczoną minę. Ale zaskoczona poczuła się również sama Taylor. Zazwyczaj unikała rozmów, które dotyczyły spraw intymnych, ale postawa szefa i jego argumenty wydały się jej tak irytujące, że nie potrafiła stonować swojej reakcji.

- Bram miał niecałe piętnaście lat, kiedy tamto się stało. Zresztą bardzo nie lubi o tym rozmawiać.

- A jednak uczynił wszystko, by nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że to nie on ponosi tu winę.

Wiedziała, że przesadza w swoim ataku na Soamesa, lecz niejako działało się to poza jej wolą.

- To nie Bram poinformował nas o tym, tylko jego ojciec. Był rozgoryczony i do żywego dotknięty sposobem, w jaki rodzice dziewczyny potraktowali jego syna. Martwił się o przyszłość Brama, która stanęła pod znakiem zapytania. Bram zawsze stawiał potrzeby innych ludzi przed swoimi własnymi.

Taylor wiedziała już, że marnuje czas i energię, wykręcając się od podjęcia współpracy z mężczyzną, którego dominacji tak bardzo się obawiała. Fatum pojawiło się w osobie sir Anthony'ego i

nieubłaganie pchało ją na ścieżkę, którą ona, Taylor, zawsze starała się ominąć.

- Widzę - rzekł sir Anthony, uważnie lustrując jej twarz - że nie udało mi się zarazić cię entuzjazmem do tej współpracy.

- Chyba raczej nie-przyznała.

Nie widziała najmniejszego sensu w tłumaczeniu szefowi, że to nie Bram Soames budził jej strach, tylko mężczyzna w nim i mężczyźni w ogóle. Podobnie zresztą było z samym sir Anthonym, kiedy zaczęła tu pracować. Musiały minąć aż dwa lata, zanim w kontaktach z nim poczuła się swobodna i naturalna. To znaczy - zanim przekonała się, że uprzejmy i ciepły, choć może również lekko protekcyjny stosunek szefa do kobiet jest naturalnym wyrazem jego osobowości, nie zaś zwodniczą maską, pod którą skrywa on swoje zaborcze i nieczne zamiary.

- Spróbuj jednak trochę zmienić perspektywę i spojrzeć na tę sprawę z innej strony. Propozycja, którą ci złożyłem, to w moim przekonaniu wyróżnienie i swego rodzaju awans, nie zaś kara za nie popełnione grzechy. Wiem, jak lubisz swoją pracę, Taylor. Ale za dużo drzemie w tobie zdolności, zbyt bogatą wewnątrznie jesteś osobą, byś miała do końca życia przebywać wyłącznie w zamkniętej przestrzeni swojego ukochanego archiwum. Pora teraz na bardziej aktywne role. Jesteś piekielnie inteligentną osobką; prezentujesz się, że już nie można lepiej; posiadasz rzadką zdolność przeprowadzania do końca swoich zamierzeń -wszystko to wręcz predestynuje cię, byś reprezentowała naszą organizację wobec szerokiej publiczności.

Zamarło jej serce. Najwidoczniej chciano, by oszalała ze strachu. Działanie publiczne, na oczach wszystkich, kontakty z ludźmi, udzielanie wywiadów środkom masowego przekazu - cała ta sfera aktywności wydawała się jej obca i groźna. W porównaniu z nią współpraca z Soamesem, której uprzednio tak się obawiała, była tylko fraszką-igraszką, drobną dolegliwością, ćmieniem zęba. Ostatecznie jeden człowiek to nie to samo, co krytycznie nastawiona „szeroka publiczność”.

- Dzięki za pochwały, ale nie widzę siebie w roli rzecznika prasowego.

- W każdym razie nikt lepiej od ciebie nie zna naszych potrzeb - powiedział sir Anthony. - Ten projekt, o którym przez cały czas mówimy, jest zbyt doniosłym przedsięwzięciem, by nie podporządkować mu osobistych uprzedzeń. Rozumiem, że ty i Bram możecie różnić się charakterami, jak również poglądami na wiele spraw, ale...

- Ale dla tej szczytnej idei powinnam się poświęcić, czy tak? - spytała, wykrzywiając wargi w cierpkim uśmiechu.

- Nie to chciałem powiedzieć. Po prostu uważam, że trochę fałszywie oceniasz Brama. On naprawdę da się lubić. Jest miły, uprzedzająco grzeczny i pełen najlepszych intencji. Większość kobiet... - przerwał, rozumiejąc, że wkracza na grząski teren.

- Pozwól, że sama dokończę. Większość kobiet powitałaby z radością szansę nawiązania bliskich kontaktów z mężczyzną przystojnym, bogatym i do wzięcia Czy to chciałeś powiedzieć?

W tym katalogu przymiotów nie umieściła jednej cechy, i to bodaj najistotniejszej. Wszystkie te bowiem walory i zalety, którymi mógł wykazać się Bram, współtworzyły jego potęgę. Kto jest potężny, jest też świadomy własnej potęgi. Kto posiada siłę, lubi jej nadużywać. A zatem, jakby na to nie patrzeć, jej współobcowanie z Bramem będzie równoznaczne z przeciwstawianiem się jego potędze. Nie była to perspektywa, która mogłaby dodać jej skrzydeł.

- Ufam, że mam twoją zgodę, Taylor - usłyszała głos sir Anthony'ego. - Powiem Bramowi, by skontaktował się z tobą. Wiem, że dasz z siebie wszystko, by doprowadzić rzecz do pomyślnego końca.

Wstał i ona również się podniosła. Odprowadził ją do samych drzwi i na pożegnanie lekko uściśnął jej ramię, jakby pragnąc dodać jej otuchy.

Znalazłszy się w bezpiecznej przystani swojego gabinetu, Taylor zaczęła powoli odzyskiwać duchową równowagę. W końcu też powróciła jej zdolność chłodnej oceny faktów. Wiedziała już, jaki zasadniczy błąd popełniła w rozmowie z Anthonym. Powinna była bardziej zdecydowanie przeciwstawić się jego propozycji, a jeśli zaszłaby taka konieczność, posunąć się nawet do złożenia wymówienia.

Czy jednak faktycznie zdecydowałyby się na tak desperacki krok? Nie była osobą niezależną pod względem finansowym, a szansa znalezienia równie dobrze płatnej posady praktycznie równała się zeru. Poza tym lubiła swoją pracę. To już zresztą nie była praca, tylko

jak gdyby rezerwat, azyl, w którym czuła się bezpieczna i chroniona przed niespodziankami i zawirowaniami życia. I miałyby, znajdując się w tak komfortowej sytuacji, zaczynać wszystko od początku? Puszczając się na niebezpieczne wody poszukiwań? Narażać się na złośliwy przypadek? Zaufać ślepego trafowi?

Przeklęty milioner! Że też musiał pojawić się i stanąć na jej drodze. A miała wszystko tak uporządkowane i dopięte na ostatni guzik. Swym pojawieniem się wprowadził chaos w jej życie. I co miało się narodzić z tego chaosu? Ot, jeszcze jeden komputerowy program. Tyle że, cholera, nie taki sobie zwykły komputerowy program tylko prawdziwe чудо, które miało zmienić życie wielu ludziom, ludziom upośledzonym i nieszczęśliwym.

Ukryła twarz w dłoniach. Czuła, że oto znalazła się właśnie w przełomowym momencie życia. Miała porzucić swoją cichą, przytulną norkę, której półmrok tak lubiła, i wyjść na światło dzienne.

Wzdrygnęła się, gdy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę. Nie zdziwiła się wcale, usłyszawszy głos Brama Soamesa.

- Dzień dobry, Taylor - powitał ją z bezpośredniością, której właśnie najbardziej się obawiała. - Mam nadzieję, że nie odbierzesz tego telefonu jako próby ponaglania i wywierania na ciebie nacisku. Anthony przyrzekł mi, że porozmawia z tobą o ewentualnej naszej współpracy i byłem ciekaw, czy...

- Dopiero co wróciłam od niego - poinformowała go rzeczowym tonem.

Zapadła cisza, jak gdyby Bram gotował się do decydującego skoku.

- W takim razie zanim chwycimy byka za rogi, dobrze byłoby spotkać się i wstępnie przedyskutować pewne sprawy. Co powiesz na jutrzejsze popołudnie?

Przewróciła kartkę kalendarza. Strona z jutrzejszą datą okazała się dziewiczo biała.

- Przykro mi, w godzinach popołudniowych jestem zajęta.

Wstrzymała oddech. Jej głos mógł zdradzić kłamstwo, którego się dopuściła. Czekala teraz w napięciu na odpowiedź Brama.

- Rozumiem. Sęk w tym, że palę się do rozpoczęcia pracy nad tym programem. Więc skoro popołudnie masz zajęte, może spotkalibyśmy się wieczorem, powiedzmy, o wpół do siódmej?

Już raz skłamała i na dalsze kłamstwa nie miała najmniejszej ochoty. Musiała zdobyć się na odwagę i podjąć wyzwanie. Tu szło o szacunek dla samej siebie.

- W moim biurze? O ile się nie mylę, budynek zamykają o osiemnastej. Nie sądzę więc...

- Możemy porozmawiać u mnie - powiedział Bram po chwili ciszy. - Mógłbym wysłać po ciebie samochód.

- Nie, nie, dziękuję. Naprawdę nie ma potrzeby. Usłyszała panikę w swoim głosie, wiedziała więc, że on również ją usłyszał. A przecież tak bardzo zależało jej na tym, żeby myślał o niej jako o kobiecie opanowanej, chłodnej i kontrolującej każdą sytuację.

- Odwołam popołudniowe spotkanie - dodała wciąż jeszcze drżącym głosem. - O której moglibyśmy się spotkać?

- O wpół do trzeciej? - zasugerował.

- Dobrze, godzina odpowiada mi - zgodziła się. Czuła suchość w gardle, przykry ucisk w żołądku i lekki ból głowy. Miała spocone dłonie, a jej napięte mięśnie stężały na kamień. Jakby w półśnie odłożyła słuchawkę.

Jeżeli tylko sama rozmowa z Bramem Soamesem, i to rozmowa przez telefon, a więc pozbawiona bezpośredniego kontaktu, doprowadziła ją do takiego stanu, to jak właściwie wyobrażała sobie współpracę z nim? Był mężczyzną, jej zaś codzienną praktyką było do tej pory unikanie mężczyzn. Czyniła to tak konsekwentnie i z takim, by tak rzec, sprytem, że nawet wzbudzała tym u innych wątpliwości co do jej seksualnej orientacji. Docierały do jej uszu sygnały, że ten i ów uważa ją za lesbijkę. Jednak ci wszyscy podejrzliwi i wąpiący pozostawali w grubym błędzie. Była najnormalniejszą kobietą i nawet kiedyś marzyła, jak marzy niemal każda kobieta, o miłości, zamążpójściu i rodzeniu dzieci.

Zresztą nadal zdarzały się noce, podczas których, rozbudzona i udęczona tajemniczymi lękami, myślała o sobie w perspektywie małżeństwa i macierzyństwa, chociaż wiedziała, że czas mija i na pewne rzeczy robi się już późno.

Minęło dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat... Bezmiar czasu, a w nim ani jednego dnia, kiedy nie myślałaby o przeszłości i nie obawiała

się jej powtórzenia, wciąż śledząc złowrogie znaki, obserwując, czekając, kuląc się...

Teoretycznie mogła przeżyć jeszcze drugie tyle, pochodziła wszak z długowiecznej rodziny. Dziadkowie ze strony ojca i matki przekroczyli osiemdziesiątkę w dobrym zdrowiu. Co innego rodzice... Żadne z nich nie dożyło do pięćdziesiątki. Ich śmierć do dziś dnia prześladowała ją i męczyła.

- Nie oskarżaj siebie, Taylor. Naprawdę nie masz powodu poczuwać się do winy - mówiono jej.

Ból głowy wzmógł się i zmienił w pulsowanie. Kok, w który miała zebrane włosy, cisnął na czaszkę niczym bryła granitu. Z jakąż rozkoszą pozwoliłaby już teraz opaść swoim włosom na ramiona. Niestety, wciąż była w pracy, a nie w swojej sypialni, i co było wolno tam, tu było zakazane.

A może powinna zdecydować się na krótką fryzurę? Wrócić do tamtej, w której wyszła od fryzjerki w dzień swoich szesnastych urodzin? Nowe uczesanie było czymś w rodzaju cezury pomiędzy okresem dzieciństwa a dojrzałości. Pozbyła się dziewczęcych warkoczy i figlarnej grzywki, i była to niewątpliwie strata. Zysk polegał na tym, że jej twarz nabrała wyrazu, a duże oczy stały się wręcz ogromne. Zdaniem matki, nowa fryzura dodawała jej lat i w ogóle była zbyt poważna, lecz ojciec w pełni zaakceptował zmianę. Przestała być dzieckiem i stała się kobietą, powiedział, a przecież o to w tym wszystkim chodziło.

Nosiła krótkie włosy przez kilka lat. Na studiach pozwalała sobie nawet na pewne eksperymenty. Pewnego razu wróciła do domu z jasnymi pasmami, wplecionymi w jej naturalny kolor.

Matka uznała ten eksperyment za zbyt ekstrawagancki, ojciec natomiast nawet nie zauważył zmiany. Oboje bowiem zaabsorbowani byli starszą córką, która właśnie doniosła z Australii o swoim zamiarze wyjścia za mąż.

„Nie chcemy żadnej wielkiej ceremonii - pisała w osobnym liście do Taylor. - Cichy, kameralny ślub w zupełności nam wystarczy. Chociaż obawiam się, że Rodzice nigdy nie zaaprobują mojej decyzji.”

Stało się dużo gorzej. Swoją sprzeciw i gniew ojciec i matka wyrazili zerwaniem wszelkich stosunków z nieposłuszną ich woli córką. Gotowi byli zmienić swoją postawę pod warunkiem, że pójdzie po rozum do głowy i wróci do domu - ale sama.

Gdzieś w głębi duszy Taylor zawsze wiedziała, że rodzice posługują się swoją miłością niczym szczególnym systemem nagród i kar, że nie potrafią kochać bezwzględnie i bezwarunkowo, lecz nigdy nie pozwoliła, by tego typu podejrzania wpływały na jej stosunek do nich.

Zadzwoił telefon. Pomimo bólu głowy ochoczo sięgnęła po słuchawkę. Chciała uwolnić się od trapiących ją wspomnień.

Taksówka zatrzymała się na wprost drzwi frontowych. Taylor zapłaciła i, pożegnawszy uśmiechem kierowcę, którym była kobieta, wysiadła z samochodu.

Dom, w którym mieszkała na trzeciej kondygnacji, oddzielony był od ulicy grubym pasem zieleni. Szpaler gęsto posadzonych drzew i krzewów tłumiał uliczny hałas, a poza tym stanowił naturalny oczyszczający filtr. W poczuciu

Taylor spełniał również dodatkową funkcję, chód wyłącznie symboliczną - będąc swego rodzaju ogrodzeniem, chronił w jakimś sensie mieszkańców domu przed nieproszonymi gośćmi. Chętniej widziałyby wprawdzie zasieki z drutu kolczastego lub solidny ceglany mur, ale były to marzenia ściętej głowy.

Sam dom natomiast w pełni zaspokajał jej wymagania. Duży wolnostojący budynek w stylu wiktoriańskim podzielony był wewnątrz na sześć obszernych apartamentów, przeznaczonych głównie dla starszych małżeństw na emeryturze, i wyposażony w pełny system zabezpieczeń, od blokad na oknach poprzez szyfrowe zaniki aż do domofonów.

Taylor akceptowała fakt, że mieszka wśród ludzi bez wyjątku starych. Starość lubi odgradzać się od świata i żyć własnym życiem. Odpowiadało Taylor, że jej stosunki z sąsiadami sprowadzają się jedynie do wymiany uśmiechów i pozdrowień. Nikt tu nikogo nie nachodził z prośbą o pożyczanie soli lub proszku do prania, nikt tu nikomu nie szarpał nerwów rodzinnymi awanturami. Cisza, spokój, czasami odgłos otwieranych bądź zamykanych drzwi.

Jej mieszkanie było trochę tańsze, choć zarazem większe od pozostałych, zajmowało bowiem przestrzeń dawnego poddasza.

Składało się z dwóch sypialni, dwóch łazienek, dużego salonu, niewielkiej jadalni i jeszcze mniejszego gabinetu, gdzie zaledwie mieściło się biurko i szafy biblioteczne. Metraż kuchni odpowiadał już natomiast zwykłym standardom.

Taylor nie przyjmowała gości, nikt więc nie miał okazji zauważyć, że mieszkanie pozbawione było owego szczególnego klimatu, jaki na przykład tworzą ciekawe rośliny doniczkowe, bukiety zasuszonych kwiatów, zdjęcia rodzinne w ramkach, wszelkiego typu pamiątki i bibeloty, a nawet szklane lub porcelanowe słoiki z ziołami na półce w kuchni. Nawet sypialnia Taylor miała w sobie anonimowość hotelowego numeru, jak gdyby w tym mieszkaniu świadomie tępono wszelkie ślady duchowej indywidualności.

Zanim Taylor wsiadła do windy, zatrzymała się i obejrzała przez ramię. Hol był pusty. Nikt nie czaił się i nie skradał. Mogła spokojnie wejść i nacisnąć guzik.

Drzwi zasunęły się z cichym szmerem i rozpoczęła się krótka wspinaczka w ciasnej, drucianej klatce, po czym rozległ się ten sam szmer, tyle że rozsuwających się skrzydeł. Taylor wystawiła głowę i zlustrowała korytarz. Ciepłe światło kinkietów oświetlało dywanowy chodnik w kolorze gołębiej szarości. Żadnego kształtu czy cienia, który mógłby zaniepokoić i przykuć uwagę. Taylor podeszła pod drzwi swojego mieszkania.

Otwarcie podwójnego szyfrowego zamka wymagało czasu i skupienia. W końcu ustąpił. Od wewnątrz drzwi zabezpieczone były blokadami.

Taylor, wracając z pracy, nie poprzestawała jedynie na zasunięciu tych blokad. Zanim pomyślała w ogóle o zdjęciu wierzchniej odzieży i butów, obchodziła całe mieszkanie, wszędzie zapalając światła, o ile oczywiście wracała nocną porą, i sprawdzając okna. Tak też uczyniła i teraz.

Wreszcie mogła rozebrać się i rozpuścić włosy. Spadły bujną kaskadą na jej ramiona i plecy. Chowając szpilki do szuflady toaletki, zawahała się, jakby walcząc z nagłą pokusą. Pokusa zwyciężyła, gdyż sięgnęła głębiej i wyjęła zdjęcie w srebrnych ramkach.

Ze zdjęcia uśmiechnęła się do niej młoda dziewczyna. Miała szaroniebieskie oczy i kasztanowe włosy w lokach. Biła z jej delikatnej twarzy radość i ufność. Uśmiechała się jakby do szczęścia, które czekało ją w życiu.

Taylor poczuła, że pod jej powiekami gromadzą się łzy.

- Akta Mike'a Gibbonsa leżą już na pańskim biurku, a on sam powinien zadzwonić późnym popołudniem. Poza tym o Jaya dopytywali się Franklinowie. Kiedy powiedziałam im, że chwilowo jest w Nowym Jorku, zapytali, czy mogliby porozmawiać z panem.

- Marcia, nie zajmuj się głupstwami. Dam sobie radę. Masz teraz ważniejsze sprawy na głowie. Richard podrzuci cię do szpitala. Samochód już czeka na dole. - Bram uniósł dłoń w ostrzegawczym geście, widząc, że jego sekretarka chce z nim dyskutować. - Żadnych „ale”. Zrobisz tak, jak powiedziałem.

Marcia podziękowała mu bladym uśmiechem i odeszła. Pół godziny temu dostała telefon, że jej mąż przewieziony został do szpitala z podejrzeniem zawału serca. Bramowi nietrudno było sobie wyobrazić jej niepokój. Ona i jej mąż przekroczyli już czterdziestkę i mieli dwoje dzieci, które studiowały. Marcia pracowała u Brama od dziesięciu lat, znała wszystkie jego przyzwyczajenia i słabostki i jak na dobrą sekretarkę przystało, czyniła wszystko, by praca w biurze wydawała mu się nie pracą, tylko przyjemną rozrywką. A teraz martwiła się tyleż o swojego męża, którego powaliła ciężka choroba, co o szefa, który mógł zagubić się w napiętym programie dnia.

Marcia była kimś więcej niż tylko sekretarką; w istocie kontrolowała całą pracę biura firmy. Znała wszystkich jej klientów z imienia i nazwiska, wtajemniczona też była we wszystkie jej handlowe i rynkowe przedsięwzięcia. Bram miał jeszcze drugą

sekretarkę, sporo młodszą od Marcii Louise, lecz ta akurat była na urlopie. Musiał więc naprawdę sam sobie radzić dzisiejszego dnia. Przewertował w myślach kalendarz spotkań i zaraz na początku natknął się na Taylor Fielding.

Taylor Fielding. Kiedy rozmawiał z nią wczoraj przez telefon, usłyszał w jej głosie wyraźny strach. Czego się bała? Mógłby iść o zakład, że na pewno nie jego. Pewność swą czerpał z faktu, że nie wyglądała mu na osobę, pod którą uginają się nogi na widok człowieka z sumą na koncie długą jak tasiemiec. Wręcz przeciwnie. Podczas ich pierwszego i zarazem ostatniego spotkania odniósł wrażenie, że nie przypadł jej do gustu. Przez cały czas zachowywała daleko posuniętą rezerwę. Ani śladu zachwyty czy cielecego oczarowania jego osobą. W rezultacie to on był oczarowany i zachwycony.

Zaczął bębnić palcami po blacie biurka. Coś mu zaczęło szeptać do ucha, że powinien odwołać spotkanie z Taylor. Ale co dalej? Miał prosić Anthony'ego o wyznaczenie innej osoby? Miał zarzucić projekt? Wykluczone. Bez względu na okoliczności on i Taylor byli w tej chwili skazani na siebie.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer, który znalazł w rejestrze Marcii.

Taylor rozmawiała właśnie z sir Anthonym, gdy zadzwonił telefon. Usłyszawszy w słuchawce głos Brama Soamesa, cała zdrętwiała, a jej dłonie zwilgotniały.

- Przykro mi, Taylor, ale na razie przykuty jestem do biurka. Dzwonię więc z propozycją przesunięcia naszego spotkania na późne popołudnie. Mógłbym wysłać po ciebie samochód.

Zrozumiała, że znalazła się w potrzasku. Naprzeciwno siedział sir Anthony i na pewno słyszał wszystko to, co i ona słyszała. Poza tym ze zrozumiałych względów musiał być ciekaw jej decyzji.

Niemal chora ze skrępowania i tłumionego lęku, pokiwała głową na znak zgody, potem dopiero uświadamiając sobie, że zachowuje się jak ostatnia idiotka.

- Będę czekała-wydusiła z siebie.

- Naprawdę nie było najmniejszej potrzeby wysłać po mnie samochód - zaatakowała Taylor, wchodząc do gabinetu Brama. - Ostatecznie dwudziestominutowy spacer ulicami miasta to nie himalajska wspinaczka. Poza tym są taksówki, Chyba że mam to odczytać jako zawołowaną groźbę...

Bram miał za sobą ciężki dzień. Kobieta zastępująca Marcie pracowała w firmie od niedawna i była sparaliżowana swoją nową funkcją. Nabożna cześć, jaką okazywała Bramowi, wzmagała tylko jego irytację. W rezultacie na ostre słowa Taylor zareagował z nietypową dla siebie gwałtownością.

- Nie rozumiem. Trzeba chorobliwego przewrażliwienia, żeby za tym, co uczyniłem w najlepszej intencji, dopatrywać się groźby - rzekł, krótkim gestem ręki wskazując jej krzesło.

- Wszystko zależy od punktu widzenia - odparowała. - Różne bywają środki przymusu i nacisku. Narzucenie mi szofera z samochodem miałam prawo przeżyć jako porwanie.

- Porwanie? - Pochmurna do tej chwili twarz Brama wykrzywiła się w groteskowym uśmiechu. - W środku dnia i w centrum Londynu?

- W środku dnia i w centrum Londynu zdarzają się najgorsze rzeczy - odparła, urażona do żywego jego rozbawieniem.

- Aha. Rozumiem. W takim razie podsumujmy. Kazałem porwać cię i przewieźć tutaj wbrew twojej woli. Wybacz, ale to miejsce nie przypomina w niczym ani więzienia, ani domu na odludziu, gdzie mogłoby dokonać się uwiedzenie uprowadzonej ofiary.

Taylor wciąż stała, a jej oczy płonęły gniewem. Jak śmiał naigrawać się z niej! Dobrze wiedział, że to nie uwiedzenie miała na myśli.

- Nie lubię, gdy się mnie przesuwa z miejsca na miejsce niczym figurę szachową. To raczej ty powinieneś przyjechać do mnie, lecz oczywiście takie rozwiązanie godziłoby w twoje wysokie mniemanie o sobie.

Przeczesał włosy palcami.

- Źle patrzysz na te rzeczy, Taylor. Zmieniłem koncepcję naszego spotkania, bo moja sekretarka musiała przerwać pracę, żeby odwiedzić w szpitalu swojego męża. A ponieważ nagromadziło się poza tym kilka pilnych spraw, nie mogłem opuścić biura.

Taylor poczuła, że jej gniew ustępuje pod naporem zażenowania. Ta awantura była chyba rzeczywiście niepotrzebna. Bram przysłał po

nią samochód i to przypomniało jej tamten dzień... Ale wołała nie myśleć w tej chwili o przeszłości. Dość że popełniła fatalny błąd w ocenie jego intencji i było jej wstyd z tego powodu.

- Daję słowo - ciągnął tymczasem Bram - że wysyłając po ciebie Richarda, chciałem po prostu być uprzejmy. Chyba zgodzisz się też, że zaoszczędziło to nam trochę czasu. Ani mi przez myśl nie przeszło, że odbierzesz to jako zamach na swoją wolność. Jeśli jednak dotknęło cię to w jakiś niejasny dla mnie sposób, to gorąco przepraszam. - Uśmiechnął się i nabrał w płuca powietrza. - Nie każdy potrafi współpracować z każdym, ale my mamy tę przewagę nad innymi, że oboje pragniemy tego samego. To znaczy doprowadzenia projektu do pomyślnego końca.

- O ile jest to w ogóle możliwe - nadmieniła, siadając naprzeciw niego.

- Nie wierzysz w powodzenie naszego przedsięwzięcia?

- Już były podobne próby, ale wszystkie skończyły się fiaskiem.

- Fakt, że komuś się nie udało, nie musi odbierać nadziei na sukces. Może nam się powiedzie.

Taylor, poczuła, że użyta już dwukrotnie przez Brama forma „my” sprawia jej wyraźną przyjemność. Zaraz jednak zganiła siebie w duchu za swoją naiwność. Bram Soames, tytan pracy zespołowej, pewnie wyćwiczył się już w przekonywaniu innych, iż są niezbędni i niezastąpieni. To z jego strony zwykła rutyna i nic więcej. Nie powinna tak łatwo pozwalać sobą manipulować.

- Mój syn, Jay, chętnie zgodziłby się z tobą. On również przeciwstawia mi swój sceptycyzm. Będę więc musiał udowodnić wam, że się myliliście. Może napijesz się kawy... herbaty?

Propozycji tej towarzyszył ujmujący uśmiech, a poza tym Taylor i tak czuła się już częściowo udobruchana. Być może pomyliła się gruntownie co do Brama i usłuchała własnych uprzedzeń zamiast trzymać się rzeczywistości i prawideł logiki. Oskarżyła go pochopnie i musiała to jakoś teraz naprawić.

- Jeśli można, to proszę o kawę - odpowiedziała.

Taylor poruszyła się na krześle. Czuła ssanie w żołądku, a poza tym ścierpła jej lewa noga. Czas minął tak szybko, że aż nie chciało się wierzyć, iż jest już siódma.

Odkryła w rozmowie, że Bram wyśmienicie orientuje się w sprawach, z którymi będzie musiał się zmierzyć przy opracowywaniu programu. Poza tym bardzo emocjonalnie podchodził do losu ludzi upośledzonych i szczerze chciał im pomóc.

W końcu i on zorientował się, że przegadali ze sobą bite trzy godziny.

- Wybacz, ale nie zamierzałem trzymać cię tak długo. Zapewne musisz być straszliwie głodna. Jest tu w pobliżu niezła włoska restauracja, do której czasem zachodzę. Może tym razem zaszlibyśmy tam wspólnie?

Taylor mimo wszystko nie omieszkała się skrzywić. Strach przed Bramem wprawdzie już minął, lecz pozostało jeszcze niezdecydowanie co do pewnych kwestii.

Z drugiej jednak strony po tych trzech godzinach, wypełnionych wyłącznie sprawami zawodowymi, była już niemal pewna, że Bram nie interesuje się nią jako kobietą, widząc w niej przede wszystkim osobę kompetentną i dobrze poinformowaną, co oczywiście bardzo jej odpowiadało. Zachowywał się bardzo poprawnie i w ogóle bez zarzutu, jeśli idzie o formę. Gdyby teraz zaczęła się wykręcać, wzbudziłaby tylko jego podejrzenia i na dokładkę wyszła na idiotkę.

Byłoby więc rzeczą ze wszech miar rozsądną przyjąć propozycję. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że ze strony Brama nic jej nie grozi. Co innego trochę podpowiadała jej kobieca intuicja, ale trudno opierać się w swoich decyzjach wyłącznie na czymś tak problematycznym i wątpliwym.

- Obawiam się, że będziemy musieli pójść tam na piechotę - powiedział z lekkim uśmiechem, gdy łaskawie zgodziła się zjeść z nim kolację. - Po prostu Richard skończył już pracę.

Zarumieniła się, lecz wytrzymała jego spojrzenie.

Wstali i już kierowali się ku drzwiom, kiedy wpadła przez nie jak bomba młoda dziewczyna. Była uderzająco piękna i - co od razu było widać - bardzo źle wychowana. Nie licząc się bowiem wcale z obecnością Taylor, rzuciła się Bramowi na szyję i zaczęła bezwstydnie ocierać się o jego ciało.

- Jak to dobrze, kochanie, że jeszcze nie wyszedłeś. Mógłbyś wziąć mnie ze sobą? Nie widziałam cię całe wieki, byłoby rozkosznie zaszyć się w jakimś ciemnym kąciku, prawda? Nie mówiąc już o dalszych rozkoszach...

Taylor zdrętwiała, jednak zaciekała ją reakcja Brama. Mimo że dziewczę uosabiało sobą wszystko, co mogło stanowić treść marzeń każdego mężczyzny, Bram zdecydowanym ruchem odsunął ją od siebie i zrobił surową, niemal ojcowską minę.

- Plum, przykro mi, ale dzisiaj nie mogę cię zaprosić. Jestem już umówiony.

- Co? - Plum spojrzała na Taylor, jakby dopiero teraz ją dostrzegła; przy czym mina i spojrzenie dziewczyny były tak wzgardliwe, że Taylor poczuła się tak, jakby została sprowadzona do rzędu istot jakiegoś gorszego, nie wartego uwagi gatunku. - Ale...

- Żadnych „ale” - przerwał jej Bram.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Nie teraz, Plum. Widzisz, że jestem zajęty.

- Ale zadzwonisz do mnie? Umówisz się ze mną?

- Gdy tylko znajdę chwilę wolnego czasu.

- Cóż, skoro teraz jesteś zajęty...

Jeszcze jedno wrogie i wzgardliwe spojrzenie rzucone na Taylor i dziewczyna pozwoliła wyprowadzić się na korytarz.

- A może damy sobie spokój z tą kolacją - powiedziała Taylor, kiedy Bram wrócił. - Nie chciałabym skłócić cię z twoją... twoją przyjaciółką.

Zająknęła się na ostatnim słowie, co już zupełnie odjęło jej humor. Wciąż była pod wrażeniem zmysłowej pożądlivosti, z jaką dziewczyna rzuciła się na Brama. Prawdę mówiąc, tego rodzaju sceny widziała dotąd tylko w filmach. A poza tym nie jest rzeczą przyjemną,

gdy nagle ktoś bez żadnego powodu uznaje cię za śmiertelnego wroga. Dziewczyna zaś, Taylor była tego pewna, tak właśnie ją potraktowała - jako rywalkę.

- Plum nie jest moją przyjaciółką, nie jest też moją kochanką, bo zapewne to chciałaś z początku powiedzieć - odparł Bram. - To moja chrześniaczka.

- Chrześniaczka? - powtórzyła z nieskrywanym zdumieniem.

- Przechodzi teraz trudny okres. Potrzebuje kogoś, na kim mogłaby się wesprzeć, komu mogłaby zaufać i kto mógłby pokochać ją jako osobę, niezależnie od jej walorów fizycznych. Wielka szkoda, że ona i Jay żyją ze sobą jak pies z kotem.

- Jay?

Szli teraz korytarzem i Taylor pożałowała swojego pytania. Zawsze bowiem wystrzegала się wtrącania w prywatne sprawy innych ludzi. Pociągało to za sobą zbyt duże ryzyko wplątania się w jakąś nieprzyjemną historię. Szanując własną prywatność i trzymając ją za pancernymi drzwiami,

Taylor z takim samym szacunkiem podchodziła do cudzej. Jej krótkie pytanie stanowiło więc oczywiste odstępstwo od tej zasady.

- Jay jest moim synem. On i Plum znają się, by tak rzec, od zawsze. Jay ma dwadzieścia siedem lat, ona zaś osiemnaście.

Dwadzieścia siedem, powtórzyła w myślach Taylor. Pomimo że sir Anthony zdążył już wtajemniczyć ją w wiele spraw dotyczących Brama, była pod wrażeniem. Bram wyglądał o wiele, o wiele za młodo, jak na ojca dwudziestosiedmiolatka. I nie dlatego bynajmniej,

że konserwował i sztucznie podtrzymywał swoją młodość, co niektórzy mężczyźni czynią nawet z pewnym talentem. Przeciwnie, do pracy ubierał się typowo i raczej tradycyjnie, a dwurzędowy garnitur i biała koszula nikomu jeszcze nie ujęły lat. Młodość Brama wynikała przede wszystkim z obiektywnych liczb i faktów. Zasadzała się na kontraście między dorosłością syna a obecnymi wciąż u Brama śladami chłopięcości. O jego prawdziwym wieku zaświadczały jedynie dwa lub trzy pasemka siwizny w ciemnych kasztanowych włosach oraz ślad zmarszczek wokół oczu. Taylor dostrzegła to dopiero teraz, w świetle lampy przyczepionej do sufitu windy.

Przełknęła ślinę. Stali w windzie zbyt blisko siebie. Zaczęła liczyć piętra, modląc się w duchu, by ktoś dołączył do nich i rozdzielił ich swoim ciałem. Od lat już bowiem nie doświadczyła tak intensywnego zmysłowego pobudzenia.

"Jesteś stworzona do miłości i seksu."

Słowa te dobiegły ją z ciemnej studni zapomnienia, gdzie je wrzuciła razem z wizerunkiem mężczyzny, który je wypowiedział.

Winda wyhamowała wreszcie i stanęła na parterze.

Przeięli foyer i dużymi przeszklonymi drzwiami wyszli na ulicę. Na chodniku po przeciwnej stronie awanturowała się jakaś młoda para. On trzymał otwarte drzwi samochodu, ona zaś dawała mu niedwuznacznie do zrozumienia, że ani myśli wsiadać. W końcu mężczyzna stracił cierpliwość i chwycił w pól swoją kochankę, żonę czy dziewczynę. Znalazłszy się w powietrzu, kobieta zaczęła wyrywać się i wierzgać nogami.

Bram wybuchnął wesołym śmiechem, zdumiał się jednak i natychmiast spoważniał, kiedy zobaczył pobladłą twarz Taylor i jej błyszczące gniewem oczy.

- Oczywiście, twoim zdaniem jest to zabawne. Jesteś mężczyzną. I ponieważ jesteś mężczyzną, uważasz, że takie bezceremonialne obchodzenie się z kobietą nie przynosi tamtemu mężczyźnie ujmy. A przecież on zmusza ją do zrobienia czegoś, czego ona nie chce zrobić. Co w tym śmiesznego?

Taylor zamilkła, lecz jej ciało, drżąc niczym liść osiki, wciąż jeszcze przemawiało.

Bram chciał się bronić, lecz wybroniła go nieoczekiwanie tamta młoda kobieta. Bo nagle przestała wierzgać, rzucać się i krzyczeć. Uspokoila się, przez chwilę zwiślała bezwładnie w ramionach mężczyzny, by następnie otoczyć jego szyję ramionami i, uniósłszy ku niemu twarz, wpić się namiętnie ustami w jego usta.

- Spójrz - powiedział Bram, odwracając Taylor ku walczącej ze sobą jeszcze przed chwilą, a teraz już pogodzonej parze.

Taylor zeszywniała. Widok tulącej się do mężczyzny młodej kobiety, spragnionej miłości i wyznającej swą miłość, ożywił w niej dawno już zapomniane doznania. Niegdyś i ona potrafiła tak kochać i tak pragnąć uczuć. Pewnego dnia jednak wszystko skończyło się jak nożem uciął. Zamiast garnać się do świata i szukać w nim szans dla siebie, skuliła się i schowała w mysiej dziurze własnej samotności.

Bram bardziej wyczuł aniżeli dostrzegł jej smutek i ból. I nagle zrobiło mu się żal tej kobiety, którą zaledwie znał, lecz która w tej

chwili mówiła mu całym swoim wciąż jeszcze pięknym ciałem, że i w jej życiu był taki moment, w którym doświadczyła czułości i namiętności, a więc wszystkiego tego, co powinna doświadczyć kobieta, jeśli nie ma przeklinać swojego losu.

Tymczasem młodzi ludzie, pogodziwszy się ze sobą, wsiedli z uśmiechami na twarzach do samochodu i z piskiem opon odjechali ku swemu przeznaczeniu.

RS

- Wybacz, że cię nudzę, ale po prostu nie mogę oderwać myśli od tego projektu.

- Ambitne zamierzenie, choć raczej trudne w realizacji - odpowiedziała Taylor, niosąc do ust kolejny kęs.

Już od godziny siedzieli w restauracji, która z minuty na minutę coraz bardziej podobała się Taylor. Żadnej wysilonej elegancji, a raczej dbałość o wygodę i dobre samopoczucie klientów. Starannie skomponowana karta włoskich dań, których nazwy miały w sobie coś z fragmentów librett operowych, a których smaki i smaczki, te już zakosztowane i te wyobrażone, obudziły w Taylor wspomnienie tamtych wakacji, kiedy to wraz z rodzicami i siostrą wybrała się do Włoch.

Toskania wchodziła wtedy dopiero w modę i jej mieszkańcy nie zniknęli jeszcze pod powodziową falą turystów, toteż wspomnienia Taylor przechowały urok intymnego obcowania z tą bez wątpienia przepiękną krainą. Malownicze toskańskie wsie i średniowieczno-renesansowe miasta tworzyły niepowtarzalną historyczną przestrzeń, pełną pamiątek, symboli i tworców ludzkiego geniuszu. Patrząc na fronton jakiegoś pałacu, wystarczyło na chwilę zamknąć oczy, by znaleźć się w czasach Borgiów, kiedy to Toskania znajdowała się u szczytu swej finansowej i politycznej potęgi.

Nie miało sobie równych także toskańskie jedzenie. To, które wkładała w tej chwili do ust, w niczym zresztą nie ustępowało tamtemu.

Słowa Brama wyrwały ją z tego zamyślenia.

- Tak, wiem - powiedział. - Jay uważa, że powinniśmy raczej postawić na masową produkcję i nie ryzykować...

- Przerwał. - On i ja patrzymy odmiennie na pewne sprawy. W ogóle nasze wzajemne stosunki nie układają się tak, jak bym tego sobie życzył, ale to głównie moja wina.

- Spojrzał jej prosto w oczy. Nie zdążyła ukryć swego zaciekawienia. - Jay urodził się, gdy miałem piętnaście lat. Było to dziecko, powiedzmy, nie mieszczące się w życiowych planach jego rodziców. Równocześnie wiem, że dzieci nie powinny wzrastać w przekonaniu, że już w chwili poczęcia były intruzami.

- Zostałeś ojcem, sam będąc jeszcze dzieckiem - powiedziała Taylor, dziwiąc się ironii zawartej w tym zestawieniu.

- Zgadza się. To nie był idealny wiek na ojcostwo.

- Musiałeś być...

- Kim? - przerwał jej z pochmurną twarzą. - Nadpobudliwym seksualnie byczkiem? Nic z tych rzeczy, Taylor. To był zwykły przypadek. Dziewczyna, która potem urodziła Jaya, była córką naszych sąsiadów. Była o trzy lata starsza ode mnie. Znaliśmy się, przyjaźniliśmy i wiedziałem, że chodzi z jakimś chłopakiem. Mieli porządną sprzeczkę i ona chciała wypłakać się na moim ramieniu. Na chwilę sprawy wymknęły się z rąk; zadziałały młodzieńcze zmysły.

Żadne z nas nie zamierzało... To był mój pierwszy raz, a kiedy początkowe oszołomienie minęło, zadałem sobie pytanie, o co właściwie ten hałas. - Chwilę milczał w zadumie. - Chodziłem do męskiej szkoły i oczywiście było w niej rzeczą normalną chełpienie się seksualnymi zdobyczami. Do tamtego dnia jedynym moim doświadczeniem w tym zakresie była próba pocałowania na prywatce pewnej dziewczyny, ale Tara... - uciekł gdzieś w bok ze spojrzeniem - ... jej rodzice byli bardzo zasadniczy. Dużo bardziej od moich. Młode dziewczęta nie lubią zasad, więc i ona przeciwko nim się zbuntowała. Zaczęła chodzić z chłopakiem, który nie zyskał akceptacji jej rodziców. Zabronili jej widywania się z nim, lecz wątpię, by mieli właściwe pojęcie o tym, jak daleko zaszły sprawy.

Bramowi zaschło w gardle. Sięgnął po kieliszek i wypił łyk czerwonego wina.

- Muszę powiedzieć - podjął swoją opowieść - że wstrząsnęło mną wyznanie Tary. Była świeżo po kłótni z tym swoim chłopakiem i nie szczędziła mi drastycznych szczegółów z ich intymnego współżycia. Tara nie miała nikogo, komu mogłaby zaufać. Owszem, miała koleżanki, ale żadnej serdecznej przyjaciółki, tylko mnie, dobrego kumpla z sąsiedztwa, trochę wprawdzie młodszego, lecz zawsze pod ręką. Dostrzegła moje zmieszanie i zaczęła drażnić się ze mną. Zapytała, czy już to robiłem. Zmusiła mnie do wyznania prawdy. To jeszcze bardziej ją podnieciło. Zaczęła opisywać z dumą męskie atrybuty swojego chłopaka. Wątpię jednak, by świadomie parła ku zbliżeniu. Po prostu ujrzała we mnie dziewicę i zebrało się jej na

żarty. Żarty były coraz mniej niewinne, aż wreszcie stało się - zostaliśmy kochankami. - Wykrzywił usta i powtórzył z lekceważeniem. - Kochankami. W rzeczywistości stanowiliśmy zaprzeczenie kochanków. Jay poczęty został w akcie będącym kwintesencją dziecięcej nieporadności. Nie miałem pojęcia, co robię. Również do Tary, mimo jej uprzednich przechwałek, nie docierała realność sytuacji.

Zdarzyło się to pod sam koniec wakacji. Trzeba było wracać do szkoły. Kiedy pięć miesięcy później przyjechali do mnie rodzice z wiadomością, że Tara jest w ciąży, byłem tym równie zaskoczony, jakbym usłyszał w radio, że Londyn opanowali Marsjanie. Chcąc nie chcąc, przyznałem się do winy. Oczywiście, o małżeństwie nie mogło być mowy. Moi rodzice chcieli zaadoptować dziecko, ale jej rodzice nie zgodzili się na to. Wymogli na córce przyrzeczenie, że już mnie więcej nie zobaczy. Z kolei ja miałem przyrzec, że nie będę rościł sobie żadnych pretensji do dziecka.

- Obwiniali cię? - spytała Taylor, głęboko przejęta opowiadaniem Brama.

- Tak, lecz przede wszystkim sam poczuwałem się do winy. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że moją zgodę na przedstawione warunki Jay zinterpretuje później jako dowód obojętności. Nie przewidziałem też, że jego dziadkowie przyjmą taktykę wmawiania mu, że jest bękartem. - Potrząsnął głową. - Wybacz, że zanudzam cię tymi sprawami.

- Wcale mnie nie zanudzasz - zaprzeczyła z taką szczerością w głosie i na twarzy że nawet ktoś chorobliwie nieufny musiałby jej uwierzyć.

Nigdy jeszcze w swoim życiu nie zetknęła się z mężczyzną, który tak otwarcie rozmawiałby z nią o sprawach najgłębiej go dotyczących. Jej ojcem był człowiek zdystansowany i raczej zamknięty w sobie, natomiast jedyny mężczyzna, z którym łączyły ją intymniejsze... Zamknęła oczy, przywołując na pomoc całą swoją wolę. Żadnych wspomnień!

- Sir Anthony powiedział mi, że sam wychowałeś syna. Musicie być bardzo blisko ze sobą.

Zauważyła, iż zmienił się na twarzy. Musiała nieświadomie dotknąć jakiegoś niezmiernie wrażliwego miejsca w jego psychice.

- W pewnym sensie tak. Jeżeli jednak spojrzeć... Przerwał. Poczł się w rozterce. Prawie nie znał Taylor, a wyznawał jej wszystko, co miał najgłębiej schowane w duszy. Była w tym zagadka, której na razie nie umiał rozwiązać.

- Jay zamieszkał ze mną, gdy skończył sześć lat. Rósł dotąd w przeświadczeniu, że wyrzekłem się go. Nic nie mogło przełamać jego nieufności. Nie uwierzył mi, gdy powiedziałem mu, że jest moim ukochanym dzieckiem i że nigdy go już nie opuszczę. Podejrzewam, że podświadomie winił mnie za całe zło, które zaznał jako dziecko bez ojca. Dość szybko stał się zaborczy i zazdrosny o nasz związek. - Głęboko odetchnął, niczym alpinista na szczycie góry. -A może teraz ty coś opowiesz mi o sobie? O swojej rodzinie?

Zareagowała rumieńcem. Wszystko wskazywało na to, że domagał się rewanżu.

- Nie mam nikogo. Moi rodzice zginęli w wypadku...

- Kiedy byłaś na uniwersytecie - zaryzykował Bram, pamiętając, że Anthony wspomniał mu coś o przerwanych studiach Taylor.

Jej reakcja zaskoczyła go i zbiła z tropu. Czegoś tak gwałtownego, doprawdy, się nie spodziewał.

- Skąd wiesz, kiedy zdarzył się wypadek? - spytała głosem pełnym wrogiej podejrzliwości.

- Nie wiem. Anthony powiedział mi niedawno, że przerwałaś studia. Skojarzyłem teraz ze sobą oba fakty.

A jednak pomimo tego dość przekonującego wyjaśnienia z twarzy Taylor wciąż wiało chłodem. W przeciągu sekundy zmieniła się nie do poznania. Już nie siedziała naprzeciwko niego osoba zasłuchana i przejęta, tylko zimna, czujna i tajemnicza. Bram nie rozumiał tej zmiany. Sięgnęła po torebkę.

- Muszę już iść - powiedziała.

- Przecież nie skończyłaś kolacji - zauważył.

- Nie jestem głodna. A poza tym robi się ciemno. Wiele by dał, by powróciła tamta atmosfera sprzed kilku minut.

- Masz rację, ściemnia się. Taką przyjemność sprawiało mi opowiadanie o sobie, że zapomniałem o upływie czasu. Cudownie umiesz słuchać.

- Naprawdę muszę już iść. - Umknęła w bok ze spojrzeniem.

- W takim razie pozwól, by kelner zadzwonił po taksówkę.

Splotła dłonie, jakby nie wiedziała, co z nimi począć.

- Korzystam z usług tylko jednej firmy. Gwarantuję punktualność i zawsze wiadomo, z kim ma się do czynienia.

Bram wiedział już, że nawiązał znajomość z kobietą niezwykle skrytą i zamkniętą w sobie. A teraz wyczuł, że za tym wszystkim czai się w niej jakiś tajemniczy strach. Gdyby potrafił uchwycić jego specyfikę, być może mógłby okazać się w czymś pomocny. Uświadamiał sobie jednak, że nie ma na to w tej chwili najmniejszych szans.

- W takim razie kelner zadzwoni pod numer tej właśnie firmy - zasugerował łagodnym głosem.

Niechętnie podyktowała mu szereg liczb. Patrzyła na notującego Brama i wszystko, co mogła o nim powiedzieć, sprowadzało się do tego, że próbował być miły i pomocny. Nie stanowił dla niej żadnego zagrożenia - tego akurat mogła być teraz pewna. Jednak trudno wyzbyć się w jednej chwili starych nawyków i wypłenić strach, który zżerał ją od lat.

- Z pewnością boleśnie przeżyłaś stratę rodziców - nawiązał do przerwanej wątku rozmowy, kiedy już opuszczali lokal. - Pamiętam przecież, jak na Jaya wpłynęła śmierć matki i dziadków, chociaż on, oczywiście, był...

- Był tylko dzieckiem, podczas gdy ja byłem dorosłą osobą - dokończyła za niego Taylor.

- Bez względu na to, ile mamy lat, śmierć osób, które kochamy, boli nas tak samo. A jeśli w dodatku nie miałaś nikogo bliskiego, kto mógłby dzielić z tobą twój ból...

- Przepraszam cię. Nie chcę o tym mówić.

Stali na chodniku, czekając na taksówkę. Taylor niecierpliwiła się. Bram miał wrażenie, że chce od niego jak najprędzej uciec.

- Gdy ty wracasz pamięcią do pewnych wydarzeń i osób - powiedziała w pewnym momencie - sprawia ci to mimo wszystko pewną przyjemność. Ja natomiast staram się unikać wspomnień. Co się stało, już się nie odstanie.

Najchętniej pogłaskałby ją po włosach, a potem utulił, byleby tylko wyzwolić ją z dręczącego niepokoju. Ale było już za późno. Nadjechała zamówiona taksówka.

- Dobranoc - rzuciła Taylor przez ramię i znikła we wnętrzu wozu.

Ruszył chodnikiem ku stacji metra. Myślał o Taylor. Nie przesadzał, mówiąc jej, że jest cudowną słuchaczką i powierniczką. Lecz żeby otworzyła się na słowa drugiego człowieka, musiał być spełniony pewien wstępny warunek. Taylor musiała rozluźnić się i zapomnieć o swoim strachu. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby w jego mocy leżało stałe zapewnianie jej poczucia bezpieczeństwa i komfortu psychicznego.

Ostrożnie, ostrzegł sam siebie. Była dotąd kobietą, która wzbudziła w nim jedynie pożądanie, a teraz dostrzegł, że zaczyna

angażować się w tę znajomość uczuciowo. Jakby zadurzył się w niej po uszy. Ściągnął brwi. Chyba nie jest aż takim osłem!

- Och, nie. Tego nie sposób tolerować. Bram, chodź i spójrz na to dziwactwo. Czy nie uważasz, że jest to wyjątkowo -groteskowy przykład złego smaku? Kto w ogóle mógł wpaść na taki pomysł? - zapytała Helena, pokazując Bramowi buchającą kolorami rabatę jednorocznych kwiatów.

- Wygląda dość barwnie - bąknął Bram.

Jak co roku o tej porze Bram i Helena wybrali się na wielką wystawę kwiatów i roślin ogrodowych w Chelsea, połączoną z kiermaszem. Co ciekawe, Bram w równie małym stopniu interesował się ogrodnictwem, co obaj mężowie Heleny. A jednak sprawiały mu przyjemność coroczne pielgrzymki do tej Mekki sztuki ogrodniczej, mimo że w odróżnieniu od Heleny jak najdalszy był od niewolniczego ulegania modom, bzikom i nowinkom, które propagowały fachowe pisma.

Jak okiem sięgnąć - kwiaty, kwiaty i jeszcze raz kwiaty, orgia kolorów, zapachów i kształtów. Ogrodnicza kompetencja wzniosła się w wielu wypadkach na wyżyny artystycznego kunsztu. Smak szedł o lepsze z pomysłowością. Tradycyjne kompozycje sąsiadowały z wyrafinowaniem i śmiałością. Nie wszyscy wystawcy i architekci zieleni zaspokajali rygorystyczne gusty Heleny i wówczas z jej ust padały słowa bezwzględnej krytyki. Bram rzadko kiedy podzielał jej zdanie, ale taktownie milczał lub kiwał głową.

Nagle kątem oka dostrzegł znajomą twarz. Zrobiło mu się ciepło na sercu.

- Taylor... - wymówił półgłosem czyjeś imię. - Wybacz, Heleno, że opuszczę cię na chwilę. Widzę znajomą.

Helena, rzecz jasną, wybaczyła mu i dała pozwolenie. Bram nie był jej własnością i musiała go puścić. Ale odprowadzając go wzrokiem, miała okazję się przekonać, że ta wysoka, smukła kobieta, ku której zmierzał, musiała być tą samą osobą, o której wspomniała jej Plum.

- Zbyt stara dla Brama - podsumowała krótko Plum. -I wcale nie jest ładna.

Jej córka myliła się, i to w obu kwestiach. Zresztą „ładna” w odniesieniu do Taylor wydawało się zbyt skromnym, zbyt ubożuchnym określeniem. Raczej „piękna”, choć prawdziwie piękną mogłaby stać się dopiero po odpowiednich retuszach. Bo niewątpliwie ta kobieta nie tyle uwydatniała, co tuszowała swoją urodę. Bram był jednak bystrym obserwatorem i nie pozwolił widocznie, by zwiódł go ten kamuflaż. Wystarczyło spojrzeć na wyraz jego twarzy, kiedy tak szedł ku niej.

Po dwóch małżeństwach i przyjaźni, która przetrwała już ponad dwadzieścia lat, Helena sądziła, że wyleczyła się z romantycznego sentymentu do Brama. Był jej przyjacielem, nie łączyło ich nic innego prócz przyjaźni i jeśli w stosunku do kobiet, z którymi utrzymywał jakieś kontakty, była nieufna i podejrzliwa, traktując je często

niegrzecznie i opryskliwie, to tylko dlatego, że leżało jej na sercu dobro starego przyjaciela. Przynajmniej tak to sobie tłumaczyła.

Podeszła i stanęła u boku Brama, on zaś dokonał prezentacji.

- Poznaj, Taylor, moją serdeczną przyjaciółkę Helenę. Oboje zapraszamy cię do ogródka na kawę.

Związana lojalnością, Helena uśmiechem potwierdziła zaproszenie. Czuła w sercu zazdrość, lecz równocześnie pociągała ją i fascynowała ta niewątpliwie interesująca kobieta. Dostrzegła też natychmiast, kto tu właściwie jest łowcą, a kto zwierzyną. Przy czym ścigana i osaczana Taylor zdawała się obawiać łowcy, czego najlepszym dowodem był fakt, iż odsunęła się od Brama i przysunęła bliżej niej, Heleny.

- Nie wiedziałem, że również i twoją pasją jest własny ogródek - powiedział Bram.

Widać było, że robi, co może, by atmosfera tego niespodziewanego spotkania stała się mniej napięta.

- Bo nie jest. Mieszkam w kamienicy, mogę hodować jedynie kwiaty doniczkowe. Przyszłam, ot, tak, popatrzeć.

- A który z wystawionych projektów podoba ci się najbardziej? Mów śmiało. Przyrzekam, że ja i Helena nie wygłosimy komentarza, w rodzaju „to wyszło z mody” lub „tego obecnie się nie stosuje”.

- Mówi tak, bo kocha wszystko, co pachnie i nie jest czarne - rzuciła Helena z ironiczną pobłażliwością.

- Za to ty, najchętniej zrezygnowałabyś ze wszystkich kolorów na rzecz białego, co byłoby, przyznasz, znacznym zubożeniem świata

- odciął się Bram.

Taylor uśmiechnęła się nieznacznie.

- Lubię tradycyjne ogrody, w których rosną nie tylko kwiaty, lecz również zioła lecznicze, na przykład mięta, szalwia czy dziurawiec. One są tak...

- Naturalne i nastrojowe - odpowiedział Bram. Zmierzyła go tyleż nieufnym, co niepewnym spojrzeniem.

- Można i tak powiedzieć. Lecz najważniejsze moim zdaniem jest to, że te ogrody trwają od stuleci, właściwie są wieczne. Dostarczały przyjemności i pożytku wielu pokoleniom i miło jest o tym pomyśleć. - Taylor wzruszyła ramionami, jakby chciała tym zbagatelizować swoje uniesienie.

- A więc pójdiesz z nami na tę kawę? - zapytał Bram, dotykając dłonią jej ramienia.

Było to najdelikatniejsze z możliwych dotknięć, właściwie muśnięcie, ale na oboje podziałało niczym jad paraliżujący centralny system nerwowy. Pobledli i znieruchomieli w jakimś ogromnym, prawie bolesnym napięciu, Helena zaś pomyślała, że jeśli nawet nie są jeszcze kochankami, to na pewno niebawem kochankami zostaną. Oczywiście, o ile Taylor da złowić się w sidła i odwzajemni uczucia Brama. Zresztą, któraż kobieta przy zdrowych zmysłach odrzuciłaby takiego mężczyznę, pomyślała Helena.

W ogródku panował ścisk, lecz jakimś cudem Bramowi udało się zdobyć wolny stolik. Usadowiwszy swoje towarzyszeki, przeprosił je i zaczął przepychać się w stronę bufetu.

- Długo już znasz Brama? - spytała Helena, gdy zostały same.

Nie była to wścibskość z jej strony, gdyż ostatecznie jako przyjaciółka o długim stażu miała prawo orientować się w życiu towarzyskim Brama; miała też obowiązek chronienia go przed różnymi awanturkami dybiącymi na jego pieniądze.

- Poznaliśmy się niedawno, przed kilku dniami, przy okazji projektu, nad którym Bram obecnie pracuje. Mam mu pomóc w kilku drobniejszych sprawach.

Helena zmarszczyła brwi. Taylor z determinacją zaprzeczała możliwości bliższych związków z Bramem, lecz zachowanie się samego Brama świadczyło o czymś zupełnie innym.

- Rozumiem. A czy już poznałaś Jaya, jego syna?

- Nie miałam jeszcze okazji.

- Ale Bram musiał ci o nim wspomnieć? - naciskała Helena.

- Owszem, mówił o synu - przyznała Taylor lakonicznie.

- Znając Brama, założę się, że przedstawił go w jak najlepszym świetle - powiedziała Helena, ignorując oczywistą niechęć Taylor do kontynuowania tego tematu. - Jest zupełnie zwariowany na jego punkcie. Jeżeli Jay zrobi coś, czego nie sposób zaakceptować, Bram będzie winił siebie, nie jego. A może już zapoznał cię bliżej z historią swych stosunków z synem?

- W każdym razie wiem tyle, że mogę uważać się za osobę cokolwiek zorientowaną - odparła Taylor.

Czuła się wewnętrznie rozbita. Broniąc się przed Bramem, broniła się przed wszystkim, co wiązało się z jego osobą, lecz równocześnie ciekawa była dalszych szczegółów z jego prywatnego życia. Siedząca naprzeciwko niej kobieta była jego przyjaciółką, a więc osobą wtajemniczoną w wiele spraw. Dlaczego by nie pozwolić jej mówić i dowiedzieć się czegoś więcej z jej ust?

- Moim zdaniem Jay jest wyjątkowym szczęściarzem, a Bram głupcem, skoro pozwala synowi wodzić siebie na pasku - oświadczyła Helena z oburzeniem w głosie. - Kiedy przejął opiekę nad Jayem, poradziłam mu, żeby wysłał go do szkoły z internatem i trzymał od siebie z daleka. Puścił moje słowa mimo uszu. I w rezultacie od lat ma przy sobie kogoś, kto jest o niego piekielnie zazdrosny. Właściwie to Bram znajduje się pod ścisłą i nieprzerwaną kontrolą syna i praktycznie nie ma żadnych szans na prywatne życie.

- Jeżeli jest tak naprawdę - powiedziała Taylor nieco oschłym głosem - to jest to problem, który Bram musi sam rozwiązać. O ile w ogóle odczuwa potrzebę jakiegoś rozwiązania. Są ludzie, którzy czerpią przyjemność z faktu, że ktoś jest od nich zależny. Daje im to poczucie władzy, bez którego nie mogą się obyć, nawet gdyby na innych polach coś tracili.

- Przyznaję, są tacy ludzie, lecz Bram nie zalicza się do nich - oświadczyła Helena. - Znam go od dawna. Przyjaźniliśmy się, zanim jeszcze Jay stracił matkę i dziadków. Wiem więc, iż wmówił sobie, że

to on ponosi winę za wszystkie szkody, które poniósł w życiu jego syn. W rzeczywistości Jay niczego nie stracił, a wiele zyskał, odkąd trafił pod jego opiekę. Matka Jaya miała wyjść za mąż i wątpię, by ojczym okazał się równie tolerancyjny w stosunku do niego, co Bram. Miej się na baczności przed Jayem. Nie będzie zachwycony, że pojawiłaś się nagle tak blisko Brama. Jest zdolny zerwać każde więzy, które łączą ojca z innymi osobami.

- Pomiedzy mną a Bramem nie ma żadnych więzów, to zwykła znajomość na gruncie zawodowym - powiedziała Taylor z naciskiem w głosie, dziwiąc się, co dało tej kobiecie powód do ostrzegania jej przed tego typu niebezpieczeństwem.

Po chwili wrócił Bram z kawą i ciastkami, a pół godziny później Taylor wstała i zaczęła się żegnać. Bram również wstał i Helena zrozumiała, że raczej pójdzie z tamtą, a ją zostawi.

Czy uświadamiał już sobie, że jest tylko o krok od zakochania się w tej kobiecie? Bram zakochany...

Przebiegł ją zimny dreszcz. Poczowała ból w sercu, lecz również strach przed tym, co mogło się jeszcze wydarzyć. Jay potrafił być bezwzględny wrogiem każdego, kto chciał mu zabrać ojca.

Plum była smutna i zamyślona. Ponuro gapiała się w dno trzymanej w dłoni szklanki, gdzie żółciła się jeszcze resztką koktajlu, i czuła w ustach okropny niesmak.

Nie należy psuć szlachetnego trunku dodatkami, zawsze twierdził jej ojciec i zaczynała go teraz rozumieć. Koktajl, który wypiała, bynajmniej nie poprawił jej humoru. Od ostatniego widzenia się z Bramem gnębiły ją najczarniejsze myśli.

To nie było fair. Co z tego, że był od niej o te kilka lat starszy, a choćby nawet o lat dwadzieścia? Mężczyźni w wieku Brama, a nawet i starsi od niego, nie mieli jakoś oporów, gdy chodziło o sprawy łóżkowe. Bram jednak był jednym z przyjaciół matki i widocznie wbił sobie do głowy, iż zobowiązuje go to do odgrywania wobec niej, Plum, roli zatroskanego wujka. Wybrał więc tę żalospną rolę wujka, podczas gdy swobodnie mógłby sięgnąć po wszystkie przywileje kochanka.

Miał te swoje lata, lecz kochankiem na pewno byłby niedościgłym. Starsi mężczyźni bywają pod tym względem z reguły lepsi od młodych.

I jak on mógł woleć wieczór z tą... z tą ciotunią od wieczoru z nią, dziewczyną świeżą i jędrną niczym dopiero co zerwana brzoskwinia. Tamta przede wszystkim była staruchą, która już chyba nawet zapomniała, gdzie i w jakim gronie obchodziła swoje trzydzieste urodziny. Na dokładkę nie potrafiła ubrać się po ludzku. I

ta jej fryzura, ten kok zasuszonej starej panny! Jak w ogóle taki mężczyzna jak Bram mógł kleić się do kogoś takiego?

Plum zagryzła usta. Tylko jedna rzecz mogła tłumaczyć takie zachowanie. Bram musiał się zakochać.

Jak śmiał to zrobić w sytuacji, gdy wiedział, że ona go kocha?

- Hej, Plum, napij się z nami?

Odwróciła głowę i zobaczyła jednego ze swoich przyjaciół. Rozpogodziła zachmurzoną twarz.

Kilka miesięcy temu ona i Justin zaczęli ze sobą flirtować, lecz wycofała się, zanim doszło do wiadomych rzeczy. Justin pewnie jeszcze zachował resztki nadziei, bo był chłopakiem optymistycznie nastawionym do życia. Dlaczego nie miałyby go utwierdzić w tym jego optymizmie? Odkąd jej ukochany, bezcenny i wymarzony Bram odtrącił ją z pogardą i zwrócił się ku innej kobiecie, mogła z czystym sumieniem szukać pocieszenia w ramionach innego mężczyzny.

Kiwnęła głową na znak zgody i wówczas dopiero zorientowała się, że Justin nie jest sam. Towarzyszył mu krępy, średniego wzrostu osobnik o jasnobrązowych włosach i ogorzalej twarzy.

- To jest McKenzie, Plum - powiedział Justin, lekko sepleniąc. - Ten McKenzie. Głowa klanu McKenzie. I dlatego jest tak śmiertelnie poważny. Wiesz, odpowiedzialność, honor, duma i inne tego rodzaju bzdety, które wziął sobie do serca. Nawiasem mówiąc, jesteśmy kuzynami. Cierpię z tego powodu, gdyż moi rodzice wciąż mi go stawiają za wzór i przykład. Mówią: postępuj tak jak on. Tymczasem całe to jego postępowanie sprowadza się do pasienia owiec w

mrocznych ostępach Szkocji. Wyrwałem go z tego odludzia, żeby mógł nacieszyć się urokami prawdziwego życia. Przedstawiam ci więc, Plum, autentycznego wieśniaka, dzikusa i owczarza, Gila McKenzie.

Gil nie wydawał się zachwycony uwagami Justina ani też w ogóle niczym. Widocznie „uroki prawdziwego życia” kojarzyły mu się z upadkiem wszelkich norm i zasad moralnych.

Dla Plum najgorsze jednak było to, iż przyzwyczajona do męskich hołdów i niedwuznacznych spojrzeń, tym razem zetknęła się ze spojrzeniem obojętnym, wręcz niechętnym jej.

- I co, Gil, jak ci się widzi nocne życie Londynu? - zapytał Justin tonem arystokraty zwracającego się do parobka. - Długo byś musiał szukać takich rozrywek w swoich lasach i górach, co nie?

- Szczera prawda - przyznał Gil z bezbrzeżną pogardą.

Plum zachichotała. Zapomniała już o wszystkich dręczących ją do tej pory problemach i cała skupiła się na tym mocno zbudowanym karle (dla niej mężczyzna zaczynał się dopiero od metra osiemdziesiąt), skłóconym z całym światem i trzymającym go w pogardzie.

Miał na sobie garnitur z tweedu, co tylko podkreślało jego prowincjonalny wygląd i zapewne charakter.

Podczas gdy Justin zamawiał drinki, Plum uraczyła Gila jednym z tych swoich przebojowych uśmiechów i spytała:

- Jeśli nie znosisz knajp, to dlaczego tu przyszedłeś?

- Moja ciotka, matka Justina, poprosiła mnie, bym miał go na oku. Boi się, żeby nie zrobił jakiegoś głupstwa.

- Czyżby Justin nie był na tyle dorosły, by samemu kierować swoim postępowaniem? - zapytała ze słodziutką minką.

- Dla swojej matki zawsze pozostanie dzieckiem - odparł Gil, nie zawstydzony bynajmniej banalnością tej sentencji.

- Ale chyba wściekły jesteś na nią, że narzuciła ci rolę przyzwoitki?

- Jest moją ciotką... krewną... rodziną. Rodzina... Plum wzniosła oczy do nieba. W hierarchii wartości, jaką wyznawał Gil, rodzina, jak widać, stała najwyżej. Plum miała całkiem odmienny pogląd na tę sprawę. Doświadczyła już w swoim życiu, czym naprawdę może być rodzina, i nie były to dobre doświadczenia.

Gdzie była jej rodzina, kiedy ona jej potrzebowała? Matka darzyła cieplejszymi uczuciami jedynie swoje potomstwo z drugiego małżeństwa. Ona, Plum, była tylko zawadą i utrapieniem; przypominała sobą o rzeczach, o których Helena wolała zapomnieć.

A co do ojca... Było czymś niewyobrażalnym, by ojciec wpadł na pomysł postawienia przy niej strażnika. Zwłaszcza że sam był fanatykiem wolności, całkowitej i niczym nie ograniczonej; żądał jej dla siebie i dawał ją innym.

Biedny Justin. Mimo wszystko nie zazdrościła mu. Oszalałaby, mając przy sobie w roli przyzwoitki kogoś takiego jak ten ponury, małomówny Szkot.

Biedny Justin... Sięgnęła po szklanekę z alkoholem.

- No, Gil, teraz twoja kolej.

Lekko podchmielona, Plum uniosła głowę z ramienia Justina i mruknięciem zaakceptowała rzucone przez niego hasło.

- Chyba oboje macie już dosyć. A poza tym robi się późno.

Oboje! Cóż on w ogóle sobie myślał, ten nudziarz?

Spojrzała na Gila z oburzeniem i gniewem. Mógł sobie matkować Justinowi, ale od niej wara!

Już chciała mu to powiedzieć i nawet otworzyła usta, lecz nagle jej wzrok padł na nowe jedwabne szorty, w które była dziś ubrana. Na białym materiale znaczyła się duża plama. Przy którejś kolejce musiała uronić kilka kropel koktajlu i oto patrzyła teraz na skutek swojej spowodowanej alkoholem niezręczności.

- Och, nie! - wykrzyknęła z rozpaczą w głosie. - Spójrzcie na to. Te szorty kosztowały majątek, a ta wstrętna plama pewnie nie da się wywabić.

- Bardzo możliwe - zgodził się z tą pesymistyczną oceną Gil McKenzie.

Teraz już Plum wiedziała, że ma przed sobą wroga. Było to dla niej raczej nowe doświadczenie, gdyż spotykała się dotąd z mężczyznami, którzy stanęliby na głowie w takiej sytuacji, by tylko ją pocieszyć.

- Co masz na myśli? - spytała podejrzliwie.

- Tylko to, że jeśli ktoś nosi takie śmieszne majtki, i to na dodatek białe, i równocześnie wlewa w siebie morze whisky, to zazwyczaj staje się to, co musi się stać.

- Doprawdy? Jaki mądry chłopiec. Jak logicznie potrafi myśleć. - Wręcz kipiała zjadliwą ironią. - Problem w tym, że kobiety nie przepadają za takimi mądralami, wiesz, chłopczyku? Powiem więcej, mądrale działają im na nerwy.

Wstała i z czarującym uśmiechem, w którym odsłoniła swoje olśniewające zęby, wylała Gilowi na koszulę cały alkohol, który pozostał jeszcze w jej szklance. Poczła więcej niż satysfakcję, poczuła radość, że wreszcie dała nauczkę temu bubkowi. I nieważne, że cały ten incydent zakończył się wyrzuceniem ich z baru.

- Jesteś stuknięta, Plum - stwierdził Justin, kiedy znaleźli się na ulicy. -1 gdzie teraz dokończymy nasz wieczór? No, gdzie...?

Chwiał się i wyraźnie przeciągał sylaby. Dla niego wieczór mógłby się skończyć dokładnie w tej chwili.

- Chodźmy do mnie - powiedziała Plum z błyskiem wyzwania w oczach. - Mam wolną chatę.

- Dobry pomysł - zgodził się Justin. - Złapmy jakąś taksówkę.

Podczas gdy Justin zaczął witać machaniem rąk każdy zbliżający się samochód, Gil McKenzie wpatrywał się w Plum oczami mordercy. Była pewna, że z miłą chęcią przyrządziłby z niej potrawkę dla tych swoich owiec czy kóz. O ile owce i kozy to mięsożerne stworzenia.

Oczywiście, nie byłby sobą, to znaczy szkockim wieśniakiem, gdyby nie podjął prób obrzydzenia Justinowi pomysłu pojechania do Plum, ale na szczęście Justin okazał się nieugięty.

- Jeżeli nie chcesz iść z nami, daj ster na prawo i płyn w stronę dal, stary - stawiał się Justin. - Nie musisz martwić się o mnie. Zawsze mogę się przespać u Plum, prawda, aniołku?

- Jasne - odparła, podniecona tą rozgrywką. - Zapewnię nocleg każdemu. Mam podwójne łóżko.

Miała też oddzielny pokój, ale Gil McKenzie nie musiał o tym wiedzieć.

- Miło tu u ciebie - powiedział Justin, gdy wreszcie dotarli na miejsce.

- A ty co myślisz o tej chacie, Gil? - zapytała Plum. - Podoba ci się?

- Widzę tu niezłą forszę, masę forsy.

- I nie mylisz się. Na szczęście nie muszę płacić rachunków z własnej kieszeni.

Justin, który nagle uznał się za bezdomnego, zapragnął mieć również takie mieszkanie.

- Moi starzy jakoś nie palą się, żeby zafundować mi coś takiego. Masz farta, aniołku.

- Mój ojczym kupił je, żeby przy pierwszej okazji sprzedać je z zyskiem - wyjaśniła Plum, a jej oczy zasnuły się smutkiem.

Jej ojczym przy zakupie tego mieszkania kierował się bowiem również dodatkowymi motywami. Po prostu chciał się jej pozbyć z domu.

Publicznie odgrywał rolę kochającego ojczulka. Znajomi chwalili go za troskliwość, jaką otacza pasierbicę, i faktycznie, pod względem materialnym nie mogła narzekać.

Nigdy jednak nie przytulił jej i nie popieścił, jak tulił i pieścił swoje własne córki. I nigdy nie uśmiechnął się do niej w sposób, w jaki uśmiechał się do nich. Różniła się od swoich przyrodnych sióstr, a one różniły się od niej. Były dobre i kochane, ona zaś była tak zwanym trudnym dzieckiem. Ojczym i matka nie kochali jej, ale za to kochali ją mężczyźni. Tracili głowę na jej widok, a jeśli który miał żonę lub dziewczynę, z tą chwilą wyrzekał się jej. Tylko Gil McKenzie zdawał się nie zauważać jej urody.

- Czego się napijemy? - spytała. Szybszy okazał się Gil.

- Nie sądzę, by warto było pić już coś więcej poza mlekiem lub wodą mineralną. Macie dość i powinniście to zrozumieć.

- Sypiesz morałami jak z rękawa, Gil - odpowiedziała, po czym odwróciła się ku Justinowi. - Chodź, Justin, zobaczmy, co jest w barku.

Gil McKenzie rozejrzał się po salonie. Była trzecia nad ranem. Miał przed sobą ciężki tydzień, w którym czekało go masę ważnych spotkań, a tu ni stąd, ni zowąd narzucona mu została rola owczarka, który strzeże zabłąkanej owieczki. Ściślej mówiąc, „owieczka” była nie tyle zabłąkana, co głupia i kompletnie pijana.

Co on tu właściwie robi, u tej Plum, u tej panienci, która zachowuje się jak lolitka? Spojrzał w kierunku fotela, na którym zdążyła już usnąć z podwiniętymi nogami. Wyglądała bardziej na

dziecko niż na dorosłą dziewczynę. Z tym że dziecko nie upija się do nieprzytomności i nie gada o seksie, jakby to była poranna owsianka.

Czy ona i Justin byli kochankami? Być może. Zresztą cóż go to mogło obchodzić. Dobrze choć, że zwaleni przez whisky, nie kochali się na jego oczach. Teraz Justin chrapał głośno na sofie lub coś tam przez sen mamrotał.

- Nie musisz go doglądać. Jest tu całkiem bezpieczny. Gil przeklął w duchu. To ona. A więc nie spała. Okazało się, że był od pewnego czasu obserwowany.

- Nie zabiorę go do domu w takim stanie - stwierdził. Plum wzruszyła ramionami i rozkosznie ziewnęła.

- Więc najlepiej będzie, jeśli zostawisz go tu do rana. Sam natomiast możesz się przespać w drugim pokoju. Jest tam oddzielna łazienka. Mogę nawet pożyczyć ci piżamę i szczoteczkę do zębów. - Uśmiechnęła się czarująco. - Lubię zapewniać moim gościom znośne warunki noclegu.

Jej uśmiech nimfetki i wabiący głos pozostawiły go obojętnym. Patrzył surowo, a na jego ogorzałej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Plum dotknął i podrażnił ów brak spodziewanej reakcji. Nie to, żeby szczególnie zależało jej na Gilu. Prawda była taka, że jedyny mężczyzna, którego pragnęła, był dla niej nieosiągalny, więc właściwie miała wolną rękę...

Gil podniósł się z fotela i podszedł do okna.

Odprowadziła go spojrzeniem.

- Oczywiście, jeżeli martwisz się, że Justin nie wypocznie na tej sofie, to możesz przenieść go do tamtego pokoju, a samemu zostać ze mną.

Odwrócił głowę i zmierzył ją lodowatym spojrzeniem.

- Dzięki, ale nie korzystam z takich okazji. Właściwie powinna była zareagować śmiechem, ale

z jakichś przyczyn zebrało się jej na łzy.

- Źle mnie chyba zrozumiałeś - powiedziała rwącym się głosem.

- Przecież nie proponowałam ci wspólnego seksu. To był tylko żart,

- Dość ryzykowny żart - poinformował ją Gil. - Takie propozycje zawsze są niebezpieczne. Różni bywają mężczyźni i mogłabyś trafić na takiego, który nie licząc się z twoją wolą...

- Który nie licząc się z moją wolą, zgwałciłby mnie. To chciałeś powiedzieć, prawda? Nie obawiaj się, potrafię radzić sobie ze zboczeńcami i frustratami. A co do ciebie, to wydaje mi się, że też jesteś frustratem. A może po prostu dziewicą? Wiem, wiem, dla mężczyzny to niełatwo wyznać kobiecie, że jeszcze nigdy nie robiło się tych rzeczy.

Aż zazgrzytał zębami ze złości.

- Nie jestem ani dziewicą, ani frustratem. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym się trochę przespać.

- Już wiem, jesteś moralistą - wykrzyknęła z taką miną, jakby doznała olśnienia. - Moraliści to zazwyczaj ludzie głęboko wierzący, więc jeśli o to...

Irytacja Gila zmieniła się w zimną wściekłość.

- Czy swoim dziecięcym mózdzkiem nie możesz ogarnąć jednej podstawowej rzeczy? Ludzie to nie zwierzęta, nie kopulują ze sobą przy każdej okazji.

- Rozumiem. Chcesz powiedzieć, że popęd płciowy pozostał u ciebie jedynie w szczątkowej formie. Dokonała się sublimacja i interesują cię tylko cele wyższe. Niestety, dziadzio Freud twierdzi, że to właśnie rodzi frustracje. Ale temu, zapewniam cię, można zaradzić.

Poczuł, że jeszcze chwila, a dostanie ataku furii.

- Nie mam najmniejszych kłopotów z moim popędem płciowym. Choć zapewne nie dorównuje on twojemu.

- Ale ja nie...

Nagle przerwała z otwartymi ustami. Uświadomiła sobie bowiem, zdumiona sobą i sobą przerażona, że była o krok od zdradzenia temu osobnikowi, który traktował ją jak dziwkę i którego szczerze nie znosiła, swego największego sekretu. Czegoś, co nawet przed samą sobą utrzymywała w tajemnicy.

- Dobranoc. Idę spać - oznajmił Gil.

A idź sobie, idź, pomyślała. Nie był w jej typie. Lubiła wysokich, przystojnych i dowcipnych mężczyzn, którzy wiedzieli, co zrobić, żeby dziewczyna poczuła się szczęśliwa. Którzy brali się do dzieła, nie zwlekając, nie nudząc i nie prawiąc morałów. W zamian zaś otrzymywali coś, co pamiętali długo po spędzonej z nią nocy.

Gil McKenzie nie wiedział, co stracił.

Zresztą mniejsza z tym. Ona o to nie dbała. Obnosił się z tymi swoimi cnotami niczym handlarz starzyzną i traktował ją z wyżyn swego autorytetu, jakby był jej rodzicem.

Przebiegł ją dreszcz, więc otuliła się własnymi ramionami. Przeszła do sypialni, rozebrała się i położyła do łóżka. Ale sen nie nadchodził. Zachowanie się wobec niej Gila McKenzie ożywiło zbyt wiele przykrych wspomnień.

Uniosła się na łokciu i wysunęła szufladę nocnej szafki. Wibrator wymagał nowych baterii, w starych jednak pozostało jeszcze dość energii do jednorazowego użycia. Po chwili poczuła rozlewające się po ciele ciepło i ulgę. Z kolei do tych doznań dołączyło się poczucie bezpieczeństwa.

Zacząła masturbować się, gdy miała sześć lat. Pewnego razu matka złapała ją na gorącym uczynku i zareagowała okropnym krzykiem, ona zaś nie rozumiała tej jej reakcji. Dotykała siebie, bo lubiła to robić. Dlaczego ktoś ma unikać rzeczy, które sprawiają mu przyjemność? Wściekłość i wrzask matki wydawały się czymś niepojętym. W rezultacie Plum zaczęła dogadzać sobie jeszcze częściej.

Zamknęła oczy. Jej uda i brzuch lizały już płomienie. Osiągnęła orgazm. Trwało dobrą chwilę, zanim jej oddech wreszcie się wyrównał.

Uspokojona, odwróciła się na bok i gładko ześlizgnęła w sen.

Gil otworzył oczy. W pokoju było niemożliwie duszno. Czuł suchość w gardle. Odrzucił koc. Skrzywił się, przypomniawszy sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru.

Nienawidził wielkomiejskiego życia. Przeklęty Justin. Nic dziwnego, że jego matka niepokoiła się o niego. On, Gil, mógł teraz bez trudu wyobrazić sobie jej reakcję, gdyby synalek przyprowadził do domu kogoś takiego jak Plum i przedstawił ją jako przyszlą żonę. Ciotka zapewne rozchorowałaby się ze zgryzoty.

Plum była typowym produktem współczesnej kultury - ogłupiona przez świat i jego ideologię, zgodnie z którą dowolnie można ustalać normy moralne, a jedynym celem życia jest mnożenie przyjemności, gotowa była spać z każdym, byleby tylko ten ktoś przypominał mężczyznę. Jego, Gila, też zaszczyliła już swoją propozycją.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma. Należało wstać, obudzić Justina i czym prędzej wynosić się stąd.

Wszedł do salonu. Usłyszał donośne chrapanie kuzyna. Drzwi do sypialni Plum były rozwarte na oścież. Zobaczył szerokie łóżko, a na nim zwiniętą w kłębek dziewczynę. Kołdra zsunęła się z jej nagiego ciała, które tylko pewnymi szczegółami różniło się od ciała dziecka.

Nagle jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Gil wszedł i już chciał okryć Plum kołdrą, gdy zobaczył wibrator. Okazywało się, że temu „dziecku” nie wystarczali mężczyźni. Plum była nimfomanką.

Poczuł wstręt, ale nie tylko. Także współczucie, które w sobie odnalazł i które zaskoczyło go i zmieszało.

Dziewczyna obudziła się i teraz patrzyła na niego spod swoich gęstych rzęs.

- I co, namyśliłeś się? Fajnie, poranny seks jest chyba najlepszy.

- Poklepała dłonią materac. - Kładź się, a dam ci słowo, że nie pożałujesz.

Miała przepiękne ciało, zresztą cała była śliczna, musiał jej to przyznać. Ale zarazem jej wnętrze, charakter, postawa odrzucały go od niej. Nie zdarzyło mu się jeszcze, by jakakolwiek dziewczyna czy kobieta wpatrywała się w jego krocze z taką otwartością i z tak łakomym wyrazem twarzy, jak ta Plum.

- Co się dzieje? Rusz się, fujaro. Nie wstydz się, jeżeli jeszcze nie stwardniałeś. Pozostaw to mnie.

Gil bez słowa odwrócił się i wyszedł z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Plum jęknęła. Ten wieśniak był bez wątpienia impotentem. Inaczej nie umiała wytłumaczyć sobie jego zachowania. Szkoda, bo dzień mógł się zacząć całkiem przyjemnie.

Usłyszała za drzwiami męskie głosy. To rozmawiali ze sobą Justin i Gil. Pętaki! Tylko Bram się liczył. Tylko Bram był prawdziwym mężczyzną.

A teraz jakaś kobieta chciała jej zabrać Brama. Czy Jay wiedział już o niej?

- Czy coś nie tak? - zapytał Oliver St Charles, widząc pionową zmarszczkę na czole córki, która czytała otrzymany właśnie list.

- W zasadzie nie mogę się uskarżać. Brampton Soames zgodził się ostatecznie na rozmowę ze mną. Postawił jednak pewien warunek. Mam najpierw zostać poddana wstępnej obróbce przez jego pracowników, którzy mogą postawić weto, jeśli uznają, że swoimi pytaniami postawię ich szefa w trudnej sytuacji.

- A postawisz? - zapytał Oliver z rozbawieniem w głosie.

Fate złożyła list i schowała go do koperty.

- To zależy. Dobrze wiesz, o co mi chodzi, tato. Chciałabym rzetelnie odpowiedzieć sobie i innym na pytanie, czy finansowy sukces i związana z tym władza prowadzą prostą drogą do osobistego szczęścia. Interesuje mnie twórca fortuny i najbliższa jego rodzina.

- Cóż, będziesz musiała założyć, że odpowiedzi, które otrzymasz, będą szczerze i uczciwe.

- Niekoniecznie. Mam zdolność krytycznego myślenia i jestem w stanie formułować własne sądy.

- Oby tylko nie zaważyły na nich zbyt twoje uprzedzenia - przestrzegł ją ojciec.

Zrobiła żartobliwie nadąsaną minkę.

Miała dwadzieścia jeden lat i jak na ten stosunkowo młody wiek była wyjątkowo dojrzałą osobką. Jej stateczność i poczucie realizmu wyróżniały ją z grona rówieśników. W odróżnieniu od swoich

koleżanek i kolegów nie spieszo jej było opuścić dom rodzinny. Studiowała, mieszkając razem z rodzicami i to nie ze względów finansowych - Fate skrupulatnie zasilala domowy budżet ze swojego stypendium - ale ponieważ, jak raz oświadczyła z promiennym uśmiechem, nigdzie i z nikim nie byłoby jej tak dobrze.

Fate, jedynaczkę, łączyło z rodzicami coś więcej niż tylko miłość. Kochali się, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości, ale ponadto lubili i szanowali.

Fizycznie Fate nie była do nich podobna. Mieściła się nawet w całkiem innej palecie barw ze swoimi ciemnokasztanowymi włosami i brzoskwiniową cerą. Kruchą i drobną Caroline, jej matkę, przerosła o głowę, natomiast od tęgiego i zwalistego ojca różniła się delikatnością swojej fizycznej budowy.

Fate błyszczała. Właśnie to słowo nasuwało się najczęściej na myśl Oliverowi, gdy patrzył na swoją córkę. Wówczas przepełniała go duma i miłość. Czuł się dumny z jej osiągnięć na uniwersytecie, ale przede wszystkim radował się jako ojciec jej wspaniałą urodą sprzęgniętą z silną osobowością.

Miał zresztą w tym i swoją zasługę. Od dziecka bowiem wychowywał ją tak, by akceptowała swoją kobiecość, traktowała ją jako cenną wartość i wzbogacała określonymi zaletami duchowymi.

To on wybrał dla niej imię. Caroline, jego żona, nie chciała z początku się na nie zgodzić. Bała się, że rzadkie i raczej wymyślne imię córki może stać się z czasem powodem żartów ze strony jej rówieśników.

Niepokój Caroline okazał się niczym nie uzasadniony. Rówieśnicy Fate wręcz lgnęli do niej. Powszechnie lubiana, dość wcześnie zaczęła dobierać sobie przyjaciół, dbając, by uwzględniać w wyborze przede wszystkim zalety charakteru i intelektu.

Niezależna i pewna w swych przekonaniach, Fate wydawała się wielu chłopcom, a potem mężczyznom, kobietą tyleż trudną do zdobycia, co prowokującą do zdobywania. Łączyło się to z wieloma niebezpieczeństwami, których świadomość spędzała sen z powiek Caroline.

Caroline i Oliver byli wręcz wzorcowym małżeństwem. Kochali się i byli ze sobą szczęśliwi. Caroline pragnęła, by Fate znalazła sobie takiego mężczyznę, z którym zaznałaby tej pełni szczęścia, która była udziałem jej i Olivera. Na razie jednak córka nie śpieszyła się do ołtarza. Miała mnóstwo przyjaciół i prowadziła bardzo aktywne życie towarzyskie.

- Dlaczego tak wielu ludzi nie potrafi pojąć, jak ważne jest cieszyć się życiem, a nie tylko je przeżywać? - zapytała raz rodziców.

- Bo być może brak im tej inteligencji, którą ty posiadasz - odparł pół żartem, pół serio ojciec.

- Inteligencja nie ma tu nic do rzeczy - odpowiedziała. - Radość życia można odkryć tylko sercem i intuicją. Inaczej nasze życie niewiele będzie się różniło od egzystencji kurczaków w nowocześnie zorganizowanych brojlerniach.

- Niektórzy czerpią szacunek dla samych siebie z osiągnięć w płaszczyźnie zawodowej - powiedział Oliver. - W pracy odkrywają cel swojego życia.

- Tak, wiem, ale praca to przede wszystkim aktywność w sferze materialnej. I taki jest właśnie ten nasz świat: liczą się w nim przede wszystkim wartości materialne. Człowiekowi od dziecka wpaja się, że najważniejszy jest sukces. Rozwój duchowy traktowany jest jako mniej ważny. Tego właśnie problemu dotyczy moja tegoroczna praca. Powiązania duchowości ze statusem materialnym człowieka. Czy materialne bogactwo ubogaca ludzi wewnątrz? Innymi słowy, czy czyni ich szczęśliwymi. Mam co do tego poważne wątpliwości.

- Zweryfikujesz je lub nie, gdy uda ci się spotkać i porozmawiać z tymi wytypowanymi osobami - powiedział Oliver.

Fate wytypowała około dwudziestu osób, które w powszechnej opinii osiągnęły sukces i bogactwo. Pięć z nich odpowiedziało negatywnie, to znaczy pod tym czy innym pretekstem nie zgodziło się na rozmowę. Brampton Soames okazał się pierwszym, który w zasadzie gotów był poświęcić jej swój cenny czas.

Matka nie podzielała entuzjazmu Fate. Sceptycznie wyraziła się o szansach córki dotarcia do samego Soamesa.

Na Fate podziałało to niczym zimny prysznic. Przypomniała sobie rozmowę ze swoim profesorem.

- Właściwie to co chcesz osiągnąć? - zapytał, nabijając fajkę. - Pragniesz podkopać fundamenty świata, w którym tak czy inaczej będziesz musiała żyć? To nie przyczyni ci popularności.

- Nie zależy mi na niej. Chcę tylko...

- Przewrócić wszystko do góry nogami. Udowodnić, jaka jesteś mądra - rzekł z błyskiem ironii w oczach.

Fate zrezygnowała z dalszej dyskusji z tym człowiekiem.

Wiedziała, co leży u podstaw jego niechętej wobec niej postawy.

Jakiś czas temu zaproponował jej łóżko, ona zaś z miejsca skreśliła tę jego propozycję, jakby była ona ortograficznym błędem. Profesor nie ponowił prób, jasne jednak było, że nie należał do mężczyzn, którzy przechodzą do porządku nad tego rodzaju porażkami.

Fate podsumowała całe to wydarzenie wzruszeniem ramion.

Podziwiała wiedzę i dorobek naukowy profesora, ale zarazem unieważniała go jako człowieka i mężczyznę.

Powiedziała wtedy do ojca:

- Dla lepszych stopni nie poszłabym do łóżka nawet z samym Einsteinem.

Oliver, rzecz jasna, bardzo się przejął tym incydentem. Do głowy mu dotąd nie przyszło, by kadra profesorska mogła w ten sposób wykorzystywać swoją uprzywilejowaną pozycję.

Fate rozczuliła jego naiwność. Mieszkali na przedmieściach Oksfordu i ojciec zawsze idealizował uczelnię. Traktował uniwersytet jako bastion wszelkich cnót i wartości i był dumny, że jego córka należy do tych, którzy tych cnót i wartości będą przekazicielami i obrońcami.

Konserwatywna postawa ojca nie pozostawała jednak w sprzeczności z jego otwarciem w sprawach seksualnych. On i matka

wyzbyci byli pod tym względem hipokryzji. Respektowali dorosłość i niezależność córki. Gdyby wymagał tego jej temperament, ona, Fate, mogłaby choćby codziennie sprowadzać do siebie mężczyzn, wiedząc, że nie spotka się to ze strony Caroline i Olivera z żadnym potępieniem.

- Seks - powiedziała raz matka - łączy się zarazem z wielką przyjemnością i ogromną odpowiedzialnością. Tylko ty wiesz, co jest dobre dla ciebie. Najgorszą rzeczą, jaką możesz uczynić, to zaprzeczyć swoim własnym uczuciom, zdradzić samą siebie. Masz ciało i to ciało może okazać się dla ciebie źródłem szczęścia. Ale wcale nie musi. Rzecz w tym, żeby umieć połączyć potrzeby zmysłów z potrzebami serca. Oddając swoje ciało mężczyźnie, musisz być pewna, że chcesz tego i pragniesz. - Caroline pogładziła Fate po policzku. - Bądź zawsze dumna z faktu, że jesteś kobietą. Jako kobieta możesz obdarowywać szczęściem, ale też sama czerpać szczęście. Niestety, nie wszyscy podzielają ten punkt widzenia. Są kobiety, które tłumią pragnienie rozkoszy, i są mężczyźni, którzy oczekują od nich takiej postawy. Strzeż się tych ludzi. Nie daj sobie narzucić niczego, co ograniczałoby cię i fałszowało.

Dopiero teraz, jako dorosła już osoba, Fate mogła w pełni zrozumieć i docenić rady matki. Zresztą oboje rodzice wpoili w nią szacunek dla samej siebie i świadomość konieczności obrony własnej wolności przed zakusami świata. Toteż zanim Fate pozwoliła swojemu pierwszemu chłopcu „na wszystko”, dobrze wiedziała, co powinna ofiarować, a co otrzymać.

Ona i Nick, jej pierwsza miłość, byli szczerze i bezgranicznie w sobie zakochani, zaś młodość przesycała ich związek tym szczególnym idealizmem, który doznania zmysłowe podnosi do rangi doznań duchowych. Doświadczyli ze sobą wszystkiego, tyleż śmiechu, co rozkoszy, i dobrze im było ze sobą.

Kiedy więc powiedziała mu, że między nimi koniec, Nick przyjął to z niedowierzaniem. Kochał ją i zbuntował się. Chciał się z nią ożenić. To było cztery lata temu. Po jakimś czasie przypadkowo spotkała go na początku roku na terenie uczelni. Z chłopca stał się mężczyzną. Doskoczył do niej i serdecznie pocałował w usta.

Spędzili ze sobą całe popołudnie, wspominając dawne czasy i dzieląc się ze sobą planami na przyszłość.

Pod koniec wieczoru Nick ujął i pogładził jej dłoń.

- Miałaś rację - powiedział. - Należało skończyć tę przygodę, rozstać się i dorosnąć, by w pełni móc zrozumieć to, co się przeżyło. Dobrze nam było ze sobą, prawda?

- Bardzo dobrze - odparła z uśmiechem.

- A może przez pamięć na dawne czasy spędzimy tę noc ze sobą? - zapytał z miną człowieka, który stawia cały swój majątek na jedną z liczb w ruletce.

Uśmiechnęła się, lecz przecząco pokręciła głową.

- Czy jest ktoś w twoim życiu? - zapytał Nick.

- Nie - odparła zgodnie z prawdą.

W ubiegłym roku pojawił się wprawdzie pewien mężczyzna, lecz jego zaborczość skłoniła ją do szybkiego przerwania znajomości.

- Czyżby studia nie pozostawiały ci czasu na miłość? - zapytał Nick z lekką ironią.

- Studia są bardzo ważne. Nie mniejszą wagę przywiązuję jednak do moich przyjaciół.

- Mówisz o przyjaciółach, ale czy spotkałaś już tego jedyne go mężczyznę? - zapytał Nick, a w jego oczach pojawił się cień pożądania.

Perspektywa wydawała się obiecująca. Nick był przystojnym i miłym chłopcem. Poza tym lubiła go. Zachowała o nim jak najczulsze wspomnienie. Nie krył się bynajmniej ze swoimi zachciewajkami i to właśnie stanowiło problem.

- Powiedz mi - zwróciła się raz do swojej przyjaciółki - dlaczego jest tak, że mężczyźni mogą ci mówić o swoich pożądaniach, ale kiedy ty sama to robisz, robisz przerażoną, a co najmniej mocno zdziwioną minę?

- Być może jest to dziedzictwo czasów pierwotnych.

- To znaczy?

- Cóż, nasi męscy przodkowie, jak wiesz, polowali. Tropili i zabijali dzikie zwierzęta. Ale czasami taki niedźwiedź czy inny potwór odwracał się i przechodził do ataku. Dziwiła ich i wciąż dziwiła ta nagła zmiana zakodowanych w podświadomości ról. Przez wieki to oni byli myśliwymi, a my zwierzyną.

Wybuchnęły głośnym śmiechem, aż zwróciło to uwagę otoczenia.

- Co lubisz u mężczyzn? - spytała przyjaciółka, gdy udało się jej opanować śmiech. - Bo ja lubię, gdy są wysocy, mają jasne włosy i umięśnione pośladki.

Fate spojrzała ku niebu z udaną zgrozą.

- Umięśnione pośladki? Tego właśnie szukasz u mężczyzny?

- To dobry punkt wyjścia - broniła się przyjaciółka.

- Być może - zgodziła się Fate. - Lecz ja osobiście...

- Co ty osobiście?

- A, nic już. Dajmy temu spokój.

- Jeżeli dobrze się domyślam, to pragniesz rzeczy niemożliwych. Jesteś perfekcjonistką. Ale mężczyźni nie są tacy, jakimi niektóre z nas ich sobie wyobrażają. Nie są jak my. A my chcemy być pożądane i aprobowane.

Fate nigdy nie zależało na aprobacie ze strony mężczyzn. Tak ją po prostu wychowali rodzice. Była dumna z własnej kobiecości, która poza tym nie wymagała żadnych innych potwierdzeń czy uzasadnień.

- To bardzo ważne, moje dziecko, żeby zrozumieć - powiedziała raz Caroline - że oba sposoby widzenia świata, męski i kobiecy, nie są ze sobą tożsame. Czasami nawet najbardziej inteligentna dziewczyna wpada w pułapkę, sądząc, że na miłosne wyznanie ze strony mężczyzny musi odpowiedzieć dokładnie tym samym.

Matka powiedziała to z jakąś dziwnie smutną miną, a siedzący obok niej ojciec również się zachmurzył. Fate wyczuła napięcie, które nagle pojawiło się między nimi, i cokolwiek się zmieszała. Stała oto przed zagadką, której nie umiała rozwiązać. Wiedziała tylko tyle, że o

ile rodzice jej byli całkowicie otwarci, jeśli idzie o historię ich własnego związku, o tyle wspominając czasy wcześniejsze, byli zazwyczaj bardzo powściągliwi w słowach. Małomówność ta była typowa zwłaszcza dla matki.

Poza tym pomiędzy Oliverem a Caroline było wiele wspólnego. Stracili rodziców, gdy mieli około dwudziestu pięciu lat, i od tamtego czasu, a były to czasy, gdy jeszcze przebywali w Australii, którą opuścili już jako małżonkowie, byli wykorzenieni ze swoich rodzin. Fate czasami myślała sobie, jak to dobrze byłoby mieć ciotki, wujków, dziadków, ale nigdy dłużej nie zatrzymywała się nad tym problemem.

Raz jeszcze przebiegła oczami list od Bramptona Soamesa. Musi zadzwonić i umówić się na rozmowę. Zrobi to jeszcze dzisiaj, tylko trochę później.

- Co tam knujesz? - zapytał ojciec.

- Wyobraź sobie, że nic - odpowiedziała ze śmiechem, po czym wyszła tanecznym krokiem z pokoju.

Fate stanowiła niezwykłą kombinację cudownego wdzięku i pewności siebie. Mężczyzna, którego wybierze, będzie musiał również odznaczać się czymś niezwykłym, pomyślał Oliver. Bywały chwile, kiedy lękał się o swoją córkę. Czasami bowiem przygasał bijący od niej blask szczęścia, ginęła gdzieś pewność siebie i Fate zaczynała sprawiać wrażenie zranionej i zagubionej istoty. Mimo wszystko Oliver kurczowo trzymał się nadziei, że do jego córki uśmiechnie się los i zazna ona w małżeństwie tego samego szczęścia,

jakie było udziałem jego i Caroline. Tyle że Fate tak bardzo różniła się od nich. Jej osobowość...

Gdzieś w głębi domu trzasnęły drzwi, przerywając jego myśli.

- Niby jak mam to rozumieć? - wybuchnął Jay, chodząc nerwowo po gabinecie filmowej wytwórni Bonnie. - Taśma okazała się tak złej jakości, że już nic z nią nie można zrobić?

Dziewięć dni babsko trzymało go w niepewności, albo w ogóle nie odpowiadając na jego telefony, albo udzielając mu wykrętnych odpowiedzi, a teraz raczy go czymś takim!

Jeszcze na dobre nie zaczęły się letnie upały, lecz w studio pracowała już klimatyzacja. Panował więc tutaj miły chłodek, którego on, Jay, jednakże wcale nie wyczuwał. Płonęły mu policzki i niemal dusił się z gniewu.

Bonnie siedziała nieporuszona. Pewnie widok rozwścieczonego faceta, pomyślał, sprawia jej sadystyczną przyjemność. To go jeszcze bardziej rozzłościło.

W istocie Bonnie odczuwała tylko rozbawienie. Gwałtowna reakcja tego młodego mężczyzny jedynie umocniła ją w uprzednio powziętym postanowieniu. Od lat pracowała w tym biznesie i co do pewnych spraw miała wyrobione zdanie. Czasami kierowała się również intuicją i węchem.

Podczas oglądania filmu natychmiast się zorientowała, że po usługę zwrócił się do niej facet, którym bynajmniej nie kierowały żadne zrozumiałe seksualne motywy. Widziała onanizującą się piękną młodą dziewczynę i poczuła do niej iskierkę sympatii. Dziewczyna

jęczała i wiła się na łóżku, lecz równocześnie wydawała się zagubiona i samotna. Co łączyło ją z tym facetem? Bonnie wiedziała, że nie ma najmniejszego sensu zwracać się z tym pytaniem do niego, gdyż udzieliliby jej na pewno kłamliwej odpowiedzi.

- Więc musiałem czekać prawie dwa tygodnie, żeby w końcu usłyszeć, że nic nie da się zrobić? - zapytał, przewiercając ją gniewnym i podejrzliwym spojrzeniem.

- Tego rodzaju usługi są bardzo czasochłonne. Myślałam początkowo, że jakoś dam sobie radę. Oryginalna taśma okazała się jednak trudna w obróbce. No, a poza tym... Niestety, doszło do jej zniszczenia.

- Zniszczenia? - Jay skulił się jak do skoku.

- To czasem się zdarza - odparła Bonnie, nie tracąc nic ze swego olimpijskiego spokoju. - Próbowaliśmy połatać ją i pokleić, lecz rozłaziła się jak stare prześcieradło. Tak to jest, gdy nie używa się do nagrań taśm profesjonalnych.

- W czasie mojej pierwszej wizyty nie było mowy o żadnym ryzyku - powiedział Jay przez zaciśnięte zęby.

Bonnie popatrzyła nań z zuchwałą miną i rozbawieniem w oczach.

- Więc proszę pozwać mnie do sądu.

Jay już od dziesięciu minut szedł ulicą, a wciąż gotował się w środku. To wstrętne babsko zwodziło go, zwodziło, by w końcu oświadczyć mu bezczelnie, iż nie tylko że jego żądania nie zostały spełnione, to nadto stracił oryginalną taśmę.

„Takie rzeczy się zdarzają”, miała mu czelność powiedzieć. Mógłby założyć się o milion dolarów, że zrobiła to celowo. I cóż z tego, kiedy i tak miał związane ręce. Przecież nie pójdzie do sądu i nie zacznie się procesować.

Zazgrzytał zębami w bezsilnym gniewie. Najpierw nieugiętość ojca w sprawie z Japończykami, a teraz ta niespodzianka. Cholerne szczęście!

Nic go już właściwie nie trzymało w Nowym Jorku. I tak przedłużył swój pobyt, a zaniepokojony Bram z pewnością lada chwila zadzwoni do hotelu i zacznie domagać się wyjaśnień.

Nauczył się tej sztuczki, będąc jeszcze chłopcem. Zamykał się w sobie i wycofywał do swojego pokoju, by tym sposobem zmusić ojca do kajania się, przymilania i chodzenia na paluszkach.

Nie zdarzyło się, żeby nie osiągnął zamierzonego celu.

Tym razem jednak ojciec milczał dziwnie długo. Właściwie już dawno powinien był zainteresować się, jakie to sprawy zatrzymują Jaya w Nowym Jorku. Tym bardziej, że zbliżały się osiemnaste urodziny Plum, do których z racji chociażby swej roli chrzestnego przywiązywał ogromną wagę.

Zaniepokojony, Jay przyśpieszył kroku.

- Co to ma znaczyć, że pan Soames jest nieosiągalny? - spytał gniewnym głosem, nie rozpoznając głosu kobiety, która odebrała telefon.

Gdzie była Marcia, sekretarka ojca? Spojrzał na zegarek.

- Proszę posłuchać. Jeśli jest na zebraniu zarządu, to niech pani...

- Nie jest na zebraniu.
- Więc gdzie, do cholery?! - Jay ryknął w słuchawkę.
- Pozostaje jeszcze dom...
- Nie ma go w domu. - Głos sekretarki nabrał płaczliwych tonów. - Pan Soames jest teraz z panną Fielding i dał mi jasne instrukcje, żebym nie łączyła go z nikim.

Jayowi dosłownie odjęło mowę. Nie leżało dotąd w zwyczaju ojca wydawanie sekretarkom tego rodzaju poleceń. Zaliczał się do biznesmenów, pozostawiających siebie do dyspozycji i zawsze otwartych na kontakt z drugą stroną. I kim była, do diabła, ta panna Fielding?

Jay poczuł, że zaczyna się pocić. Wyjął chusteczkę, wytarł nią czoło i zwilgotniałe dłonie. Zabrzmiały mu w uszach słowa Heleny, zasłyszane wiele, wiele lat temu: „On musi zrozumieć, Bram, że są jeszcze inni ludzie w twoim życiu, których cenisz, szanujesz albo nawet kochasz...”

- Dobrze. A teraz proszę mnie uważnie wysłuchać - powiedział głosem pełnym groźby i gniewu. - Chcę rozmawiać z ojcem i chcę rozmawiać z nim natychmiast. Nic mnie nie obchodzą instrukcje, jakie pani wydał. Może pieprzyć sobie tę pannę Fielding, ale musi zejść z niej na chwilę, wziąć słuchawkę i porozmawiać ze mną, jasne?

Po drugiej stronie rozległ się stłumiony jęk, po którym zapadła głucha cisza. I gdyby Jay miał zdolność widzenia tego, co działo się w odległości setek kilometrów od Nowego Jorku, zobaczyłby za biurkiem w sekretariacie ojca dość ładną, młodą kobietę, której twarz

wyrażała w tej chwili gamę najsprzeczniejszych uczuć. Dziewczyna była namiętną czytelniczką romansów i stąd skłonna do snów na jawie. Znała z widzenia młodego Soamesa i zdążyła już zakochać się w nim miłością idealną, pozbawioną złudzeń co do szans przełożenia jej na jakieś konkretne wydarzenia w jej życiu. Ale właśnie dlatego, że uwznioślała i idealizowała dotąd obiekt swych uczuć, wulgarne słowa Jaya spowodowały w niej wstrząs i bezgraniczne rozczarowanie. Zganiła siebie w duchu za swoją głupią naiwność i zamiast przeprosić i natychmiast przełączyć Jaya na aparat ojca, skrzyżowała zabobonnie palce prawej dłoni i rzuciła drewnianym głosem:

- Przykro mi, panie Soames, lecz pański ojciec powiedział wyraźnie, że bym nie przeszkadzała mu pod żadnym pozorem... Żadnym - powtórzyła i bezzwłocznie odłożyła słuchawkę na widelki.

Mogła pogratulować sobie mądrości i sprytu. Właściwie już w tej chwili powinna zacząć szukać innej pracy. Spaliła za sobą wszystkie mosty i bez wątpienia pierwszą rzeczą, jaką uczyni Jay po swoim powrocie, będzie skarga na nią u szefa, co z kolei pociągnie za sobą wręczenie jej wymówienia.

A jednak gdyby sytuacja miała się powtórzyć, postąpiłaby dokładnie tak samo. Nie miał prawa odzywać się do niej w ten sposób. Pomijając już fakt, że swą wulgarną sugestią obraził również dwie inne osoby.

Tymczasem w Nowym Jorku Jay patrzył na trzymaną w dłoni słuchawkę niczym na śmiertelnego wroga. Mięśnie jego szczęk pulsowały, a z oczu wyczierała wściekłość i nienawiść.

Głupia dziwka! Gdy wróci, zajmie się nią i będzie to z pewnością najgorszy dzień w jej życiu.

Panna Fielding. Nazwisko to nic mu nie mówiło. Musiała pojawić się przy ojcu po wyjeździe do Nowego Jorku, gdyż inaczej na pewno wywęszyłby ją. Tak jak wytropił wszystkie kobiety, które w swej naiwności lub pysze chciały stanąć pomiędzy nim a Bramem. Żadnej z nich nie powiodło się i ta również poniesie klęskę.

Próbował ją sobie wyobrazić. Pewnie jakaś wypacykowana wywłoka, która zwiedziła się o pieniądzach Brama i zapragnęła część z nich uszczknąć dla siebie. Ale on, Jay, przytłucze jej te polakierowane paznokietki.

A swoją drogą, Bram sprawił mu nieliczną niespodziankę. Od lat nie interesował się kobietami, aż tu nagle „żadnych telefonów, gdy jestem z panną Fielding”...

W jego wieku...

Przypomniał sobie słowa Nadii, która bynajmniej nie odbierała Bramowi szans na żeniączkę i płodzenie dzieci.

Jay poczuł dziwny chłód w okolicy serca. Stanowczo zbyt długo przebywał poza domem. Połączył się z recepcją i kazał zarezerwować dla siebie bilet na najbliższy lot do Londynu.

- Taylor, dobrze, że jesteś. Chodź i spójrz na to.

Bram chwycił Taylor za rękę i podprowadził do biurka. Na jego twarzy malowało się podniecenie. Przypominał małego chłopca, który dokopał się w piaskownicy do dzbanka ze złotymi monetami.

Zazdrościła mu tej dziecięcej radości. Sama czuła się stara i zmęczona, absolutnie niezdolna dzielić z nim jego entuzjazm. Ta różnica w nastroju i w ogóle w postawie wobec życia wydawała się jej w tej chwili czymś nieusuwalnym.

Znali się dopiero od dwóch tygodni, ale szczególny charakter ich współpracy wymusił na nich owo intymne porozumienie, które jeśli nie było darem, to przynajmniej miłą niespodzianką. Wiedziała, że w innych okolicznościach na tego rodzaju bliskość i intymność musieliby czekać całymi miesiącami, jeżeli nie latami.

W przeciągu tych dwóch tygodni Taylor przekonała się, że obcując z Bramem, ma do czynienia z człowiekiem szlachetnym, wielkodusznym i wspaniałomyślnym. Pod tym względem czuła się dużo, dużo gorsza od niego. Ją przede wszystkim ukształtował wieloletni strach oraz związana z nim potrzeba zabezpieczania się i samoobrony.

W tej chwili myślała jednak nie tyle o licznych i oczywistych przymiotach charakteru Brama, co o pewnych innych, niestety, raczej nieprzyjemnych rzeczach.

- To jest tłumaczenie naukowego artykułu, który ukazał się niedawno w pewnym niemieckim kwartalniku medycznym - wyjaśnił Bram, zbierając porozrzucane na biurku kartki papieru. - Można znaleźć w nim potwierdzenie sensowności wszystkiego, nad czym obecnie pracujemy a co za tym idzie, wsparcie dla naszych wysiłków i starań To bardzo ważne, Tay.

Tay. Już od tygodnia zwracał się do niej w ten ciepły i poufaly sposób. Nikt przed nim, uwzględniając nawet jej najbliższe koleżanki w pracy, nie używał dotąd skróconej formy jej imienia. Pobrzmiwała w tym zdrobieniu słodka zmysłowość Dalekiego Wschodu, pulsowała tkliwość, która wiodła ją do skraju rozpacz.

Próbowała skupić się na jego słowach, ale był upalny dzień, rozgrzane powietrze wdierało się przez uchylone okno i Bram zrobił pewne ustępstwo na rzecz swobód) i lepszego samopoczucia - rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli. Widziała żłobioną kolumnę jego mocnej szyi, a w rozchyleniu materiału cień owłosienia. To wystarczyło, by jej zdolność koncentracji spadła do jakiegoś żałosnego minimum.

- Gdy przeczytałem ten artykuł, chciałem natychmiast wsiadać do samochodu i pędzić do ciebie. Przypomniałem sobie jednak, jak zazdrośnie strzeżesz własnej prywatności. Postanowiłem zaczekać. Lecz skoro już doczekałem się ciebie, nie dziw się, że od razu narzucam ci tę lekturę Znajdziesz tutaj naukowe potwierdzenie wszystkich naszych intuicji.

Stała tak blisko Brama, że czuła ciepło bijące od jego ciała. Gorzej, odczuwała przyciąganie, któremu musiała opierać się całą swoją wolą.

- Pozwól choć, że zdejmę zakiet - powiedziała, a jej głos zabrzmiał oschle, jakby była staroświecką nauczycielką strofującą niegrzecznego ucznia.

Wiedziała, że odgrywa tu tylko pewną rolę. Rolę osoby broniącej się przed wszystkim, co w tej chwili wypełniało jej wnętrze.

Już pod koniec pierwszego tygodnia znajomości z Braniem uświadomiła sobie, że zachodzą w niej liczne istotne przeobrażenia. Powinna była wtedy położyć temu kres, to znaczy powiedzieć Bramowi, że wycofuje się, on zaś niech szuka sobie kogoś innego do pomocy.

Nie zrobiła tego. Okazała się zbyt słaba.

W odruchu samoobrony zaczęła sobie tłumaczyć, iż jest rzeczą niemożliwą, żeby po dwudziestu latach utrzymywania się w ryzach nagle, niemal w przeciągu jednej godziny, mogła przestać siebie dyscyplinować i otworzyć się na zalew erotycznych pragnień. A jednak niemożliwe stało się możliwym, gorzej, bo stało się faktem. Ostatnio bowiem zdarzały się noce, w trakcie których śniła tylko o Bramie, a gdy budziła się spocona i zalana łzami, wciąż miała pod powiekami jego twarz i postać.

Przerażenie sobą, wstręt do samej siebie, dręczące poczucie winy - wszystkie te doznania określały w ostatnich dniach jej życie. Codziennie kładła się do łóżka z mocnym postanowieniem, że

następnego dnia porozmawia z sir Anthonym i wycofa się z umowy. Nastawał jednak ranek, wyskakiwała z łóżka i jedyne, co w sobie odnajdywała, to podniecenie na myśl o czekającym ją spotkaniu z Bramem.

Zupełnie jakby wróciły dawne czasy, gdy przepadała za górską kolejką w wesołym miasteczku, której wagonik leciał w przepaść, by później jakimś cudem wydźwignąć się ku górze i utrzymać na szynach. Czy teraz również nastąpi ów cud? Czy też może tym razem pochłonie ją przepaść?

Zdjęła zakiet i rzuciła go na oparcie krzesła. Usiadła i próbowała skupić się na lekturze artykułu. Słowa jednak zlewały się ze sobą i zaledwie mogła uchwycić ich sens. Tak dalej być nie mogło. Prędzej czy później Bram zauważy jej nienaturalne napięcie i domyśli się wszystkiego. Nie zwiedzie go na dłuższą metę. Był na to zbyt inteligentny, zbyt spostrzegawczy i zbyt wrażliwy.

Przez szereg lat przekonywała samą siebie, że posiada dość siły i duchowego hartu, by godnie przeżyć życie w samotności, ukrywając przed innymi swój strach i swoją winę. I jeśli czasami zazdrościła innym kobietom ich całkiem odmiennego losu, dzieci, mężów i ognisk domowych, to z miejsca neutralizowała ową zazdrość szczerą odpowiedzią na bardzo proste pytanie. Pytanie brzmiało: dlaczego nie może być do nich podobna? A odpowiedź na nie znała na pamięć: ponieważ zaistniały pewne szczególne okoliczności, nad którymi nie posiadała żadnej kontroli. I ponieważ nie spotkała dotąd mężczyzny, który wzbudziłby w niej tęsknotę za szczęściem.

Aż w końcu, gdy miała już prawie czterdzieści lat, taki mężczyzna stanął przed nią.

Zawiesiła wzrok na widocznym pod tekstem imieniu i nazwisku niemieckiego naukowca.

- I co? Nie sądzisz, że artykuł ten może nas tylko utwierdzać w decyzji o rozpoczęciu badań nad tym programem? - zapytał Bram.

- Tak mi się wydaje - odparła bez śladu entuzjazmu w głosie i na twarzy.

Bram nie krył swojego rozczarowania.

- Mam wrażenie, iż nadal uważasz, że wszystko to jest stratą czasu. Pomagasz mi pod przymusem. A ja miałem nadzieję...

Odwróciła głowę. Złękła się, że za chwilę jej twarz stanie się lustrzanym odbiciem jej duszy.

Bram, rzecz jasna, zauważył, że Taylor próbuje ukryć coś przed nim, i zrobiło mu się przykro. Okazało się, że łącząca ich dotąd zażyłość jest jeszcze zbyt krucha, by wytrzymać poważniejszą próbę. Taylor mogła śmiać się z jego żartów i z zaciekawieniem słuchać jego wyznań dotyczących planów na przyszłość, lecz nigdy dotąd nie otworzyła się przed nim całkowicie i bez reszty. Wciąż zachowywała ów charakterystyczny dla siebie ostrożny dystans, który zdawał się być nieodłączną cechą jej osobowości. A przecież on potrafił rozróżnić pomiędzy skorupą a jądrem, pozorem i rzeczywistością. Zbierał dowody, które mówiły mu, że nie tylko on odczuwa fizyczne i psychiczne przyciąganie podczas tych debat na temat pionierskiego programu komputerowego.

- Myślałem, Tay, że w stosunkach ze sobą porzucimy grę i będziemy mówić do siebie językiem prostym i bezpośrednim - powiedział cichym głosem.

Taylor zamknęła tylko oczy i zacisnęła usta, by zdusić wzbierającą w niej rozpacz.

Boże, gdyby on wiedział! Szczerłość i bezpośredniość w stosunkach z mężczyzną, jakimkolwiek mężczyzną, była jej zabroniona. Nie mogła sobie na nią pozwolić, jeśli nie chciała zniszczyć własnej osobowości, wymazać szacunek dla samej siebie, zburzyć wszystko to, co z takim trudem dotąd zbudowała. Oto dlaczego wybrała takie życie.

- Co się stało? - zapytał z niepokojem w głosie.

- Nic, wszystko w porządku - odrzekła, odwracając głowę.

Posunąłem się za daleko, pomyślał Bram. Zbyt mocno ją naciskam. Co sprawia, że w kontaktach z ludźmi Tay kuli się w sobie i drży ze strachu?

Była dla niego prawdziwą zagadką. Nie znał nikogo, kto byłby równie wyobcowany z ludzkiej społeczności. Czy miało to jakiś związek z tragiczną śmiercią jej rodziców? Być może, fatalne skutki osierocenia mógł przecież poznać z bliska na przykładzie Jaya.

Taylor w końcu udało wziąć się w garść.

- Badania Niemców potwierdzają słuszność twoich hipotez — powiedziała. - Ale co innego warunki laboratoryjne, a co innego realny świat.

- Wiem o tym - przyznał Bram, uznając, że kierowanie rozmowy na bardziej osobiste tory byłoby decyzją przedwczesną i ryzykowną.

W płaszczyźnie intelektualnej dochodziło między nimi do pełnego porozumienia. W płaszczyźnie duchowej i fizycznej widział same szczeliny i przepaście. Ciekaw był jej reakcji, gdyby na przykład pogładził ją po włosach, rozprostował podwinięty kołnierzyk jej bluzki lub wręcz powiedział, jak bardzo ją pożąda. Czyż zresztą miał udawać przed sobą, że w grę wchodzi tu różnorodne warianty? Bardzo dobrze wiedział, jak Taylor zachowywałaby się we wszystkich tych sytuacjach. Zobaczyłby jej plecy, a potem usłyszałby trzaśnięcie drzwiami. Mógł tego być równie pewnym, jak tego, że po sobocie następuje niedziela.

- Chyba jednak nie jest znów takie ważne - powiedziała - co udowodnili Niemcy. Sama słyszałam, że szanse realizacji projektu oceniasz dość pesymistycznie.

- Faktycznie, nie byłem najlepszej myśli, ale po lekturze tego artykułu spędziłem cały weekend na pracy i wydaje mi się, że do czegoś doszedłem. Nie wierzysz? - zapytał, widząc powątpiewanie w jej oczach. - W takim razie pojedź ze mną do domu, a pokażę ci dowód.

Pojechać do jego domu. To w ogóle nie wchodziło w rachubę. Nie mogła kusić losu.

- Ja... - zaczęła, ale z miejsca jej przerwał.

- Zabierze ci to najwyżej godzinę, a potem odstawię cię pod same drzwi twojego mieszkania. Naprawdę chciałbym, żebyś to

zobaczyła. Daleko jeszcze do końca, lecz mimo wszystko coś już mam, coś konkretnego. Jeżeli natomiast idę w złym kierunku, to powiesz mi o tym. Doceniam twoją pomoc, Tay. Jesteś dla mnie wsparciem, a na szczęście bywasz też w zdrowy sposób sceptyczna. Nie marnujmy czasu. Nie tylko naszego, ale też czasu innych ludzi. A także ich nadziei.

Taki właśnie jest Bram, pomyślała. Pokorny, skromny, nastawiony życzliwie do świata i ludzi. I jak tu nie kochać kogoś takiego?

Raz jeszcze zawojował ją i raz jeszcze mu uległa. Wstali od biurka i skierowali się ku drzwiom.

- I co o tym sądzisz?

Bram w tej chwili przypominał bardziej nieśmiałego i zaniepokojonego czymś chłopca niż człowieka sukcesu, którym był w istocie.

- Uważam, że jest to bardzo dobre.

- Naprawdę? - Ucieszył się. - Gdybym nie znał cię tak dobrze, Tay, pomyślałbym, że próbujesz mi pochlebić. Mamy za sobą początek, ale przed nami jeszcze długa droga. Nie myśl więc, że pozbędziesz się mnie tak szybko. Długo jeszcze będzie mi potrzebna twoja pomoc.

Taylor poczuła, że się rumieni.

- Teraz ja mam prawo podejrzewać cię o pochlebstwa - powiedziała głosem, którego mimo najszczerzych chęci nie udało się jej uczynić chłodnym i pełnym rezerwy.

- Nawet o tym nie myśl. Nie bawię się w tego rodzaju gierki. Zresztą jesteś zbyt inteligentna, by miało sens karmić cię pochlebstwami. A więc naprawdę sądzisz, że uczyniliśmy krok do przodu?

Czyżby Bram próbował z nią flirtować? A może ten ślad czułości w jego głosie był tylko tworem jej wybujałej wyobraźni?

Nie były to wszystkie pytania, które Taylor sobie zadała. Godzina bowiem, do której miała się ograniczyć jej wizyta w domu Brama, rozciągnęła się do trzech godzin. W czasie tym Taylor zapoznała się pobieżnie z rozkładem i umeblowaniem wnętrza na parterze, wypła kieliszek czerwonego wina, zjadła trochę omletu z szynką i nawiązała bliższy kontakt z podwórzowym kotem, Augustem, którego Bram adoptował niedługo po wprowadzeniu się do swej londyńskiej rezydencji. Lecz zarazem były to godziny nie słabnącego ani na chwilę napięcia i wzmożonej czujności. Widocznie nie było jej dane poczuć się w towarzystwie Brama swobodnie i beztrąsko, chociaż gospodarz nie ponosił za to żadnej winy.

Zdumiała ją i zaskoczyła ilość fotografii w salonie. Oprawione w ramki, stały prawie na wszystkich meblach i zapełniały wolne miejsca na ścianach. Przedstawiały głównie Jaya. Prezentował się na nich w różnych fazach swojego rozwoju. Pulchny bachorek wyrastał na chudego jak tyka młodzieńca, a ten z kolei przemieniał się w olśniewającego swoją urodą mężczyznę. Ale widać też było zdjęcia rodziców Brama, jego uniwersyteckich przyjaciół, chrześniaczki i jej rodziców, a nawet matki Jaya.

Duże francuskie okno łączyło salon z ogródkiem. Bram uparł się, żeby pokazać jej kwiaty.

- Powąchaj tę różę - powiedział, gdy wyszli na zewnątrz. - Nie mogę pojąć, po kiego licha ludzie sadzą róże, które nie pachną. Jestem pod tym względem zdeklarowanym tradycjonalistą.

Ona, Taylor, też była tradycjonalistką, ale w tej chwili myślała o czymś zupełnie innym.

- Minęła dziesiąta, muszę już iść - powiedziała, czując, że brutalnie ucina nić, którą Bram snułby bez końca.

Zareagował, jakby właśnie obudził się z hipnozy.

- Wybacz, rozgadałem się. Godziny spędzone z tobą są jak sekundy.

Mówiąc to, popatrzył na jej usta, ona zaś zadała sobie zdecydowanie kokieteryjne pytanie, czy gdyby pociągnęła je dziś pomadką, wyglądałyby ładniej i ponętniej.

W zasadzie unikała makijażu. Tylko czasami, od wielkiego dzwonu, idąc na przykład do opery lub do filharmonii, robiła sobie „oko”. Ust nie malowała.

- Pójdę i wyprowadzę samochód z garażu-powiedział Bram.

Odwrócił się i oddalił szybkim krokiem. Czy Tay domyślała się, jak bardzo jej pożądał? Czy w ogóle miała pojęcie, jak niewiele brakowało, by wziął ją w ramiona i obsypał pocałunkami? Dziwne, podbiła go kobieta, która z największą chęcią uciekłaby od niego, gdyby tylko dał jej wolną rękę.

Świadom tego wszystkiego, tym goręcej jej pragnął. Przedmiotem jego pragnień było, ma się rozumieć, jej ciało. Ale nie tylko. Odczuwał potrzebę dotarcia do jej istoty, do głębi jej duszy. Dopiero taką Taylor, istotę i cielesną, i duchową, pragnął ogarnąć.

Jechali ulicami tonącego w świetlistych reklamach miasta, a Taylor wciąż mówiła i mówiła. Jakby dopiero teraz, gdy perspektywa rozstania stała się realna i bliska, przestała się bać i rozluźniła. Opowiadała mu dosłownie o wszystkim, o ciekawych filmach, które widziała, i o ulubionych obrazach w National Gallery. O swoich spacerach alejkami Hyde Parku i o podziwieniu i szacunku, jakim darzyła królową.

Bram słuchał i milczał. Czy czasami nie zagalopował się za daleko, zakochując się w tej kobiecie? Przecież jego uczucie, jak widać, wcale nie gwarantowało mu wzajemności z jej strony.

Coś jednak chyba czuła do niego, skoro, widział to i zgadywał, toczyła ze sobą nieustanną walkę. Broniła się przed czymś, co mogło być zakochaniem, choć wcale nie musiało. Ale jak miał dotrzeć do prawdy, nie ryzykując zarazem utraty wszystkiego?

Skreślił w ulicę, przy której mieszkała. Już z daleka zobaczyli światła dwóch wozów policyjnych. Przy jednym z nich stał umundurowany policjant i rozmawiał z drobną siwowłosą staruszką.

- To pani Brearton, moja sąsiadka - powiedziała Taylor i nagle jej twarz stała się śmiertelnie blada.

W tym samym bowiem momencie starsza pani odwróciła się, dostrzegła samochód Brama i wskazała nań ręką policjantowi. Nie, nie wskazała samochodu, tylko ją, Taylor!

Bram zgasił silnik. Policjant podszedł i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Czy panna Taylor Fielding? - Taylor skinęła głową. - Przykro mi, ale do pani mieszkania dostał się włamywacz. Gdyby więc zechciała pani pójść ze mną...

- Nie!

Taylor skuliła się w fotelu, a jej twarz skurczyła się ze strachu. Jej rozbiegane spojrzenie szukało jakiegoś punktu zaczepienia.

- Nie mogę tam pójść!... Nie mogę... Nie pozwólcie mu zrobić mi krzywdy... Nie mogę.

Jej głos wzniosł się do histerycznego pisku. Bram nie wyobrażał sobie dotąd, że aż tak można się bać.

- Wszystko w porządku, Taylor - zwrócił się do niej najłagodniej, jak umiał. - Nic ci w tej chwili nie grozi. Włamywacz, ktokolwiek nim był, na pewno już uciekł. Czyż nie mam racji? - zapytał, oczekując wsparcia ze strony policjanta.

Otrzymał je.

- Tak. Udało mu się uciec - potwierdził mundurowy. -

Przyjechaliśmy pół godziny temu, zaraz po otrzymaniu wezwania od jednego z sąsiadów. Sierżant z wydziału śledczego przesłuchuje już mieszkańców. Może pani się czuć absolutnie bezpieczna - zapewnił

Taylor, po czym zwrócił się do Brama: - Czy mógłbym zamienić z panem słówko, sir?

- O co chodzi? - zapytał Bram, gdy znaleźli się przy wozie policyjnym.

- Pańska znajoma sprawia wrażenie mocno podenerwowanej. Dobrze byłoby zapewnić jej opiekę. Przynajmniej na dzisiejszą noc. Ten włamywacz nie zadowolił się przeszukaniem mieszkania. Narobił tam niezłego bałaganu. Jest jeszcze jedna rzecz. Zachował się... w szczególny sposób. Niektórzy z nich robią to, gdy właścicielką mieszkania okazuje się kobieta. Rozumie pan, o czym mówię?

Bram spojrzał w kierunku zaparkowanego nieopodal swojego samochodu. Taylor uspokoiła się, jednak jej spokój miał w sobie coś ze śmiertelnego odrętwienia.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł szorstko, prawie opryskliwie, po czym natychmiast pożałował swojego zachowania.

Policjant, młody jeszcze mężczyzna, zmieszał się.

- Chodzi o jej ubranie, konkretnie - bieliznę osobistą. To musiał być jakiś kopnięty fetyszysta. Nie chciałbym, żeby moja żona wróciła po pracy do domu i zobaczyła swoje majtki w takim stanie. Poza tym ten zboczeniec szukał chyba forsy na narkotyki. Profesjonaliści nie pozostawiają po sobie takiego bajzla. O wizycie zawodowca świadczy niekiedy tylko wyłamany zamek u drzwi. Czy ta pani ma jakąś rodzinę, u której mogłaby się zatrzymać przez kilka najbliższych dni?

Bram podjął decyzję w jednej sekundzie.

- O ile wiem, nie ma żadnej rodziny, lecz jest to akurat nieistotne. Zamieszka u mnie.

- To dobrze. Proszę jednak o pozostawienie nam swoich danych. I nie byłoby źle, gdyby zamienił pan kilka słów z detektywem skierowanym do tej sprawy. Znajdzie ją pan w mieszkaniu panny Fielding. - A widząc, że Bram nie do końca wszystko pojmuje, dodał:

- Detektyw jest kobietą. W policji pracuje dużo kobiet.

Bram znowu spojrzał na Taylor. Wyglądała, jakby była w transie. Najmniejszych oznak życia, tylko ciągle ta straszna nieruchomość.

- Zostanę z panną Fielding, sir - powiedział policjant, zgadując i rozumiejąc jego wahanie. - Niektórzy ludzie reagują na wieść o włamaniu prawdziwym szokiem. Szczególnie ci, którzy, jak panna Fielding, sporo zrobili w celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa.

- Jak dostał się do środka? - zapytał Bram.

- Wyjątkowo brutalnie. Roztrzaskał drzwi siekierą. Czy nie wie pan czasami, czy panna Taylor trzymała w mieszkaniu biżuterię lub jakieś inne cenne przedmioty?

- Nie wiem - padła krótka odpowiedź.

A więc przestępca uzbrojony był w siekierę. Co by było, gdyby Tay znajdowała się akurat w mieszkaniu? Bram wolał o tym nie myśleć.

Pięć minut później mała i szczupła policjantka w stopniu sierżanta powtórzyła mu mniej więcej to samo rzeczowym głosem osoby obytej z tego rodzaju przypadkami.

Mieszkanie Taylor przypominało pobożowisko. Rozprute poduszki, wywalone szuflady, porozbijane naczynia, zerwane zasłony z okien, pocięte siekierą obrazy. Sprofanowana bielizna Tay została już zebrana i zawinięta w prześcieradło.

Bram poczuł, że nawet jego samego, bądź co bądź świadka, nie zaś ofiarę, opuszcza odwaga na widok takiego bestialstwa. Dziękował Bogu, że Taylor uparła się zostać w samochodzie.

Kobieta-sierżant powiodła wzrokiem po wnętrzu.

- Zdarzają się takie przypadki - powiedziała, jakby starając się za wszelką cenę zrationalizować oczywisty absurd tego zniszczenia. - Nawet częściej niż mógłby pan przypuszczać. Relacje o nich w gazetach wywołują w czytelnikach coś w rodzaju ulgi, iż rzecz wydarzyła się komuś innemu. Ale gdy samemu się jest ofiarą, to wtedy wszystko nabiera innych wymiarów. Mężczyźnie być może trudno zrozumieć, co czuje kobieta, która znajduje swą bieliznę skalaną w ten sposób. Przeżywa to nie tyle w kategoriach wandalizmu i bestialstwa, co raczej bezpośredniej agresji. Czuje się wręcz zgwałcona.

Nagle rozległ się przejmujący, urywany sygnał i policjantka sięgnęła po swój telefon komórkowy. Bram usłyszał głos posterunkowego. Okazało się, że Taylor zmieniła zdanie i teraz z kolei obstawała przy wejściu na górę.

- W żadnym wypadku! - wykrzyknął Bram. - Proszę jej nie wpuszczać.

Policjantka wzruszyła ramionami.

- Nikt nie może zabronić jej wejść do własnego mieszkania.

Bramowi trudno było zarzucić temu stwierdzeniu braku logiki, czuł jednak, że między prawem a dobrem zachodzi w tym wypadku oczywista sprzeczność. Sam więc rzucił się ku drzwiom, by zapobiec najgorszemu, ale było już za późno. W tej samej bowiem chwili weszła Taylor i zachowała się dokładnie tak, jak tego się obawiał. Na widok pobjowiska zachwiała się i z pewnością by upadła, gdyby nie znalazł się na miejscu i nie podtrzymał jej. Była bez życia, choć ciągle żywa i przytomna. Bandyta, nie dosięgając jej bezpośrednio, ugodził w samą jej duszę.

Kiedy Bram, pozostawiwszy swoją wizytówkę, wyprowadził Taylor, policjantka opadła na sofę. Czuła się zmęczona. Ostatnio mieli prawdziwą epidemię tego rodzaju włamań. Wiedziała, jak trudne jest odnalezienie w każdym wypadku sprawcy czynu. Chyba że zostawił odciski palców albo jakiś inny ślad.

Po raz kolejny rozejrzała się po mieszkaniu. Wzrok jej przykuło leżące na podłodze zdjęcie śmiejącej się młodej dziewczyny. Ramka była zniszczona, szkło roztrzaskane.

- Tay, naprawdę nie chcesz, żebym wezwał lekarza?

- Naprawdę. Zabraniam ci. Już doszłam do siebie - odparła, kładąc nacisk niemal na każdą sylabę.

Nie sposób mu było poważnie potraktować tego zapewnienia. Siedząc w głębokim fotelu w salonie w jego domu, wyglądała, jakby dopiero co wstała z łóżka po długiej i ciężkiej chorobie. Ale przynajmniej mówiła, odzywała się, odpowiadała na pytania. Jedynie to było oznaką powrotu do zdrowia.

A swoją drogą, to jej reakcja na tamten akt sadystycznego okrucieństwa i seksualnego zbroczenia wydawała się trochę dziwna, nawet uwzględniając charakter Tay. Gwałtowny wstrząs, owszem, kto nie byłby w takiej sytuacji wstrząśnięty. Lecz Taylor niemal zapadła się w siebie, przeżyła zdarzenie jako kres i koniec wszystkiego. Jakby miewała katastroficzne wizje i wiedziała z góry, że coś takiego wcześniej czy później musi ją spotkać.

Nie od razu odzyskała zdolność komunikacji. Jego decyzję zabrania jej do siebie przyjęła w milczeniu i z absolutną obojętnością. Cechowała ją bierność kogoś, kto został skazany i nie może liczyć nawet na odroczenie wyroku. Można by rzec, że straciła wszelkie zainteresowanie bliższą i dalszą przyszłością. Ona, wciąż tak napięta, tak czujnie kontrolująca wszystko wokół siebie, nagle poddała się. Stała się bezwolną kukłą.

I dlatego Bram postanowił w duchu, że jeśli Tay do rana nie odzyska równowagi psychicznej i nie zacznie wreszcie przypominać tej Taylor, jaką znał, będzie zmuszony wezwać lekarza bez względu na to, jak energiczne i gwałtowne będą jej protesty. Lekarz wezwany w tej chwili mógłby przepisać jej co najwyżej środek nasenny, Tay zaś znajdowała się w zbyt głębokim szoku, by taka kuracja mogła odnieść jakiś pozytywny skutek.

Czuł zresztą również własną bezsilność. Na razie bacznie obserwował ją. Mimo że sprawiała wrażenie odgradzonej od świata i zamkniętej w klatce własnego bólu i lęku, była świadoma jego obecności. Wiedział to, chociaż czerpał swą wiedzę raczej z dość problematycznych oznak.

Musiał jednak na chwilę zostawić ją samą w salonie. Pokój gościnny, w którym Taylor miała spędzić tę noc, wymagał pewnego przygotowania. W ogóle wiele rzeczy trzeba było zrobić, włącznie z zadbaniami o jej bieliznę. Jutro Marcia wracała do pracy, zaraz więc z rana zadzwoni do niej z prośbą, żeby kupiła dla Taylor kilka kompletów. Wolał w tym wypadku zdać się na Marcie, obawiał się bowiem dokonania złego wyboru, ale też tego, że Taylor odrzuci wszystko, pod czym niejako sam by się podpisał.

Tak przynajmniej postąpiłaby ta Taylor, którą znał do tej pory. Cóż jednak mógł powiedzieć o Taylor, która siedziała tam w fotelu i wydawała się wpół umarłą istotą?

Ruszył w kierunku drzwi.

- Nie opuszczaj mnie.

Zatrzymał się i odwrócił. Patrzyła na niego z głębin swojego bólu i zagubienia. Jej szczupłe i delikatne dłonie zaciśnięte były w pięści.

- Idę na górę przygotować dla ciebie pokój. Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną.

Ogarnęło go rozczenie. Tay bowiem przypominała w tej chwili małą dziewczynkę, która chwyta za rękę tatusia, aby ten nie zostawiał jej samej w pokoju.

- Ja... - Powiodła wokół siebie czujnym spojrzeniem, jakby spodziewała się zobaczyć zaczajoną w kącie postać.

- Nie masz czego się bać, Tay. Oprócz nas nie ma tu nikogo. Jesteś całkowicie bezpieczna.

- Bezpieczna - powtórzyła, ale takim tonem, jakby nie rozumiała znaczenia tego słowa.

Nie dowierzała jego zapewnieniom. Wciąż była w kleszczach strachu. Wstała i udała się razem z nim na górę.

Bram otworzył któreś z rzędu drzwi i znaleźli się w luksusowo urządzonej sypialni. Po upalnym dniu panował tu niemożliwy zaduch. Należało otworzyć okno i wywietrzyć wnętrze. I Bram chciał to właśnie uczynić, kiedy kurczowo chwyciła go za rękę. Spoglądała w ciemną przestrzeń za oknem, jakby czaił się tam, na parapecie lub w koronach drzew, jakiś straszny potwór.

- Nie otwieraj - wyszeptała. Łagodnie uśmiechnął się.

- Spokojnie, Tay. Jesteś w miejscu strzeżonym lepiej od niejednego banku czy muzeum. Ten dom naszpikowany jest

elektroniką. Tutaj nawet mój kot ma niewielkie szanse przedarcia się na ulicę bez włączenia alarmu. Towarzystwo, w którym ubezpieczyłem ten dom, dobrze dba o swoje interesy. Bardziej opłaca mu się skutecznie chronić swoich klientów, niż później wypłacać im odszkodowania.

Nie przekonał jej do końca, ale przynajmniej pozwoliła mu otworzyć okno. Poczuli zapach róż i jaśminu. Okno wychodziło na ogród.

Bram przystąpił teraz do wypełniania swych obowiązków gospodarza. Oblekł czystą pościel, wyjął z szafki ręcznik kąpielowy, nową szczoteczkę do zębów i mydło. Sypialnia połączona była bezpośrednio z łazienką, odpadała więc konieczność wychodzenia na korytarz. W tym przypadku było to bardzo ważne udogodnienie.

Wyszedł z łazienki i zbliżył się do Taylor. Stała przy oknie, to znaczy tam, gdzie ją zostawił. Patrzyła na tonący w ciemnościach ogród, a właściwie penetrowała ów ogród skupionym i pełnym lęku spojrzeniem. Jej strach miał również coś z fascynacji.

- A teraz rozbierzesz się, wejdiesz pod kołdrę i spróbujesz zasnąć - zwrócił się do niej jak do dziecka. - Po tym wszystkim, co przeszłaś, potrzebny jest ci odpoczynek.

Spojrzała nań z jakąś dziwną wrogością, jakby to wszystko, co jej proponował i do czego ją namawiał, było próbą wystawienia jej na jakieś nowe niebezpieczeństwo.

Nie był zresztą do końca pewien, czy właściwie odczytał jej spojrzenie. Gubił się w domysłach, lecz z pytaniami musiał jeszcze

poczekać. Każda tajemnica, zaś Taylor bez wątpienia była dlań tajemnicą, prowokuje wprawdzie do stawiania pytań i domaga się wyjaśnienia, na razie jednak musiał się trzymać wymogów taktu i delikatności.

Zamknął okno i zasunął kotary.

- Nie! - wykrzyknęła, po czym na powrót odsłoniła okno. - Muszę widzieć!

- Co widzieć, Taylor? Daję ci słowo honoru, że nikogo tam nie ma. Bo wiem, czego się boisz. Wmówiłaś sobie, że ten ktoś, kto włamał się do twojego mieszkania, mógł tu przyjechać za nami, skryć się w pobliżu i teraz czeka na dogodny moment, by zrobić ci krzywdę. Otóż jest to po prostu niemożliwe. Żeby mógł tego wszystkiego dokonać, musiałby być chyba jakimś duchem, a nie zwykłym przestępcą, który prędzej czy później trafi za kratki. Naprawdę jesteś tutaj absolutnie bezpieczna.

- Tego nigdy do końca nie można być pewnym... Nie wiesz, jak... jak... - zająknęła się i wybuchnęła płaczem.

Podszedł i wziął ją w ramiona.

- Spokojnie, cicho, już dobrze... Domyślam się, czym było dla ciebie to włamanie. Ale obiecuję, że wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Tylko zaufaj mi. A teraz przede wszystkim powinnaś przespać się i wypocząć.

Pogładził ją po plecach i zaczął prowadzić w kierunku łóżka. Po kilku krokach wyczuł jej opór. W końcu wyrwała się i odwróciła ku niemu.

- Nie zostanę tu sama. Umrę, jeśli odejdiesz.

- Wcale nie muszę odchodzić. Jeśli chcesz, to mogę spędzić noc w tamtym fotelu.

- Naprawdę? Naprawdę zrobiłbyś to dla mnie? Nie będzie ci w nim wygodnie. - Patrzyła nań badawczym spojrzeniem, jakby obawiała się, że chce ją oszukać.

- Naprawdę, Tay. I nie martw się o mnie. Fotel jest duży, a pod nogi podłożę sobie miękki taboret. Mogę tak przespać nawet kilka nocy, jeśli tylko okaże się to konieczne. A teraz zostawię cię na krótką chwilę. Muszę wziąć prysznic i przebrać się. Nie mogę zaproponować ci żadnej piżamy, ale w łazience wisi płaszcz kąpielowy, który może zastąpi ci piżamę czy nocną koszulę.

Ostatnie zdanie zabrzmiało dość dziwnie, ale taka była prawda. Nie uznając piżam, nie miał ich w domu. Spał do tej pory nago i nie zamierzał zmieniać tego zwyczaju. Uznał teraz jednak, że jedna piżama w rezerwie bardzo by się przydała.

- Wracam za dziesięć minut - obiecał, kładąc dłoń na klamce.

- I zostaniesz ze mną do rana?

- Zostanę - potwierdził z mocą.

Gdy wrócił po kwadransie, Taylor leżała już w łóżku. Obie nocne lampki, po jednej i po drugiej stronie szerokiego wezgłowia, były zapalone. Paliło się również górne światło. Zgasił je, gdy tylko zamknął za sobą drzwi. Taylor tym razem nie zaprotestowała.

Patrzyła na miękki dres, w który był ubrany, oraz na jasiek i koc, które przyniósł ze sobą.

- Jest ciepło, ale nawet w najcieplejszą noc dobrze jest być czymś okrytym - powiedział jakby w formie usprawiedliwienia, po czym zajął się zamienianiem fotela i taboretu w coś w rodzaju leżanki.

Posłanie, które sobie w ten sposób urządził, nie należało do komfortowych, poza tym na podwójnym łóżku było dość miejsca nie tylko na dwie, ale nawet na trzy dorosłe osoby. Taylor nie była jednak w tej chwili dorosłą osobą, tylko przerażonym niewinnym dzieckiem. Musiał uszanować w niej tę niewinność. Odpowiedzialność domagała się wyrzeczeń.

Minęła godzina, a on wciąż nie spał. Już wielokrotnie morzył go sen, ale za każdym razem, kiedy pozwalał opaść powiekom, słyszał swoje imię, wymówione głosem cichym, a jednak natarczywym. Taylor upewniła się w ten sposób, że jej obrońca czuwa i nie wydał jej jeszcze na pastwę strachu.

W końcu jednak zmęczenie przemogło lęk i Taylor odprężyła się i zasnęła. Bram odczekał dobre pół godziny, zanim odważył się poruszyć i wysunąć głowę ponad oparcie fotela. Leżała na boku, twarzą w jego stronę. Długie rzęsy rzucały cienie na jej blade policzki. Miała lekko rozchylone usta i tyle łagodności wypisanej na twarzy, jakby naprawdę była małą dziewczynką.

Usłyszał bicie swojego serca. Całe jego ciało wypełniło się współczuciem i miłością.

Oto los ofiarował mu wyjątkową sposobność. Był w jednym pokoju z kobietą, którą kochał i której pragnął. Byłby skończonym głupcem, gdyby nie wykorzystał tego daru bliskości i uzależnienia.

Kiedy Tay wydobędzie się z czeluści, w którą wpadła, będzie z pewnością próbowała uwolnić się od niego. Uprzejmie podziękuje mu za gościnę i opiekę, po czym pożegna się i znów stanie się nieuchwytna i tajemnicza. Bram ani myślał biernie obserwować taki rozwój wypadków. Nie wolno mu było zmarnować okazji, która sama wpadła mu w ręce.

Taylor poczuła, że się dusi. Ktoś narzucił jej coś miękkiego i gładkiego na twarz i pozbawił dopływu powietrza. Za chwilę będzie już po wszystkim. Jej szamoczące się serce przestanie bić. Paniczny strach ścisnął ją za gardło. Chciała krzyknąć, lecz poruszyła jedynie wargami. Obudziła się.

Faktycznie, miała coś na twarzy, lecz tym czymś, co tamowało jej oddech, był tylko róg kołdry. Odrzuciła go i głęboko odetchnęła. Otworzyła oczy.

Znajdowała się w jakimś pięknie urządzonej, lecz obcym jej pokoju sypialnym. Tapety, meble, kominek, nocne lampki, a nawet ta kołdra, pod którą leżała, wszystko to w niczym nie przypominało jej własnej sypialni.

Jej sypialnia... Nagle na wspomnienie wydarzeń minionego wieczoru skurczyła się i zmartwiała. Rzuciła okiem w kierunku kominka. Stał tam fotel, zwrócony ku niej oparciem. Nie dostrzegła więc Brama, zobaczyła za to jego przerzuconą przez poręcz rękę. To wystarczyło, żeby przepełniający ją straszliwy lęk cokolwiek osłabł. Bram był przy niej. Spał tam w jakiejś karkołomnej zapewne pozycji,

ale dotrzymał słowa. Miała strażnika, miała opiekuna, miała obrońcę. Mogła czuć się bezpieczna.

Ale czy czuła się bezpieczna? Łzy stanęły jej w oczach. Spędziła tę noc w domu Brama, ponieważ ktoś włamał się do jej mieszkania i zdewastował je. Powiadomił ją o tym policjant, który przedtem rozmawiał z panią Brearton. I tu zaczynało się to najgorsze. Bo jak mogła zachować się tak głupio i stracić wszelką kontrolę nad sobą? Kto oprócz Brama zauważył ten jej wewnętrzny rozpad? Oczywiście, policjant. Być może pani Brearton. Być może też włamywacz, jeżeli był gdzieś w pobliżu i obserwował ją z ukrycia. Nie mogła tego wykluczyć. Przed domem rosły gęste krzewy, a policja nie miała psów.

Strach znowu owładnął każdą, najmniejszą cząsteczką jej ciała. Wręcz smakowała go językiem, czuła w krwiobiegu i kościach. Przywarła do materaca i wybuchnęła spazmatycznym szlochem.

Przy łóżku natychmiast stanął Bram.

- Taylor, na Boga, co się dzieje?

- Proszę, zostaw mnie samą.

Nawet na niego nie spojrzała. Dławił ją wstyd. Bram był świadkiem jej załamania i upadku. Jej poniżenia. Już nigdy nie spotka się z nim jak równa z równym. Ich oparty na partnerstwie stosunek należał nieodwołalnie do przeszłości.

Kiedy wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi, łzy nową falą napłynęły jej do oczu. Lecz właściwie z jakiego powodu tak mazgała się i moczyła poduszkę? Że ktoś zniszczył jej własność i uczynił

biedniejszą, niż była? Czy też że wyzbyła się wszelkiej godności i z osoby dumnej i niezależnej zmieniła się w zastraszone zwierzę?

Nie. Nie wolno jej popaść w manię prześladowczą. Nie wolno jej myśleć o tym człowieku, który pastwił się nad jej rzeczami, że wciąż ją śledzi, wypatruje z ukrycia, czeka na okazję do zadania bardziej druzgoczącego ciosu...

- Wypij to - usłyszała męski głos ponad swoją głową. Drgnęła, gdyż nie słyszała kroków Brama. Pokręciła gwałtownie głową, jakby namawiał ją do wypicia trucizny.

- To tylko herbata - tłumaczył jak dziecku. - Czasem herbata działa kojąco na nerwy.

Tym razem odważyła się spojrzeć. Patrzył na nią z łagodnym uśmiechem, ale co myślał o niej, to myślał. Aż syknęła z upokorzenia, przypominając sobie swoje wczorajsze błagania, żeby pozostał z nią na tę noc.

- Wstydzę się, Bram, swojego wczorajszego zachowania. Udzieliłeś gościny okropnej histeryczce. Wybacz - wyrzuciła z siebie, starając się mówić możliwie składnie i rzeczowo.

Jego uśmiech wzbogacił się o cień sympatii.

- Nie jesteś histeryczką. Przeżyłaś głęboki wstrząs. I nie bez powodu. Każdy mógł zareagować w ten sposób. Przestraszyłaś się. Która kobieta nie odczułaby lęku na twoim miejscu?

- Rozumiem. Ponieważ jestem kobietą, a więc już z definicji istotą słabą i przewrażliwioną, to wolno mi panikować i trząść się ze strachu. Ty jednak jako mężczyzna jesteś ponad tym wszystkim.

- Nie to miałem na myśli - powiedział Bram, a uśmiech znikł z jego twarzy. - Wszyscy ludzie, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, czegoś się boją. Ponieważ nie jesteś z kamienia i żelaza, tylko z ciała i kości, nie musisz wstydzić się swojego strachu.

Taylor wciąż była odmiennego zdania.

- Wybacz, ale wszystko, co powiedziałaś, jest tylko pięknym usprawiedliwieniem moich słabości. W ten sposób można usprawiedliwić dosłownie wszystko. - Rzuciła okiem w kierunku okna. - Świta. Nie ma już potrzeby, żebyś męczył się na tym fotelu.

Bram patrzył na nią przez chwilę. Czoło przecinała mu pionowa zmarszczka.

- Nie męczyłem się, Tay. Spałem tu, gdyż prosiłaś mnie o to. - Odstawił filiżankę z herbatą, usiadł na łóżku i wziął ją w ramiona. - A także dlatego, że bardzo mi na tobie zależy. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

Nie tak postanowił wczoraj rozegrać tę sprawę, nie z takim zamiarem szedł do niej z herbatą. Ale cóż, stało się. Nie mógł teraz tchórzyc i wycofywać się. Nachylił się i musnął jej usta. A potem przywarł do nich i zaczął je żarliwie całować.

Nie trwało to długo, gdyż najpierw zeszywniała, zaskoczona i zdezorientowana tym nagłym obrotem sprawy, by następnie stawić mu opór.

Opór zadziwiająco słaby. Raczej zdążyła wysłać mu tylko znak i sygnał oporu i w tej samej chwili zaczęła drżeć na całym ciele, ciężko oddychać i osuwać się w jakąś mroczną czeluść.

On również drżał. Miłość i czułość toczyła w nim walkę z dławiającym pożądaniem i wciąż nie były znane szanse każdej z walczących stron.

Zwolnił uścisk ramion i oderwał usta. Tay była tą jedyną, tą przeznaczoną mu przez los kobietą, ale miejsce i czas wyznania jej tego wybrał najgorzej, jak mógł, wręcz fatalnie.

Z rozchylonych, wilgotnych warg Taylor wydobył się szept, tak słaby, że ledwie słyszalny. Wyszepiała jego imię? A może było to słowo potępienia za to, że wykorzystał jej słabość? A może krótka, zadyszana prośba, by nie rezygnował i miał odwagę kontynuować pieśczęty?

Bram nie miał w sobie nic z ryzykanta, ale tym razem postanowił podjąć ryzyko. Dosłyszał w szepcie to, co pragnął dosłyszeć, czyli przyzwolenie. Znów więc przywarł do Tay i wpił się ustami w jej usta. Smakowały mu niczym soczysty, dojrzały owoc. Taylor pachniała snem, a jej gorące ciało dosłownie parzyło. Wszystkie te zmysłowe doznania podziały nań niczym whisky wypita na czczo. Myśli rozpierzchły się i zakręciło mu się w głowie od pożądania. Piersi Tay były tuż-tuż, wystarczyło sięgnąć po nie ręką.

Jasne, że było to śmiesznie łatwe. Podniecił ją, wprowadził w stan miłosnego zamroczenia i teraz właściwie mógł pozwolić sobie na wszystko. Z pewnością nie znalazłaby w sobie dość siły, by mu się przeciwstawić. Tylko że jak czułaby się potem? I jak on by się czuł? Czy miałby odwagę spojrzeć jej w oczy?

Oderwał usta od jej roznamiętnionych ust i przeniósł je na jej policzki, skronie i czoło.

- Tak bardzo cię pragnę... - wyznał zduszonym, chrapliwym głosem, równocześnie gładząc jej włosy z czułością, która nadawała jego pożądaniu prawdziwie miłosny wymiar.

- Nie teraz, Bram - wyszeptała. - To nie jest najlepsza chwila. Wkrótce będziemy musieli wstawać.

- Masz rację.

A przecież wciąż doświadczał jej cudownej uległości, gdyż pozwalała mu gładzić swoje ciało pod kołdrą.

- Bram...

Wstrzymał oddech. Jeżeli teraz poprosi go, żeby z nią został, to będzie miał prawo pomyśleć o sobie jako o najszcześniejszym z mężczyzn.

Nie poprosiła. Zamiast tego zmarszczyła czoło, jakby starając się sobie przypomnieć, co też właściwie takiego chciała mu powiedzieć.

A potem wypogodziła czoło i zamknęła oczy. Dwa czy trzy razy rozkosznie się przeciągnęła i odwróciła na bok. Podkuliła nogi. Po chwili usłyszał jej miarowy oddech.

Słoneczny promień padł na jej uśpioną twarz i mile łaskocząc swym ciepłem, przynaglał do otwarcia oczu i stawienia czoła obowiązkom dnia.

Taylor machnęła ręką, jakby odpędzając się od natrętnej muchy. Nie chciała wstawać. Chciała śnić nadal ten słodki sen.

Widziała w nim siebie, ale siebie dawną, świeżą i dziewczęcą, kiedy jeszcze umiała się śmiać i lekko traktować życie. Kiedy nie bała się zamknięcia w mocnych ramionach mężczyzny. Tego mężczyzny. Bo tylko z nim potrafiła doznawać tych wszystkich rozkoszy i oto on właśnie dotykał teraz ciepłymi dłońmi jej ciała, pieszcząc je z wprawą znawcy i mistrza, a zarazem z czułością bliskiej i kochanej osoby.

Ale przede wszystkim bawiła się z nim, a on bawił się z nią, bawili się wspólnie. Była to miłość pogodna i wesoła, pełna czystej zmysłowej radości, zmysłowych dreszczy i omdlałych jęków. Żadnego skrępowania własnym młodzieńczym bezwstydem, żadnej żenady z racji pewnych dość śmiałych pomysłów. Całował jej brzuch, rozchyłała nogi. Ssał jej piersi, domagała się, żeby wziął ją od tyłu. Rozwiązłość, nie pozbawiona wszakże tkliwości; pogaństwo przelamujące się w stanach mistycznych uniesień; zniewolenie przez seks i wywyższenie przez miłość.

Wspaniały kochanek, władczy i uległy, brutalny i czuły, męski i chłopięcy. Niewyczerpane źródło ożywczych, zapładniających wód. Ileż to już razy pochylał się nad nią, a przecież nie wydawał się zmęczony. Zapadał w nią i wynurzał się, zapadał w nią i wynurzał się - i mógłby czynić tak bez końca.

Wygięła się w łuk. Obiema rękami podała mu swoje piersi, a Bram je przyjął...

Bram!

Raptownie Taylor obudziła się. Jej całe ciało zlane było potem, a serce waliło, jakby chciało wyskoczyć z ciasnej klatki żeber.

Ileż to już lat minęło od tamtej nocy, kiedy po raz ostatni śniła ten sen? Sen o swoim wspaniałym, sekretnym kochanku. Mężczyźnie, którego ciało znała równie dobrze, jak swoje własne. Którego twarz jednak nigdy nie wyłoniła się z mroku.

Wiedziała bardzo dobrze, dlaczego w pewnej fazie jej duchowego i fizycznego rozwoju sen przestał powracać. Przynależał bowiem bezpowrotnie tylko do jej dziewczęcej wyobraźni. Kochanka bez twarzy, ale z boskim ciałem, wyczarowała jej rozgorączkowana, pulsująca w rozkwicie, słoneczna seksualność. Ale to było kiedyś, dawno temu, i nic nie wskazywało na to, by można było tę młodzieńczą wyobraźnię jeszcze raz ożywić.

Dopiero dzisiaj po drugiej przerwie wszystko się powtórzyło, tyle że z pewnymi istotnymi zmianami. Anonimowy kochanek, mężczyzna jako taki, zyskał twarz. Twarz Brama.

Dlaczego akurat jego? Zadała sobie to pytanie i natychmiast poczuła, że pyta o rzecz oczywistą. Bram zawładnął jej snem z tej prostej przyczyny, że przed godziną czy dwiema całował ją i trzymał w ramionach. Wskrzesał jej, zdawałoby się, dawno umarłą zdolność do odczuwania namiętności. Wzniecił w niej podniecenie, tak iż gotowa była zgodzić się na wszystko.

Nagle jej wzrok przykuła firmowa torba „Marks and Spencer”, leżąca na nocnym stoliku. Przypięty był do niej krótki liścik, skreślony ręką Brama.

„Skontaktowałem się z policją. Upłynie kilka dni, zanim będziesz mogła wrócić do swojego mieszkania. W związku z tym poprosiłem moją sekretarkę, żeby kupiła ci kilka niezbędnych ubrań.”

Taylor od razu pojęła jedną podstawową rzecz. Że cokolwiek było w torbie, było dowodem troski i taktu. Bram z tego powodu zasługiwał na wdzięczność. A jednak niczego takiego nie odczuwała w tej chwili.

Przez wszystkie swoje dorosłe lata sama kierowała swym życiem. Wierzyła, że postępuje słusznie i racjonalnie. Była dumna z własnej samodzielności. Radziła sobie gorzej lub lepiej, lecz nigdy nikogo nie prosiła o pomoc. I oto jeden drobny epizod zniszczył cały dorobek tych lat, wypełnionych intensywną pracą nad sobą. Z sekundy na sekundę stała się kobietą słabą i w potrzebie. Kobieta, której poznany przed dwoma tygodniami mężczyzna kupuje intymne fatalaszki i przy której czuwa przez całą noc jak przy obłożnie chorym dziecku. Której współczuje i którą stara się zrozumieć. Której też oczywiście pożąda, bo jakżeby inaczej, skoro ta leży mu w łóżku, na wyciągnięcie ręki, on zaś jest kawalerem.

Aż się zatrzęsała ze zgrozy. Namalowała w myślach swój aktualny autoportret i już wiedziała, że gardzi tą kobietą. Czy gardził nią również Bram?

Uniosła obie dłonie do pulsujących skroni, w których pęczył ból. Nie, Bram nie był taki. Znała już jego wrażliwość na cudze nieszczęście. Pociągały go w człowieku różne cechy, lecz wcale nie

najbardziej racjonalność i siła charakteru. Kto wie, może właśnie stała mu się bliższa przez to swoje załamanie, upokorzenie i słabość.

A czy było tak samo z jej punktu widzenia, to znaczy czy Bram stał się jej również bliższy? Dlaczego tak panicznie unikała w myślach słowa „kocham”? Jakby bała się, że pomyślawszy „kocham go”, naruszy tymi słowami jakieś tabu. Śniła o nim ostatnio jako o kochanku, ale w życiu, na jawie postępowała wedle dawnych stereotypów. Jasne, bo życie nie było aż takie proste.

Kochać Brama i wyznać mu tę miłość znaczyło narazić na niebezpieczeństwo i zgubę zarówno jego, jak i siebie. Wyłączyła stąd nieodparty wniosek, że nie miała prawa pozwalać sobie na to uczucie. Musiała zwalczyć je w sobie, dokąd nie było jeszcze za późno.

Gdyby wciąż jeszcze dysponowała tą siłą woli, co jeszcze wczoraj po południu, siłą niezbędną do tego, żeby bezwzględnie kierować się narzuconymi sobie zasadami, natychmiast by stąd odeszła i nigdy już nie wróciła.

Lecz dokąd by się udała, opuściwszy ten dom? Do swojego mieszkania? Wykluczone, przynajmniej dzisiaj i w najbliższych dniach. Do przyjaciół, rodziny? Wykrzywiła usta w ironicznym uśmiechu, a jej oczy zasnuły się smutkiem.

Nie miała nikogo. Jej rodzice nie żyli, co się zaś tyczy przyjaciół...

Przyjaźń, żeby zaistnieć i trwać, wymaga wzajemnego zaufania, obopólnej szczerości, otwarcia się na drugą osobę. Tymczasem ona nosiła w sobie sekrety, którymi nie mogła podzielić się z innymi. Żyła

w jarzmie strachu, w ustawicznym poczuciu winy i im większa wydawała się jej ta wina, tym szczerzej odgradzała się od otoczenia.

Nie. Nie miała dokąd i do kogo pójść. Musiała tu pozostać. Nakładało to jednak na nią obowiązek zwalczania w sobie miłości do Brama lub przynajmniej okłamywania go, kiedy będzie pytał, a prędzej czy później musi zapytać, co ona czuje do niego.

Dlaczego życie musi być aż tak okrutne? Dlaczego nie spotkała Brama wtedy, zanim to wszystko się stało i gdy jako młoda, spragniona miłości kobieta patrzyła w przyszłość z ufnym uśmiechem na twarzy?

Wzięła torbę, która okazała się nawet dość ciężka, i wytrząsnęła jej zawartość na łóżko.

Wysypały się kremowe płócienne spodnie, dobrana do nich kolorem ślicznie skrojona kamizelka, czekoladowo-brązowa jedwabna bluzka, białe szorty, komplet czarnej bawełnianej bielizny, wzorzysta jedwabna koszula w kolorach brązowym, czarnym i białym oraz jednolicie czarny atlasowy zakieciak. Uzupełnieniem tego wszystkiego były zgrabne sandały, istne cudo z płótna i ze skóry, oraz dwie pary rajstop.

Sekretarka Brama, można by rzec, trafiła w dziesiątkę. Poszczególne części garderoby współgrały ze sobą kolorystycznie, jak również pod względem stylu i jakości. A najważniejsze, pomyślała Taylor, że przecież nie znając jej, tamta kobieta bezbłędnie odgadła jej gust i zamiłowania. Lubiła bowiem naturalne materiały, lubiła brązy,

czernie i biele, lubiła powiewność, lekkość i wdzięk. Właściwie sama nie mogłaby wybrać lepiej.

A jednak mimo wszystko nie mogła ubrać się w te rzeczy. Godna je była nosić kobieta dumna ze swojej kobiecości. Ona, Taylor, już wiele lat temu utraciła moralne prawo do odczuwania tego rodzaju dumy.

Swoją kobiecość przeżywała nie jako skarb, lecz jako uszczerbek i zagrożenie. I miała ku temu powody. To właśnie pośrednio z racji jej kobiecości tak wiele osób doświadczyło cierpienia i smutku.

Kurczowo zacisnęła dłonie na kołdrze. Poczowała, że nadchodzi atak. Nadszedł, jak zwykle, błyskawicznie. Jej ciałem wstrząsnął silny pojedynczy dreszcz, a potem już tylko drżała i szczękała zębami. A kiedy minął ów atak paniki, poczuła się tak wyczerpana, że musiała na kilka minut opaść na poduszkę.

Lekarz, do którego zwróciła się raz po pomoc i radę, zalecił jej środki uspokajające, a w przypadku zaostrzenia się i uporczywości tych napadów irracjonalnego lęku, serię wizyt u psychoanalityka. Nie poszła za jego radą. Prochy, owszem, gwarantowały zapomnienie, ale tylko na krótką chwilę. Przestawały działać i człowiek tak czy inaczej wracał do rzeczywistości, której nie sposób było unieważnić.

Co się zaś tyczy seansów psychoanalitycznych, to żaden czarodziej z dyplomem lekarza nie mógłby uwolnić jej od poczucia winy. Nie miała nadziei na przebaczenie i odpuszczenie. Jedyłą ucieczką mogła być ucieczka w śmierć, ale to z kolei byłoby próbą

wywiniecia się od odpowiedzialności i kary jeszcze na tym świecie. Musiała więc wybrać życie, bo chciała ponieść karę za tamto.

Spojrzała na zegarek. Dochodziło południe. Musiała czym prędzej wstać, umyć się i ubrać, jeżeli zależało jej, żeby Bram, wróciwszy, nie zastał jej w łóżku.

Niechętnie zebrała leżące na kołdrze piękne fatałaszki. Musiała, jak to się mówi, pójść na kompromis z rzeczywistością. Ubranie, które miała na sobie wczoraj, a był to upalny dzień i wielokrotnie się pocila, było po prostu nieświeże, nago zaś wołała nie pokazywać się światu.

Schodziła właśnie po schodach i miała do pokonania jeszcze tylko kilka stopni, kiedy drzwi frontowe otworzyły się i wszedł Bram. Oboje stanęli bez ruchu i spojrzeli na siebie.

Taylor spłonęła niczym róża. Oczywiście, nie mogła nie poczuć na policzkach palącego ciepła rumieńców i w odruchu samoobrony, pragnąc ukryć zmieszanie, zaczęła mówić szybko i gniewnie, wskazując przy tym rękami na spodnie i kamizelkę, które miała na sobie.

- Naprawdę nie musiałeś zadawać sobie aż tyle fatygi i wydawać aż tyle pieniędzy. Sprawa niewarta zachodu. Dżinsy i zwykła bawełniana koszula w zupełności by wystarczyły. Ma się rozumieć, zwrócę ci wszystkie poniesione koszty. Dziwne tylko, że metki z cenami zostały usunięte. Chyba nie wyobrażasz sobie, że stanę się twoją utrzymanką.

- Ani mi to przez głowę nie przeszło - odparł z łagodnym uśmiechem, który zaświadczał przede wszystkim o tym, iż jej

nieoczekiwany atak bynajmniej nie zbił go z tropu. - Mam wszystkie kwity, które przekazała mi sekretarka. Będziesz je mogła załączyć do swojego podania o przyznanie ci przez towarzystwo ubezpieczeniowe odszkodowania za poniesione straty.

- Pewnie, że załączę - powiedziała, gdyż nic innego jakoś w tej chwili nie chciało przyjść jej na myśl; ponieważ jednak jeden absurd wiedzie do drugiego, dodała: -A skoro już jesteśmy przy tym temacie, to wiedz, że chciałabym również pokryć wszystkie koszty związane z moim tu noclegiem.

Mówiąc to, wiedziała, że nic głupszego i śmieszniejszego nie mogła już wymyślić, spodziewała się zatem, że Bram wybuchnie śmiechem. Stało się inaczej. Ku jej wielkiemu zdumieniu, sposepniał, pobladł, zacisnął usta i odparł zimnym głosem:

- Mam podać ci cenę mojego pocałunku? Powiedzieć, ile kosztuje herbata, którą ci przyniosłem, a której nawet nie wypiałś? Podliczyć koszty mydła, ciepłej wody, elektryczności i prania pościeli? Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że słowa czasami wymykają się z ust nieproszone i zakładam, że tak tylko ci się powiedziało. Przykro mi tylko, że nie chcesz dopuścić mnie do swojego życia, że na moją otwartość odpowiadasz skrytością, na moją życzliwość niechęcią, na moją miłość wrogością. - Nabrał w płuca powietrza. - Byłem dziś rano w twoim mieszkaniu. Jest wykluczone, byś w najbliższych dniach mogła tam wrócić. Wątpię nawet, czy pozwoliłaby ci na to policja i towarzystwo ubezpieczeniowe. Miałem zamiar zaproponować ci gościnę w tym domu, z równoczesną

obietnicą, że nie będę próbował wykorzystać tej sytuacji. Ale po tym, co mi powiedziałaś, zaczynam uświadamiać sobie, że wolałabym zatrzymać się gdzie indziej. Gdziekolwiek, byleby nie ze mną.

Przyznaj, nie mam racji?

Taylor otworzyła usta, lecz żadne słowo nie chciało przejść jej przez gardło. Za to łzy nie dały się prosić - spłynęły po policzkach ciepłymi strumieniami.

Zachwiała się, oparła biodrem o poręcz schodów i uniosła ręce w geście rozpaczony i błagania.

Gest ten, najzupełniej spontaniczny, będący odwiecznym wyrazem ludzkiego bólu, wzruszyłby nawet człowieka o kamiennym sercu, a co dopiero Brama, który cisnąwszy na stolik klucze i teczkę, podbiegł do Taylor i chwycił ją w ramiona.

- Tay... Tay... wybac mi, kochanie... Nie zamierzałem...

Uniosła ku niemu zapłakaną twarz, on zaś zaczął scałowywać łzy z jej policzków. Przelotnie dotknął wargami jej ust, pragnąc tym krótkim pocałunkiem przeprosić ją za swoje ostre i okrutne słowa. I wtedy właśnie to poczuł. Jej ręce, które dotąd zwisały bezwładnie wzdłuż ciała, oplotły go i mocno zacisnęły się na nim, usta zaś rozchyliły się i zaczęły odpowiadać.

Nie spodziewał się tego. Zaląła go fala wzruszenia. Aż westchnął, dając tym upust wszystkiemu, co dotąd gniołło mu duszę.

- Weź mnie... zabierz... do łóżka, Bram... Kochaj się ze mną...

Tak bardzo cię pragnę...

Przeszył go jasny, gorący promień szczęścia. Chwycił Tay na rękę i pobiegł z nią na górę po schodach.

RS

Kiedy Jay wysiadał z samolotu na londyńskim lotnisku Heathrow, lało jak z cebra. Ziemia i niebo tonęły w przygnębiającej szarości.

Jay nie był jednak w melancholijnym nastroju. Przepełniała go gniewna irytacja. Wściekał się na wszystko. Na ciepły letni deszcz; na to, że przyleciał zwykłym pasażerskim samolotem, a nie concordem, na który nie udało mu się zarezerwować biletu; na zbyt wczesną i zarazem zbyt późną godzinę - zbyt wczesną na spotkanie z ojcem, który przychodził do pracy dopiero o wpół do dziewiątej, zbyt późną na położenie się do łóżka.

Dopełniwszy formalności, wyszedł przed ogromny pawilon dworca lotniczego i wskoczył do taksówki. Uznał, że po przybyciu do domu najrozsądniej będzie wziąć zimny prysznic, by trochę ochłonać i zmyć z siebie ów dręczący niepokój. Kim, do diabła, była ta kobieta, z którą spotkania ojciec traktował niczym tajne narady sztabu generalnego? Ale im więcej zadawał sobie tego typu pytań, tym więcej adrenaliny wydzielał jego organizm.

Słyszał charakterystyczny syk opon na mokrym asfalcie i zadyszkę zgarniających wodę wycieraczek.

„Starsi faceci często miewają fioła na punkcie swoich dzieci, szczególnie jeśli trafiły się im one w późnym wieku”, dobiegły go słowa Nadii, jakby słuchał ich nagranych na płytę, która się właśnie zacięła i szeleści tylko tym jednym zdaniem.

Nie wierzył w możliwość czegoś takiego. Co nie oznaczało, że będzie biernie czekał na rozwój wypadków.

Ta kobieta, kimkolwiek była, wkrótce przekona się, że nie ma dla niej miejsca w życiu jego ojca. Ani też w jego łóżku.

Taksówka zatrzymała się. Jay zapłacił i wysiadł. Zauważył kątem oka kwaśną minę taksówkarza, którego najwidoczniej nie zadowolili napiwek.

Kamienica, w której na drugim piętrze mieścił się apartament Jaya, reprezentowała sobą najwyższy standard. Mieszkało tu wielu znanych i zamożnych ludzi, aktorów, pisarzy i biznesmenów. Jay jednak nie wybrał mieszkania w tym miejscu ze względu na sąsiadów. Na jego decyzji zaważyła przede wszystkim dogodna lokalizacja - kamienicę i biuro dzieliło zaledwie kilka przecznic. W odróżnieniu od ojca nie odczuwał potrzeby zagrzebywania się w dwupiętrowej willi z ogrodem; Bram był pod tym względem śmiesznie konwencjonalny. Dla Jaya mieszkanie było tylko miejscem, gdzie spędzał noce, sam lub z kobietą, oraz czasami spożywał posiłki. Nie przywiązywał się do kątów, drobiazgów i mebli, nie dbał o wystrój i atmosferę mieszkalnego wnętrza. I tu znów on i Bram znacznie się różnili. Ojciec zawsze starał się uczynić z mieszkalnej przestrzeni coś w rodzaju ogniska domowego i stąd jego słabość do fotografii, pamiątek i różnych bibelotów.

Jay wciąż pamiętał smutek w oczach Brama, kiedy ten wszedł do jego dzieciennego pokoju i zauważył, że fotografia, którą podarował

mu kilka dni wcześniej, leży na podłodze. Byli na niej rodzice Brama, a jego, Jaya, dziadkowie.

- Nie chcę ich - odparł Jay na wyrzut ze strony ojca. - Dlaczego miałbym ich wieszać na ścianie, skoro mnie nie chcieli. Płacili mamie, żeby trzymała mnie od nich z daleka.

- To nieprawda.

- Dawali jej pieniądze.

- Robili, co uważali za najlepsze i najśluszniesze w danej sytuacji. Ale nie myśl, że cię nie chcieli.

Później Jay dowiedział się od Heleny, że to dziadkowie ze strony matki domagali się tych pieniędzy, zabroniwszy równocześnie Bramowi nawiązywania z synem jakiegokolwiek kontaktu. Ale urazy w psychice Jaya już się tak utrwaliły, że nie stać go było na przewartościowanie dotychczasowych ocen.

Otworzył drzwi apartamentu i wszedł do wyłożonego marmurem holu w kształcie ośmioboku. Na ozdobnej konsoli piętrzyła się starannie ułożona korespondencja, pozostawiona tam przez sprzątaczkę. Jay jednak nie sięgnął po listy. Chciał przede wszystkim zapoznać się z nagraniami zarejestrowanymi przez automatyczną sekretarkę.

Były dwa telefony od znajomków - Jay wolał znajomości od przyjaźni - z których jeden przypominał mu o umówionym spotkaniu na tenisowym korcie, drugi zaś zapraszał go na obiad. Potem żywy i energiczny głos sekretarki, która podczas jego nieobecności wróciła z urlopu, informował go o najważniejszych sprawach biurowych; inny

zaś kobiecy głos, zmysłowy i szepczący, przesyłał mu pozdrowienia. Jayowi dopiero po dłuższej chwili udało się powiązać ten głos z konkretnym egzemplarzem; lalunia odwiedziła go tutaj dwa razy i dwa razy z nudów przespał się z nią.

Skrzywił się z pogardą. Blondasek bynajmniej nie rozproszył jego znużenia, gdyż sam był nudny jak flaki z olejem, zarówno w łóżku, jak i w rozmowie; na domiar złego zaprotestowała, gdy wziął się do zakładania prezerwatywy.

Na koniec rozległ się głosik Plum. Oczywiście, przypominała mu o swoich urodzinach. Paplała o nich jak najęta, głupia dziwka. Nagle jednak nadstawił uszu. Padło imię ojca.

- Jay, muszę z tobą porozmawiać. Chodzi o Brama. Chyba zakochał się... - Dał się słyszeć dziewczęcy szloch. - Widziałam ich razem. W jego gabinecie. Wychodził z nią właśnie na kolację. A jak patrzył na nią. Nigdy nie widziałam, żeby Bram tak patrzył na jakąś kobietę. Och, Jay, musisz coś zrobić. Musisz...

Bram zakochany... Jay zacisnął szczęki. Ta kobieta, kimkolwiek była, miała głowę nie od parady, musiał jej to przyznać. Omamiła ojca i pewnie wodziła go teraz na pasku. Sytuacja wymagała jak najszybszej interwencji.

Mógł być tylko jeden powód, dla którego ta cwaniara przykleiła się do Brama. Forsa. Bram był bardzo bogatym człowiekiem, no i kawalerem, a stąd łakomym kąskiem dla każdej baby. Ojciec musiał przejrzeć na oczy i przekonać się, z kim właściwie ma do czynienia.

Sięgnął po słuchawkę i zaczął wykręcać numer Plum. Po pięciu cyfrach zrezygnował z tej formy kontaktu. Lepiej będzie, jak spotka się z nią w jej mieszkaniu. Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma. Bez wątplenia Plum była jeszcze w łóżku i to najpewniej z jakimś facetem. Ale mniejsza z tym. Miał zbyt ważny problem do rozwiązania, by kłopotać się tym, że komuś przerwie miłe dmuchanko.

Bawiły go czasami reakcje Heleny, która ze śmiertelną zgrozą odkrywała coraz to od nowa, że jej córka jest najzwyczajszą dziwką. Choć może znów nie taką zwyczajną, skoro nie żądała zapłaty, obsługując facetów całkowicie gratis.

Ogolił się, wziął prysznic i przebrał. Fizycznie czuł się świeży i wypoczęty. Gorzej było z psychiką.

Prosto od Plum zamierzał pojechać do biura. Bram powinien już tam być za swoim mahoniowym biurkiem. Przywita się więc z ojcem i, uzbrojony w informacje uzyskane od Plum, zada pierwszy cios tej oszustce, której udało się tak szybko otumanić ojca.

Jak to przewidział, Plum jeszcze spała. Bodaj z pięć minut naciskał na dzwonek, zanim otworzyła mu drzwi. Ukazała się w kusej nocnej koszulce, zakrywającej zaledwie pośladki. Jej włosy przypominały bocianie gniazdo, a rozmazany tusz, którego z jakichś powodów nie zmyła, okalał jej oczy brzydkimi ciemnymi obwódkami.

Patrzyła nań z mieszaniną ciekawości i podejrzliwości.

- A więc wróciłeś. I od razu budzisz mnie w środku nocy. Czego chcesz, Jay?

- Chciałbym porozmawiać z tobą o tej kobiecie, z którą ostatnio spotyka się ojciec - powiedział, zdejmując płaszcz i wieszając go na wieszaku. - Masz coś smutną minkę. Pewnie martwisz się, że facetowi minie ochota - wskazał ruchem głowy na uchylone drzwi sypialni - zanim wrócisz do niego po rozmowie ze mną?

- Nie ma tam nikogo-odparła ze złością.

- Dlaczego taka nerwowa? Chyba nie sądzisz, że wykorzystam sposobność i przetestuję wszystkie twoje łóżkowe talenty?

Plum zbladła jak płótno. Zaraz jednak zaczerwieniła się, a w jej oczach zabłyśły łzy gniewu.

- To okropne, co mówisz. Ja nigdy...

- Wiem, wiem... Nigdy nie mówisz „nie” i na tym właśnie polega twoja oryginalność. - Roześmiał się śmiechem okrutnika. - Myślisz, że nie pamiętam, jak dobierałaś się do mnie?

- To nie miało nic wspólnego z seksem - zaprotestowała. - Próbowałam jedynie...

- Co próbowałaś? - zapytał, robiąc minę zaciekawionego kłowna.

- Sprawić, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Ponieważ... ponieważ żal mi było ciebie - wyjąkała piskliwie.

Jay aż poszarzał na twarzy. Spoglądał na nią z takim wstrętem, z tak bezmierną odrazą, że instynktownie aż się skuliła.

- Wiesz, kogo mi przypominasz, Plum? - zapytał głosem zimnym niczym podmuch śmierci. - Bezdonną, skomlaącą, łaszącą się sukę, która pełzaniem, lizaniem rąk i zagładaniem w oczy stara się

wybrać kość czy ochłap. Tak i ty czołgasz się i skomlisz, tyle że idzie ci nie o żarcie, a o seks. - Pokręcił głową. - Litowałaś się nademną! Ciekaw jestem, co by powiedziała twoja matka, gdyby obejrzała tę taśmę, którą sobie nakręciłaś?

- A więc to ty... ty ją ukradłeś - wyszeptała Plum zbielełymi wargami.

- Powiedzmy, że pożyczyłem ją sobie, na zawsze. -Przeczesał palcami włosy. - A teraz powiedz mi wszystko, co wiesz o tej kochance ojca.

Plum dostała za swoje i mógł na razie dać jej .spokój. Nie była godnym przeciwnikiem. Bez względu na to, jak okrutnie i wzgardliwie by ją potraktował, wiedział, że wystarczyłoby szepnąć jakieś miłe słówko i otworzyć ramiona, a rzuciłaby się w nie na oślep, by zaraz wziąć się do rozpinania mu rozporka.

- Ma na imię Taylor. Nazwiska nie znam. Pomaga mu przy czymś. Ale jest to tylko chwilowe. Na stałe pracuje w jakiejś dobroczynnej instytucji. Bram szaleje na jej punkcie, ale ona sama - marmur i gład. Zimna, obojętna, zamknięta w sobie. I stara! Prawdziwa starucha! Nienawidzę jej! Odebrała mi Brama. Musisz coś zrobić. Zatrzymać tę karuzelę.

Plum była dzieckiem. Zepsutym i rozpustnym dzieckiem, ale mimo wszystko dzieckiem. Jay widział to w tej chwili wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem. I temu dziecku ktoś odebrał zabawkę, więc histeryzowało i tupało nóżkami.

Nagle dziecko uspokoiło się.

- Która godzina? Jestem na dziesiątą umówiona z mamą. Idziemy do przymiarki. Chciałam mieć suknię od Lacroix lub Valentino, ale mama zawlokła mnie do swojej starej krawcowej. Nudziara, jakich mało. Przyjdiesz na przyjęcie, prawda?

Nie odpowiedział. Sięgnął po płaszcz. Dochodziła dziewiąta. Ojciec tak czy inaczej musiał być już w biurze.

Jay przemierzył obszerny hol, nacisnął guzik, po czym wszedł do windy. Kiedy zasunęły się za nim drzwi, recepcjonistka, która obserwowała go dotąd spod spuszczonej powiek, chwyciła za słuchawkę i wykręciła numer sekretariatu młodego Soamesa.

- Ostrzeżenie przed zbliżającym się sztormem - powiedziała, gdy sekretarka Jaya odebrała telefon. - Jego lordowska mość raczył powrócić, lecz chyba w nie najlepszym humorze. Przynajmniej sądząc z miny.

- Dzięki. Jestem twoją dłużniczką - odparła opalona na brąz dziewczyna, lecz słysząc kroki szefa przerwała rozmowę.

A jednak drzwi nie otworzyły się. Kroki oddaliły się w głąb korytarza. Zapewne syn chciał najpierw przywitać się z ojcem.

Po chwili w sekretariacie Bramptona Soamesa Marcia uniosła wzrok znad klawiatury komputera. Przed nią stał Jay Soames. Nie lubiła go.

- Chcę rozmawiać z ojcem - oświadczył krótko i węzłowato, nie odpowiadając na jej pozdrowienie.

- Przykro mi, ale go nie ma. Prawdopodobnie znajdzie pan ojca w domu. O ile... -

Sapnęła z irytacji. Nie raczył nawet wysłuchać jej do końca. I jeszcze trzasnął drzwiami.

Nastrój Jaya, gdy wysiadał z taksówki przed domem ojca, wahał się pomiędzy wściekłością a pełnym napięciem skupieniem, agresją a podszytym lękiem niepokojem, gotowością do skoku a pokusą zwłoki. Poza tym wciąż jeszcze ropiała rana, którą zadał mu ojciec, dystansując się wobec jego śmiałych planów odnośnie ekspansywnego rozwoju przedsiębiorstwa.

Zwyciężyła agresja. Nacisnął dzwonek z wściekłością, jakby chciał go zmiążyć.

Ponaglający i uporczywy dźwięk dzwonka dotarł do uszu Taylor. Była akurat na górze i wyglądała na ogród przez okno sypialni. Tej samej sypialni, do której zaniósł ją Bram i gdzie kochała się z nim przez pół wczorajszego dnia i całą minioną noc.

A były to godziny nasycone takim pięknem i taką rozkoszą, że wołała o nich nawet nie myśleć. Gdyby nie fakt, że czuła się dzisiaj tak strasznie przybita, mogłaby uważać się znów za dwudziestoletnią dziewczynę, kochaną, pożądaną, rozpieszczaną i wielbioną.

Zacisnęła usta, próbując opanować ich drżenie. Wciąż miała przed oczyma wyraz twarzy Brama, kiedy odepchnęła go dziś rano od siebie. Jego twarz wyrażała zmieszanie i ból oraz zasadnicze zdumienie faktem, że można w bardzo krótkim czasie, niemal w jednej sekundzie, przejść od żarliwych pocałunków do niechęci i chłodnego milczenia. Bo odmówiła mu wszelkich wyjaśnień.

Miała zamknięte usta. Czyż bowiem mogła mu powiedzieć, że nie ma prawa przyjąć daru jego miłości? Że ich spełniona miłość oznacza w gruncie rzeczy wystawienie go na straszliwe niebezpieczeństwo? Przecież mówiąc to, musiałyby zaraz powiedzieć mu o... tamtym.

Wczoraj, garnąc się do niego i tuląc, zachowywała się jak ostatnia egoistka. Dziś jednak przyszło opamiętanie.

Bram musiał wyjść, gdyż miał jakieś ważne spotkanie. Ale gdy wróci...

Gdy wróci, jej tutaj już nie będzie. Podjęła decyzję i wiedziała, że się z niej nie wycofa.

Trzymała w dłoniach oprawioną w ramki fotografię. Szkło było wybite, ramki zaledwie się trzymały, lecz samemu zdjęciu nic się nie stało.

Kiedy Bram wręczał jej tę pamiątkę, którą przyniósł z jej zdewastowanego mieszkania, o mało co nie wyparła się swojej własności. Najchętniej powiedziałyby, że zdjęcie podrzucił lub po prostu zostawił włamywacz, lecz kłamstwo to nie chciało przejść jej przez gardło.

- To moja... moja chrześniaczka. Moi... jej rodzice mieszkają za granicą, stąd urwały się wszelkie kontakty.

- Piękna dziewczyna - powiedział Bram z głębokim przekonaniem.

Czy włamywacz szukał właśnie tego zdjęcia, czy też natrafił na nie przez przypadek, demolując mieszkanie? W pytaniu tym, które teraz sobie zadała, zawierał się cały dramat jej życia.

Wzdrygnęła się. Ktoś dzwonił. Naciskał na dzwonek, jakby chciał zawiadomić mieszkańców tego domu, że pali im się dach nad głową.

Zerknęła w lustro, otarła łzy i zeszła na dół.

Stanąła przy drzwiach i zawahała się. Mogła właściwie nie otwierać, nikt nie mógłby mieć o to do niej żadnej pretensji. Bądź co bądź, była w obcym domu, Bram nie upoważnił jej do załatwiania jego spraw.

Ale Bram powiedział jej wczoraj, że policja zna jego adres i w każdej chwili może zechcieć skontaktować się z nią.

Założyła łańcuch i uchyliła drzwi.

Ktoś przeklął i był to mężczyzna.

- Gdzie jest mój ojciec? I kim pani jest, do diabła? Przez szparę pomiędzy framugą a drzwiami patrzył na nią Jay, syn Brama.

Rozpoznała go, gdyż widziała go już na zdjęciach. Zwolniła łańcuch.

Wpadł do środka, rozejrzał się po holu, po czym wbił w nią spojrzenie swoich zimnych oczu.

- Gdzie jest mój ojciec? - powtórzył głosem kipiącym wściekłością.

- Nie ma go w domu. Poszedł na jakieś ważne spotkanie. Tak wiele słyszała o Jayu z ust Brama. Mówił o nim zawsze z miłością i bólem. Lecz mimo wszystko nie przygotował jej na to spotkanie.

Wciąż nie wiedziała, jakim naprawdę człowiekiem jest Jay i czego może po nim się spodziewać. I dlatego w żaden sposób nie umiała wytłumaczyć sobie tej śmiertelnej nienawiści, jaką dostrzegła teraz w jego oczach.

- Miło mi pana poznać, Jay - powiedziała, kładąc na stoliku fotografię, którą dotąd trzymała w ręku.

Spojrzał na śmiejącą się na zdjęciu dziewczynę, oderwał wzrok, a potem spojrzał po raz wtóry.

- Pani córka? - spytał z jakąś diabelską ironią. - A więc to jej życie mój ojciec chce usłać różami.

Zaczerwieniła się po czubki włosów. Właśnie wymierzono jej policzek.

- To nie jest moja córka, tylko... chrześniaczka. A jeśli chodzi o te róże...

- Czyżby nie rozumiała pani tego wyrażenia? - przerwał jej. - Zatem wyjaśnię. Róże to forsa, zbytek, luksus. I właśnie z myślą o zapchaniu się forszą wkręciła się pani do tego domu. Proszę nie zaprzeczać. Wciąż jeszcze cuchnie pani seksem po dzisiejszej nocy.

Taylor jęknęła. Cofnęła się o krok i przycisnęła dłoń do zmartwiałego serca.

- Tak, wiem o pani wszystko - ciągnął Jay, nie panując już nad swoim gniewem i nienawiścią. - Ojciec całkiem ogłupiał na twoim punkcie. - Używał teraz obraźliwego „ty”, jakby zwracał się do zaczepionej na ulicy prostytutki. - Ale nie wyjdiesz za niego, nie licz na to! Już w tym moja głowa, żeby ci się nie udało.

- Jay!

Na dźwięku tego głosu odwrócili się oboje. Był to Bram, który stał w otwartych frontowych drzwiach i groźnie spoglądał na syna.

Następnie przeniósł wzrok na pobladłą, półżywą niemal Taylor. Podszedł do niej i otoczył ją opiekuńczym ramieniem.

- Tay, czy nic się nie stało?

- Ja... - Miała już na końcu języka, że mogą nie obawiać się jej, bo ona zaraz sobie pójdzie, lecz tylko rozplakała się gorzkimi łzami.

- Czy nie domyślasz się, o co jej naprawdę chodzi? - rozległ się głos Jaya.

Ale Bram tylko machnął ręką.

- Jay, proszę, opuść ten dom. Zraniłeś Taylor, a ja nie mogę tolerować czegoś takiego.

- Tato...

- Natychmiast opuść ten dom!

- Jeśli teraz stąd wyjdę, to już nigdy tu nie wrócę. Przynajmniej nie zobaczysz mnie, dokąd ona tu będzie. Możesz wybierać. Albo ona, albo ja.

Taylor zatrzęsała się i zamknęła oczy.

- Taylor to moje życie, Jay - usłyszała.

Ugięły się pod nią nogi. Zdumione niedowierzanie i bezmierny ból, które na chwilę pojawiły się w oczach Jaya, były dużo trudniejsze do zniesienia od zaciekłości, w której zaraz stężała jego twarz.

Zaraz jednak Jay odwrócił się i wypadł z holu na ulicę, zatraskując za sobą drzwi.

Spojrzała na Brama i wstrzymała oddech. Ale Bram nie pobiegł za synem, nie próbował ratować tego, co właśnie, wydawało się, utracił bezpowrotnie.

Kurczowo chwyciła go za ramię.

- Bram, to jest twój syn. Nie wolno ci...

- A ty jesteś kobietą, którą kocham - odparł ponuro.

- To jest twój syn - powtórzyła zmęczonym głosem. - On nigdy mi tego nie wybaczy. Przed nami nie ma...

- Nie ma czego? Przyszłości? Więc ty i ja nie mamy prawa być razem, kochać się, wspólnie doświadczać szczęścia?

- On przecież nie chce cię utracić i ty również nie chcesz tego - powiedziała, czując przyływ nowego strachu.

Bram zauważył to.

- Nie masz powodu się bać. Pamiętam, co mówił do ciebie. I przyrzekam, że ani Jay, ani nikt inny nie stanie między nami, ani też nie zdoła odmienić moich uczuć do ciebie.

Zaszlochała krótko, spazmatycznie,

- Jak możesz być tego taki pewien. Prawie się nie znamy.

- Wiem, że jestem w tobie zakochany, a to już bardzo dużo.

Przeżyłem tyle lat bez miłości i mając teraz ponad czterdziestkę, nie zamierzam tracić już ani sekundy. Tej nocy kochałem się z tobą i czułem się niczym wybraniec losu. Niewielu ludziom dane jest przeżyć to, co ja przeżyłem, wierz mi. Może dlatego że tak długo odmawiałem sobie tego, do czego inni tak się garną. -Pocałował ją w czoło. - Ale jesteś jeszcze ty i ty również musisz dokonać wyboru.

Pragnę, ażebyś wybierając, nie czyniła tego pod naciskiem mojej decyzji. Zapomnij też o groźbach Jaya. Dokonaj wyboru tylko w swoim sercu.

- Chcesz powiedzieć, że gdybym chciała odejść, bo uznałabym, że tak będzie najlepiej, to uszanowałbyś mój wybór?

- Tak - odparł cicho, lecz zdecydowanie.

Pamiętała bardzo dobrze o swoim uprzednim postanowieniu. Teraz w osobie Jaya pojawił się dodatkowy powód, żeby na zawsze opuścić ten dom. A jednak nie mogła zdobyć się na ten krok. Gdyby wybierała w głowie,

wszystko byłoby jasne. Lecz miała wybrać w sercu. Jej serce już wybrało. Kochała Brama równie mocno, jak on ją kochał.

- Och, Bram... - zaszlochała, kładąc głowę na jego szerokiej piersi.

To nie mogło ciągnąć się bez końca. Musiała znaleźć jakiś sposób zakończenia tego snu na jawie. Ale nie teraz. Jeszcze nie dzisiaj.

Taylor przypominała alkoholiczkę lub narkomankę, która codziennie sobie przyrzeka, że jutro skończy z nałogiem, ale na razie tylko zwiększa dawki.

Jak długo przebywała już w tym domu? Miesiąc, a nawet trochę dłużej. I ile razy w przeciągu tego czasu przekonywała siebie, że musi stąd odejść?

Lecz odejść stąd, to przede wszystkim zacząć tęsknić. Za tym ogrodem, w którym ścinała właśnie róże, i za tą komfortową willą, do której niebawem wejdzie z naręczem kwiatów. A przede wszystkim za Bramem, najukochańszym i najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała.

Bram odleciał dziś rano w interesach do Strasburga. Chciał ją zabrać ze sobą, lecz ona wybrała rozstanie.

- Nie lubię zostawiać cię samą - rzekł na pożegnanie. - Ale tutaj jesteś bezpieczna. Wrócę jutro wieczorem.

Już za nim tęskniła.

Miała oto wspaniałą okazję, by spakować się i opuścić ten dom. W tak ogromnym mieście jak Londyn ukrycie się nie było żadnym problemem. Dzięki zapobiegliwości i staraniom Brama dostała od towarzystwa ubezpieczeniowego najwyższe możliwe odszkodowanie,

dysponując więc taką sumą, mogła śmiało rozpocząć nowe życie. I tak przecież nie zamierzała powrócić do dawnego mieszkania. Będzie musiała je sprzedać.

Jeżeli jednak teraz ucieknie, Bram zacznie jej szukać i z pewnością odnajdzie poprzez biura rejestracji zatrudnienia.

A poza tym jeśli teraz ucieknie, to już nigdy nie pójdzie z Bramem do łóżka. Nigdy nie będzie dotykać jego ciała i on również nie będzie dotykał jej ciała.

Ale każdy kolejny spędzony z nim dzień zwiększał ryzyko, że Bram dowie się prawdy. Czy znając prawdę o niej, nadal będzie ją kochał? Bardzo wątpliwe.

I tak już narobiła dużo złego. Skłóciła ojca z synem. Bram udawał, że nic się nie stało, ale w jego oczach gościł czasami wielki smutek.

Jay, bądź co bądź, był jego synem i Bram go kochał.

Gdyby się usunęła, syn wróciłby do ojca, ojciec zaś odnalazłby syna.

- Dlaczego nigdy nie ożeniłeś się? - spytała raz Brama.

- Ponieważ dopiero teraz cię spotkałem - odparł, całując ją.

Później przyznał, że nie ożenił się z uwagi na Jaya. Uznał, że tylko jako kawaler będzie mógł w miarę bezstresowo wychowywać syna.

Szczególnie pociągały ją u Brama wrażliwość i delikatność, jakie wykazywał w kontaktach z innymi ludźmi. Nigdy nikomu nie próbował niczego narzucać, zawsze odnosił się z szacunkiem,

zrozumieniem i życzliwością do poglądów i uczuć drugiego człowieka. Agresja, pragnienie dominacji, żądza sterowania cudzą wolą, wszystko to było mu najzupełniej obce. Pod tym względem on i Jay bardzo się różnili.

Bram raz powiedział jej, że związany z jej osobą konflikt pomiędzy nim a Jayem był tak czy inaczej nie do uniknięcia. Kimkolwiek byłaby kobieta, którą Jay zobaczyłby u boku ojca, zachowałby się wobec niej dokładnie tak, jak zachował się wobec niej, Taylor. Powiedziawszy to, nie ciągnął już dalej tego tematu, ale jej coś szeptało do ucha, że Jay wciąż się głowi nad tym, jak zniszczyć ich związek.

I nie miała złudzeń co do tego, jak by zareagował Jay, gdyby jakimś cudem poznał jej przeszłość. Tymczasem pamięć o tej przeszłości sprawiała, że Taylor nosiła w sobie wroga, który był dużo groźniejszy od Jaya. Próbowwała co prawda w przeciągu tych kilku ostatnich tygodni przekonywać siebie, że przeszłości nie ma, istnieje tylko teraźniejszość, a w niej miłość Brama, wiedziała jednak, że jest to tylko okłamywaniem samej siebie.

Tak, żyła w ustawicznym kłamstwie. Bo albo okłamywała siebie, albo Brama. Musiała z tym skończyć.

Wkładała właśnie kwiaty do wazonu w salonie, gdy usłyszała, że ktoś otwiera frontowe drzwi. Bram miał wrócić dopiero następnego dnia wieczorem, ale może...

Wbiegła do holu. Uśmiech zamarł na jej wargach.

W holu stał Jay.

- Bram wyjechał do Strasburga - powiedziała, patrząc na klucze, które Jay trzymał w dłoni.

Słyszała z ust Brama, że do dnia kłótni Jay dysponował własnymi kluczami do tego domu, ale że później oddał je ojcu, zresztą na jego stanowcze żądanie.

- Wiem - odpowiedział, nie witając się z nią. - Prawdę mówiąc, wpadłem tu po drodze na lotnisko. Bram zaprosił mnie na dwudniową wyprawę na ryby. - W oczach Jaya pojawił się błysk triumfu.

Taylor, rzecz jasna, wiedziała, że Jay i Bram codziennie spotykają się w pracy, ale wiedziała też, że stosunki pomiędzy nimi nadal są napięte i że Jay wciąż patrzy na ojca wilkiem.

- Jego zachowanie niczym się nie różni od zachowania dziecka - powiedział pewnego wieczoru Bram. - Pomyślałby kto, że ty i ja jesteśmy tu jedynymi winnymi.

- Nie wiem, jak inni, ale Jay na pewno tak myśli - odparła. - Uważam, że wciąż nie może pogodzić się z faktem mojej obecności w tym domu. Ma dwadzieścia siedem lat, ale, jak widać, nie wyrósł jeszcze z dziecięcej zazdrości.

- Tym razem będzie musiał pójść na jakiś kompromis. Być może starzeję się, ale coraz trudniej jest mi zachować tolerancyjną postawę wobec niego. Moje życie było dotąd nie kończącą się próbą zadośćuczynienia za błąd młodości; upływało pod znakiem ofiary i poświęcenia. Teraz jednak zaczynam spoglądać w przyszłość. Myślę o dzieciach, naszych dzieciach, Tay.

- Naszych dzieciach - wyszeptała. - Ależ...

- Myślisz, że jestem na to za stary?

Jeśli ktokolwiek z nich dwojga był tu za stary, to na pewno nie Bram. Taylor poczuła się tak, jakby spłynęło na nią i tylko na nią całe światło niebios.

Dzieci... Dobry Boże, gdyby tylko było to możliwe. Tylko ona wiedziała, ile razy w przeciągu tych długich jałowych lat tęskniła za tego rodzaju spełnieniem.

- Jay nie byłby tym zachwycony - powiedziała w formie ostrzeżenia.

Bram odpowiedział namiętnym pocałunkiem.

Tak, nie miała żadnych podstaw, by sądzić, że Bram i Jay przełamali lody i są na jak najlepszej drodze do pogodzenia się. Wspólne wędkowanie, o którym wspomniał przed chwilą Jay, nie pasowało wcale do tego obrazu ich stosunków, który jeszcze kilka dni temu przedstawił jej Bram.

- Co się stało? - zapytał Jay z komicznie odegraną troską. - Czy ojciec nie uprzedził cię o tym? Rozumiem go. Zawsze panicznie bał się tych wszystkich kobiecych krzyków i hysterii. Bóg tylko jeden wie, ile już takich scen przeżył w swoim życiu. Jest ogólnie znana jego słabość do kobiet władczych i o silnym charakterze. Najpierw pozwala im wierzyć, że oładnęły jego wolą i życiem, a potem daje im do zrozumienia, że czas się rozstać. Zazwyczaj trochę krzyczą i rozstanie robi się nieprzyjemne.

- Dlaczego mi to mówisz? Po co tak naprawdę tu przyszedłeś?

Czyżby przyszedł tu głównie po to, by zasiać w jej duszy niepokój?

- Ojciec poprosił mnie, żebym przywiózł mu jego wędkarski ekwipunek. O ile pamiętam, zawsze trzymał go w szafie w swojej sypialni.

- Znajdziesz go w sąsiednim pokoju. Bram opróżnił szafę, abym mogła powiesić swoje ubrania.

Po twarzy Jaya przemknęło coś niedobrego.

- Na twoim miejscu nie czułbym się tak pewnie - rzekł zduszonym głosem. - Obawiam się, że nie zabawisz tu długo. Wydaje ci się, że trzymasz w ręku wszystkie atuty, ale daleko jeszcze do końca gry. Ojciec zbliża się do pięćdziesiątki i jeszcze żadnej kobiecie nie udało się zaciągnąć go do ołtarza. A wierz mi, wiele próbowało.

- Dodałeś mu osiem lat, to dużo - zauważyła cierpkim głosem. - Poza tym jeżeli Bram jest kawalerem, to głównie dlatego, że twoje szczęście stawiał dotąd ponad swoim własnym. Stałeś się jednak dorosłym mężczyzną i byłoby śmiesznie wyobrażać sobie, że nadal potrzebny ci jest tatuś. Chyba że wciąż tęsknisz do smoczka i pieluchy. -Wzruszyła ramionami.

Gdyby ich związek, jej i Brama, miał przed sobą jakąś przyszłość, byłaby z pewnością bardziej powściągliwa w słowach, a nawet starała się zdobyć sympatię Jaya. Tak zaś uznała, że najlepiej będzie wygarnąć mu od razu całą prawdę w oczy.

Nic nie odpowiedział. Nie widziała nawet jego reakcji, gdyż odwrócił się i wbiegł po schodach. Po kwadransie już go nie było. Na wszelki wypadek zabezpieczyła frontowe drzwi łańcuchem.

Dlaczego Bram nic jej nie wspomniał o planowanym spotkaniu z Jayem? Ten ostatni sugerował, że Bram, na razie poza jej plecami, zamierza wrócić na utarte tory swego dotychczasowego życia. Hipoteza ta jednak zawierała w sobie pewne psychologiczne nieprawdopodobieństwo. Byłoby czymś absurdalnym przypuszczać, że ojciec utrzymuje swoje stosunki z synem w sekrecie przed swoją kochanką (ona, Taylor, mogła być tylko tak nazwana), postępując dokładnie tak, jak mąż zdradzający żonę.

Ale może też Bram, zawsze tak delikatny wobec innych osób, po prostu nie chciał jej zranić. Doszedł do wniosku, że łączą go z synem więzy mocniejsze od wszystkich innych, i wybrał Jaya. Jay mógł być dla niego wszystkim. Ona zaś tylko krótkim epizodem.

Tak być mogło, choć wcale nie musiało. Z jakiegokolwiek zresztą strony spojrzałyby na siebie i Brama, zawsze dochodziła do takiego samego wniosku - musiała opuścić ten dom.

Gdzieś pół godziny po krótkiej wizycie Jaya zadzwonił telefon. Zanim jeszcze sięgnęła po słuchawkę, już wiedziała, że to dzwoni Bram. I być może nie tyle nawet przeczucie, co miłość szepnęła jej to do ucha.

- Jak dobrze, Tay, znów słyszeć twój głos - powiedział i zaraz dodał gorączkowo: - Tęsknię za tobą, kochana. Od naszego rozstania

minęły dopiero dwadzieścia cztery godziny, a już zaczynam dusić się tu bez ciebie. Jesteś moją podporą, moim życiem, moim wszystkim...

- Bardzo romantyczne - odparła z lekką ironią.

- Tęsknisz za mną, Tay?

- Tak - przyznała. - Ale przecież już jutro się zobaczymy.

Ani myślała podchodzić go podstępem, sondować i prześwietlać. Po prostu powiedziała to, co, jak sądziła, chciał usłyszeć. Ale w ciszy, która zapadła po tych jej słowach, rozległ się sygnał alarmowy.

- Obawiam się, że mój pobyt tutaj trochę się przedłuży - odezwał się wreszcie Bram. - Jeżeli mam dopiąć wszystko na ostatni guzik i później nie wyrzucać sobie, że coś zawałam, muszę zostać na dodatkowe dwa dni.

Taylor przypomniała sobie słowa Jaya.

- Dwa dni - powtórzyła, jakby dostała do rozwiązania bardzo skomplikowane zadanie matematyczne. Poczula, że mimo ciepłego letniego dnia marzną jej stopy i dłonie.

- Tak mi przykro, Tay. Człowiek niekiedy czuje, że nie należy do siebie.

- Nie ma absolutnej wolności, Bram.

Na czym polegał jej błąd? Co skłoniło Brama do spotkania się z synem w tajemnicy przed nią? Mogła nie lubić Jaya, lecz przecież nigdy nie postawiła Brama wobec konieczności wybierania pomiędzy nią a synem.

Ale Jay właśnie tak postawił sprawę!

- Taylor, słyszysz mnie?

- Słyszę cię, Bram.

- Nie wiem, jak doczekam się powrotu. Ta cholerna zwłoka.

Powinienem zmusić cię do przyjazdu tu ze mną. Śpię sam, lecz dopiero teraz widzę, jakie to beznadziejne i przygnębiające.

Mogłaby go teraz zapytać, jak właściwie wyobrażał sobie pogodzić ich wspólny pobyt w Strasburgu z wędkowaniem z Jayem. Takiego rodzaju reakcji z jej strony Jay zapewne oczekiwał. Musiała go rozczarować. Nie widziała siebie w roli kobiety, która zabiega o należne miejsce w sercu i życiu mężczyzny.

Bram mógł ją okłamywać. Było to i tak bardzo niewinne kłamstwo w porównaniu z jej kłamstwami. Nie mogła mieć też do niego pretensji, że chce zawrzeć pokój z synem. Nie sposób jej było tolerować tylko jednego - zachowania wobec niej Jaya. Traktował ją gorzej niż dziwkę. Coś takiego nie mogło się więcej powtórzyć.

Rozmawiali jeszcze ze sobą dość długo, lecz o sprawach nie dotyczących ich osobiście. Gdy odkładała słuchawkę, czuła w ustach wyraźny smak goryczy.

Bram po rozmowie z Taylor usiadł w fotelu i zamyślił się. Coś musiało się stać. Taylor od początku do końca zachowywała rezerwę, której już dawno pozbyła się w stosunkach z nim. Nie powinien był zostawiać jej w Londynie. Nie teraz, kiedy miłość wciąż ich oszałamiała nowością i świeżością doznań.

Z chęcią odwołałby te wszystkie czekające go spotkania i rozmowy, ale było to niemożliwe. Na domiar złego Jay przesłał mu faksem wiadomość, że na pojutrze umówił go z osobami, które mogły

pozytywnie zaważyć na prowadzonych przez Brama handlowych negocjacjach. Bram był poważnym człowiekiem i nie mógł dla miłosnego kaprysu zaprzepaścić wszystkiego, w co zaangażowanych było tyle osób.

Sposób, w jaki rozmawiała z nim Taylor, napełnił go niepokojem. Odbiegał znacznie od konwencji, która charakteryzowała ich wzajemne kontakty w ostatnich tygodniach.

A może Taylor zamierzała go porzucić?

Boże, był już zbyt stary na to, żeby przeżywać tego typu udreki niepewności. Czyż nie powiedział sobie zaraz na początku, że jeśli Tay zdecyduje się odejść od niego, on nie będzie próbował jej zatrzymać? Pragnął posiadać ją, ale tylko pod tym warunkiem, że ona pragnęła dokładnie tego samego.

Więc dlaczego teraz siedział tu nastroszony i smętny jak zmokła kura? Przecież Taylor przyznała, że go kocha.

Właśnie, przyznała. Słowną deklaracją jeszcze nikt nie zaspokoił głodu i pragnienia.

On ją kochał całą duszą. Gotów był wykrzyknąć swą miłość przed całym tłumem na którymś z londyńskich stadionów. Miłość Tay miała natomiast w sobie domieszkę strachu i niepewności. Taylor wciąż sprawiała wrażenie, jakby nie do końca była przekonana, czy to sen, czy też jawa.

Tak. Źle, że zostawił ją tam samą.

Jay sięgnął do portfela i zaczął odliczać pieniądze. Dziewczyna sprzedająca mu bilet do Strasburga pomyślała, że facet wart jest

grzechu. Jej myśli pobiegły trochę dalej. Wyobraziła sobie scenę, w której wzywa koleżankę, by ta zastąpiła ją w kasie, sama zaś wsiada do samolotu z pięknym nieznajomym.

- Przyjemnej podróży - powiedziała, wydając mu resztę.

Podziękował uśmiechem i ten uśmiech pozostał już na jego twarzy. Wciąż delectował się wspomnieniem swojej wizyty w domu ojca. Udało mu się ugodzić Taylor w samo serce. Ma się rozumieć, próbowała zasłonić się maską obojętności. Nie była jednak dobra w udawaniu. Dziecko by rozpoznało jej ból i jej zaskoczenie.

Po raz pierwszy od pamiętnej rozmowy z ojcem o fuzji z Japończykami Jay poczuł, że wraca mu pewność siebie.

Usiadł w poczekalni i rozłożył gazetę. Prześlizgnął się wzrokiem po nagłówkach pierwszej strony. Wojna w Afryce, tajfuny na zachodniej półkuli, samobójstwo znanego biznesmena. Znalezione go martwego w jego biurze. Upadła pierwsza wersja co do przyczyn targnięcia się na własne życie. Ów szanowany i bogaty człowiek wybrał śmierć bynajmniej nie dlatego, że dokonał kilku błędnych posunięć na giełdzie, lecz z powodu rozpadu swojego małżeństwa.

Skończywszy lekturę artykułu Jay poczuł się niemal osobiście dotknięty. Co za bałwan! Odbierać sobie życie z powodu jakiegoś tam babska! Dla Jaya miłość była słodką, a więc i mdlącą pigułką, jakąmacherzy od kultury masowej aplikowali ludziom, ażeby w swoim ekskluzywnym środowisku śmiać się z tego w kułak. Pod fantazyjnym kostiumem zwanym miłością krył się bowiem jedynie prymitywny popęd płciowy.

W oczach Jaya ludzie tęskniący za miłością byli równie podejrzeni, jak ci, którzy siadali przy okrągłych stolikach w nadziei skontaktowania się z duchami.

Wyłączył stąd logiczny wniosek, że Bram nie mógł być zakochany. To w ogóle nie mieściło się w obrazie ojca, jaki Jay posiadał. Co najwyżej Bram wpadł w pułapkę samo-ułudy i zadaniem jego, Jaya, było go z niej uwolnić.

Ojciec nie potrzebował stałej towarzyszki życia. Było wiele kobiet na tym świecie, które usatysfakcjonowałyby jedna noc z nim spędzona. Tym bardziej Bram nie potrzebował dzieci... Rozzłoszczony, Jay zmiął trzymaną w rękach gazetę.

W gruncie rzeczy nie miał powodu do obaw. Przygotował grunt i teraz czekał na plony ze swego zasiewu. Będą obfite. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Plum, jak zwykle, bardzo kaprysiła przy przymiarce. Ale czegoś takiego, znając ją, można było właściwie oczekiwać. A potem kolejny cios. Zadzwoniono z kwiaciarni, że na dorocznym balu dobroczynnym, na którym ma się zjawić księżna Kentu, a który odbędzie się dokładnie w dzień urodzin Plum, też mają być białe lilie, więc nie mogą obiecać nam pełnej realizacji zamówienia. Wobec tego będziemy chyba musieli pomyśleć o innych kwiatach, z drugiej jednak strony tylko białe lilie...

- Jest wiele kwiaciarni w Londynie - przerwał James żonie.

Stał przed lustrem i zawiązywał krawat. Najpierw czekało go zebranie rady nadzorczej, a potem spotkanie z wujem, z którym

umówił się na lunch. Staruszek był trochę ekscentryczny i cokolwiek boczył się na pozostałych, bardziej konwencjonalnych członków rodziny. James z kolei niejednokrotnie krytykował postęпки wuja. Szczególnie nie przypadł mu do gustu jego zamiar sprzedania rodzinnej posiadłości. Jako najbliższy spokrewniony z wujem zakładał, że naturalną kolejną rzeczą stanie się dziedzicem majątku. Tymczasem mogło go czekać wielkie rozczarowanie.

- Naprawdę - ciągnęła Helena skarżącym się głosem - nie ma chyba nic bardziej wyczerpującego, niż przygotowywanie balu z okazji urodzin córki. A Plum, rzecz jasna, zupełnie nie kwapi się, by pomóc mi w czymkolwiek. Za jakie grzechy mam się tak męczyć? I żeby choć okruszyna wdzięczności. Po tym wszystkim, co dla niej zrobiłam! Zamierzałam powiedzieć jej, że weźmiemy ją do Florencji, ale...

- Nie uważam, żeby to był najlepszy pomysł. Wakacje całą rodziną ostatnio nam się jakoś nie udają. Nie było mi miło słuchać skarg signora Cavelleri, że moja pasierbica uwiodła mu syna.

Helena zacisnęła usta.

- Całą winę ponosi jej ojciec. To po nim odziedziczyła te wszystkie skłonności.

W ten oto sposób, nieświadomie dla siebie, zahaczyła o problem, który od lat fascynował Jamesa. Wciąż w gruncie rzeczy nie mógł wyjść ze zdumienia, że osoba pod każdym względem tak wybredna, a w sprawach seksu nawet pruderyjna, mogła wyjść za takiego człowieka jak Flyte MacDonald, którego nieposkromiony wręcz

apetyt, jeśli chodzi o kobiety, był ogólnie znany. Nawet teraz w intymnych sytuacjach współżycia małżeńskiego Helena upierała się przy nocnej koszuli i pogaszonych światłach. Nie to, żeby miał coś przeciwko temu. Tylko że nie pasowało to do kobiety, której fizyczna miłość sprawiała autentyczną przyjemność.

James już dawno temu zaczął dystansować się wobec problemów, które pojawiły się w związku z dorastaniem Plum. Ostatecznie nie była jego dzieckiem i nie do niego należało karanie jej i napominanie. W cichości ducha zawsze zresztą chciał pozbyć się jej z domu, obawiając się jej zgubnego wpływu na swoje własne córki.

Podobnie jak Helena, skłaniał się ku pogładowi, że skandaliczne prowadzenie się Plum wiąże się w jakiś sposób z jej genetycznym dziedzictwem. Pierwszy mąż Heleny, człowiek bezwstydnym i nieobliczalnym, wciąż rzucał swój cień na ich rodzinę.

- I kiedy ja wreszcie skompletuję listę gości? - nie przestawała skarżyć się Helena. - Flyte, ma się rozumieć, nie raczył odpowiedzieć.

- Flyte?- nachmurzył się James.

- Plum nalegała, żeby go zaprosić. Jest jej ojcem, choć, szczerze mówiąc, nie wyłożył dotąd ani pensa na swoją córkę. A przecież powodzi mu się ostatnio całkiem dobrze. Przeczytałam niedawno w „Timesie”, że jakiś Amerykanin, ci Amerykanie to jednak naprawdę duże dzieci, zapłacił fortunę za jedną z jego rzeźb.

Jamesa wciąż dręczył obraz jego nieskalanej, posagowej Heleny w ramionach tego kudłatego, bezwstydного rozpustnika. Obraz ten

mógłby wydawać się całkiem surrealistyczny, gdyby nie pewien dowód jego realizmu - Plum, owoc ich wspólnych uścisków.

- Zresztą to typowe dla niego nie odpowiadać na listy. Będę musiała pofatygować się do Flyte'a osobiście. Inaczej Plum gotowa nam jeszcze urządzać przy gościach piekielną awanturę. Wyjdzie na to, że nie zaprosiliśmy Flyte'a, kierując się małodusznością i drobnomieszczańskimi zasadami. Nie mogę zrozumieć, jak on może mieszkać wciąż w tej ruderze, gdy stać go na dom z prawdziwego zdarzenia. A swoją drogą, zaskoczył nas wszystkich, a mnie najbardziej. Nie spodziewałam się, że jako artysta osiągnie taką sławę.

Zły humor nie opuszczał Jamesa, który nie życzył sobie widzieć Flyte'a MacDonalda na urodzinowym przyjęciu Plum. I właśnie miał zgłosić swój sprzeciw, kiedy Helena, jakby czytając w jego myślach, powiedziała:

- Wierz mi, James, jeśli pójde do niego z zaproszeniem, to tylko z obowiązku, nie z ochoty. Nie chciałabym po prostu, żebyśmy znaleźli się na językach. Utało się w naszym środowisku, że byli mężowie i byłe żony są traktowani niemal jak pełnoprawni członkowie rodziny. Jakie czasy, takie obyczaje... Lub odwrotnie, wszystko jedno.

Helena znała Jamesa bardzo dobrze. Wiedziała, że jest człowiekiem, który serio traktuje swoje obowiązki. Jednym z tych obowiązków była Plum. W pierwszym okresie małżeństwa James wiele robił, by zdobyć sympatię, przyjaźń, może nawet miłość tego nieznośnego dziecka. Nie udało się, ale bynajmniej nie z jego winy.

Kłopot z Plum polegał na tym, że czerpała przyjemność ze sprawiania innym kłopotów i bólu. Jeszcze jako zupełna smarkula zaczęła łamać normy, których przestrzeganie świadczy o osobistej kulturze i dobrym wychowaniu. Żadnych samoograniczeń, żadnego szacunku dla utartych konwencji i umów.

W sumie była przeciwieństwem tej córki, którą Helena sobie wymarzyła. Jakby w szpitalu, myślała czasem z autentyczną zgrozą, podmieniono jej dziecko. Przychodziło jednak opamiętanie, a wraz z nim świadomość, że jeśli nawet Plum nie odziedziczyła po niej niczego, to przecież była nieodrodną córką swojego ojca.

- Masz rację - powiedział James. - Myślę, że nie mamy wyboru. Trzeba go zaprosić.

- Przypilnuję tylko, żeby czasami nie pojawił się z jedną z tych swoich... tych swoich przyjaciółek.

- Jeśliby ośmielił się zrobić coś takiego... - James stwarzał wrażenie człowieka gotowego oddać życie, byleby tylko nie dopuścić do świętokradztwa.

- Nie przejmuj się - uspokajała go Helena. - Na pewno nie będzie chciał sprawić przykrości Plum.

James zachnął się.

- Sprawić przykrości Plum, dobre sobie! Ale przecież jej w to graj. Uwielbia skandale. Tak czy inaczej, nie mogę powiedzieć, żeby cieszyła mnie perspektywa uściśnięcia dłoni twojemu byłemu małżonkowi.

Helena dzieliła jego brak entuzjazmu, ale zarazem obawiała się napadu złego humoru Plum.

- To Flyte jest moim ojcem, a nie James - powiedziała Plum kilka dni temu. - Nawet jeśli oboje udajecie, że nie było w twoim życiu żadnego MacDonalda, to faktu tego i tak nie da się wymazać.

- Ale to James pokrywa wszystkie koszty twojego urodzinowego przyjęcia, a nie twój ojciec, który, zdaje się, nigdy zbytnio nie przejmował się tą swoją rolą - uznała za stosowne podkreślić Helena.

-Mojego przyjęcia... To śmieszne. Przecież nie z myślą o mnie urządzaście ten spęd. Chcecie po prostu popisać się przed swoimi znajomymi, zaimponować im. Wymień mi, proszę, moich przyjaciół, którym wysłaliście zaproszenia.

- Przepraszam, Plum, ale nie wiedziałam, że masz jakichś przyjaciół - odparła Helena z zimną ironią. - A jeśli nawet znajdzie się jakiś, to bez garnituru i ogłady towarzyskiej.

- Jeśli nie zaprosisz ojca, nie licz na mnie. Po prostu nie pojawię się i tyle. Odbędą się urodziny bez solenizantki. Moim zdaniem Flyte jest zabawniejszy od wszystkich twoich znajomków razem wziętych.

I Plum, skoro już raz zaczęła, postanowiła dotrzeć do samego końca. Wszystkie zapiekłe urazy i żale, wszystkie pretensje i przykrości zostały wyciągnięte, odkurzone i podane Helenie w formie długiego aktu oskarżenia. I jak zawsze, im bardziej Plum unosiła się i podniecała, tym bardziej obca stawała się Helenie.

- Nie wiem, dlaczego upierasz się przy opiece nade mną! - krzyczała Plum z zarumienioną twarzą. - Nigdy mnie nie kochałaś. Ty i James zawsze chcieliście się mnie pozbyć.

- Jesteś śmieszna - powiedziała tylko Helena, krzywiąc z niesmakiem wargi.

W głębi duszy nie mogła jednak nie zgodzić się z Plum. Nigdy jej nie kochała, a nawet jej nie chciała. Poczęcie Plum dokonało się wbrew jej woli, w rezultacie samczego agresywnego zachowania się Flyte'a, którego seksualny szal stał się w końcu powodem rozpadu ich małżeństwa.

Plum miała rację w jeszcze jednym punkcie. Trafnie odgadła, że pomysł z wydaniem przyjęcia nie wziął się z potrzeby uszczęśliwienia i uhonorowania jej samej. Plum była tu tylko pretekstem. Organizowanie tego typu towarzyskich imprez w związku z osiągnięciem przez latorośl formalnej pełnoletności było w środowisku Heleny i Jamesa niemal rytuałem, któremu podporządkowywali się wszyscy bez wyjątku. Ich sprzeciw wobec tego usankcjonowanego zwyczaju stałby się długo komentowanym skandalem. Helena i James, ceniący sobie dobre stosunki i korzyści, jakie z tego wynikały, woleli po prostu nie uchodzić za czarne owce.

Nieważne, że w ich środowisku niemal wszyscy wiedzieli o skandalicznym prowadzeniu się Plum. Ileż to razy Helena musiała nakazywać sobie spokój i dziękować za wyrazy współczucia szczęśliwszym od siebie matkom, których córki, w przeciwieństwie do Plum, były wzorami intelektualnej i moralnej doskonałości. Ale

dokąd roztaczała nad Plum rodzicielską opiekę, dotąd postrzegana była jako, co prawda, boleśnie doświadczona, jednak wspaniała matka. Gdyby odwróciła się do Plum plecami i umyła ręce, stałaby się z tą chwilą matką wyrodną.

Przyszłość Plum rysowała się bardzo mgliście i im częściej Helena zadawała sobie pytanie, co będzie za pięć, dziesięć lat, tym silniejszy strach chwycił ją za gardło. Przede wszystkim było wręcz niemożliwe, żeby Plum spotkała mężczyznę, który by się w niej zakochał i wystąpił z oświadczynami. Mężczyźni bywają lekkomyślni, ale nie aż do tego stopnia, żeby narażać się na ryzyko zdrady w trakcie nocy poślubnej. Poza tym Helena umierała ze strachu na myśl, że Plum w każdym momencie może jej oświadczyć, że jest w ciąży i że nie ma najmniejszego pojęcia, komu to zawdzięcza. Skądinąd wiedziała, że obawy częściej się spełniają niż nadzieje.

Plum bezbłędnie wyczuła, dlaczego Helena i James przykładają do balu takie znaczenie, i zgodnie ze swoją naturą przeszła do szantażu. Wątpliwe, by szczerze zależało jej na obecności ojca. Chciała zrobić po prostu na przekór matce, która dziękowałaby Bogu, gdyby Flyte nie przyjął zaproszenia.

Jeśli jednak obieca przyjść, co wtedy? Gdzie go właściwie usadzi? Niestety, wchodziło w grę tylko honorowe miejsce, zarezerwowane dla rodziców i rodziców chrzestnych. Ale najpierw musiała mieć jasność co do jego zamiarów. Musiała spotkać się z nim.

Telefoniczny kontakt można było z góry wykluczyć. Flyte, człowiek pod wieloma względami dziki i barbarzyński, nie uznawał telefonów. Utrzymywał, że rozmowa przez telefon jest tylko nędzną namiastką prawdziwej rozmowy. Zniszczyłby całą cywilizację, byleby tylko ziścić swoje wyobrażenie o autentyczności i prawdzie.

Zawahała się, które kolczyki ma wybrać. Zdecydowała się na perły. Spojrzała w lustro. Twarz, którą ujrzała, trudno było nazwać młodą.

Tak, tak... Młodość przeminęła. A jej młodość to przede wszystkim Bram. Również Flyte. Ale jeśli Flyte był człowiekiem, o którym starała się zapomnieć, to Bram był źródłem ustawicznych pociech. Czuła się dumna, że posiada takiego przyjaciela.

- Tylko nie zapomnij - zwróciła się do Jamesa - że mamy dziś na obiedzie Hackettsów.

- Nie zapomnę - przyrzekł jej James. - Spotkanie z wujem Bertie postaram się skrócić do minimum.

Podszedł do niej, ona zaś zgodnie z ich miłym małżeńskim obyczajem nadstawiła mu policzek do pocałowania.

Postanowiła, że wyjdzie za Jamesa, kiedy uświadomiła sobie, że mają już za sobą sześć randek, on zaś nie uczynił jeszcze najmniejszej aluzji co do wspólnego seksu. Decyzji tej nigdy potem nie żałowała.

Dobrali się pod każdym względem - fizycznym, intelektualnym i duchowym. Oboje byli wysocy, szczupli i jasnowłosi - typowi przedstawiciele angielskiej klasy wyższej. Częstokroć zetknęli się z oceną, że jako para prezentują się doskonale. Helena ubierała się nie

wedle ostatnich werdyktów arbitrów mody, tylko kierując się własnym gustem i smakiem, lecz do wyglądu zewnętrznego przywiązywała ogromne znaczenie. Jak cię widzą, tak cię piszą, zwykła powtarzać.

Uśmiechnęła się, zauważywszy na twarzy Jamesa wyraz pełnej aprobaty.

Perły, które miała w tej chwili w uszach, James podarował jej w dzień ich ślubu. Złocistobrązowe włosy (efekt koloryzującego szamponu) związane miała w gruby węzeł na karku. Beżowy letni kostiumik pięknie opinał jej ciało. Dyskretny makijaż stanowił subtelne dopełnienie tej starannie skomponowanej całości.

Helena w zasadzie nie mogła narzekać na swój los. Miała wszystko, co mogła mieć w życiu. Rodzinę, męża, dom, przyjaciół, materialny dostatek. Niejedna kobieta mogłaby z pewnością jej pozazdrościć. A jednak czasami odkrywała w sobie coś, co mogło rozsadzić od środka ten jej bezpieczny i uładzony prywatny świat. Coś niepohamowanego, irracjonalnego, dzikiego...

Westchnęła i wstała od toaletki.

- Jay, skąd się tu wziąłeś? - wykrzyknął Bram na widok syna, który zmierzał ku niemu przez zatłoczony hol hotelowy.

- Jak przebiegają rozmowy? - odpowiedział Jay pytaniem na pytanie. - Czy dostałeś ode mnie wiadomość, że chęć spotkania się z tobą wyraził również minister? Czuję, że stoimy na progu wielkiej zmiany w naszych interesach. Obyśmy tylko przekroczyli ten próg.

- Twój optymizm jest chyba trochę przedwczesny - powiedział Bram. - Wciąż nie jest całkowicie jasne, jaka rola nam przypadnie po tych nowych przetarasowaniach na rynku komputerowym.

Bram zamilkł i bacznie przyjrzał się synowi. Uważał, że spotkanie z ministrem miałoby większy sens trochę później, kiedy ze wstępnej fazy negocjacji strony przejdą do podejmowania konkretnych decyzji. Ale znając Jaya, Bram wyczuwał instynktownie, że rozgrywa on tutaj własną grę, z której spodziewa się czerpać określone profity.

- Nie wiem, co na to powiesz, ale proponuję ci dwa dni nad jakąś spokojną rzeczka, obfitującą w ryby - powiedział w pewnym momencie Jay. - Słowem, dwa dni wspólnego wędkowania.

Bram zmrużył oczy.

- Dziwne, proponujesz mi coś, co zawsze odrzucałeś jako nudne, beznadziejne i w ogóle idiotyczne - przypomniał synowi.

Tamten uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Na razie zostawmy ten temat. Po prostu niedawno pomyślałem sobie, że gdyby to było tylko idiotyczne, nie byłoby tylu fanatyków wędkowania wśród ludzi rozsądnych i godnych zaufania. Rozumiem, że zamiast nawlekać na haczyk robaki, wolisz wracać do Taylor. A tak przy okazji... Przesyła ci ona serdeczne pozdrowienia.

- Widziałeś się z Taylor? - zapytał Bram z niepokojem w głosie.

- Tak, pomyślałem, że na niezgodzie niewiele można zbudować, i wybrałem się do twojego domu z głową posypaną popiołem i gałązką oliwną w ręku. No, ale ona właśnie wychodziła.

- Wychodziła? Gdzie? - Bram zaniepokoił się. Wszystko to było dziwne i podejrzane. Najbardziej zaś to, że Jay zdobył się na tak wielkoduszny akt pojednania.

- Z krótkiej rozmowy na chodniku wywnioskowałem, że do restauracji na obiad. Towarzyszył jej jakiś mężczyzna, ale nie przedstawiła nas sobie. Najwyraźniej śpieszyli się. - Rozejrzał się po holu. - A co do wędkowania, to możemy porozmawiać o tym podczas lunchu.

Bram czuł nieprzyjemną suchość w ustach i gwałtowną potrzebę zebrania myśli. Taylor poszła na obiad z jakimś mężczyzną. To nie leżało zupełnie w jej charakterze. Z tego, co wiedział, aktualnie byli w jej życiu tylko dwaj mężczyźni - on i Anthony. Żadnych innych po prostu nie znała. Powiedziałaby kto, ewenement, ale Taylor właśnie taka była - jedyna w swoim rodzaju, niepowtarzalna i wyjątkowa. Uciekała od ludzi, a nie wychodziła im naprzeciw. Obraz Tay, który

namalował przed chwilą Jay, wspominając o tym nieznanym, klócił się z tą wiedzą, którą posiadał o niej Bram.

Obrzucił syna badawczym spojrzeniem. Jay wydawał się być w świetnym humorze.

Jako dziecko, Jay z niesłychaną zaciekleścią prześladował wszystkie bardziej intymne znajomości Brama. W ostatnich latach Bram całkowicie poświęcił się pracy i nie było przeciwko komu występować. Aż do teraz, do pojawienia się Taylor. Teraz jednak sprawy stały całkiem inaczej. Bram wyraźnie dał mu do zrozumienia, że kocha tę kobietę i nie wyrzeknie się jej, nawet gdyby groziło to zerwaniem stosunków z synem.

- On nie podda się tak łatwo - powiedziała Taylor pewnego wieczoru, gdy rozmawiali o Jayu. - Tego typu ludzie nigdy się nie poddają.

Patrzyła gdzieś w kąt pokoju, a w jej oczach zalegały cienie. Zapewnił ją, że nigdy nie pozwoli Jayowi stanąć pomiędzy nimi.

- Będzie zawsze twoim synem i nic nie może tego zmienić.

- Tak - zgodził się i pogłaskał ją po policzku. - A ty zawsze będziesz kobietą, którą kocham. Jay jest już dorosły, pewnego dnia też zakocha się, ożeni i sam zostanie ojcem. Wówczas zmieni się, zrozumie wiele rzeczy.

Wstrząsnęła się.

- Już dzisiaj współczuję jego przyszłej żonie. Jest zbyt zaborczy, opętany na punkcie wyłączności posiadania.

Bram spojrział na syna, lecz teraz na jego twarzy malowała się już tylko nieufność i podejrzliwość. Jay zdawał się nie zauważać tej zmiany.

- Więc jak? Zjemy razem lunch? - zapytał.

- Wybacz, Jay, ale mam do załatwienia kilka pilnych telefonów.

- A co z naszym wędkowaniem? - Jay musiał już coś zauważyć, gdyż mięśnie jego szczęk pulsowały.

- Twoim wędkowaniem, chłopcze. Przykro mi, ale swoje zobowiązania potraktuję tym razem jako sprawę priorytetową.

Powiedziawszy to, odwrócił się i odszedł. Nienawidził własnej podejrzliwości, ale wiedział, że dokąd nie usłyszysz głosu Taylor i nie pozna prawdy, nie zdoła się jej pozbyć.

Helena zaparkowała przed domem Flyte'a w Chelsea i po krótkim wahaniu wysiadła.

Otworzyła jej dziewczyna o chudym ciele i mysich, cienkich, przetłuszczonych włosach. Nieustannie skubała ich końce, kiedy Helena tłumaczyła jej, że chce się widzieć z panem MacDonaldem.

- Teraz pracuje — odparło dziewczę, które budziło litość swoim wyglądem, lecz które spełniało tu najwidoczniej rolę gospodyni.

Pracuje? Helena miała co do tego niejaki wątpliwości. Flyte był spod znaku sowy, pracował nocami, a przedpołudniami wylegiwał się w łóżku.

W holu śmierdziało kurzem i stęchlizną. Przeszły do saloniku, niewielkiego mrocznego pomieszczenia, zawałonego przypadkowo skompletowanymi meblami, z których większość zasługiwała na

miano rupieci. Usiąść tu na czymkolwiek, znaczyło zdobyć się na akt odwagi i poświęcenia. Helena ani myślała się poświęcić.

- Zaczekam w holu - powiedziała, wycofując się.

Od strony pracowni, mieszczącej się w głębi domu, dobiegł nagle jej uszu dziewczęcy chichot, skrzyżował się z innym dziewczęcym chichotem, by w końcu zginąć i przepaść w rykliwym, soczystym basie. Po chwili drzwi otworzyły się i wymaszerował z nich Flyte w towarzystwie dwóch prześlicznych nastolatek. Wydawało się, że ożywił je i ściągnął z obrazu któregoś z prerafaelitów. U jednej i drugiej ta sama burza czarnych kędziorów na głowie i ten sam szafirowy błękit oczu.

Bliźniaczki, pomyślała Helena z przerażeniem, choć nie bardzo wiedziała, co ją tak w tym wszystkim przeraziło. Tymczasem Flyte cmoknął obie dziewczyny, uszczypnął jedną w pośladek, a drugą w podbrzusze, odparł krótkim rechotem na ich ponowny chichot i rzekł:

- Dziś o tej samej godzinie, aniołki. Tylko nie zapomnijcie.

Kiedy zaś „myszka” powiodła bliźniaczki ku wyjściu, podszedł do Heleny.

- Miło cię widzieć, Heleno. Tylko nie wyobrażaj sobie Bóg-wie czego i nie patrz na mnie z taką dezaprobatą. Nasze stosunki są czysto profesjonalne. Dziewczyny pracują jako modelki.

- Przyszłam porozmawiać z tobą o urodzinowym przyjęciu Plum - powiedziała, zimna i wyniosła niczym Królowa Śniegu.

Bardzo dobrze orientowała się w obyczajach Flyte'a, który nie zwykł przepuszczać swoim modelkom, a wyczyniał z nimi całkiem

niestworzone rzeczy, co przynajmniej raz miała okazję zobaczyć na własne oczy, kiedy pod koniec ich małżeństwa otworzyła nie te drzwi, które powinna była otworzyć.

Przeszli do pracowni. Przekraczając jej próg, Helena poczuła, że cofa się w czasie. Bo ta pracownia w zasadzie niczym nie różniła się od tamtej. Taki sam kurz zalegający wszystkie powierzchnie, takie same bloki i odłamki skalne, takie same lub może nawet te same młotki, młoty i dłuta. Tu również w powietrzu unosił się kwaśny odór czerwonego wina, które Flyte zwykł pić niczym wodę, oraz woń jego spoconego ciała.

Poznali się na pewnym przyjęciu. Flyte, jak to on, podpił sobie tego i gospodyni zwróciła się do Heleny z zapytaniem, czy nie mogłaby podrzucić go do domu, jako że mieszkają stosunkowo blisko siebie. Jakkolwiek niechętnie, Helena zgodziła się. To zadecydowało o całej jej przyszłości.

Słaniał się na nogach, więc podprowadziła go pod same drzwi, a nawet weszła z nim do środka. Tu okazało się, że Flyte nie jest wcale tak pijany, jak można byłoby sądzić. Rzucił się na nią i dał jej taki popis jurności i pomysłowości, iż krzyczała i jęczała z rozkoszy jak nawiedzona.

Zaczęli się ze sobą spotykać. Ale miał to być tylko romans, krótka przygoda, po której obie strony się rozstają, by odtąd szukać wrażeń już na własną rękę. Jednak pewnej nocy, całkiem niespodziewanie, Flyte oświadczył się jej, dodając, że jeśli nie będzie chciała wyjść za niego za męża, to on zrobi jej dziecko.

Otumaniona winem i seksem, wyraziła zgodę. Jej rodzice wpadli w panikę i stawiali przeszkody, ale postawiła na swoim.

Teraz wszystko to przebiegło przed jej oczami jak na przyśpieszonym filmie. Rozejrzała się. W pracowni stały rzeźby. Tylko część z nich była dokończona, większość kamiennych brył znajdowała się w różnych fazach artystycznej obróbki. Tu z białego marmuru wyłaniała się męska stopa, tam znów pachy i piersi kobiece, główka dziecka oraz psia mordą, z której zwisał jęzor. Wszystko to miało w sobie jakąś podwójność żywego ciała i martwej skały.

Usiedli na otomanie, którą Flyte przykrył wpierw czystymi papierami.

- Myślisz czasami o mnie, kiedy jesteś w łóżku z tym swoim pocziwcem? - zapytał, mrużąc oczy. - Pamiętasz, jak było? Pamiętasz, o co lubiłaś mnie prosić?

Helena zeszywniała.

- Czy ty potrafisz mówić tylko o seksie? Przyszłam, żeby otrzymać odpowiedź, czy zamierzasz przyjść na urodzinowe przyjęcie Plum.

Modliła się w duchu, żeby ta odpowiedź okazała się negatywna. Nie chciała mieć przy stole bomby, która w każdej chwili może wybuchnąć. Flyte potrafił być niekiedy całkiem czarującym rozmówcą, lecz przede wszystkim musiał chcieć tego i postarać się. Zazwyczaj jednak brało w nim górę lenistwo lub jakaś niezdolność przekora. Wówczas potrafił być wulgarny, wyzywający i w ogóle bardzo przykry dla otoczenia.

- Jasne, że przyjdę. Szkoda tylko, że nie zaprosiłaś też przyjaciół Plum. Nasza dziewczynka bardzo nad tym boleje.

- Plum nie ma przyjaciół. Zna tylko zastęp mężczyzn, którzy... -
Wolała nie kończyć.

- No a co z rodziną? Jej ojczymem, matką, dalszymi krewnymi? Czy tych również nie można nazwać przyjaciółmi Plum?

Uciekła w bok ze spojrzeniem.

- Oczywiście, że cała rodzina została zaproszona. Poza tym będą nasi bliżsi znajomi i przyjaciele. Do kilku osób wysłałam zaproszenia w ramach towarzyskich zobowiązań, tak po prostu się robi...

- Aha, zaczynam rozumieć, dlaczego Plum nie ma ochoty uczestniczyć w tej imprezie. Lepiej zrobilibyście, dając jej te pieniądze i...

- I co? - przerwała mu Helena. - Ciebie, rzecz jasna, ani ziębi, ani grzeje, że twoja córka ma reputację dziwki. Ale mnie gnębi to i nie pozwala spojrzeć ludziom prosto w oczy. Nie będzie miała wiecznie osiemnaście lat. Potrzebuje...

- Męża, to chyba chciałaś powiedzieć, no nie? Faceta, który uwięziłby ją w klatce. I to ma być, twoim zdaniem, dla niej zbawienne? Szkoda jeszcze, że minęły te czasy, kiedy młode dziewczyny, z którymi były problemy, oddawano do klasztorów, prawda? Czego Plum potrzebuje, to przede wszystkim miłości. Miłości... jeśli już mam prze-literować ci to obce słowo. Biedne maleństwo, nie miało dotąd wiele z życia.

- Jak śmiesz tak mówić! - wybuchnęła Helena. - Miała wszystko, wszystko, czego tylko zapragnęła.

- Nieprawda. Mówisz o pieniądzach. A co jej dałaś jako matka, osoba najbliższa dziecku? Nic.

- Chcesz mi wmówić, że za skandaliczne prowadzenie się Plum to ja ponoszę winę? - Helena zlekła się, że za chwilę może stracić panowanie nad sobą i dostać ataku hysterii.

- Winę ponosimy oboje, w równym stopniu przyczyniliśmy się do jej przyjścia na świat. Oboje też odpowiedzialni jesteśmy za jej wychowanie. Choć oczywiście w twoim przekonaniu jest tylko jeden winny. Twój były mąż. To on sprawił, że Plum tak się prowadzi. Więc powiem ci coś, a ty to sobie zapamiętaj. Plum mimo wszystko różni się na korzyść od twoich dwóch pozostałych córek. Dlaczego? Ponieważ nie jest bezbarwną istotą, ma osobowość.

Aż zatrzęsała się z gniewu.

- Jasne, można być kurwą, oszustką, morderczynią, byleby tylko mieć osobowość!

Po co ona tu w ogóle przyszła, do tego kosmatego diabła? Powinna była zaraz na początku jasno i dobitnie powiedzieć Plum, żeby wybiła sobie z głowy zapraszanie ojca.

- Tak naprawdę to wolałabyś, żeby się nie pojawiał na tym przyjęciu, zgadłem, Heleno? - zapytał Flyte z uśmiechem, bezbłędnie czytając w jej myślach.

- Jesteś ojcem Plum.

- Tak, jestem jej ojcem, lecz najważniejsze, że ona nie wyobraża sobie beze mnie swoich urodzin. Czy Bram Soames też będzie?

- Został zaproszony. Jest, bądź co bądź, starym przyjacielem rodziny.

- Przede wszystkim jest twoim przyjacielem - sprostował Flyte.

Helena nagle uświadomiła sobie, że jej przyjaźń z Braniem nadal pozostaje jednym z najbardziej drażliwych tematów w rozmowach z Flyte'em. I nie dlatego, żeby Flyte nie lubił Brama. Owszem, lubił go, tyle że...

- Dziwne - rzekł po chwili milczenia - jak ta nasza Plum jest do ciebie podobna, jak dzielnie kontynuuje to, co zaczęłaś.

Helena niespokojnie poruszyła się na otomanie. Zaszedeściły papiery.

- O czym ty właściwie mówisz? Wyrażaj się jaśniej.

- Z wielką przyjemnością - powiedział Flyte, uśmiechając się pod nosem. - Ta nasza córeczka usycha wręcz z miłości do Brama Soamesa. I nie ona jedna. Zgodzisz się ze mną, Heleno?

- Bram jest moim serdecznym przyjacielem i na tym kończy się jego rola w moim życiu - oświadczyła Helena, wściekła na siebie, że musi się tłumaczyć.

- Do tego stopnia serdecznym, że leżąc ze mną w łóżku, wykrzykiwałaś jego imię. Ale to oczywiście - dorzucił sarkastycznie - niewarte jest wspomnienia.

Helena miała już dość tego wszystkiego.

- W porządku - przyznała z pobladłą twarzą i płonącymi oczami.
- Kochałam Brama, ale było to bardzo, bardzo dawno temu.

- On zaś nigdy nie odwzajemnił twoich uczuć. Biedna Helena...
Staralaś się bardzo, żeby go zdobyć, i natknęłaś się na przeszkodę w osobie pewnego chłopca, który wbił sobie do głowy, że ma wyłączne prawa do swojego ojca. Ten chłopiec ma na imię Jay...

- Dla mnie był zmorą mojego życia.

- Biedna Helena - powtórzył Flyte, kiwając swoją kudłatą głową.
- A jednak niedawno dowiedziałem się od Plum, że Jay zagapił się lub rozluźnił uścisk, gdyż Bram znalazł sobie kogoś - jakąś, cytuję naszą córkę, „pomarszczoną staruszkę”.

Helena uniosła rękę i spojrzała na swoje zadbane paznokcie.

- Plum zawsze lubiła przesadzać. Tej kobiecie dużo jeszcze brakuje do „pomarszczonej staruszki” i wątpię też, by łączyło ją z Bramem cokolwiek innego prócz współpracy.

- Wątpisz, bo nie chcesz w to uwierzyć. Boisz się bólu, jaki może ci sprawić naga prawda. W ogóle jest tak, że są dwie Heleny. Jedna kochająca, pożądająca, roztęskniona, nienasycona, druga zaś kulturalna, opanowana, konwencjonalna, bardzo mieszczańska. Ta druga nie chce się przyznać do tej pierwszej. Ale pewnego dnia, który być może niebawem nadejdzie, tamta Helena...

- Nie ma żadnej tamtej Heleny. Nie ma dwóch Helen. Jest tylko jedna i widzisz ją przed sobą.

- Mogę w każdej chwili udowodnić ci, że nie masz racji.

Wystarczy, że pójdziesz ze mną do łóżka.

- Z tobą? Do łóżka? Za kogo ty mnie masz? - O mało co nie rzuciła się na niego z pięściami.

- Ale gdyby to Bram wystąpił wobec ciebie z taką propozycją, nie powiedziałabyś „nie”, prawda?

Helena poczuła się jak ktoś, kogo zaskoczono od tyłu. Zmartwiała i nie mogła wydusić z siebie zaprzeczenia.

Wszystkiemu winna była Plum. To z myślą o niej tu przyszła, jak się okazało, tylko po to, by znosić teraz urągania ze strony swojego eks-męża. Zresztą zawsze lubował się w drażnieniu i prowokowaniu innych.

- Muszę już iść - powiedziała, wstając. - Do soboty muszę mieć zamkniętą listę gości, więc...

- Na mnie możesz liczyć - upewnił ją Ryte z pogodną miną. - Nigdy bym się nie wyrzekł czegoś takiego. Ciekaw jestem, gdzie mnie usadzisz? Czy w książkach poświęconych etykietce zajęli się już takim przypadkiem? Może wskażesz mi krzesło przy krześle Brama?

- Wybacz, ale naprawdę muszę już iść.

Spojrzała raz jeszcze na rzeźby i wyszła. Jadąc ulicami wielkiego miasta, przez cały czas myślała o Bramie.

Pamiętała ów dzień, kiedy po raz pierwszy ujrzała go na uniwersyteckim dziedzińcu. Promienie słoneczne przemieniły jego włosy w czyste złoto, tak iż wydał się jej niemal jakimś greckim bogiem lub herosem.

Czytała zresztą klasyków. Poza tym lubiła kreować się na rozsądną, poważną młodą kobietę, która dokładnie wie, czego chce i co może spotkać ją w życiu.

Dyplom, kariera, małżeństwo po uprzednim starannym wyborze narzeczonego, dwójka dzieci, dom w Londynie i letnia willa na wsi, wakacje we Włoszech, zimy obfitujące w towarzyskie i kulturalne rozrywki, słowem - bezpieczne, zasobne, ciekawe życie.

I wówczas to właśnie spotkała Brama i zakochała się.

Ale Bram nie odpowiedział miłością na jej miłość. Owszem, polubił ją, i to bardzo, i zawsze patrzył na nią z ciepłą serdecznością. Gdyby się postarała, wziąłby ją nawet do łóżka, tyleż z przyjaźni, co z litości. I gdyby nadal się starała, to mogłaby już tam zostać, bo Bram miał zbyt miękkie serce, by pozbawiać kogoś ciepła i złudzeń. Kto wie, może nawet wzięliby ślub i mieli ze sobą dzieci...

Były to jednak tylko te warianty ewentualnego rozwoju wydarzeń, w których nie uwzględniała istnienia Jaya. On jednak istniał i nie sposób było o tym nie pamiętać.

Robiła wszystko, co mogła, by przekonać Brama, że dobro dziecka wymaga generalnej zmiany koncepcji wychowawczej. Inny opiekun, inne środowisko, inna atmosfera - zapewnią Jayowi bardziej racjonalny i harmonijny rozwój. Dla wsparcia swoich sugestii przywoływała za każdym razem dziesiątki przykładów nagannego zachowania się chłopca. Na nic się to zdało. Jay pozostał i z dnia na dzień coraz bardziej zaciskał swoją żelazną obręcz wokół Brama.

Pływały lata. Wyszła za Flyte'a, który okazał się diablem, potem za Jamesa, który okazał się cudownym człowiekiem, lecz Bram wciąż pozostawał jej najbliższym przyjacielem. Długo łudziła się, że ta przyjaźń zmieni się w bardziej intymny stosunek pomiędzy nimi, aż w końcu zrozumiała, że ta przyjaźń, serdeczna, wierna i niezachwiana, to coś najwspanialszego, co mogło spotkać ją w życiu.

Jeśli więc Bram znalazł w końcu kogoś, z kim mógłby dzielić życie, to dlaczego nie miałyby to być dla niej źródłem radości? Przecież była jego przyjaciółką i życzyła mu jak najlepiej. Ale też, jako stara i wypróbowana przyjaciółka, troszczyła się o niego i stąd ciekawa była tej kobiety, która wtedy, na wystawie kwiatów i roślin ogrodowych, wydała się jej dość interesującą osobą. W zasadzie więc nic nie stało na przeszkodzie, by spotkać się z Bramem i poprosić go, żeby zjawił się na urodzinach Plum ze swoją miłością.

Owszem, zrobi to, ale nie teraz, nie dzisiaj. Czowała pierwsze sygnały zbliżającej się migreny, a poza tym jej włosy rozpaczliwie domagały się zasadniczych zabiegów fryzjerskich. Bram należał do mężczyzn zwracających uwagę na wygląd zewnętrzny kobiety i zawsze komplementował rzecz godną pochwały. Lecz jeśli było coś nie tak, od razu wyjeżdżał z krytyką.

Bram... Bram... Bram... Nacisnęła na pedał hamulca. Zamarło jej serce. O mało co nie przejechała na czerwonych światłach.

Taylor wysiadła z taksówki, poleciła taksówkarzowi czekać i walcząc z atakującym ją strachem, weszła do kamienicy, w której mieszkała przez tyle lat. Winda wyniosła ją na ostatnie piętro. Podeszła do drzwi i włożyła nowy klucz do nowego zamka.

Minęła jednak cała minuta, zanim udało się jej pokonać pokusę ucieczki i zdecydowała się otworzyć drzwi.

Odetchnęła nieruchomym, nagrzanym powietrzem. Wyczuła zapach chemikaliów. Zapewne pozostał on po wielkim czyszczeniu, jakie miało tu miejsce.

Przeszła do salonu. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, było puste miejsce po sofie. Towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaciło odszkodowanie za zniszczone rzeczy i meble, lecz ona jeszcze nie zadała sobie trudu zastąpienia ich nowymi. Żyjąc z Bramem i sycąc się ciepłem jego miłości, odgradzona była dotąd od świata jakby dźwiękoszczelną ścianą. W rezultacie nie tylko kupno, ale nawet myśl o kupnie jakichś tam mebli nie pojawiła się ani przez moment w jej głowie.

Kontrast pomiędzy tym apartamentem a domem Brama wydawał się wręcz ogromny. I nie chodziło bynajmniej o wielkość mieszkalnej przestrzeni i jej zawartość, lecz o sposób jej zorganizowania i oswojenia. Tam czuła się niczym żeglarz w zacisznej przystani, tu - niczym żeglarz na otwartym, wrogim, wzburzonym morzu.

Za wszystkim kryła się jakaś groźba. Nietrudno było jej sobie wyobrazić, że w szafie, za kredensem czy w łazience przyczaił się ów straszny człowiek, że obserwuje ją i czeka na dogodny moment.

Przeszły ją ciarki. Zrobiło się jakoś straszno. Żadnej gwarancji, że za chwilę nie usłyszy kroków i czyjś oddechu. Przed włamaniem taką gwarancję dawały jej patentowe zamki i blokady u okien i drzwi. A jednak tamten człowiek dostał się do środka. Nie było przed nim zapór. I właśnie wychodząc z tego założenia, drzwi wejściowe pozostawiła lekko uchylone. W ten sposób zapewniła sobie drogę ucieczki.

Obeszła mieszkanie, zyskując dopiero teraz w miarę pełną orientację w szkodach, jakie poczynił włamywacz. Przechodziła właśnie z sypialni do gabinetu, gdy usłyszała trzask zamykanych drzwi frontowych. Zmartwiała. Nogi ugięły się pod nią, jakby były z waty. Chciała krzyknąć, lecz nie mogła. Zaczęła dusić się. Czuła się tak, jakby ktoś wepchnął jej do gardła zimną, wilgotną, obrzydliwą szmatę.

A potem usłyszała głos Brama i zobaczyła go.

Poczuła niewysłowioną ulgę. Zaczęła na przemian śmiać się i płakać, podczas gdy Bram tulił ją i całował, przepraszając, że mimowolnie stał się powodem jej strachu. Skrócił pobyt w Strasburgu, gdyż dłużej nie mógł już znieść rozstania.

- Ale jak się domyśliłeś, że jestem tutaj?

- Po prostu domyśliłem się - odparł, całując ją w usta i przygarniając mocniej do siebie.

Wciąż jeszcze nie wiedział, skąd u niego wzięło się to głębokie przeświadczenie, że nie bacząc na czekające go spotkania i rozmowy, musi pakować walizkę i wracać do

Londynu. Faktem pozostawało, że posłuchał tego wewnętrznego głosu. A kiedy zastał dom pusty, udał się na poszukiwania.

- Musiałam tu przyjść. Chciałam...

Nie, w żadnym wypadku nie mogła powiedzieć mu, że chciała od niego uciec. Tak bardzo go kochała. Tak bardzo był jej potrzebny.

- Dzięki Bogu, odnalazłem cię.

Czyżby domyślał się wszystkiego? Zgadywał, jaką to decyzję podjęła w chwili zwątpienia i rozpacz? Uniosła dłoń i czule pogładziła go po policzku.

- Wracajmy do domu, Taylor - rzekł, prowadząc ją za rękę ku drzwiom.

Wyszli na korytarz.

- Myślałam - powiedziała - że siedzisz w tej chwili wraz z Jayem nad jakąś wodą i łapiecie ryby. Wpadł do mnie po wędki w drodze na lotnisko.

Dumna była z tego, że udało się jej powiedzieć to tak beztroskim tonem. Bram uśmiechnął się.

- Porozmawiamy o tym w domu - rzekł, wchodząc za nią do windy. - Ale też nie od razu, najpierw będziemy się kochać.

Leżeli wyczerpani w skotłowanej pościeli, gdy nagle Taylor przypomniała sobie, że nie opłaciła i nie zwolniła taksówki.

Bram wybuchnął śmiechem, gdy mu o tym powiedziała.

- Gość już na pewno odjechał, a za kilka dni dostaniemy pocztą słony rachunek. Cóż, miłość kosztuje.

Przytuliła się do niego, on zaś objął ją ramieniem.

- Mieliśmy porozmawiać o Jayu - przypomniała mu.

- Racja. Co on takiego właściwie ci powiedział, kiedy wpadł tutaj przed wyjazdem?

- Powiedział mi, że zadzwoniłeś do niego i zaprosiłeś na wspólną dwudniową wyprawę na ryby.

- Z kolei mnie powiedział, że kiedy się tu zjawił, wychodziłaś właśnie z przyjacielem na obiad. - W pogodnych oczach Brama dało się zauważyć pewne napięcie.

- To nieprawda.

- Podobnie jak to, co ty usłyszałaś od niego. Obawiałem się, że coś takiego może się wydarzyć, i nawet nosiłem się z zamiarem uprzedzenia cię, ale jakoś nic z tego nie wyszło.

- Jay, jak widzę, jest zwolennikiem zasady „dziel i rządź”.

- Przyjął ją za swoją już jako dziecko. Nie rozumiem go. Jest moim synem i kocham go. Gdyby jednak był kimś obcym... - Zamilkł i pokręcił głową.

Pragnęła za wszelką cenę rozproszyć jego przygnębienie.

Przytuliła się do niego i zaczęła muskać palcami jego tors i ramiona.

- Dopuścił się rzeczy haniebnej - mówił tymczasem Brampton. - Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam mu to wybaczyć. Lecz zastanawiam się, czy już teraz mam wystąpić wobec niego z awanturą, czy też raczej milczymy i dajemy sobie chwilę odetchnienia. Co o tym

sądzisz? Czy nie mówię jak tchórz? Wiem, że taki czyn powinno się natychmiast...

- Nie, zostawmy rzeczy takimi, jakimi są. Tak chyba będzie najlepiej.

Ostatecznie, kim ona była, żeby komukolwiek prawić morały? Miała na sumieniu czyny, o których też można było powiedzieć, że są niegodne i haniebne.

- Jay jest, jaki jest - dodała. - Nie można zmienić się z dnia na dzień.

- Wybacz, ale nie zgodzę się z tobą. Miał sto okazji, żeby się zmienić. Tylko że on po prostu tego nie chce. Woli trwać w swoim niesłychanym egoizmie. Jesteś wyjątkowo wyrozumiałą i litościwą osobą, Taylor.

- Wyrozumiałą - tak, lecz litościwą - w żadnym wypadku. Jay nie wzbudza we mnie ani odrobiny litości.

- Zapomnijmy o nim. - Dotknął jej włosów, przesunął dłonią po nagich plecach. - Powiedz lepiej, niekoniecznie słowami, jakie uczucia i doznania ja w tobie wzbudzam.

- A więc to dzisiaj, prawda?

Fate, na znak, że niby zaskoczyło ją to pytanie ojca, uniosła brwi i zrobiła pytającą minę.

- Co dzisiaj? - Jej śmiejące się oczy zdradzały jednak prawdziwy nastrój. - Zapewne chodzi ci o ten wywiad z Bramem Soamesem.

Wątpię, czy uda mi się dotrzeć do niego samego. Jak każdy bogacz

otoczony jest całym zastępem sekretarzy, prawników i dyrektorów i najpierw będę musiała przejść przez rozmowę z którymś z nich.

- Być może, być może - zgodził się Oliver. - Chociaż dziś w nocy miałem wrażenie, że moja córka przygotowuje się nie do wywiadu, tylko do premiery teatralnej. Tłukłaś się niemal do samego rana i coś tam mówiłaś do siebie, coś, co brzmiało zupełnie jak monolog Lady Makbet.

Cięnięty ręką Fate tost przeleciał przez stół, lecz został zręcznie schwytyany przez ojca. Oboje roześmieli się. Uśmiechnęła się też Caroline, matka Fate, ale tylko samymi ustami. Jej spojrzenie kierowało się w tej chwili na ubiór córki. Niestety, nie mogła go zaakceptować. Za jej czasów młoda kobieta, która pragnęła wywrzeć dobre wrażenie na rozmówcy, nie zakładała spranych dżinsów, bawelnianej koszuli i sztruksowej marynarki, nie mówiąc już o tym wiechciu na głowie i braku jakiegokolwiek makijażu.

Za czasów jej, Caroline, młodości dziewczyny stawiające pierwsze kroki w swoim zawodzie starały się wyglądać elegancko i schludnie, zaś elegancja łączyła się wówczas z jedwabną bluzką, pantofelkami, skromną spódnicą tuż za kolana oraz nie rzucającą się w oczy biżuterią. Dyskretny makijaż oraz zadbana fryzura dopełniały reszty.

Caroline z żalem westchnęła. Fate wyglądała raczej na jedną z tych niechlujnych nastolatek, co to kontestują przed parlamentami świata pod sztandarami aborcji i wolnej miłości, nie zaś na studentkę, która podjęła się właśnie trudnego zadania i pragnie odnieść sukces.

A jednak Caroline, patrząc na Fate, odczuwała miłość i dumę. Fate mogła lekceważyć sobie tradycyjną elegancję i mieć pociąg do młodziżowych szmatek, ale wystarczyło spojrzeć na jej twarz i na jej figurę, żeby zobaczyć prześliczną młodą kobietę. I wystarczyło popatrzeć trochę głębiej, żeby odnaleźć w tej młodej kobiecie mądrość, inteligencję i dobro.

- Na którą jesteś umówiona? - zapytał Oliver.

- Na dwunastą. - Zmarszczyła nosek. - To zaś oznacza, że mam niewielkie szanse przeprowadzenia rozmowy z samym Soamesem. Prawdopodobnie będzie wówczas na lunchu w jakiejś ekskluzywnej restauracji.

- O ile wiem - zauważył Oliver - milionerzy, którzy własnym wysiłkiem i pomysłowością dorobili się majątku, nie zaliczają się do stałych bywalców luksusowych lokali.

- Którym pociągiem planujesz wrócić? - spytała Caroline.

- Jeszcze nie wiem, mamo - odparła Fate, smarując grzanekę marmoladą. - Wszystko będzie zależało od rozwoju wydarzeń.

- Wszystko będzie zależało od tego, czy B. S. zaprosi ją na ten wystawny lunch do ekskluzywnej restauracji - zażartował ojciec.

- To tylko zwykły wywiad. Nie ma sensu robić z tego epokowego wydarzenia.

- I wywiadem tym chciałabyś potwierdzić swoje najgłębsze przeświadczenie, że pieniądze nie przynoszą szczęścia, a w każdym razie, mówiąc mniej banalnie, nie wzbogacają życia o żaden głębszy, duchowy wymiar.

- Chodzi mi nawet nie tyle o życie samych twórców fortun, co o los ludzi najściślej z nimi związanych - ich dzieci, żon, najbliższych krewnych.

- Śmiałego podjęłaś się zadania - powiedział ojciec z suchą ironią. - Prawdziwa idealistka...

- Odkryłam całkiem nowe pole poszukiwań - broniła się Fate. - Będę raczej niewątpliwą pionierką...

- Nie widzę nic złego w idealizmie jako takim - rzekł Oliver. - Szczególnie jeśli idealistka jest osoba w twoim wieku.

Spojrzał na żonę. Wymienili uśmiechy. Oboje byli dumni ze swojej córki. Oboje też bardzo się starali, żeby nie spaczyć jej rozwoju nadmierną opiekuńczością.

- Podrzucę cię na stację-powiedział Oliver.

- Dzięki - odparła, wstając od stołu i dopijając kawę na stojąco.

Była ich wielką nadzieją, jedynym skarbem, jaki posiadali, darem i uśmiechem losu. Tryskała radością i energią życia i wystarczało być jej sobą, żeby zniewalać i oczarowywać wszystkich, którzy się do niej zbliżali. Zdobywała ich serca jasnością i dobrocią swojego serca. Nie sposób wręcz było wyobrazić sobie człowieka, który chciałby ją skrzywdzić.

Fate uścisnęła i pocałowała matkę.

- Powodzenia - wyszeptała Caroline, powstrzymując wzruszenie, które niebezpiecznie ścisnęło jej gardło.

Jay tym razem wszedł do biura firmy z pełnym uśmiechem na twarzy. Trzy dni temu wrócił ze Strasburga i zdążył się już

zorientować, że ziarno przez niego zasiane zaczynało przynosić plon. Z oczywistych więc względów dopisywał mu humor.

Oczywiście, wołał wystrzegać się przedwczesnego triumfalizmu, ale miał powody sądzić, że wszystko rozwija się po jego myśli. Wystarczyło popatrzeć na Taylor. Nie opuszczało jej napięcie i zdenerwowanie. Poza tym jakby spadła na wadze. Jego uśmiech nabrał cech nieprzyjemnego grymasu. Kobieta w jej wieku nie może być zbyt chuda, wówczas bowiem wychodzą na wierzch jej lata.

Przynajmniej raz dziennie widywał Taylor i Brama w pracy. Dziś rano też ich widział. Szli korytarzem i był to pocieszny widok. Taylor starała się pomiędzy sobą a Bramem zachować przyzwoitą odległość przynajmniej jednego metra, Bram zaś stosował różne sztuczki, by zniwelować ten metr do kilku centymetrów. Zupełnie jak para dzieciaków, z których jedno się boczy, drugie zaś pragnie odzyskać łaski.

Taylor zapewne w ten sposób karała Brama za to, że nie pisał jej ani słówkiem o „wyprawie na ryby”. Niektóre kobiety lubią wyrażać swoje pretensje w ten właśnie sposób. Taylor widocznie należała do nich. Zamiast wybuchnąć gniewem i urządzić wściekłą awanturę, będą przeżuwały w milczeniu swoje urazy; samą tylko miną za dnia, a ściśniętymi nogami w nocy dadzą do zrozumienia mężczyźnie, że coś tu nie gra.

Kiedy ta cała afera z Taylor się skończy, ojciec będzie rad, że uwolnił się od niej. Na razie jednak wszystko wciąż jeszcze trwało siłą inercji. Taylor nadal współpracowała z ojcem, przesiadując godzinami

w jego gabinecie i utwierdzając go w jego decyzji poszukiwania optymalnej formuły nowego programu komputerowego, które to badania nazywał on swoją krucjatą. Ale powyższy stan rzeczy, były już tego pierwsze sygnały, zmierzał nieuchronnie do swojego końca.

Kiedy Jay zasiewał ziarna zwątpienia i niewiary, nie czynił tego wyłącznie z myślą o sobie i własnym bezpieczeństwie. Chodziło mu również o interes firmy. Z chwilą zniknięcia Taylor z horyzontu Bram zajmie się sprawami, którymi naprawdę powinien się zająć. W tej przełomowej chwili powstanie na pewno dogodna sposobność, żeby uzyskać od ojca szerszy zakres kompetencji i władzy.

Przedsiębiorstwu przyda się bardziej energiczne i śmiałe zarządzanie. Wystarczy tylko podczas spotkania zarządu zwrócić uwagę na już zaznaczający się spadek zysków i odpowiednio go zinterpretować.

Jay znów się uśmiechnął, tak iż recepcjonistka, która przez cały czas obserwowała go spod spuszczonej powiek, pozwoliła sobie na swobodniejszy oddech.

Była jeszcze jedna osoba, która przypatrywała się Jayowi od chwili, kiedy ten pojawił się w holu budynku.

Co za seksowny facet, myślała Fate, która już od kilkunastu minut siedziała w jednym z sześciu foteli poczekalni.

Poruszał się niczym dziki kot, cicho i sprężysto, i nawet jego szyty na miarę i w gruncie rzeczy konwencjonalny garnitur nie mógł przesłonić harmonijnej gry mięśni jego pięknego ciała. Miał niewiarygodnie zmysłowe usta, tak zmysłowe, że aż budziły strach, podobnie jak u dzikich kotów budzą strach kły i pazury. Jego długie

nogi, kiedy szedł, ugiwały się lekko w kolanach, co nadawało ruchowi cechy wywołującego ciarki skradania.

Był śmiertelnie niebezpieczny. Niósł sobą obietnicę śmierci w upojeniu i zachwycie i Fate mogła tylko wyobrażać sobie te cierpienia ofiar-kobiet, które rozszarpał i które dziękowały mu jeszcze za zadany ból.

Nagle zawstydziała się swoich myśli i powróciła do lektury gazety.

Mijając recepcjonistkę, Jay ofiarował jej swój kpiący uśmiech. W swoim czasie próbowała zainteresować go sobą, a przy tym była tak natrętna, że poczuł się zmuszony objaśnić jej swoim zimnym, drwiącym głosem, że absolutnie nie ma czasu na igraszki z nią w łóżku, co najwyżej w towarowej windzie, na stojąco. Rzecz jasna, jeśli pójdzie na jego propozycję, będzie to jej ostatni dzień w pracy.

- Nie uprawiam seksu z personelem - wtajemniczył ją w jedną ze swych żelaznych zasad.

Od tamtego dnia spuszczała wzrok, kiedy przechodził, i sama nie odezwała się do niego ani jednym słowem.

Mijając poczekalnię, Jay zauważył kątem oka siedzącą w jednym z foteli młodą kobietę. Była bezdyskusyjną piękną, lecz nie to przykuło jego uwagę i kazało mu się zatrzymać.

Przypominała mu kogoś. Zamknął oczy i starał się wyłowić z pamięci jej imię i nazwisko lub chociażby okoliczności, w jakich z nią się zetknął. Wreszcie udało się.

Chrześcianka Taylor.

Tak, była to ta sama twarz, którą widział wówczas na zdjęciu. Niewielkie różnice wyływały z upływu lat, które dziewczątko zmieniły w kobietę.

A więc to tak, pomyślał, słysząc bicie swojego serca. Taylor musi być bardzo pewna swojej pozycji, skoro zaczyna otaczać Brama swoją rodziną. Jutro, być może, pojawi się tutaj cały tłum jej krewnych i powinowatych.

Niedoczekanie!

Zawrócił i szybkim krokiem podszedł do ubranej w dżinsy i sztruksową marynarkę młodej kobiety.

Rumieniąc się, Fate odłożyła gazetę i uniosła głowę. Patrzyła teraz nań jasnymi, pogodnymi oczami. To tylko wzmogło jego furię.

- Z pewnością czeka pani na Taylor - powiedział bez żadnych wstępów.

- Mam umówione spotkanie z kimś z kierownictwa, ale niestety nie podano mi nazwiska tej osoby. Być może faktycznie tak się nazywa.

Zmrużył oczy, tak iż stały się dwiema wąskimi szparkami.

- Więc nie zna pani Taylor? - zapytał pieszczotliwym głosem.

- Obawiam się, że nie - odparła, zaniepokojona sposobem, w jaki rozmawiał z nią piękny nieznajomy. - Nie wiem nawet, czy wymienia pan imię, czy też nazwisko.

Tymczasem Jay coraz bardziej utwierdzał się w przeświadczeniu, że ma przed sobą dziewczynę z fotografii, tyle że o

kilka lat starszą. Co więc spowodowało, że nie zna ona swojej matki chrzestnej?

Nie byłby sobą, gdyby od razu nie uznał, że sprawie tej należało bliżej się przypatrzeć. Z kolei żeby uniknąć niepotrzebnych komplikacji, musiał czym prędzej zabrać stąd tę ślicznotkę. W każdej chwili mogła pojawić się tu Taylor i zauważyć chrześniaczkę.

Spojrzał na zegarek.

- Jestem Jay Soames - przedstawił się. - Mam nadzieję, że będę mógł pani pomóc.

- Fate - odpowiedziała, nie dodając nazwiska, co oznaczało gotowość przejścia z nim na „ty”.

Uścisnęli sobie dłonie. Suche ciepło dłoni Jaya przeniknęło całe jej ciało.

- Jaki jest cel twojej wizyty? - zapytał Jay.

Wzięła się w garść i w kilku zwięzłych zdaniach wytłumaczyła, nad czym pracuje i jakiego typu materiały stara się zdobyć.

- Zgadzam się - powiedział Jay, kiedy zamilkła - że materialny sukces jednego członka rodziny kształtuje w jakiejś mierze los pozostałych. Pozostaje kwestia określenia stopnia i zakresu tego wpływu.

Mówił z na poły wzgardliwym, na poły znudzonym wyrazem twarzy, jakby banalność tych spraw już zaczęła go nużyć.

- Chodzi mi o coś innego - powiedziała, szukając najbardziej odpowiednich słów. - O odpowiedzenie sobie na pytanie, czy wpływ ten jest dobry, czy może zły.

- Rozumiem. Chcesz udowodnić, że jest wręcz fatalny. I oczywiście udowodnisz. Tylko spróbuj przekonać do swoich tez ludzi żyjących w biedzie. Wątpię, żeby ci się to udało.

- Brak pieniędzy nie jest jedyną odmianą biedy. Dziecko może wzrastać w materialnym dostatku, a mimo to w płaszczyźnie uczuciowej i moralnej cierpieć dotkliwą biedę.

- Skąd ja to znam? - zapytał drwiąco. - Chyba z jakichś sentymentalnych produkcji hollywoodzkich.

Zachnęła się. W ten sposób można było ośmieszyć dosłownie wszystko.

- Żony pracoholików częstokroć skarżą się, że wolałyby, żeby ich mężowie mniej zarabiali, a więcej czasu poświęcali rodzinie.

- Ale niech facet zbankrutuje lub wyrzucą go z pracy, to wówczas taka żona zaczyna śpiewać zupełnie inną śpiewkę. Zresztą temat jest ogromny i z chęcią o tych wszystkich problemach z tobą porozmawiam, tylko nie tutaj. Co byś powiedziała na pomysł wspólnego zjedzenia lunchu?

Dziwne, pomyślała Fate. Jay Soames zapraszał ją na lunch, mimo że nie podzielał, a nawet nie darzył sympatią jej poglądów. Wynikał stąd logiczny wniosek, że za tym zaproszeniem kryły się jakieś inne, jemu tylko wiadome motywy.

Może po prostu chciał ją zaciągnąć do łóżka?

Bardzo wątpliwe. Nie wyglądał na faceta, który musi najpierw przygotować grunt i poczekać na odpowiednią chwilę, by wystąpić z tego rodzaju propozycją. Przeciwnie, był z pewnością typem

mężczyzny, który jeśli chce czegoś w tej sferze, to od razu po to sięga. Jego sprzęgnięta z arogancją niezwykła uroda dawała mu do tego pełne prawo.

Fate uśmiechnęła się i kiwnęła głową na znak zgody. Obojętnie, czym kierował się młody Soames, był dla niej bezcennym źródłem informacji. Poza tym zdobywając sympatię i zainteresowanie syna, zbliżała się do ojca.

RS

- Skoro już odpowiedziałem na wszystkie twoje pytania, to może teraz odwrócimy role - zasugerował Jay.

Siedzieli w kącie sali, za niewysokim przepierzeniem, które jednak zapewniało im pewną intymność, i zabierali się właśnie do kawy i deseru. Jay rzeczywiście odpowiedział na wszystkie jej pytania, z tym że duża ilość słów nie szła bynajmniej w parze z bogactwem informacji. W ogóle Fate odniosła wrażenie, że jej rozmówca pragnął starannością formy okupić brak treści. Chciał wydać się jej uczynny, równocześnie zachowując dla siebie wszystko to, co z jakichś względów wolał ocenzurować. A teraz patrzył na nią na poły życzliwym, na poły zaś kpiącym wzrokiem i oczekiwał odpowiedzi.

- To znaczy, jaka konkretnie ma być ta moja rola? - zapytała, uświadamiając sobie po raz kolejny z rzędu, że wciąż znajduje się pod wpływem tego szczególnego promieniowania, którym emanował Jay, a które z braku lepszego słowa można było nazwać jego seksapilem.

- Ja zamienię się w słuchacza, ty zaś otwórz usta i pozwól słowom płynąć - odparł, spuszczać wzrok na jej wargi.

Fate przełknęła ślinę. Poczwała, że jej ciało pokrywa się gęsią skórką, serce zaś zaczyna bić szybciej i głośniejsze. Oczywiście, wiedziała, co oznacza to spojrzenie Jaya.

Nie była aż tak naiwna i niedoświadczona, by nie rozumieć pewnych sygnałów gry erotycznej. Z drugiej jednak strony do doświadczonych kobiet też nie należała.

Trudno zresztą byłoby jej zliczyć, ile razy była obiektem uwodzicielskich zabiegów. Reagowała różnie, ale najczęściej rozdrażnieniem bądź rozbawieniem, w zależności od nastroju, w jakim akurat się znajdowała, oraz od klasy mężczyzny, któremu wpadła w oko.

Tym razem jej reakcja była nietypowa. A raczej całkiem nietypowo zareagowało jej ciało - drżeniem nóg, swędzeniem brodawek, suchością w ustach, przyśpieszonym pulsem.

- W zasadzie nie mam o sobie zbyt dużo do powiedzenia - zaczęła, planując wykić się tanim kosztem, lecz nagle słowa popłynęły i opowiedziała Jayowi całą historię swojego krótkiego życia.

- A więc, podobnie jak ja, jesteś jedynaczką - zauważył, kiedy skończyła, po czym przywołał kelnera i zamówił dwa likiery.

Odczuła lekki niepokój. Wypiła już dwa kieliszki wina i bała się przeszarżować. Poza tym nie spodobało się jej to, że Jay zamówił alkohol bez spytania jej o zdanie.

- Więc nie masz żadnej dalszej rodziny? Żadnych ciotek, wujów, kuzynów... chrzestnych?

Fate oderwała wzrok od pleców kelnera, który odszedł z zamówieniem, i odparła ze śladem melancholii w oczach:

- Obawiam się, że nie. Mój ojciec był jedynakiem. Matka, co prawda, miała siostrę, lecz ta zginęła wraz ze swoimi rodzicami w wypadku samochodowym. Zdarzyło się to jeszcze przed moim urodzeniem. Moja matka nie lubi wracać wspomnieniami do tego tragicznego wydarzenia.

Pracowała wówczas za granicą, gdzie poznała swojego przyszłego męża, a mojego ojca. Co zaś się tyczy moich chrzestnych, to mieszkają oni w Australii. Byli bliskimi przyjaciółmi moich rodziców. Ciotka Ann jest starsza od mojej matki. W tym najgorszym okresie, zaraz po wypadku i utracie najbliższych, okazała się wielkim oparciem dla mamy. Korespondujemy ze sobą, lecz nie widziałyśmy się już całe wieki.

- Wychodzi na to, że w odróżnieniu od wielu innych szczęśliwców nie masz zwariowanej na twoim punkcie matki chrzestnej, którą mogłabyś odwiedzać co sobota i zawsze liczyć na to, że poczęstuje cię lodami lub tortem ananasowym.

Fate roześmiała się perliście.

- Niestety, ominęło mnie to w życiu. A jak te sprawy wyglądają u ciebie? - zapytała, pragnąc poszerzyć swój zasób wiadomości o Jayu i jego rodzinie.

Szczególnie ciekawa była Jaya. Fascynował ją, pociągał, intrygował. Ostrożnie, ostrzegła siebie, kiedy pojawił się kelner z likierem, on nie jest dla ciebie. „Głupio, źle i niebezpiecznie wiedzieć”, jak to rzekomo powiedziała Lady Caroline Lamb w odniesieniu do Byrona.

- Mamy pod tym względem dużo wspólnego. Jesteśmy tylko my dwaj - ja i ojciec. On i matka byli jeszcze dziećmi, kiedy się urodziłem. Dziadkowie już nie żyją, co się zaś tyczy chrzestnych... - Nagle twarz jego przybrała nieprzyjemny, twardy wyraz. - Uwzględniając okoliczności mojego przyjścia na świat, rodzice mojej matki uznali, że ochrzcenie mnie byłoby czymś moralnie nagannym.

Zrobiła zdumioną minę.

- Chrzest czymś nagannym?

- Byłem dzieckiem nieślubnym - wyjaśnił z gniewem i goryczą.

Lecz nagle, wpadając w zupełnie inny nastrój, powiedział: - Nie skosztowałaś jeszcze czekoladek.

Zanim zdążyła mu wyjaśnić, że na słodczyce naprawdę już nie ma ochoty, wziął z talerzyka oblaną czekoladą poziomkę i włożył jej do ust. Ale bynajmniej nie poprzestał na tym. Poczula z przerażeniem pieśczośliwy dotyk jego palców na swoich wargach i zobaczyła blask, który nagle rozjaśnił mu oczy.

Gwałtownie cofnęła głowę.

- Co się stało? - zapytał aksamitnym głosem. - Nie lubisz poziomek?

Drań! Dobrze wiedział, że nie chodzi tu o poziomki, tylko o coś zupełnie innego.

- Co porabiasz dziś wieczorem?

Miała do wyboru: skłamać lub powiedzieć prawdę. Wybrała to drugie.

- Nie mam żadnych planów.

- W takim razie spotkajmy się o szóstej tam, gdzie się już raz spotkaliśmy. Mam po południu dwa spotkania, na które teoretycznie powinienem się stawić, ale mógłbym je odwołać, gdybyś już teraz chciała pójść ze mną do łóżka.

- Nie chcę. - Dziwne, powiedziała to spokojnie i bez śladu rumieńca na twarzy.

Roześmiał się, szczerze ubawiony.

- Widzę, że przestrzegasz konwenansów. Ale oboje wiemy, że masz ochotę na...

- Nie mogę spotkać się z tobą wieczorem - przerwała mu.

- Dlaczego? Kogo się obawiasz? Mnie czy siebie?

- Po prostu uważam, że nie należy mieszać pracy z przyjemnością.

Znów wybuchnął śmiechem.

- A więc przyjmujesz, że może być nam ze sobą całkiem przyjemnie.

W pewnym stopniu zainteresowała go ta kobieta dziecko. Była pachnąca, świeża, niewinna, a równocześnie poważna, rozsądna i mądra. Jeszcze nie wiedział, co tak naprawdę łączyło ją z Taylor, lecz nie miał najmniejszych wątpliwości co do istnienia między nimi ścisłych powiązań. Fate mogła być nawet ich nieświadoma. Niewątpliwie sporo informacji przyniosłaby reakcja Taylor na widok Fate, oczywiście gdyby on, Jay, był gdzieś w pobliżu i miał okazję obserwować scenę. Już dawno zaintrygowało go, dlaczego Taylor nie

wyszła za mąż, żyje w samotności i stroni od ludzi. Kiedy raz jednak w rozmowie z ojcem nawiązał do tego, Bram szybko zmienił temat.

Rzecz odłożona to nie to samo, co zarzucona i zapomniana.

- Nie wątpię - powiedziała Fate, łagodnie się uśmiechając - że lubisz o sobie myśleć jako o wspaniałym kochanku. Większość mężczyzn uważa siebie za mistrzów w tej dziedzinie. Jednak mnie nie porywa seksualna sprawność. Już dawno wyrosłam z tych lat...

- Więc czego poszukujesz? Zobowiązań, trwałości, miłości?

- Nie szukam niczego i nikogo - odparła cichym głosem.

Delikatnie ujął jej dłoń. Zadrżała.

- Na pewno nie chcesz zmienić swojej decyzji? Jeszcze mogę odwołać te spotkania.

Bardzo dobrze wiedział, że klamka zapadła i w żaden sposób nie zmusi Fate do powiedzenia słówka „tak”. Znał ten rodzaj kobiecego uporu, który spełniał rolę gorsetu nałożonego własnym pragnieniom i tęsknotom. W tym wypadku nacisk ze strony mężczyzny tylko usztywniał kobietę, zamiast ją rozbroić i uczynić przystępną.

Pomięła jego pytanie milczeniem. Wstała i podziękowała mu za lunch. On również wstał i podziękował jej za ciekawą rozmowę. Pożegnali się na chodniku przed restauracją.

Stał i odprowadzał ją spojrzeniem. Miała długie nogi i gdyby nie dzinsy, mógłby widzieć ich piękny kształt, bo że były piękne, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Szła lekko i wdzięcznie. Nieznacznie kręciła kształtnym tyłeczkiem, lecz jej strzeliste plecy znamionowały dumę i siłę woli. Dostrzegł, że oglądają się za nią

mężczyźni. Zanim zniknęła w tłumie, stanęła i odwróciła się. Skrzyżowali spojrzenia ponad głowami przechodniów. Uśmiechnął się pod nosem i pomachał jej ręką. Mógłby przysiąc, że oblała się rumieńcem.

Wróciwszy do biura, odwołał oba czekające go spotkania. Miał dzisiaj ważniejsze sprawy na głowie.

Kilka godzin później Jay stał przy oknie swojego mieszkania i nic nie widzącym wzrokiem spoglądał na ulicę. W istocie śledził bieg swoich myśli, a jego twarz wyrażała radość z wniosków, do jakich doszedł po długim rozpamiętywaniu i układaniu w logiczny ciąg znanych sobie faktów. Obojętnie, z jakiej perspektywy rozpatrywał owe fakty, układały się one w ten sam łańcuch przyczyn i skutków. Nie było najmniejszych wątpliwości. Znalazł rozwiązanie.

Czego dowiedział się od Fate? Dwóch podstawowych rzeczy. Po pierwsze, przyszła na świat w wyniku przedwczesnego porodu za granicą, zanim jeszcze jej rodzice zdążyli wrócić do kraju. Po drugie, na skutek tej okoliczności oraz innych dodatkowych komplikacji akt urodzenia spisano już w Anglii, kiedy miała kilka miesięcy.

Tak, tyle że nasuwało się pytanie, czy ta kilkumiesięczna zwłoka naprawdę tłumaczyła się powodami, które podali Fate jej rodzice. A może, i tu zaczynało się to najciekawsze, byli oni jej rodzicami jedynie w sensie formalnym?

Wynikałoby stąd, że Fate była dzieckiem adoptowanym. Nie wiedział dlaczego, ale właściwie przyjmował to już jako pewnik. Musiał tylko potwierdzić go bezspornymi dowodami.

W celu znalezienia tych dowodów najprościej byłoby zaangażować prywatnego detektywa, ale tego właśnie nie chciał robić. Sprawa była zbyt delikatna, zbyt osobiście go dotyczyła, żeby miał wtajemniczać osoby trzecie.

Wrócił do biurka, przy którym spędził ostatnią godzinę, i jeszcze raz przebiegł oczyma poczynione notatki. Przypomniawszy sobie tamtą scenę w domu ojca, kiedy zapytał Taylor, kim jest dziewczyna na zdjęciu. Taylor wydawała się wówczas bardzo napięta i podenerwowana. Jaką będzie miała minę, gdy skonfrontuje ją z żywą i prawdziwą Fate? Jeśli była jej matką, to był też mężczyzna, który spłodził Fate z Taylor Fielding. O tym mężczyźnie, swoim dawnym kochanku, Taylor z pewnością nie powiedziała dotąd Bramowi ani słówkiem.

Bram bodaj najbardziej brzydził się kłamstwem, oszustwem i dwulicowością. Zazwyczaj tolerancyjny, jeśli chodzi o różne ludzkie słabostki, rozmyślny fałsz traktował bezkompromisowo i nigdy czegoś takiego nie wybaczał. Jay miał okazję przekonać się o tym niejako na własnej skórze.

A jakiego większego jeszcze fałszu może dopuścić się kobieta, która ukryła przed mężczyzną, którego zdaje się kochać, że posiada dziecko?

Jakie jeszcze tajemnice skrywa przed światem ta oszustka?

Kim był ojciec Fate? Najprawdopodobniej mężem i ojcem jakiejś rodziny, który zdradził żonę z Taylor. Panna z dzieckiem! Zapewne Taylor pójdzie tym tropem, jeśli będzie zmuszona bronić się

przed zarzutem, że tylko wyrodne matki wyrzekają się swoich własnych dzieci i porzucają je na zawsze.

A jednak musiała pozostawać w kontakcie z przybranymi rodzicami Fate. Inaczej bowiem nie miałyby tej fotografii...

Ze słów Fate wynikało, że jej rodzicom powodzi się całkiem nieźle. W związku z tym można by przyjąć hipotetyczne na razie założenie, że Taylor szantażuje ich, grożąc, że w każdej chwili może oświecić Fate co do pewnych podstawowych spraw. Bo skąd wzięła pieniądze na kupno drogiego mieszkania w centrum Londynu? Ze swojej skromnej pensji?

Jak zareaguje ojciec, gdy się dowie, że kobieta, którą postrzegał dotąd jako swoją wielką miłość, przehandlowała swoje własne dziecko?

Twarz Jaya zastygła nagle w okrutnym uśmiechu. Już wiedział, kiedy i w jakich okolicznościach wszystko się rozstrzygnie. Urodziny Plum. Bram zjawi się na nich na pewno. Było też pewne niemal w stu procentach, że przyjdzie w towarzystwie Taylor. Co się zaś tyczy Fate...

Jak bardzo znaczące, wręcz symboliczne było to imię. Fate - znaczyło: los fatum, przeznaczenie, zguba...

Jay podniósł słuchawkę, wystukał numer, a uzyskawszy połączenie, wydał kilka poleceń swojej sekretarce.

- Wróciłaś wcześniej, niż oczekiwaliśmy - powiedziała Caroline, kiedy Fate pojawiła się w drzwiach kuchni. -I jak poszło? Dotarłaś do Bramptona Soamesa?

- Niezupełnie. Ale sporo się o nim dowiedziałam i uważam swój wyjazd w sumie za udany. Z tym że szanse ujrzenia oblicza B. S., niestety, trochę zmały.

Kiedy wspomniała Jayowi podczas lunchu, że bardzo, ale to bardzo chciałaby przeprowadzić wywiad z jego ojcem, zareagował gniewnie i opryskliwie. Był to jedyny moment, kiedy się tak zachował. Bo poza tym nie mogła mu właściwie niczego zarzucić. Nawet jego arogancja i przeświadczenie o własnej męskiej atrakcyjności wydawały się jej czymś pociągającym.

Gdyby więc mimo wszystko umówiła się z nim na kolację, wówczas być może udałoby się jej przekonać go, że zadając jego ojcu kilka pytań, bynajmniej nie wpędzi go ani w chorobę, ani nie zrobi żadnej innej krzywdy. Choć mogło być to również myślenie kategoriami pobożnych życzeń. Jedyną bowiem rzeczą, na której, wydawało się, zależało Jayowi, było pójście z nią do łóżka.

- Więc z kim ostatecznie rozmawiałaś? - zapytała matka, podpalając gaz pod patelnią.

- Z synem bossa, Jayem Soamesem - odparła niechętnie Fate. Jej niechęć brała się stąd, że Jay poruszył najbardziej intymne struny jej ciała i duszy.

- Co to za człowiek?

Nie mogła powiedzieć matce tego, co o nim myślała w płaszczyźnie erotycznej.

- Bardzo uczynny. Poświęcił mi prawie dwie godziny. Lecz jako źródło informacji oceniam go raczej średnio. Wolałabym porozmawiać z jego ojcem.

- A czy przynajmniej potwierdził twoją teorię?

- Nie - przyznała Fate ze smętną miną.

- Nie przejmuj się, kochanie - próbowała pocieszyć ją matka. -

Dopiero zaczęłaś zbierać materiały. Zjesz kolację, prawda? Ojciec trochę się spóźni. Telefonował, że wypadło mu jakieś ważne spotkanie.

- Nie jestem głodna. Przede wszystkim muszę wziąć kąpiel. Zawsze po powrocie z Londynu czuję się jakaś brudna i lepka. A poza tym mam do przepisania trochę notatek.

- To wszystko przez te samochody - powiedziała matka. - Tysiące, setki tysięcy samochodów, z których rur wydechowych ulatniają się spaliny. Jak w ogóle można nie czuć się brudnym?

Uścisnęły się i Fate poszła do siebie na górę. Starła się nie myśleć o Jayu i jego propozycji na dzisiejszą noc, lecz było to bardzo trudne.

A kiedy już wykapała się i z głową obwiązaną ręcznikiem zasiadła do biurka, by zająć się pracą, usłyszała swoje imię. To wołała ją matka.

Zbiegła na dół. Drzwi do salonu były otwarte i dochodziły stamtąd czyjeś głosy, jakby matka rozmawiała tam z jakimś gościem. Po chwili Fate już wiedziała, co to za gość.

Pierwszą rzeczą, o której pomyślała na widok Jaya, był turban z ręcznika na jej głowie. Nie upiększał jej również ani stary, porozciągany sweter, który na podobieństwo worka zwisał z jej ramion, ani leginsy, które obciskały jej nogi.

Natomiast Jay miał wreszcie czarno na białym, że nogom Fate nie można było niczego zarzucić.

Caroline taktownie zostawiła ich samych, wycofując się do kuchni. Jay wygodniej rozsiadł się na kanapie i uśmiechnął się do Fate.

- Tylko mi nie mów, że zapomniałaś o naszej dzisiejszej randce - powiedział.

Ubrany był na sportowo, co czyniło go jeszcze bardziej atrakcyjnym mężczyzną.

- Nie zapomniałam. To ty zapomniałeś, że odrzuciłam twoją propozycję - odparła spokojnym, zdecydowanym głosem, pomimo że jej serce waliło, jakby chciało wydostać się na zewnątrz.

- Szkoda, że tak się stało. Bardzo zainteresowałaś mnie swoją problematyką. Miałem nadzieję, że wrócimy jeszcze do tego tematu. Zadzwoiłem nawet do kilku moich znajomych z prośbą, czy czasami nie mogliby udzielić ci wywiadu. Nie wiem, czy o nich słyszałaś...

Wymienił kilka nazwisk, a Fate o mało co nie padła trupem. Czy słyszała o nich? Słyszał o nich cały świat. Trzy z tych osób już zdążyły odpowiedzieć negatywnie na jej prośbę.

Jay zadał sobie dla niej tyle trudu - dlaczego to zrobił? Czy tylko po to, by przypodobać się jej i zwiększyć swoje szanse? Bardzo wątpliwe.

A jednak patrzył na nią takim spojrzeniem, że miała szczerą ochotę odrzucić jego pomoc, a nawet towarzystwo. Co jednak powiedziałaaby matka, gdyby już teraz pożegnała się z gościem? Poza tym musiałaby się tłumaczyć...

Stało więc na tym, że wybiorą się na spacer, a potem wstąpią do jakiegoś lokalu.

Kiedy przebrana i z wysuszonymi suszarką włosami zeszła ponownie na dół, zastała matkę pięknie zarumienioną, zaś Jaya wpatrującego się w jedno z jej zdjęć. Pochodziło z okresu pomiędzy maturą a wstępnymi egzaminami na uniwersytet. Nosiła wówczas długie włosy i miała jeszcze zdecydowanie dziewczęcą twarz.

Jay patrzył na zdjęcie z jakimś szczególnym uśmiechem, tak iż poczuła się niemal zazdrosna o tamtą dziewczynę.

- Zmieniłaś zdanie co do randki ze mną czy też zależy ci tylko na tych wywiadach? - zapytał Jay, kiedy usiedli przy stoliku w niewielkim bistro.

Zmierzyła go roześmianym spojrzeniem.

- Zawsze warto przestawać z wpływowymi ludźmi. A ty jesteś wpływowy, skoro nagle ci wszyscy potentaci zgadzają się poświęcić swój cenny czas jakiejś tam studentce.

- Rozumiem, jestem środkiem prowadzącym do celu - rzekł z kpiącym wyrazem twarzy. - Żądza wiedzy podsycana ambicją, oto jak

można nazwać twoje pragnienie przebywania ze mną. Niech i tak będzie. Oto lista osób, z którymi rozmawiałem. - Wręczył jej zapieczętowaną kopertę. - Dzwon bezpośrednio do ich osobistych sekretarek. Numery telefonów masz wynotowane.

Podziękowała i schowała kopertę. Wciąż ją dręczyło tamto pytanie: Co Jay, pomagając jej, pragnął osiągnąć?

Zarumieniła się. Nagle bowiem gdzieś z mroków nieświadomości wyłoniła się myśl, że może ona, Fate, wzbudziła po prostu jego sympatię, która siłą rzeczy czyniła jego pomoc całkiem bezinteresowną.

Tylko że tutaj zaczynał się teren usiany zasadzkami. Obojętnie, jak wielka i intensywna byłaby przyjemność pójścia z nim do łóżka, ból, który nastąpiłby później, byłby jeszcze większy.

Jay nie był mężczyzną, z którym kobiety chcą się przespać; był mężczyzną, w którym po prostu się zakochują, oczywiście, jeżeli są na tyle głupie bądź szalone, by ignorować znaki ostrzegawcze, z których odczytania niezbitnie wynika, że zakochanie się w Jayu byłoby najgłupszą, najbardziej szaloną rzeczą pod słońcem. Jej to, na Boga, chyba nie groziło?

Jay patrzył na nią z dobroduszną drwiną. Zgadywał jej myśli i znał jej pomyłkę. Była dla niego zbyt cenną zdobyczą, by miał ryzykować zerwanie, kierując znajomość na tory wyłącznie męskodamskie.

Łóżko mogłoby tylko skomplikować sprawy, już i tak dostatecznie trudne i zawikłane. Potrzebował Fate jako oręża. Musiał

też zrobić wszystko, by utrzymać ją z dala od Brama i Taylor.

Przynajmniej na razie.

- Dzięki. - Fate uśmiechnęła się do niego. - Mam długą listę nazwisk najbogatszych ludzi w Anglii. Ale co z Bramem? Jemu też chciałabym zadać kilka pytań.

- Myślałem, że nie jest to już konieczne. Powiedziałem ci wszystko, co mógłby powiedzieć ojciec.

- Obawiam się, że nie. Wyraziłeś jedynie swój punkt widzenia. - Zrobił gniewną minę, lecz nie zamierzała się poddawać. - Twój ojciec może inaczej patrzeć na wiele spraw. Poglądy rodziców i dzieci różnią się często w sposób zasadniczy.

- Rozumiem. Mówisz na podstawie własnych doświadczeń?

- Raczej na podstawie ogólnej wiedzy o świecie. Bo z rodzicami dogaduję się znakomicie. Zgadza się prawie we wszystkim.

Wzruszył ramionami.

- Właściwie nietrudno to zrozumieć. Jako jedynaczka... Zapewne zawsze cię rozpieszczali i ustępowali ci w każdym punkcie.

- Ty również jesteś jedynakiem i pewnie...

- Nie ma żadnego „pewnie”. - Zaskoczył ją ton tego zaprzeczenia. Szorstki, nieprzyjemny, gniewny. - Pozostańmy przy tobie, Fate. - Machnął ręką, jakby on tu się w ogóle nie liczył. - Założę się, że zawsze otaczano cię miłością. Widać to ze sposobu, w jaki patrzysz, mówisz, poruszasz się. Poruszasz się i mówisz jak ktoś, kto oczekuje od świata jedynie miłości i pieszczoty. Czasami przypominasz mi małą dziewczynkę.

- Ale nie jestem małą dziewczynką - uznała za stosowne podkreślić, pewniejsza w tej chwili własnej kobiecości niż kiedykolwiek przedtem.

- Jesteś, i-to bardzo, ale to bardzo niebezpieczną.

- Nie jestem - powtórzyła, tupiąc pod stołem nogą.

- Nie? W takim razie dlaczego bałaś się ze mną umówić na ten wieczór?

Nagle uświadomiła sobie ze zgrozą, że już od pewnego czasu wpatruje się w jego ponętne, pełne usta. Sięgnęła po kieliszek i napiła się wina. Wino zarazem otrzeźwiło ją i podnieciło.

- To nie był strach. Uznałam, że nie mówisz poważnie.

- Fakt, nie zawsze zdarza mi się mówić poważnie, ale tym razem zdarzyło się. Chyba znasz tę odwieczną grę? Ona ucieka, on goni...

- Nie bawię się w tego rodzaju gry.

Wciąż mówiła to swoje „nie”, lecz czuła, że zaczyna tracić kontrolę nad sytuacją.

- Ja zaś nie mam zamiaru zmuszać cię do czegokolwiek.

Nadejdzie czas, kiedy sama do mnie przyjdiesz i poprosisz o to, co dzisiaj odrzuciłaś.

Wiedział, że mówiąc tak, bynajmniej nie grzeszy pychą. Czerpał swą pewność ze spojrzenia Fate i z wyrazu jej twarzy. Mogła protestować, buntować się, przysięgać, że jest inaczej - były to tylko słowa. Jej ciało pragnęło połączenia z jego ciałem.

Tylko że on pragnął niedokładnie tego samego. Planował trzymać Fate na pasku do momentu, kiedy wszystko się rozstrzygnie.

Był podniecony nie tyle Fate, co grą, którą rozpoczął. Wygraną w tej grze było pozbycie się Taylor, nie zaś uciechy z tą naiwną, idealistycznie nastawioną do świata dziewczyną. Gustował zresztą w innego typu egzemplarzach.

Posiadała wiele wad. Była za wysoka i nie dbała o włosy, utrzymując je w stanie wiecznego bałaganu, czego zdecydowanie nie lubił u kobiet. Poza tym była zbyt otwarta i prostolinijna, a równocześnie uparta i dogmatyczna. Zakochując się w nim, mogłaby narobić niezłego bigosu. Ale zakochaniu nie mógł zapobiec. Była to ostatecznie jej prywatna sprawa.

Boże, ależ arogant, pomyślała Fate. Czy naprawdę sądził, że do tego stopnia zna kobiety, iż może przewidywać ich zachowania, by tak rzec, w prognozach długoterminowych. Być może należałoby uświadomić mu, że nawet w prognozach pogody na dzień jutrzejszy zdarzają się zawstydzające pomyłki. Kobiety zaś są o wiele mniej przewidywalne od ruchów układów barycznych.

Było już późno, kiedy opuszczali bistro. Wsiedli do jaguara Jaya i po kilkunastu minutach dojechali na miejsce. Fate podziękowała mu za miły wieczór, wysiadła, otworzyła furtkę i skierowała się ku drzwiom frontowym.

Czuła straszny niedosyt. Jay nie zatrzymał jej, został w samochodzie, którego silnik pracował na wolnych obrotach. Podbiegł do niej, dopiero kiedy wkładała klucz do zamka.

Dotknął jej ramienia, ona zaś odwróciła się ku niemu ze spuszczonym wzrokiem. Nie chciała, żeby czytał w niej jak w otwartej księdze.

- Zapomniałaś czegoś - rzekł miękko głosem, wręczając jej białą kopertę.

Patrzyła, nie wierząc własnym oczom. Jak ta koperta mogła wysunąć się z jej torebki? Chociaż nie, mogła wypaść przy wyciąganiu chusteczki...

Ale najgorsze było co innego - że Jay mógł sobie pomyśleć, iż celowo pozostawiła ją w samochodzie, by w ten sposób zmusić go do czegoś, do czego właśnie poczuł się zmuszony.

- O tym też zapomniałaś - dodał tym samym głosem i wziął ją w ramiona.

Całował całkiem nie tak, jak tego oczekiwała. Ani śladu gorączkowej namiętności, tylko bezmiar czułości i delikatności.

A potem, jakby chcąc zatrzeć urodę swojego pocałunku, rzekł kpiąco:

- Właściwie nie powinienem był tego robić. Nie zasłużyłaś na to. Zmusiłaś mnie do przyjazdu tutaj, a ja nie lubię być do niczego zmuszany.

Dlaczego mówił? Dlaczego jej nie całował? Dlaczego dał jej do skosztowania kropeczkę i zaraz odebrał ów cudowny, odurzający trunek? Dlaczego tak ją dręczył?

Jej niema prośba została wysłuchana. Tym razem pocałunek Jaya dotarł do najgłębszych pokładów rozkoszy. Fate poczuła, że

uginają się pod nią nogi. Osłabła do tego stopnia, że prawie zawisła mu w ramionach. A kiedy puścił ją, niewątpliwie upadłaby na ziemię, gdyby nie drzwi za plecami.

Sposób, w jaki zareagowało jej ciało, zdumiał ją i przeraził. Uświadomiła sobie bowiem, że Jay może teraz zrobić z nią w zasadzie wszystko. Wystarczył krótki pocałunek, żeby wyzuta została ze swej woli. Nie była już panią samej siebie. Mogła uwolnić się spod władzy Jaya tylko w jeden sposób - zrywając z nim wszelkie kontakty.

Spojrzała w kierunku furtki. Jay właśnie wsiadał do samochodu. Nie spojrzał na nią i nie uśmiechnął się. Zatrzasnął drzwi.

Był wściekły. Brutalnym pchnięciem włączył bieg i puścił sprzęgło. Ruszył z piskiem opon. Dlaczego, do cholery, zaangażował się aż do tego stopnia w ten pocałunek? Fate była tylko środkiem wiodącym do celu. Mieczem, którym miał przeciąć więzy łączące ojca z tamtą intrygantką.

Tymczasem potraktował Fate jak kogoś drogiego. Zabawne, ale nawet zrobiło mu się żal, że podnieciwszy ją aż do bólu, zostawił pod drzwiami i nie ukoił. Nie taki charakter miała mieć gra z tą dziewczuszką.

Ciemnozielony jaguar mknął ulicą z głośnym rykiem silnika. Jeden z przechodniów zatrzymał się i odprowadził go wzrokiem. Co za idiota, pomyślał, oburzony do żywego na kierowcę, który trzykrotnie przekroczył obowiązującą w tym miejscu prędkość.

- Plum, spróbuj się skupić. Czy już oznaczyłaś ptaszkiem Ferrarsów?

W odpowiedzi na pytanie matki Plum nadała się, syknęła i jednym ruchem ręki zrzuciła wszystkie kartki na podłogę.

- Nie wiem, dlaczego w dzień moich urodzin ma mnie nachodzić i ścisnąć cała ta niewydarzona zgraja - pisnęła histerycznym głosem, po czym rzuciła się na kolana, by pomóc Helenie w zbieraniu papierów, głównie - listowych potwierdzeń zjawienia się na balu.

- Zostaw to - rzuciła Helena zbolalym głosem. - Czegokolwiek się dotkniesz, musisz to popsuć lub zniszczyć.

Teraz wiedziała, że pomysł zaproszenia Plum do domu na weekend od samego początku był poroniony i głupi. Zdażyła już zdenerwować swoje młodsze siostry, mówiąc im, że kiedy zdechnie jej stary kucyk, pójdzie na mielonkę dla psów. Poza tym paradowała półnaga po domu, w samych tylko majtkach i cienkiej bawełnianej koszuli, która, wszystko na to wskazywało, jeszcze wczoraj należała do jakiegoś mężczyzny, gdyż wciąż pachniała jego potem.

Najgorsze jednak, że nie opowiadając się ani jednym słowem, znikła w sobotę wieczorem, by wrócić dopiero w niedzielę rano. Teraz był poniedziałek i słońce stało już prawie w zenicie, a Plum raczyła dopiero ściągnąć się z łóżka.

- Ta niewydarzona zgraja, mówiąc twoim językiem, to bez wyjątku ludzie uczciwi i godni szacunku - rzekła Helena, podnosząc

się z klęczek. - Poza tym myślę, że zanim zesłaś na dół, mogłaś wykapać się i uczesać.

Plum nie słuchała. Trzymała w ręku listę gości.

- Kto go zaprosił? - spytała ze złością.

- Kogo? - Helena zajrzała jej przez ramię. - Tego McKenzie?

Jest spokrewniony z Justinem Gardnerem, twoim przyjacielem.

Telefonowała matka Justina z zapytaniem, czy ewentualnie mogliby go wziąć ze sobą. Znasz go bliżej?

- Spotkałam go raz. Straszny nudziarz - odparła Plum ze wzgardliwą miną.

Zapowiadało się zresztą, że na tej imprezie pojawią się sami nudziarze. Prócz, oczywiście, Brama. On będzie jej oparciem i jej radością. Zdecydowała się wziąć udział w tej szopce tylko ze względu na niego.

McKenzie był jej absolutnie zbędny.

Drażniło ją, że nie mogła wyrzucić z pamięci jego odmowy na jej niedwuznaczną propozycję. Nie przywykła do tego rodzaju odmów i czuła się upokorzona przez tego szkockiego pastucha.

- Przypuszczam, że Bram przywlecze ze sobą tę niegdysiejszą piękność - powiedziała do matki, skupiając się na sprawie bodaj najważniejszej.

- Wszystko na to wskazuje - potwierdziła Helena. - Już uprzedził mnie, że może przyjść z Taylor.

O zamiarze przyjscia w towarzystwie kobiety powiadomił ją również Jay. Tylko że o ile Jay określił swoją partnerkę słowem

„przyjaciółka”, o tyle Bram użył określenia „osoba szczególnie mi bliska”. Jej, Helenie, pozostawało tylko odpowiedzieć, że będzie jej bardzo miło gościć ją u siebie. Naprawdę bardzo miło...

Fate, gryząc koniec pióra, przeczytała napisany dopiero co akapit. Świtało, a ona jeszcze nie położyła się do łóżka. Przelewała na papier i opracowywała wywiad, którego udzieliły jej wczoraj żona i córki jednego z milionerów z listy Jaya. Niedoskonałe pod względem technicznym nagranie sprawiało jej teraz masę kłopotów. Dobrze choć, że świeża pamięć rozmowy pozwalała jej rekonstruować te słowa i zdania, które na taśmie magnetofonowej przybierały postać niezrozumiałych dźwięków.

Dotknęła swoich włosów. Faktycznie, były tak krótkie, że mogły kojarzyć się z chłopięcą fryzurą. Kojarzyły się tak Jayowi, z którym ostatnio często się spotykała i który gorąco ją namawiał, by pozwoliła swoim włosom odrosnąć. Sęk w tym, że przywykła już do tego uczesania i lubiła je. Z krótkimi włosami było jej zresztą do twarzy. Jay mógł mieć inne zdanie - jego sprawa. Nikt nie będzie narzucał jej swoich gustów i manipulował nią. Obcięła włosy i nie zamierzała wracać do dawnej fryzury.

Zadzwonił telefon. Aż się wzdrygnęła na to niespodziewane brzęczenie. Kto może dzwonić o piątej rano w niedzielę? Z lękiem sięgnęła po słuchawkę.

- Obudziłem cię?

- Jay... - Nagle poczuła się wypoczęta i rozradowana. - Nie, pracowałam. Dlaczego dzwonisz tak wcześnie?

- Pomyślałem o tobie i wykręciłem numer. Ot, tak po prostu. Nawet nie sprawdziłem, która godzina może być w Anglii. Mam do ciebie pewną małą prośbę...

Jay już od kilku dni przebywał w Japonii. Tęskniła za nim, ale nie miała zamiaru przyznawać się do tego.

- Jaką prośbę? - zapytała. Roześmiał się.

- W twoim głosie słyszę podejrzliwość. Ale nie obawiaj się, to całkiem niewinna prośba. Za tydzień w sobotę mam być na pewnym nudnym przyjęciu urodzinowym i rozglądam się za partnerką.

Poszłabyś ze mną?

- Dzwonisz z Japonii o nieludzkiej porze tylko po to, by zadać mi to pytanie? - Doprawdy, coś takiego nie mieściło się jej w głowie.

Jay ponownie wybuchnął śmiechem. Wyobraziła sobie jego pełne usta, białe zęby i smagłe policzki.

- Bynajmniej, Fate. Dzwonię, bo nudno mi tu samemu. Chciałem też sprawdzić, czy przestałaś być już małą dziewczynką i wyrosłaś na dużą panienkę. Pragniesz mnie, oboje o tym wiemy. Co cię powstrzymuje? Wystarczy jedno słowo, a wrócę do Anglii najbliższym samolotem...

Zamknęła oczy. Dłoń, w której trzymała słuchawkę, była wilgotna. Tak łatwo było wypowiedzieć to jedno słowo. Ale tak trudno było pogodzić się z myślą, że tylko seks mógł ich wiązać ze sobą; seks, który prędzej czy później rodził znużenie, nieubłagane wiodące do rozstania. I co wówczas jej pozostanie? Pamięć kilku szalonych nocy? Garstka piasku w dłoni?

Jay często zwracał się do niej z prośbą, by powiedziała mu coś o sobie - o swoim dzieciństwie, rodzicach, planach na przyszłość. Sam jednak, gdy identyczne pytania kierowała pod jego adresem, stawał się dziwnie małomówny. Dystansował się i w rezultacie niewiele o nim wiedziała.

Pewnego razu wybrali się do kina. Film oparty był na pomysłe przemiany głównego bohatera, tak zwanego twardziela, w człowieka wrażliwego i zdolnego wyrażać swoje uczucia. Krytyka Jaya nie pozostawiła na autorze scenariusza suchej nitki.

Można włożyć pomiędzy bajki, twierdził ze wzgardliwą ironią, że społeczeństwa odwracają się od bohaterów reprezentujących siłę i bezwzględność ku romantycznym słabeuszom. Mężczyźni, zgodnie ze swoją naturą, rywalizują ze sobą. Im kto jest silniejszy i posiada większy zakres władzy, ten cieszy się większym prestiżem. Tylko za takimi mężczyznami wzdychają kobiety i tylko im gotowe są złożyć w ofierze swe ciała.

Fate próbowała podjąć z nim dyskusję, ale Jay nie ustąpił ani na krok.

- I jak? - usłyszała teraz jego głos w słuchawce.

- Nie, Jay, przykro mi - odparła przygnębionym głosem. - Nie gram swoim ciałem i swoimi uczuciami. Nazwij to dumą, szacunkiem dla samej siebie lub czymkolwiek innym. - I nie dając mu szansy udzielenia odpowiedzi, odłożyła słuchawkę.

Przerwała rozmowę w porywie strachu. Złękła się, że jeśli pozwoli mu mówić, Jay skruszy jej wolę i sprawi, że do głosu dojdzie w niej tylko tęsknota.

Tak, seks między nimi byłby ekscytującym doświadczeniem, ale byłby też przygodą pozbawioną głębszych wzruszeń i przeżyć. Jay zresztą, jeżeli już coś obiecywał, to tylko sprawność i wiedzę wytrawnego kochanka. Żadnych sentymentów!

Czasami dziwiła się sobie, dlaczego spotyka się z nim, skoro ta znajomość nie miała przed sobą żadnej przyszłości i skoro wszystko mówiło jej, że wytrwałość Jaya w poważnej mierze należy tłumaczyć jej oporem.

Zmagła się nie tylko ze swoim ciałem i jego pragnieniami, ale również z pokusą, żeby zaprzestać walki i poddać się. To by uprościło wiele spraw. Rytuałowi stałoby się zadość, Jay zniknąłby i mogłaby wrócić do poprzedniego życia.

Spojrzała w rozświetlone porannym słońcem okno. Czyje to mają być urodziny, na które ją zaprosił? Tak mało wiedziała o jego znajomych, przyjaciółach, rodzinie...

O Jayu wiedziała w zasadzie tylko tyle, że w pełni siebie akceptował. Lubił siebie takim, jakim był.

Czy jednak ona go takim lubiła? Raczej nie, chociaż nie przeszkadzało to jej pragnąć go i pożądać. I budzić się po nocach pod wpływem niemal fizycznego bólu.

Plum zgmiotła i odrzuciła gazetę. Po co ona w ogóle czytała ten horoskop? Dzisiaj kończyła osiemnaście lat, wieczorem miał się odbyć bal, uświetniający tę przełomową chwilę jej życia, a tymczasem nawet układ gwiazd i planet zdawał się potwierdzać jej najgorsze przeczucia, iż przełom, owszem, ale przełom na gorsze.

Przepowiednia mówiła o porażkach i nieoczekiwanych problemach związanych z „nowym początkiem”. I jak dotąd wszystko się zgadzało. Już miała bowiem na sumieniu kłótnię z matką, która, głucha na jej prośby, w żadnym wypadku nie chciała się zgodzić na usadzenie obok niej Brama, bądź co bądź, jej ojca chrzestnego.

Doprawdy, jeżeli obiecała uczestniczyć w tym nudnym mieszczańskim spędzie, nazywanym szumnie „balem”, to tylko dlatego, że jednym z gości miał być Bram.

Okazywało się jednak, że nie będzie miała okazji nacieszyć się nim. Nie tylko bowiem miał się pojawić z tamtą staruchą u swego boku, lecz na dokładkę miał siedzieć kilka krzeseł dalej. A jakby jeszcze zbyt mało było tych trosk, balowa sukienka pogrubiała ją i postarzała przynajmniej o kilka lat. I jeszcze ten straszny kuzyn Justina. I jeszcze ten deszcz po trzech tygodniach pięknej słonecznej pogody.

Bram stanął w drzwiach, spojrzął na Taylor i zmarszczył czoło.

Siedziała przed lustrem i czesała włosy. Była bardzo blada, tą kredową bladością, która najczęściej zaświadcza o poważnej chorobie.

Ciepła serdeczność, która określała ich wzajemne stosunki w pierwszym okresie po jego powrocie ze Strasburga, należała nieodwołalnie do przeszłości. Taylor znów wydawała się daleka i zamknięta w sobie. Niewątpliwie coś się stało, chociaż pytana o przyczynę smutku, roztargnionego zamyślenia i melancholii, odpowiadała, że nic, że czuje się wspaniale, że wszystko po dawnemu...

Dopiero wczoraj zdecydowała się dać mu trochę inną odpowiedź.

- Gnębi mnie wciąż myśl, że weszłam pomiędzy ciebie a Jaya. Znienawidził mnie i wykorzysta każdą sposobność, by zniszczyć nasz związek.

- Jay nic nie może zrobić - powiedział, tuląc ją niczym małe dziecko. - Nie pozwolę mu na zrobienie ci krzywdy.

Przykro mu było, że Taylor wątpiła w moc jego miłości i jej trwałość. Dla niego wszystko było takie proste. Kochał ją i żadna siła nie mogła tego zmienić.

Długo nie chciała spełnić jego prośby i obiecać mu, że wybierze się z nim na urodziny Plum. Argumentowała, że taki niespodziewany gość jak ona może narobić gospodarzom jedynie dodatkowego kłopotu, a poza tym jako osoba z zewnątrz i mało towarzyska będzie dla niego, Brama, wyłącznie ciężarem.

- Tego rodzaju imprezy są nie dla mnie. Nie jestem ani zabawna, ani dowcipna, ani też interesująca pod jakimś innym względem.

- Ale ja cię potrzebuję.

W końcu jednak dała mu swoją zgodę i zaraz na drugi dzień zrobili rundę po sklepach w poszukiwaniu odpowiedniej wieczorowej sukni. Wybrali rzecz wyrafinowaną w swojej prostocie, a równocześnie elegancką i wabiącą wzrok. Taylor w nowej kreacji wyglądała przepięknie i bardzo zmysłowo.

Lecz kiedy chciał wręczyć jej diamentowe kolczyki, zaczęła się wzbraniać.

- Zbyt drogie, a poza tym wszyscy będą wiedzieli, że...

- Że co? - zapytał, ściskając jej ramię. - Że cię kocham? Czyżbyś wstydziła się mnie i naszej miłości?

W końcu przystała na wszystko, spełniła wszystkie jego prośby. A teraz, kiedy tak obserwował ją, oparty o framugę drzwi sypialni - od pewnego czasu i c h sypialni - zakładała właśnie podarowane jej kolczyki, a zrobiwszy to, pogładziła je pieścotliwym, miłosnym gestem.

Podszedł do niej i objął ją od tyłu. Mruknęła coś o konieczności ponownego czesania potarganych włosów.

Jej włosy! Ileż musiał się naprosić i nablagać, żeby nosiła je rozpuszczone. A kiedy pewnego dnia nie zobaczył na szczycie jej głowy owego ściśle upiętego wężła, ujrzał kobietę piękną aż do bólu, więcej - czarującą.

Dokładnie taką, jaką była w tej chwili.

- Jesteś, Tay, cudem tego świata.

Odłożyła grzebień. Bram mógł się zachwycić jej zewnętrzną urodą, ale co by powiedział, gdyby zajrzał w głąb, do samej duszy.

Wciąż przecież nie wyznała mu całej prawdy o sobie. Owszem, próbowała, lecz już po pierwszym słowie czuła dławienie w gardle, a przed sobą widziała wysoką pionową ścianę. Sforsowanie tak trudnej przeszkody było na razie ponad jej siły.

- Gotowa? - zapytał.

Skinęła głową. Dzisiejszego wieczoru pozna znajomych i przyjaciół Brama. Tak czy inaczej, będzie to wieczór niezwykły. Rzecz jednak w tym, czy okaże się końcem, czy też początkiem wszystkiego?

Jadąc po Fate, Jay analizował wszystkie możliwe warianty rozwoju sytuacji. Pragnął mieć pewność, że konfrontacja Fate z Taylor dokona się na oczach Brama. Bram musiał być tuż obok, gdyż musiał widzieć reakcję Taylor. A jakaś reakcja, i to raczej bardziej niż mniej żywiołowa, na pewno będzie miała miejsce.

Nie miał już żadnych wątpliwości, że zna prawdę o pochodzeniu Fate. Wyciągnął od niej masę informacji i wszystkie fakty doskonale pasowały do siebie. Wykluczał możliwość pomyłki. Uśmiechnął się do siebie, próbując wyobrazić sobie minę Taylor, kiedy ją zapyta:

- Czy Bram miał już przyjemność poznać twoją córkę? Tak, dla Taylor będzie to cios, koniec wszystkiego.

Dzisiaj wieczorem rozstrzygnie się jej los. Nie czuł ani odrobiny litości. W jego oczach była tylko wyrodną matką, która, zestarzawszy się, polowała na bogatych facetów.

Plum spojrzała na matkę z wyrazem niedowierzania na twarzy.

- Coś ty narobiła! - krzyknęła piskliwie. - Przesadziłaś!
Wycofuję się! Ani myślę siedzieć przez cały wieczór obok tego przygłupawego Szkota i słuchać jego nudnych pouczeń. Pod tym względem jest gorszy nawet od ciebie!

- Przestań histeryzować, Plum - przerwała jej Helena.

- Jeżeli zdecydowałam się posadzić was razem, to tylko dlatego, że oboje nie macie partnerów.

- Dobrze, że mi o tym przypomniałaś. A swoją drogą, to jednak dziwne, żeby na własnej osiemnastce nie mieć partnera, prawda? - Plum patrzyła na matkę wzrokiem pełnym wyrzutu.

- A czyja to wina? Na pewno nie moja. Zrobiliśmy wszystko, by należycie cię wychować i uczynić ozdobą każdego towarzystwa...

- Aha, akurat... No ale dobrze, niech ci będzie. Tylko że jeśli tak się o mnie troszczycie, to dlaczego nie chcecie mi ustąpić? Chcę siedzieć obok Brama. Nawet ojciec byłby lepszy od tego... tego pastucha.

- Nie wiem, czy byłby lepszy, w każdym razie gdybym go posadziła u szczytu stołu, postąpiłabym nie w porządku w stosunku do Jamesa. Ostatecznie to on pokrywa koszty tego przyjęcia.

- Co za hojność! - rzuciła Plum z gryzącą ironią. - Nikogo nie prosiłam, żeby robił bal, a nie jakąś zwykłą osiemnastkę.

I na co jej przyszło? Będzie musiała spędzić cały wieczór z tym nudnym jak flaki z olejem Gilem McKenzie!

Nienawidziła go, brzydziła się nim. Jak w ogóle mogła myśleć poważnie o czarowaniu i uwodzeniu Brama, by odebrać go Taylor, skoro tuż obok miał siedzieć ten gbur, cham i tępak.

Tak, urodzinowy wieczór zapowiadał się jako kompletna klęska. Horoskopy rzadko kiedy się nie sprawdzają.

- Nie masz apetytu? - zapytał Bram, widząc, że Taylor jedynie bawi się widelcem.

Potrząsnęła głową. Faktycznie, nie czuła głodu. Kilku-godzinne napięcie sprawiło, że jej żołądek ścisnął się i obkurczył. Przed przekroczeniem progu tej sali najbardziej ze wszystkiego obawiała się krytycznego spojrzenia Heleny. Domyślała się czegoś, czego nie domyślał się Bram. Tego mianowicie, że Helena od lat kocha go skrytą, niezmienną miłością.

Jednak to Plum dostarczyła jej największej udreki. Potraktowała ją jak wroga i nawet nie starała się tego zatuszować. Od razu też zaczęła flirtować z Bramem i próbowała go olśnić swoją dziewczęcą urodą.

Na szczęście Bram niedwuznacznie dał jej do zrozumienia, że nie widzi siebie w roli kolejnej zdobyczy. Jak wielu mężczyzn zdolnych byłoby oprzeć się awansom tej młodocianej piękności? Doprawdy, niewielu.

Jay wybrał wreszcie odpowiedni moment i podniósł się od stołu. Właśnie orkiestra zaczęła pierwszy utwór. Głośna muzyka zagłuszyła gwar rozmów.

- Chodź - zwrócił się do Fate.

- Poczekaj, nikt jeszcze nie tańczy - zaprotestowała, panicznie bojąc się pustego parkietu.

- Nie proszę cię do tańca, tylko chcę cię przedstawić ojcu - wyjaśnił. - Przecież już od dawna chciałaś go poznać.

Fate wbiła w niego zdumione spojrzenie. Skąd ta nagła zmiana? Przecież jeszcze dwa dni temu jej gorącą prośbę o umożliwienie kontaktu z ojcem Jay pominął całkowitym milczeniem.

Od Taylor i Brama, naprzeciwko których zwolniły się akurat dwa miejsca, dzieliło ich już tylko kilka metrów. Pierwsza zauważyła ich Taylor. Krew odpłynęła z jej twarzy, zaś dłonie zacisnęły się kurczowo na krawędzi stołu.

Wyglądała tak, jakby chciała wstać, ale z jakichś powodów nie mogła pokonać ciężaru swego ciała. Patrzyła na Fate z miną osoby, która dostrzegła zjawę. Na jej bladym czole zalśniły krople potu.

Działa, pomyślał Jay. Czuł się w pełni usatysfakcjonowany. Reakcja Taylor nie mogła być już bardziej teatralna, bardziej rzucająca się w oczy.

Dzieliła je tylko szerokość stołu. Taylor nie mogła oderwać szeroko otwartych oczu od Fate, która z kolei odwzajemniała się jej spojrzeniem pełnym zdziwionego zainteresowania.

Jay... tylko on mógł wymyślić tak okrutną zemstę, myślała Taylor. Ale jak w ogóle zdołał odkryć jej sekret?

Szum w uszach zaczął przypominać brzęczenie otwartego ula, zaczynało brakować jej powietrza, poczuła, że wali się na nią ta pionowa skalna ściana, u podnóża której już tyle razy stawała.

Widziała, jak Jay pochyła się ku ojcu i coś do niego mówi z przewrotnym uśmiechem, lecz nie słyszała słów. W jej głowie, w jej biednej głowie pojawił się jakiś ssący wir...

Bram domyślał się, że syn pragnie przedstawić mu piękną dziewczynę, z którą przyszedł, ale całą jego uwagę pochłaniała w tej chwili Taylor. Działo się z nią coś niedobrego. Kiwała się na krześle, jakby...

Na szczęście zdążył zareagować. Zanim osunęła się na podłogę, chwycił ją i złagodził upadek.

Jay wciąż próbował mu coś powiedzieć. Nie odwracając głowy do syna, rzucił opryskliwie:

- Nie teraz, Jay!

Wokół leżącej na podłodze Taylor zebrał się tłum gości. Jakiś młody Szkot zaofiarował się sprowadzić lekarza. Helena wysunęła pomysł, żeby tymczasem przenieść Taylor do saloniku obok, gdzie miałyby więcej powietrza. Bram nie przyjął żadnej z tych propozycji.

- Pomóżcie mi przenieść ją do samochodu. Zawiozę ją do siebie i tam wezwę lekarza. Ostatnio nie czuła się najlepiej. To pewnie ta paskudna grypa, o której od pewnego czasu tak dużo się mówi.

Młody Szkot, świadomy swej siły, dźwignął z podłogi bezwładne ciało Taylor i skierował się ku wyjściu wzdłuż szpaleru zaciekawionych gości.

Fate spojrzała na Jaya. Dziwiło ją, że ten nie okazał dotąd najmniejszej inicjatywy. Ostatecznie na jego oczach zemdląca przyjaciółka jego ojca.

Ale jeszcze bardziej zdumiała się, gdy zobaczyła na nieruchomej, zaciętej twarzy Jaya wyraz zażartej nienawiści.

- Jay, co się z tobą dzieje?

- Nic szczególnego. - Chwyił ją za ramię. - Chodź. Spływamy stąd.

Nie obchodziło go jej zdanie. Po prostu miała zrobić to, co jemu odpowiadało. I robiła to. Dawała bez oporu prowadzić się ku drzwiom przez ciżbę ustępującym im z drogi i coraz bardziej zaciekawionych uczestników balu.

W jej głowie panował prawdziwy tumult myśli. Pytania zlatywały się całymi chmurami, lecz na żadne z nich nie potrafiła dać sensownej odpowiedzi. Co też właściwie przed chwilą się stało? Kim jest ta kobieta dla Jaya? Dlaczego patrzył na nią z taką nienawiścią? Co wiedziała o stosunkach pomiędzy ojcem a synem?

Na razie wiedziała tylko tyle, że o ile ojciec i syn obdarzeni byli takim samym mniej więcej typem męskiej urody, o tyle to wszystko, co stanowiło o drapieżności urody Jaya, przybierało u Brama postać złagodzoną i ujmującą. Bram objawił się Fate jako wzór doskonałego mężczyzny.

Fate nie zazdrościła jednak Taylor jej niedoścignętego kochanka. Bowiem mając go, miała zarazem nienawiść Jaya. A ten był w stanie wyrządzić wiele zła.

Plum dławiała furia. Jak ta straszna przybłęda śmiała mdleć na oczach wszystkich, psuć jej cały wieczór, a na domiar złego pozbawić ją Brama!

Łzy gniewu spłynęły po policzkach Plum, niszcząc staranny makijaż. Było to jej absolutnie obojętne. Komu zresztą miała się teraz podobać, skoro jedyny i najważniejszy mężczyzna jej życia tak nagle zostawił ją na pastwę nudy i zgryzoty?

Nagle drzwi do damskiej toalety otworzyły się i stanął w nich... Ten owczarz naprawdę poczynął sobie, jakby pomylił Londyn z górami i halami!

- Tutaj nie wolno wchodzić mężczyznom - naparła całym ciałem na Gila McKenzie. - Wynoś się stąd, zanim ktokolwiek cię zobaczy.

Gil z uśmiechem cofnął się o krok.

Aha, pomyślała, pewnie przysłała go tutaj jej matka.

- Nie wrócę już tam - powiedziała zgnębnym głosem, a łzy znowu napłynęły jej do oczu.

- Więc gdzie zamierzasz spędzić resztę wieczoru? Tutaj? - zapytał, unosząc kpiąco brwi.

- Bez wygłupów. Zresztą gdyby nawet, to nikomu nic do tego.

- Twoja matka zacznie się niepokoić.

- Ona? Przecież nic jej nie obchodzi. Gdybym wpadła pod samochód, wątpię, czy uroniłaby jedną łzę. Żałuje, że mnie w ogóle urodziła. - Jej głos się załamał. - Zostaw mnie samą.

Jak mogła tam wracać i znów siadać za stołem, skoro legły w gruzach wszystkie jej nadzieje?

A przecież dzisiaj wszystko miało się odmienić. Miała udowodnić innym, że dotąd fałszywie ją oceniali. Ale po to, żeby

objawić się lepszą, miłszą i szlachetniejszą, potrzebne jej było wsparcie ze strony Brama. Potrzebna jej była siła jego miłości.

Tylko że Bram nie kochał jej i nigdy kochać nie będzie. Nigdy.

- Mogłabym równie dobrze umrzeć - powtórzyła, czerpiąc z obrazu własnej śmierci jakąś szczególną przyjemność. - Nikt nawet nie zapytałby, co się ze mną stało. - Rozmazała wierzchem dłoni łyzy na policzku. Wyglądała teraz na małą, nieszczęśliwą dziewczynkę, która zgubiła drogę do domu.

- Po co od razu umierać? Lepiej pojedź ze mną do Szkocji.

Wyjeżdżam późnym wieczorem.

Plum zrobiła wielkie oczy.

- Co?

- Głucha przecież nie jesteś.

- Chcesz zabrać mnie do Szkocji? Ty? Przecież ty nawet mnie nie lubisz. - Wzruszyła ramionami. - I co, mam tam mieszkać w jakimś przeciekającym szałasie?

W jego oczach zabłysła iskierka uśmiechu.

- Niezupełnie. To będzie dom, dość stary, z początku osiemnastego wieku. Ale całkiem niezły, zobaczysz. A poza tym pogranicze Anglii ze Szkocją to chyba najpiękniejsze miejsce w Europie.

Pogardliwie wydeła wargi.

- Naprawdę? Wolałabym raczej...

- Zostać w śmierdzącym Londynie?

Nie miał pojęcia, dlaczego wyskoczył z tą propozycją. Ta dziewczyna, delikatnie mówiąc, działała mu na nerwy. Dowiedział się jednak o niej od Justina kilku interesujących rzeczy i nagle zrobiło mu się jej żal. Bez wątplenia była samotnym, nie kochanym dzieckiem. Cała jej rodzina, włącznie z matką i ojcem, najchętniej pozbyłaby się jej. Pragnął więc zaofiarować jej swoją przyjaźń, a przy okazji uwrażliwić na piękno krajobrazu, co zawsze ponoć uszlachetnia duszę.

Istniała jednak obawa, że dziewczuszcze nie spodoba się dom i styl życia jego rodziny. Plum mogła się wściec i narobić totalnego bałaganu. Najgorsze, że mogła po prostu narobić mu wstydu.

- Czy poważnie mówiłeś o tym wyjeździe? - usłyszał nagle jej pytanie, zadane głosem dziwnie nieśmiałym i lęklwym.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Tak.

- I możemy wyjechać zaraz, natychmiast, bez mówienia niczego nikomu?

Kiwnął głową, choć wiedział, że musi znaleźć sposób powiadomienia jej rodziców, co stało się z ich córką.

Jasne! Posłuży się ciotką, matką Justina, która chętnie przekaze wiadomość.

Plum ciągle była pod wrażeniem. Trudno jej było uwierzyć, żeby taki chodzący wzór cnót jak Gil, zachował się tak niekonwencjonalnie, wręcz romantycznie. Bo w gruncie rzeczy mogło to przypominać romantyczne porwanie, takie jak w dawnych czasach.

Tyle że on i ona nie tylko że się nie kochali, lecz nawet niezbyt lubili. W niczym nie przypominali romantycznych kochanków, którzy jedynie łamiąc społeczne konwencje i zasady, mogą osiągnąć własne szczęście, czyli - być w każdej chwili, w każdej sekundzie razem.

Mniejsza z tym. Nie musi zostać tam na wieki. Wróci, kiedy ludzie o wszystkim zapomną. Przynajmniej przez jakiś czas będzie miała spokój. A może nawet ktoś za nią tu zatęskni? Tylko kto?

RS

- Jay, dokąd idziemy? - zapytała Fate, chwytając go za rękaw marynarki. - Twój ojciec...

- Mój ojciec jest idiotą - przerwał jej szorstko. - Boże, ona wodzi go za nos, a on nawet tego nie zauważa. - Przeklął pod nosem.

- Nie wypada wychodzić bez pożegnania i choćby kilku słów usprawiedliwienia.

- Nie? A czy widziałaś, co zrobiła ta dziwka? Udała, że zemdląca, i to tylko po to, żeby zyskać na czasie i wyprodukować nowe kłamstwa.

Dopiero teraz Fate w pełni uświadomiła sobie, że Jay mówi o Taylor. Jego twarz pałała nienawiścią. Szedł obok niej człowiek, którego dotąd nie znała.

- Pytam raz jeszcze: dokąd idziesz?

- Do domu. Pójdiesz ze mną?

Fate spuściła oczy. Po raz pierwszy, odkąd się poznali, zapraszał ją do swojego mieszkania, jeżeli słowo „zapraszał” pasowało w ogóle do tej sytuacji.

Była w rozterce.

- Nie wiem. Zdecyduję w samochodzie.

- Nie zdecydujesz. Zostawiamy samochód. Stąd można dojść piechotą.

- Piechotą? - Spojrzała na swoje delikatne pantofelki i długą wieczorową suknię. - Jay, przecież pada.

Zacisnął usta, odwrócił się i wzruszył ramionami. Przypominał jej teraz małego przestraszonego chłopca, który nie wie, gdzie się schronić przed grożącym mu niebezpieczeństwem, ale postanowił, że nie da po sobie tego poznać i obrazi się na cały świat.

Ruszył, a ona potruchtła za nim. Mokre chodniki i asfalt ulicy lśniły w światłach latarni niczym powleczone woskiem. Siąpiło. Jay szedł długimi krokami. Ledwo co za nim nadążała. W końcu poprosiła, żeby szedł trochę wolniej.

Gwałtownie zatrzymał się i odwrócił. Ujął jej głowę w kleszcze swoich dłoni i odgiął ją do tyłu. Zabolało.

Poczuła na twarzy drobne kropelki deszczu, a na wargach rozpalone usta. Usta Jaya. Całował ją brutalnie i żarłocznie. Kły dzikiego kota, którym dotąd pozostał w jej oczach, zgrzytnęły o jej zęby.

- Och, Jay... - szepnęła napuchniętymi, pulsującymi wargami, kiedy wreszcie ją puścił.

- Och, Fate... - rzekł przedrzeźniające - Jak ty łatwo się podniecasz. Wystarczy dotknąć cię jednym palcem, a od razu się trzęsiesz. Taką masz ochotę? Czy nie wiesz, że mężczyźni lubią, gdy kobieta stawia opór?

- Mam udawać trudną i niedostępną? Bryłę lodu, którą trzeba roztopić?

Machnął ręką i ruszył mokrym chodnikiem. Tym razem starał się dostosować swój krok do jej kroku.

- Więc nie będzie czegoś takiego, że niby się wzbranasz iść ze mną do łóżka, a tak naprawdę pragniesz tego całą duszą? - zapytał w pewnym momencie.

- Nie cierpię udawania. Nigdy ciebie nie okłamałam.

Oczywiście, że chcę iść z tobą do łóżka.

Spojrzał na nią przez ramię.

- Więc skąd ta mina skromnisi?

- Nie jestem i nigdy nie byłam skromnisią.

- Skoro tak, to jako rozsądna i przewidująca kobieta powinnaś mieć w torebce pigułki antykoncepcyjne. Jeżeli jednak w swoich przewidywaniach na dzisiejszy wieczór nie uwzględniłaś nocy ze mną, to tu niedaleko za rogiem jest apteka, czynna przez całą dobę. Możemy do niej wstąpić. - Uśmiechnął się, a raczej wykrzywił twarz w czymś w rodzaju uśmiechu. - Pewnie myślisz, że jestem jej stałym klientem. Niekoniecznie. Są jeszcze inne rzeczy na świecie...

Zmierzyła go badawczym spojrzeniem. Bez wątpienia drażnił się z nią. Ale w jakim celu? Wydawało się, jakby chcąc z nią spędzić noc, robił zarazem wszystko, żeby jej to obrzydzić.

Za rogiem faktycznie jarzył się neon nad wejściem do niewielkiej apteki. Jay stanął i spojrzał jej prosto w oczy. Spuściła wzrok. A kiedy już myślała, że każe jej wejść do środka, powiedział:

- Poczekaj tu.

Nie było go dobrych kilka minut. Stała na chodniku i nasiąkała wilgocią. Dobrze choć, że deszcz nie był prawdziwym deszczem tylko uporczywą mżawką. Ale i tak musiała wyglądać niczym zmokła kura.

Bardziej jednak od tego gnębiła ją świadomość, że cały ten wieczór, mimo iż zmierzał ku miłosnemu spełnieniu, pozbawiony był czułości czy spontaniczności, nie mówiąc już o romantycznych uniesieniach. Ot, pigułki, prezerwatywa, rozsądek i seksualne rzemiosło.

- Tędy - powiedział Jay, wychodząc z apteki. Skręcili w prawo i przemierzywszy niewielki skwer, dotarli do jednej z bardziej ekskluzywnych dzielnic miasta.

Po kilku minutach znaleźli się przed kilkupiętrową kamienicą, której solidna, zdawałoby się, kamienna bryła stwarzała wrażenie niedostępnej, ponurej twierdzy.

Fate zadrżała, jakby pod wpływem zimna, które biło od kamiennych ścian.

- Co się dzieje? - zapytał Jay, wyjmując klucze.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł... Nie tak sobie wyobrażałam pierwszą wizytę w twoim mieszkaniu.

- A niby jak sobie wyobrażałaś? Że kiedy zaczniesz wstępować po tych schodach, rozlegnie się śpiew ptaków, a z okolicznych drzew sypnie się kwiecie? - Jay aż sapał z gniewu i irytacji. - Nie odgrywaj przede mną roli zalęknionej dziewczycy. Nie lubię takich gier. Nie lubię być okłamywany.

- Nie okłamuję cię, Jay - powiedziała, czując, że w niej również budzi się gniew.

- Wszystkie kobiety kłamią, a wśród nich największą oszustką jest ta dziwka, Taylor...

Patrzyła nań w milczeniu. W świetle wiszącej nad frontowymi drzwiami lampy dobrze było widać jego twarz. W tej chwili zniekształcała ją nienawiść. Fate wiedziała już, co było główną, jeżeli nie jedyną przyczyną jego zachowania - Taylor i jej związek z ojcem Jaya. To było dlań obecnie kwestią najważniejszą, a nie jakieś tam pigułki czy łóżkowy romans ze stosunkowo niedawno poznaną studentką.

- Zostaw swojemu ojcu jego prywatne życie, Jay. Taylor to jego problem, a nie twój. To jasne, że łączy ich miłość. Od razu to widać. Prawdopodobieństwo, żeby oszukiwała kochanego przez siebie mężczyznę, praktycznie równa się zero. Kłamstwo zawsze czemuś służy, a co chciałaby osiągnąć Taylor dzięki swojemu kłamstwu? Ona kocha twojego ojca. Dlaczego miałaby niszczyć tę miłość jakimś oszustwem?

Uśmiechnął się w sposób, który wydał się Fate przerażający, wręcz szatański.

- Dlaczego? Naprawdę chcesz wiedzieć? A więc posłuchaj. Okłamuje go z tej prostej przyczyny, że chce przed nim ukryć prawdę o sobie. Wie, że gdyby mój ojciec uświadomił sobie, z kim faktycznie ma do czynienia, przepędziłby ją na cztery wiatry. Taylor jest kobietą... matką, która wyrzekła się własnego dziecka. Która sprzedała je! Zresztą, czy ona w ogóle zasługuje, by tak o niej mówić? Na pewno nie jest matką kobieta, która podrzuca innym ludziom swoje dziecko, jakby było ono jakimś kulawym kundlem.

Cały aż dygotał ze złości. Fate zląka się, że swoim podniesionym do krzyku głosem postawi na nogi wszystkich okolicznych mieszkańców.

- Cokolwiek Taylor zrobiła w przeszłości, dzisiaj kocha twojego ojca - powiedziała, starając się mówić jak najciszej. - Wszyscy popełniamy błędy i nikt nie jest bez winy.

- Jasne, to pewnie twoi starzy napchali cię tak rozsądkiem, przebaczeniem i wyrozumiałością. Ciekawe, czy znając prawdę, również byłabyś do tego stopnia wyrozumiała. Więc jak? Mam mówić dalej? Chcesz wiedzieć, co zrobiła? Jaką to rzecz masz zamiar uznać za jedną ze zwykłych ludzkich pomyłek?

Poczuła suchość w ustach, a w sercu nieokreślony niepokój. Co się z nią działo? Dlaczego bała się poznać prawdę o kobiecie, która była dla niej niemal anonimową osobą?

Jay nie czekał na jej przyzwolenie. Widocznie i tak zamierzał rzecz dociągnąć do samego końca.

- Taylor jest twoją matką, Fate. Kobieta, która dała ci życie, a potem się ciebie wyrzekła. Nie mam pojęcia, kto jest twoim prawdziwym ojcem, do twojego istnienia mógł przyczynić się równie dobrze jej kolega ze studiów, jak i jakiś żonaty kochanek. Nie mam również pojęcia, czy prowadziła puszczalski tryb życia, czy też była to jednorazowa wpadka. Faktem jest, że urodziła dziecko i tym dzieckiem byłeś ty. Czy nigdy cię nie zastanowiło, dlaczego dopiero po kilku miesiącach wypisano ci akt urodzenia? I dlaczego twoi rodzice mieli cię tylko jedną?

- Urodziłam się za granicą. Moi rodzice dopełnili formalności dopiero po powrocie do kraju. Wszystko to usłyszałeś ode mnie podczas naszego pierwszego spotkania.

Fate słyszała panikę w swym głosie, czuła ją w każdej cząsteczce swojego ciała. To nie mogło być prawdą. Rzeczy niemożliwe nie zdarzają się na tym świecie. Przecież by wiedziała. Powiedziano by jej...

Jay wyszał to sobie z palca. Próbował nastraszyć ją. Ukarać za to, że ośmieliła się stanąć w obronie kobiety, której nienawidził.

Przestało padać. Fakt ten przyjęła niemal z osłupieniem. W podświadomości oczekiwała, że wręcz przeciwnie, otworzą się upusty i woda strumieniami spłynie na to złe i niegodziwe miasto.

- Taylor nie jest moją matką. Nie może nią być. Wiedziałabym...

Jay roześmiał się.

- Jesteś pewna? Jeśli nie jest twoją matką, to jak wytłumaczysz fakt, że ma twoją fotografię, i to dokładnie taką samą, jaka wisi u was w salonie? Kiedy niedawno zapytałem ją, kogo przedstawia to zdjęcie, odparła, że jej chrześniaczkę. Kłamała w żywe oczy.

Wystarczyła minuta, żeby Fate schudła i zmizerniała na twarzy. Albo przynajmniej tak się wydawało.

- To ty kłamiesz, Jay. Nie wierzę ani jednemu twojemu słowu.

- Ależ wierzysz, wierzysz, złotko. Tylko nie stać cię na szczerość. Bo jak inaczej zinterpretujesz wszystkie te fakty? Taylor jest twoją matką, o ile w ogóle posługujemy się jej prawdziwym imieniem. I nawet jeśli ty jej nie znasz, to ona zna cię bardzo dobrze.

Przypomnij tylko sobie, co się z nią stało, kiedy cię zobaczyła. Udała omdlenie, żeby dać sobie trochę czasu na przygotowanie obrony.

Wiedziałem od początku, że nosi w sobie jakąś tajemnicę.

- Wszystko to wyreżyserowałeś, prawda? - zapytała. - Udawanie, udawanie i jeszcze raz udawanie. - Z każdym słowem mówiła coraz głośniej. - Nigdy ci na mnie nie zależało. Chciałeś mnie tylko użyć jako narzędzia. Postępowałeś według z góry obmyślonego planu.

Jak mogła zgrzeszyć aż taką głupotą? Jak mogła zgodzić się na rolę pionka, który czyjaś ręka przesuwa po szachownicy?

Czuła się chora z upokorzenia i rozczarowania. Chciała się wyrwać, gdyż trzymał ją za rękę, lecz jego dłoń jakby zmieniła się w imadło.

- I co chcesz osiągnąć takimi metodami, Jay? Jak możesz myśleć o kochaniu się ze mną, równocześnie starając się zniszczyć tę kobietę? A może tyle w tobie perwersji, że tylko takie sytuacje mogą cię podniecić? Może tylko wtedy masz ochotę...? - pytała z niesmakiem i wzgardą.

- Ona naprawdę jest twoją matką - powtarzał Jay z uporem. - Nie trzeba na to lepszego dowodu niż jej omdlenie, udane czy nie.

Pamiętaj, stało się to wówczas, gdy zbliżyliśmy się, a ona podniosła na ciebie wzrok. Co się zaś tyczy mojej ochoty...

Przyciągnął ją do siebie, tak iż poczuła twardość jego ciała. Próbowwała walczyć, lecz im gwałtowniej się wrywała, tym mocniejszy stawał się uścisk jego ramion. Stwierdziła ze zgrozą, że

całkiem niezależnie od jej woli, umysłu i potrzeby serca, odpowiada gorączką na jego gorączkę.

- Jesteś chory! - rzuciła mu w twarz.

- Chory? Ponieważ powiedziałem ci prawdę, której nie jesteś w stanie przyjąć? Nie wiń mnie, Fate. Jestem tylko pośrednikiem. Jeżeli już kogoś koniecznie chcesz winić, to osobę, która doprowadziła do tej sytuacji, swoją matkę.

Jay był nie tylko chory. Był opętany jedną ideą. Wbił sobie do głowy pewną koncepcję i trzymał się jej, jakby to był matematyczny pewnik. Gdyby była adoptowanym dzieckiem, dowiedziałyby się o tym z ust rodziców, którzy zawsze cenili najbardziej szczerść i uczciwość.

Gniótł teraz dłonią jej piersi, a ona nie miała już sił na obronę.

- Nie kochasz swojego ojca - powiedziała. - Nie wiesz, co to miłość, Jay. Znasz tylko nienawiść. Dobry jesteś jedynie w zadawaniu bólu. Mówisz, że chcesz ochronić ojca przed Taylor. Kłamstwo i fałsz! Bo ty nie chcesz go ochronić, ty chcesz go zniszczyć.

Przez chwilę wydawało się jej, że złapie ją za gardło i zacznie dusić - tak wielki gniew zapłonął w jego pociemniałych oczach. Ale on wpił się ustami w jej usta i znów zmysły Fate sprawiły jej upokarzającą niespodziankę, rozkazując biodrom napierać na jego biodra, nogom zaś uginać się i rozchyłać.

- Tylko mi nie mów, że mnie nie pragniesz... - tchnął w jej sparaliżowaną bólem twarz.

- Tak, pragnę cię - odparła również tchnieniem - ale jeszcze bardziej pragnę zachować szacunek dla samej siebie.

- Chodź, a sprawię, że zapomnisz o tej rozmowie...

- Na pewno, Jay. Na pewno wiesz, jak to zrobić. Ale ja nie chcę. Już nie. Myślałam, że jesteś inny, ale się myliłam. Ty zresztą też się mylisz. Twój ojciec nie wyrzeknie się Taylor z chwilą poznania jej przeszłości. On ją kocha, a miłość, prawdziwa miłość, wie, co to przebaczenie i współczucie.

Nagle spostrzegła, że jest wolna, że już nie więżą jej żadne ramiona. Odwróciła się więc i z wysoko uniesioną głową odeszła lśniącym od deszczu trotuarem. Usłyszała swoje imię. Nieważne. Równie dobrze mógłby to być jęk wiatru lub pisk opon na mokrym asfalcie.

Kiedy Fate wysiadała z taksówki przed swoim domem, niebo nad głową było już czyste i rozgwieżdżone. Cienki sierp księżyca przypominał skórkę po zjedzonej cząstce arbuza.

Paliło się tylko światło nad frontowymi drzwiami. Poza tym dom pogrążony był w mroku, co oznaczało, że rodzice poszli już spać. Ze względu na późną porę spodziewała się tego, lecz mimo to zrobiło się jej lżej na duszy. Zobaczywszy jej twarz, jej mokre i potargane włosy, od razu zasypaliby ją pytaniami, ona zaś musiałaby uśmierzać ich niepokój. Nie czuła się na siłach sprostać takiemu zadaniu.

Weszła do środka i skierowała się do salonu. Przekreśliła kontakt. Zabłyśło światło. Zdjęcie znajdowało się na swoim miejscu.

Czy było rzeczą możliwą, by miała je również Taylor, osoba jej dotąd całkowicie nie znana? Czy też raczej Jay kłamał?

Nie wierzyła mu przynajmniej w jednym punkcie. Nazwał ją córką owej Taylor, co od razu wydało się jej absurdem. Z ojcem i matką łączyły ją tak bliskie i intymne więzy, iż było czymś nie do pojęcia, by tego rodzaju stosunek mógł zachodzić pomiędzy dzieckiem adoptowanym a przybranymi rodzicami. Niewątpliwie coś by usłyszała, jakąś fałszywą nutę, jakiś zgrzyt w tej harmonijnej melodii współżycia.

Pozostawało jednakże niezbitym faktem, że na jej widok Taylor zbladła, na jej twarzy pojawił się lęk, po czym straciła przytomność. Nie była to, zaiste, reakcja typowa. Raczej do tego stopnia nietypowa, iż rzeczywiście człowiek miał prawo podejrzewać udawanie i grę.

Pytań przybywało. Cisnęły się w bolącej głowie Fate. a każde następne wydawało się ważniejsze, trudniejsze od poprzedniego.

Osunęła się na fotel. Straciła dziś wszystko - wewnętrzny spokój, mężczyznę, z którym zaczynała ją już coś łączyć, oraz - rodziców. Jutro, choćby sto razy w najgłębszym przekonaniu nazwała Jaya kłamcą, spojrzy na nich nie tym samym spojrzeniem, co do tej pory przez ponad dwadzieścia lat.

Taylor usłyszała, że drzwi się otwierają, i zobaczyła wchodzącego Brama. Zbliżył się i usiadł na brzegu łóżka.

- Jak się czujesz? - zapytał z troską w głosie.

- Dobrze - odparła, unikając jego spojrzenia.

Kiedy wezwany do niej lekarz zakończył badanie i podsumował je kilkoma wypowiedzianymi z uśmiechem słowami, była nimi tak wstrząśnięta, iż poprosiła go, żeby nie wzywał Brama, gdyż najpierw sama musi oswoić się ze swoją nową sytuacją. Wiedziała jednak, że Bram nie wypuścił lekarza bez zadania mu kilku podstawowych pytań.

A teraz Bram ujął jej leżącą na kołdrze dłoń i przycisnął ją do ust.

- Już podczas naszego pierwszego spotkania - powiedział - coś mi szepnęło do ucha, że możesz wprowadzić do mojego życia radość. Lecz muszę przyznać, że nawet w najśmielszych marzeniach nie spodziewałem się aż takiej przemiany. Będziemy mieć dziecko, Tay. Stanie się cud, o którym nie śmiałem nawet marzyć.

- Powiedz to dziewczynie, która zaszła w ciążę na skutek chwilowego zawrotu głowy, a zobaczysz, jak zareaguje na twoje słowo „cud” - odparła Taylor z ponurą miną.

- Czy jesteś na mnie bardzo zła? - zapytał. Potrząsnęła głową.

- Przede wszystkim jestem zła na siebie - odparła zgodnie z tym, co czuła.

- Nie chcesz tego dziecka. - Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- A ty chcesz? - Spojrzała nań badawczo.

- Tak - odparł bez chwili wahania. - Wiem, że żadne z nas tego nie planowało, ale gdy lekarz podzielił się ze mną tą wiadomością, odczułem tylko radość i szczęście. Pomyślałem, że dokonało się coś, co powinno, tak, powinno się stać.

- Rozumiem, powołaniem mężczyzny jest zapładniać, a kobiety rodzić - rzekła ze smutną ironią w głosie.

- Nie patrz na to w ten sposób, Tay. Przecież to dziecko jest owocem naszej miłości, nie przygodnego spotkania dwojga ludzi, mających ochotę na seks. To, że nie podjęliśmy świadomej decyzji, jest sprawą drugorzędną.

Poczuła, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem. Nie miała wątpliwości, że słowa Brama płynęły z głębi jego serca. Chciał tego dziecka, a nawet już je kochał, bo kochał jego matkę.

Ona też go chciała. Było to poza wszelką dyskusją. Tyle że jej gorące pragnienie urodzenia maleństwa przesłaniał strach przed grożącymi mu niebezpieczeństwami.

- Pobierzmy się, Tay - powiedział Bram, a zauważywszy zmianę na jej twarzy, dodał szybko: - Nie, nie sądź, że proponuję ci małżeństwo ze względu na dziecko. Chcę ożenić się z tobą, bo jesteś dla mnie wszystkim i nie wyobrażam już sobie życia bez ciebie. Jeżeli do tej pory nie oświadczyłem się jeszcze, to tylko dlatego, że

paraliżowała mnie rezerwa, którą zawsze wyczuwałem u ciebie. Ale teraz, gdy ma się nam urodzić dziecko... Chyba nie myślisz o...?

- Nie, nie! Wolałabym umrzeć!

Usunąć dziecko... Co za okrutne barbarzyństwo! Nawet nie pomyślała o takiej możliwości. Rozważała jedynie możliwość opuszczenia Brama. Ale to oznaczało, że dziecko wychowywane byłoby bez ojca. I to jakiego ojca! Czy miała więc jakiś wybór? Właściwie żadnego. Uciekając, skrzywdziłaby, osierociła własne dziecko. Wychodząc za Brama, wystawiała go natomiast na bardzo poważne niebezpieczeństwo. Zbyt go kochała, żeby mogła zaryzykować coś takiego.

- Nie chciałbym - ciągnął Bram - żeby nasze dziecko wyrosło na równie poranioną istotę, co Jay. Chcę, żeby wychowywało się w atmosferze miłości i akceptacji. Coś takiego może zapewnić dziecku jedynie rodzina, ojciec i matka. Ale nawet gdybym nic nie wiedział o tym, że jesteś w ciąży, to i tak w najbliższym czasie oświadczyłbym się tobie, Tay.

- Wiem, że mnie kochasz - powiedziała, nie wkładając jednak w te słowa żadnego uczucia. Myślała w tej chwili nie o dziecku, nie o swojej i Brama miłości, ale o tamtych wszystkich przerażających rzeczach.

- Zbladłaś. Co się stało? - zapytał Bram z niepokojem w głosie, gładząc ją po włosach.

Załkała.

- Nie powinnam była do tego dopuścić. Boże, zmiłuj się nade mną. Och, Bram...

Łzy nieprzerwanymi strużkami popłynęły z jej oczu. Pękły narzucone samej sobie ryzy i bariery. Strach, który przez całe lata zżerał Taylor od wewnątrz, owładnął teraz każdą cząstką jej ciała i duszy. I to ciało zaczęło drżeć.

- Nie mogę wyjść za ciebie, Bram. Nie mogę wystawiać cię na to straszne niebezpieczeństwo...

- Jakie znów niebezpieczeństwo? Jeżeli ktoś tu ponosi jakieś ryzyko, to tylko ty, bo to ty będziesz rodziła.

- Nie chodzi o dziecko. Niczego nie rozumiesz... Ciągłe płakała i drżała na całym ciele. Bram intuicyjnie pojął, że jeśli ma dowiedzieć się czegokolwiek o Taylor i jej przeszłości, to tylko w tej chwili. Druga tego typu okazja może już się nie powtórzyć.

- Powiedz mi, Taylor... powiedz mi, kochanie, o wszystkim - powiedział, biorąc ją w ramiona. - Jeśli coś cię dręczy, zrzuć to z siebie teraz, natychmiast, przecież od dzisiaj musisz być lekka i radosna.

Wybuchnęła histerycznym śmiechem.

- Lekka i radosna... Dopóki on żyje, nigdy nie będę bezpieczna. Wy również, ty i nasze dziecko. Mój Boże, co ja zrobiłam, co ja zrobiłam... Jay wie o wszystkim. Jakim sposobem dowiedział się o tym, nie mam pojęcia. A kiedy zjawił się na urodzinach Plum w jej towarzystwie...

Bram zmarszczył czoło. Przypomnił sobie śliczną dziewczynę u boku syna i tym większe było teraz jego zdumienie, że pomiędzy tą dziewczyną a Taylor istnieje jakaś sekretna więź.

- Jay nie zdoła cię zranić - powiedział z takim przekonaniem, jakby chodziło o rzecz już udowodnioną. - Mniejsza z tym, co on wie i czego się doszperał. Nic nie może przekreślić mojej miłości do ciebie.

- Posłuchaj, Bram. Myślę - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy - że Jay jest przekonany, iż Fate jest moją córką. Ale się myli.

Bram prawie przestał oddychać. Czekał. Lękał się, że Taylor w każdej chwili może wycofać się za ten mur, którym dotąd odgradzała się od świata.

- Myli się, bo Fate jest moją siostrzenicą - podjęła.

- Córką mojej starszej siostry. Caroline wyjechała do Australii, tam poznała swojego przyszłego męża, Olivera. Nasi rodzice nie chcieli wyrazić zgody na ten związek. Zginęli, zanim Caroline zdążyła powiadomić ich o zajściu w ciążę. Nigdy nie poznali Fate...

- Zginęli w wypadku samochodowym, wspomniałaś mi już kiedyś o tej tragedii - przypomniał jej Bram.

- Tak, tylko że to nie był wypadek. Wszystko przeze mnie...

Znowu zaląła się łzami i on znów musiał ją tulić i pocieszać.

- W porządku, ty prowadziłaś wóz, lecz to wcale nie oznacza...

- Nie! - wykrzyknęła. - Ciągle niczego nie rozumiesz. To nie byłam ja... To nie ja ich zabiłam. To on...

- On? - Bram poczuł się jak człowiek, który otwiera drzwi do ogródka i widzi tuż za progiem ceglany mur.

- On - powtórzyła gniewnie, jakby złościła się, że Bram nie posiada zdolności czytania w jej myślach. -On... Dennis Phillips. Jest teraz w więzieniu. Został skazany na dożywocie, również za gwałt... Ale przecież nie będą go tam trzymać wiecznie. Zamieniają często dożywocie na dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat... Więc wyjdzie, jestem tego pewna. Boże... Zabił rodziców i przysiągł, że nie pozwoli nikomu innemu ożenić się ze mną. Uważa mnie za swoją własność... A więc wyjdzie z więzienia i odnajdzie mnie, zabije cię, Bram, tak jak zabił moich rodziców. Czy ty... czy nie rozumiesz, że nie mogę do tego dopuścić? Czy nie rozumiesz jeszcze? Nie mogę wyjść za ciebie. Nie mogę każdego dnia, w każdej minucie umierać ze strachu. Całe życie boję się każdego cienia, każdego szmeru, kroków za drzwiami, przechodniów na ulicy...

Wiem, że policja powiedziała mu, że zginęłam razem z rodzicami... Ale on im nie uwierzył. Po prostu wiem to! To maniak, człowiek, który wbił sobie coś do głowy i tylko na tym jest skupiony. Zmieniłam nazwisko, przeprowadziłam się, a mimo to Jayowi udało się odkryć coś z mojej przeszłości. Skoro udało się Jayowi, to tym bardziej uda się jemu. I dlatego nie możemy być ze sobą. Nie mam prawa narażać cię na atak, na śmierć...

- Przecież to tylko człowiek - powiedział Bram schrypniętym głosem. - A poza tym siedzi w więzieniu. Jesteś bezpieczna, Tay, przecież jestem z tobą.

- To człowiek, oczywiście, ale człowiek szalony! - Załamała rękę. - Dlaczego nie chcesz niczego zrozumieć?

- Zrozumiem, jeśli powiesz mi wszystko do końca. Cicho jęknęła.

- Nie wiem, czy mogę...

- Spróbuj. - Ujął ją pod brodę i spojrzał jej w oczy.

- Obiecuję, że bez względu na to, co powiesz, niczego to nie zmieni. Nie przestanę cię kochać, Tay. Nie ma takiego człowieka, który mógłby wymusić to na mnie. - Pogładził ją po policzku. - Więc jak to było? Kochałaś go, on zaś w jakimś sensie stał się odpowiedzialny za śmierć twoich rodziców. Uznałaś, że twoim obowiązkiem jest podzielić się razem z nim tą odpowiedzialnością...

- Tak... Zabił ich... zamordował ich z mojego powodu. Myślał, że to na skutek ich nacisku zerwałam z nim wszelkie stosunki. Mylił się. - Przełknęła nerwowo ślinę.

- Był moim pierwszym chłopcem. Poznaliśmy się, gdy miałam szesnaście lat. Byłam bardzo młoda i bardzo naiwna. - Wzruszyła ramionami. - Moi rodzice... Kochali nas, mnie i Caroline, miłością zbudowaną na ambicji i dumie. Stawiali nam bardzo wysokie wymagania, do tego stopnia

wysokie, że żyłam w ciągłym strachu, iż mogę ich rozczarować. Byli zawsze chłodni, krytyczni i pełni dystansu. Wtedy spotkałam Dennisa. Był miły, wrażliwy... I bardzo o mnie zazdrosny, wręcz zachłanny. Rodzice nie zaakceptowali go. Ich zdaniem nie był dla mnie dość dobry. Miał osiemnaście lat i już ukończył szkołę średnią.

Ja miałam pójść na studia, tak jak starsza siostra. Spotykałam się z Dennisem po lekcjach oraz wieczorami, kiedy rodziców nie było w domu. Wtedy to zostaliśmy... kochankami. Tak, czułam się kochana i dowartościowana. Patrzyłam na świat przez różowe okulary. Odkryłam z pewnym zaskoczeniem, że seks pociąga mnie i sprawia mi dużą przyjemność. Równocześnie nie miałam żadnych złudzeń, że rodzice nie mogą zareagować inaczej, jak tylko gniewem, potępieniem i pogardą. Dla nich najważniejsze było zdobywanie wiedzy, a dopiero potem budowanie osobistego szczęścia...

Przerwała. Patrzyła gdzieś obok Brama. Na jej bladej twarzy pojawiły się rumieńce. Widać było, że ekscytuje się nie tyle tamtymi zdarzeniami, co opowiadaniem o nich. Jakby na sposobność opowiedzenia tej historii czekała długie, długie lata.

- Gdybym była bardziej doświadczona, bardziej świadoma tych spraw - podjęła - zrozumiałabym wcześniej, że Dennis zbyt gwałtownie, zbyt, powiedziałabym, histerycznie wyraża swoje uczucia, a jego zazdrość też nie mieści się w normalnych granicach. Ale mnie wówczas ta gwałtowność i ta zaborczość bardzo odpowiadały. Czułam się przedmiotem już nawet nie kochania, co szalonej pasji. Wiedziałam, że Dennis obroni mnie i nie pozwoli zrobić mi krzywdy. Czasami żartował, że zabije każdego chłopaka, który ośmieli się na mnie spojrzeć. Żartował! Boże, on naprawdę tak myślał, a tylko ja w swojej naiwności przyjmowałam to za żart.

Ukryła twarz w dłoniach, a Bram zadał sobie pytanie, do jakiego stopnia muszą być ślepi rodzice, skoro nie dostrzegają miłosnego zamroczenia swej szesnastoletniej córki.

Taylor głęboko odetchnęła.

- Z biegiem czasu jego zazdrość zaczęła przybierać coraz ostrzejsze formy. Chciał wiedzieć o mnie wszystko, wszystko, co robiłam, a także z kim się spotykałam i o czym rozmawiałam z innymi. Pewnego razu, idąc z Dennisem, zatrzymałam się, by zamienić kilka słów z kolegą z klubu wioślarskiego. Zdażyliśmy jednak powiedzieć sobie tylko „cześć”, gdy Dennis, bez żadnego widocznego powodu, rzucił się na Paula z pięściami. Później przeproszał, długo się tłumaczył i starał się załagodzić sprawę, ale we mnie z tą chwilą zrodził się niepokój. Co z tego jednak, skoro poza tym w moim stosunku do Dennisa nie nastąpiły żadne zasadnicze zmiany. Nadal pochlebiało mi, że tyle dla niego znaczę i że szaleje na moim punkcie. Słowem, byłam głupią, samolubną, pijaną seksem dziewczyną.

- Byłaś młoda - powiedział Bram takim tonem, jakby młodość mogła rozgrzeszyć wszystko.

- Zdałam egzaminy i zaczęłam studiować na Oksfordzie. Dennis, oczywiście, nie zamierzał wypuścić mnie z rąk. Pojechał za mną. Musiał z czegoś żyć, rozejrzał się więc za pracę i zatrudnił w jakimś magazynie. Minęło kilka miesięcy i nagle uświadomiłam sobie, że jestem przez niego coraz bardziej osaczana. Chodził za mną, śledził mnie, stawał się coraz bardziej natarczywy. Gdziekolwiek poszłam,

on już tam był. Wieczorami nie odstępował mnie na krok. Groził, że jeśli go porzucę, popełni samobójstwo. Ale ja miałam już tego dość. Zaczęłam zauważać w nim pewne oznaki nienormalności i coraz bardziej się go bałam. Stał się zazdrosny nawet o moje przyjaciółki. Pewnego dnia po prostu sprowadził się do mnie. Powiedział, że nie jestem osobą godną zaufania i że dlatego właśnie musi mieć mnie na oku. Zrezygnował z pracy. Wybrał rolę strażnika mojej osoby. Zaczął namawiać mnie, żebym porzuciła studia. Chciał ze mną wyjechać. Gdzie? Nie wiem. Pewnie na koniec świata.

- Czy nie miałaś nikogo, do kogo mogłabyś zwrócić się o pomoc? - zapytał Bram, do głębi przejęty tą historią.

- Próbowałam uspokajać go, zapewniałam o swojej wierności, ale on z tygodnia na tydzień stawał się coraz gorszy - ciągnęła Taylor, nie słysząc lub udając, że nie usłyszała pytania Brama. - Im więcej dostawał, tym więcej żądał. Opuściłam się w nauce. Groźba wyrzucenia z uczelni stawała się coraz bardziej realna. Nie musiałam zgadywać, jak by to przyjęli moi rodzice. Nie wiedzieli, że nadal spotykam się z Dennisem, a tym bardziej że żyjemy ze sobą. Nie miałam odwagi powiedzieć im o tym. W końcu Dennis zupełnie oszalał. Zaczął oskarżać mnie, że spotykam się z innymi mężczyznami. Nie było w tym cienia prawdy, ale on pewnie szukał pretekstu, żeby zacząć odprowadzać mnie na wykłady, czekać tam na mnie, a następnie przyprowadzać do domu... Kupił, a może po prostu ukradł... kajdanki...

Bram wydał głuchy pomruk gniewu.

- Użył ich? - zapytał, nie starając się ukryć swojego wzburzenia.

- Tylko groził użyciem. - Zwiesiła głowę. - Chociaż... tak, raz ich użył. Później mój adwokat powiedział mi, że w świetle prawa było to równoznaczne z porwaniem i gwałtem. Dziwne jest to prawo, bo przecież Dennis od blisko dwóch lat był moim kochankiem. A może wcale nie dziwne, bo faktycznie czułam się wówczas brudna, zastraszone i zniewolona. Z mojej dawnej miłości do Dennisa nie pozostało najmniejszego śladu. W głębi duszy pragnęłam, żeby spełnił swe groźby i faktycznie odebrał sobie życie. Mój dalszy pobyt na uczelni stanął pod znakiem zapytania. Pewnego dnia tuż po zajęciach zostałam wezwana na rozmowę do dziekana. Profesor usiłował mi uświadomić moje położenie. Dennis, jak zwykle, czekał w głównym holu budynku. Kiedy nie pojawiłam się o ustalonej porze, zaczął mnie szukać. I znalazł. Wybuchnęłam płaczem, a on rzucił się na profesora. Interweniowała policja. Zadzwoniono do moich rodziców, którzy też natychmiast przyjechali. Ojciec wystarał się w sądzie o wydanie Denni-sowi formalnego zakazu zbliżania się do mnie. Poza tym przeniósł mnie z prywatnej kwatery do akademika, gdzie zamieszkałam z trzema koleżankami. To wszystko, co mógł zrobić, lecz to „wszystko” okazało się za mało. Dennis bowiem już na drugi dzień wtargnął do naszego pokoju, zamknął dziewczęta w łazience, po czym rozkazał mi, żebym się pakowała. Mieliśmy uciec do jego kryjówki, gdzie nikt nie mógłby nas odnaleźć. Był już całkiem chory, bo bełkotał bez ładu, groził, wymachiwał pięściami, często przerywał, a swój gniew skupiał głównie na moich rodzicach. Obwinał ich o

wszystko, niemal o całe zło tego świata, ale najbardziej o to, że stawiali mnie przeciwko niemu. Powiedziałam, że nigdzie z nim nie pojedę. Wpadł we wściekłość. Porwał w strzępy wszystkie moje notatki, po czym zagroził, że jeśli go nie posłucham, zrobi krzywdę nie tylko mnie, lecz także moim koleżankom. Naprawdę był wtedy do tego zdolny... Cóż miałam robić? Wrzuciłam do torby kilka ciuchów i poszłam z nim. Na dole czekał samochód. Wsiedliśmy. Ruszył, a kiedy wyjechaliśmy z miasta, zaczął mi mówić z nagłym ożywieniem, że chce mieć ze mną dziecko. Mówił mi o tym dziecku i mówił, aż w końcu uświadomiłam sobie z przerażeniem, że siedzi obok mnie człowiek szalony, po prostu umyślowo chory.

Taylor zamilkła. Ciężko oddychała. Zbierała siły, by móc dociągnąć swoją opowieść do końca.

- Była noc i nie wiedziałam, dokąd jedziemy. Kto wie, jak by się to wszystko skończyło, gdyby dziewczynom nie udało się wyważyć drzwi. Zawiadomiły policję, która z kolei porozstawiała blokady na drogach. Później dopiero zorientowałam się, że krążyliśmy wokół miasta. Nawet nie bronił się, kiedy policjant wyciągał go z samochodu i skuwał kajdankami. Wytoczono mu sprawę o uprowadzenie, ale już na trzeci dzień wyszedł z aresztu za kaucją. I wówczas to... zabił moich rodziców. Nie wiem, zrobił coś z hamulcami w ich samochodzie, tak że po jakimś czasie przestały działać. Rodzice zginęli... na miejscu. Policja znalazła bezsporne dowody przeciw niemu i oskarżono go o zbrodnię z premedytacją. Wtedy to właśnie zaproponowano mi zmianę tożsamości. Zgodziłam się. Przyjęłam imię

i nazwisko pewnej dziewczyny, narkomanki, która zmarła na skutek przedawkowania tego samego dnia, w którym zginęli moi rodzice. Dziewczyna nie miała krewnych. Ja, oficjalnie, zginęłam więc razem z rodzicami.

Taylor potarła dłonią czoło. Widać było, że jest już bardzo zmęczona tą spowiedzią.

- W pewnym sensie najgorsza w tym wszystkim była ta zmiana tożsamości. Czułam się, jakbym ściągnęła ubranie z tej zmarłej dziewczyny i jeszcze ciepłe założyła na swoje ciało. Ale człowiek do wielu rzeczy może przywyknąć. Przywykłam też do rozłąki z siostrą. Caroline była wtedy w ciąży, lecz mimo to chciała do mnie przyjechać i tak wszystko ułożyć, żebym zamieszkała razem z nią i Oliverem. Sprzeciwiłam się. Zabroniłam jej jakichkolwiek kontaktów. Nie chciałam, żeby siostrze, szwagrowi i ich dziecku przydarzyło się to, co moim rodzicom. - Spojrzała na Bramę. - A teraz jesteś ty i nasze dziecko, rozumiesz? On wyjdzie z więzienia i znów będzie zabijać. Go w tej sytuacji mogę zrobić?

Obserwując mimikę jej twarzy i słuchając jej głosu, Bram rozumiał, że jakkolwiek niebezpieczeństwo, o którym mówiła, wydawało się mu nader wyolbrzymione, dla niej było czymś bliskim i bardzo realnym. W innym też świetle widział teraz jej zachowanie tuż po włamaniu do mieszkania. Pierwsze, co wtedy musiało przyjść jej do głowy, to podejrzenie, a może nawet pewność, że sprawcą czynu jest jej dawny kochanek, który wyszedł lub uciekł z więzienia.

- Taylor, zachowajmy zimną krew. Przecież on jest w więzieniu, a nawet gdyby jakimś cudem wydostał się na wolność, to i tak nie miałby kogo szukać. Przecież oficjalnie ty nie żyjesz.

- Tak, tylko że ja go dobrze znam i wiem, że będzie starał się zdobyć bezsporny dowód mojej śmierci. Dopiero wtedy da sobie spokój. Zacznie szukać, węszyć, a to może go naprowadzić na mój ślad. Pamiętaj, że Jayowi udało się odkryć prawdę.

- Nie, Jay odkrył coś, co miało zdyskredytować cię w moich oczach. Ale to nie była prawda.

Wymawiając imię syna, Bram zasepił się. Na co mu przyszło? Któż mógł przewidzieć, że będzie bronił ukochanej kobiety przed swoim własnym synem?

- O czym myślisz? - spytała.

- Zastanawiam się, dlaczego tak mało w tobie ufności. Dlaczego nie wierzysz, że mogę cię obronić?

- Przecież to ty jesteś zagrożony.

- Nie odrzucaj mojej opieki.

- Nie wyjdę za ciebie. Jay nie daruje mi tego.

- Jay ma swoje własne życie. Uświadomię mu ten fakt w najbliższych dniach. Poza tym poszerzę Zakres jego władzy w przedsiębiorstwie. To powinno go zadowolić. Zarobiłem już dość pieniędzy, więcej, niż uda mi się wydać do końca życia. Teraz niech on zarabia, a ja wycofam się na wieś. W gruncie rzeczy nigdy nie lubiłem krawatów, garniturów i życia w wielkim mieście. Ale pamiętaj, zrobię to dopiero wówczas, gdy dociągniemy do końca to

przedsięwzięcie, nad którym wspólnie pracujemy, Tay. W rezultacie Jay będzie miał to, o czym zawsze marzył, a ja będę miał ciebie i dzieci, które mi urodzisz.

- Jay chce nie tylko władzy. On również chce ciebie. Wiesz o tym.

- Mylisz się. Chce kontrolować wszystko i wszystkich wokół siebie. Do tej pory nie mógł tego robić, więc skupiał się na mnie. Ale nie musisz się go obawiać. Ani też tamtego mężczyzny. Nikogo nie musisz się bać, kochana, bo ja jestem przy tobie.

A swoją drogą, pomyślał Bram, nie zawadzi w najbliższym okresie dowiedzieć się kilku rzeczy. Najlepszym źródłem informacji byłby tu wysoki funkcjonariusz policji. Znał kogoś takiego.

- Pozostała tylko jedna rzecz do rozstrzygnięcia - powiedział z tajemniczą miną.

- Jaka?

- Termin naszego ślubu. Wiesz, że jestem z tych, którzy nie lubią czekać.

- No cóż, przynajmniej wiadomo, że nie będzie to huczne weselisko. - Taylor roześmiała się, ale w jej oczach nadal czaił się strach.

- Tak, tylko my dwoje i świadkowie - zgodził się Bram. Pomyślał jednak o Caroline. Z nią również będzie musiał się skontaktować. Byłby to smutny ślub, gdyby nie było na nim osoby najbliższej sercu Tay. Przecież po śmierci rodziców poza siostrą nie

miała żadnej rodziny. -I nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze -
dodał i pocałował czule jej czoło.

RS

- Pamiętaj, lekarz powiedział, że musisz jeść. - Bram pochylił się przez stół i pocałował Taylor w policzek. - Poza tym rozmawiałem z księdzem i spotkałem się z dwoma pośrednikami od nieruchomości. Powiedziałem im, czego szukamy. Jak widzisz, nie tracę czasu.

- Och, Bram, czy jesteś pewien słuszności tego, co robisz?

- Tak - odparł bez cienia wahania.

Teraz, kiedy patrzył na jej bladą twarz, wiedział, że również słusznie postąpił, dzwoniąc do tego wysokiego rangą oficera policji. Policjant wysłuchał go, po czym powiedział po chwili milczenia:

- Dożywocie, powiada pan? Nawet przy najbardziej sprzyjających dlań okolicznościach posiedzi jeszcze, myślę, minimum dwadzieścia lat. A jeśli do tego osoba prześladowana zmieniła tożsamość, to nie ma właściwie możliwości, żeby jej zagroził. Mimo to proszę mi podać nazwisko więźnia, a dowiem się o nim wszystkiego.

Bram uśmiechnął się do Taylor.

- Żadne z nas nie ma za sobą małżeństwa. Nic więc nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy wzięli kościelny ślub - powiedział, kładąc dłoń na jej dłoni.

- Kościelny ślub - powtórzyła w zamyśleniu. - Jay nie będzie zadowolony.

- Jay to całkiem odrębny problem. O tym, co dotyczy tylko nas dwojga, decydujemy, nie oglądając się na nikogo.

- Wciąż go kochasz? Bram odłożył sztucce.

- Nie, chyba już nie. Wiem, że to grzech, kiedy mówi tak rodzony ojciec, ale nic na to nie poradzę. Pewnych rzeczy nigdy mu nie wybaczę. Może kiedyś...

- Nie wyrzucaj go z serca, Bram, Ludzie się zmieniają. Spojrzał z uwagą w jej smutne oczy.

- On nie zasłużył sobie na twoje współczucie. Tym razem przeciągnął strunę. Przekażę mu kierowanie przedsiębiorstwem, ale będzie musiał bardzo się natrudzić, żebym na powrót zobaczył w nim syna.

Taylor westchnęła.

- Ciekawa jestem, co powiedział Fate. O ile wiem, o niczym dotąd nie wiedziała. Obawiam się, że mógł ją zranić. Jeżeli Jay uważa, że Fate jest moją córką...

- Porozmawiam z nim - rzucił Bram, po czym wstał, nie dokończywszy śniadania.

- Jay, masz chwilę czasu?

Bram wszedł energicznym krokiem do gabinetu syna, by następnie zatrzymać się w połowie drogi pomiędzy drzwiami a fotelem, jakby zapomniał, co go tu właściwie sprowadziło.

Nie wyglądał najlepiej. Pewnie nie spał dzisiejszej nocy, pomyślał Jay. On zresztą również miał za sobą ciężką noc. Zasypiał, budził się, po czym znowu zasypiał, za każdym jednak razem tylko na parę minut. W snach odwiedzała go Fate. Naga, kusicielska, obiecująca najdziksze rozkosze. Gonił ją, jednak zawsze udawało się

jej umknąć. Wówczas budził się i długo przewracał z boku na boku, gdyż żadna pozycja nie wydawała się dość wygodna. Kilka razy nawet sięgał ręką po słuchawkę, chcąc zadzwonić do Fate. Jeśli jednak w końcu nie wykrecił jej numeru, to tylko dlatego, że pozostała mu jeszcze odrobina zdrowego rozsądku.

Uważniej przyjrzał się ojcu. Mina Brama zapowiadała raczej trudną rozmowę. Taki wyraz twarzy miał zazwyczaj wówczas, gdy przychodził w roli ojca, który sztorcuje, napomina, apeluje, namawia i wzywa, a wszystko to na gruncie przeświadczenia, że dziecko pojmie swoją winę i przyzna się do błędu.

On, Jay, nigdy tego nie zrobił. Ani razu nie przyznał się do błędu i nigdy nie odczuwał wyrzutów sumienia.

I tak było również teraz.

Bram bez wątpienia przyszedł tu w związku z wczorajszym omdleniem Taylor. Usłyszał od niej jakąś wyssaną z palca historyjkę, a teraz w rozmowie z nim będzie chciał się utwierdzić w swej wierze. Ciekawe, co mu powiedziała? O wszystkim zresztą zaraz się dowie.

- Chciałbym, Jay, powiadomić cię o dwóch rzeczach. Żadna z nich nie może być przedmiotem dyskusji. Po pierwsze, ja i Taylor oczekujemy dziecka i pobieramy się. Po drugie, rezygnuję z funkcji prezesa zarządu i tobie powierzam to stanowisko. Zamierzam w ogóle wyjechać z Londynu. Co się zaś tyczy naszych dalszych stosunków, to chyba zgodzisz się, że im rzadziej będziemy się spotykać, tym lepiej.

Jay nie wierzył własnym uszom. Wszystkiego mógł się spodziewać, tylko nie tego.

- Jeżeli ma to być jakiś żart... - zaczął ze złowróżbną miną.

Bram patrzył mu prosto w oczy.

- Nie jestem w nastroju do żartów, Bram. To przez ciebie Taylor straciła przytomność.

- Przeze mnie? - Jay wyobraził sobie, że tak jak on teraz, mógłby się poczuć właściciel niewielkiej pasmanterii, którego nagle ktoś obwinił o wywołanie wojny w Wietnamie. - To nie ja ukrywam przed tobą istnienie mojego dziecka, które na dokładkę...

- Taylor też nie ukrywa - przerwał mu Bram z nieporuszoną twarzą. - Poszedłeś fałszywym tropem. Fate nie jest córką Taylor.

- Aha, rozumiem, ona tak ci powiedziała, a ty jej uwierzyłeś. Zawsze byłeś łatwowiernym facetem.

- Być może. Zauważ jednak, że ty chyba najpełniej doświadczyłeś skutków tej mojej łatwowości. Ale nie tym razem, Jay. Wszystko ma swoje granice.

- Pięknie. W takim razie powiedz mi, co ona powiedziała ci o Fate. Że jest jej matką chrzestną?

- Przeszłość Taylor to nie twoja sprawa. Powiem ci tylko, że wyrobiłeś sobie o niej całkiem błędne pojęcie. Mam nadzieję, że nie powiedziałeś Fate tej bzdury, która zaległa się w twojej głowie.

- Właśnie, że powiedziałem. Nalegała - odparł, widząc zaś złowrogą minę ojca, wybuchnął: - Przecież nie jest ze szkła, nie zbije się tak łatwo!

- Ale zapewne nie jest też z żelaza. Każdym wstrząsnęłaby wiadomość, że jest dzieckiem jakiejś tam obcej kobiety. Jak odnalazłeś Fate?

- Nie musiałem jej szukać. Sama wpadła mi w ręce.

I to było wszystko, co zamierzał powiedzieć. Taylor była oszustką i ani myślał ułatwiać jej życia. Niech ojca nurtują podejrzenia, może w końcu przejrzy na oczy. Z jego łatwowiernością można go było wyprowadzić na biegun północny i kazać mu się odżywiać samymi pomarańczami.

Uśmiechnął się pod nosem. Chyba jednak nie doceniał dotąd sprytu Taylor.

- Więc mówisz, że Taylor jest w ciąży. Nie chciałbym, rzecz jasna, cię urazić, lecz czy jesteś pewien, że to twoje dziecko? Jesteś nieprzyzwoicie bogatym człowiekiem, łakomym kąskiem dla różnych panien poszukujących męża.

Bram spurpurowiał i podniósł rękę. Niewątpliwie chciał go uderzyć. Ale ponieważ nie zrobił tego w pierwszej sekundzie, to później tym bardziej nie mógł tego zrobić. Opuścił pięść. Wyglądał w tej chwili na pięćdziesięcioletniego, zmęczonego życiem mężczyznę.

- Twoje pytanie nie zasługuje na odpowiedź. Ale otrzymasz ją. Bardziej wątpliwe jest moje ojcostwo względem ciebie niż względem tego dziecka, którego spodziewamy się z Taylor.

Jay poczuł, że cała krew odpływa mu z twarzy, a wargi drętwieją. Chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł wydobyć z siebie ani jednej zgłoski. Z kątów wypełzła gęsta mgła i spowiła wszystko

mlecznym oparem. W tej mgle Jay dostrzegł plecy Brama. Oznaczało to, że ojciec opuszczał gabinet. Podniósł rękę, żeby go zatrzymać. Trzasnęły drzwi.

Fate w skupieniu kontrolowała płynną, wciąż zmieniającą się sytuację na drodze. Zaciskała dłonie na kierownicy, jakby liczyła się z tym, że w każdej chwili może złapać gumę. W ogóle starała się jechać bardzo ostrożnie, rozumiejąc, że w tym stanie ducha, w jakim się znajdowała, nie powinno się raczej prowadzić samochodu.

Po raz kolejny rzuciła okiem na adres, wypisany na kartce wyrwanej z notesu. Zdobyła go dzięki kłamstwu. Zadzwoiła do sekretarki Jaya i najzwyczajniej w świecie opowiedziała jej zmyślną bajeczkę. Nie czuła jednak z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia.

Zaparkowała wóz przed willą, która na pewno w niejednym przechodniu wywołała pragnienie posiadania czegoś podobnego. Dom, mimo że luksusowy, stwarzał jednak miłe wrażenie domu rodzinnego, to jest takiego, w którym kwitnie rodzinne szczęście.

Zgasiła silnik, lecz wciąż nie wysiadała. Siedziała ze spuszczoną głową, walcząc z nudnościami i przepelniającym ją lękiem.

Po wczorajszym deszczu dzień wstał ciepły i słoneczny. Błękitne niebo bez jednej chmurki zdawało się naigrawać z jej smutków i lęków.

W końcu wzięła się w garść i odpięła pasy. Po chwili stała już przed ciężkimi dwuskrzydłowymi drzwiami i naciskała guzik dzwonka.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich tarota kobieta.

- Fate - powiedziała Taylor, a na jej twarzy zajaśniał promienny uśmiech. - Dobrze, że jesteś. Spodziewałam się twojego przyjazdu.

Dzwoniłam do was, ale nikt nie podnosił słuchawki.

- Rodziców nie ma w domu. Nie wiedzą, dokąd pojechałam.

- Wejdz, proszę.

Przeszły do salonu, Taylor zapytała, czy czegoś się napije. Nie, stanowczo nie miała na nic ochoty. Nawet nie miała ochoty żyć.

Wszystko było takie okropne. Nie chciała tego robić, obiecywała sobie, że uda się jej zapanować nad sobą, a jednak nie udało się i Fate wybuchnęła płaczem.

- Już dobrze, dobrze, kochanie - pocieszała ją Taylor, tuląc do siebie i gładząc po włosach. - Wiem, co: się stało i dlaczego tu jesteś. Uspokój się. Jay powiedział ci| nieprawdę. Nie jestem twoją matką. Jestem twoją ciotką, Fate. Siostrą Caroline, twojej prawdziwej i jedynej mamy...

Fate uniosła głowę. Przez zasłonę z łez ujrzała uśmiechniętą twarz Taylor.

- Ciotką? Ależ to niemożliwe. Niczego nie rozumiem.

- Wszystko ci wyjaśnię. Ale najpierw odpowiedz mi wreszcie, czego się napijesz. Herbaty, kawy, soku?

- Niech będzie kawa.

Taylor nie była jej matką. Co za niewysłowiona ulga. A więc nie była adoptowanym dzieckiem. Była rodzonym dzieckiem swoich

rodziców. Zawsze to zresztą wiedziała, nawet po tym, co jej powiedział Jay. Dopiero dzisiaj pojawiły się te straszne wątpliwości.

Taylor wróciła z kawą. Usiadły.

- Tak mi przykro z powodu tego, co przeszłaś w ostatnich godzinach. Ile słodzisz? Jedną? Dobrze... A teraz posłuchaj.

I Taylor zaczęła opowiadać. Fate, z początku milcząca i zasłuchana, prędko zaczęła dawać wyraz budzącym się w niej najróżnorodniejszym uczuciom, wśród których przeważały współczucie i ogromna sympatia do ciotki.

- Tylko dlatego, że się uparłam i twardo tego żądałam, twoja matka zgodziła się ukryć przed tobą moje istnienie. Byłam tak przerażona. Trudno wytłumaczyć ten rodzaj strachu. Żeby go pojąć, trzeba chyba samemu go doświadczyć. A teraz Jay zburzył układ, który utrzymał się przez lata. Do głowy mi nie przyszło, że może wpaść na twój trop.

- Wcale nie wpadł i mnie nie śledził. Spotkaliśmy się przypadkowo w holu biurowca, w którym mieści się jego firma. Poszłam tam w związku z pewnym wywiadem. Skojarzył moją twarz z twarzą dziewczyny ze zdjęcia, które widział u ciebie.

- Tak, mam je od twojej matki. Pozostawałyśmy przez te lata w kontakcie. Listy, telefony... Przesłała mi to zdjęcie i sądzę, że uczyniła to dlatego, żeby skłonić mnie do zmiany decyzji. Pokazała mi, czego się właściwie wyrzekłam. - Uścisnęła siostrzenicę. - Nie pozwól Jayowi, żeby zrobił ci krzywdę.

- Użył mnie jako narzędzia. Nie mógł znieść myśli o twoim związku z Bramem.

Oczy Taylor zaszyły mgłą smutku.

- Bram doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jeżeli on i Jay ograniczą swoje stosunki do niezbędnego minimum. Poprosił mnie o rękę... Oczekuję dziecka. Bram chce przekazać Jayowi przedsiębiorstwo, bo ma nadzieję, że to zaspokoi jego żądzę władzy.

- Czy Jay już wie o wszystkim? - zapytała Fate.

- Trudno powiedzieć. Chyba tak, Bram już dość dawno temu wyjechał z domu, by przeprowadzić z nim tę rozmowę. Nie przestaję sobie powtarzać, że Jay nie jest już dzieckiem, tylko dorosłym mężczyzną, sama jednak nie wiem, jak bym postąpiła na miejscu Brama. Okropnie się czuję, wiedząc, że...

- Że Bram zamierza wyrzec się własnego syna? - dokończyła za nią Fate.

- No właśnie... Jay, widzisz, nie miał szczęśliwego dzieciństwa. Wychowywany był właściwie przez dziadków, którzy wpoili mu przekonanie, że jest dzieckiem niechcianym i niekochanym. Później ojciec zrobił wiele, żeby; udowodnić mu, że jest całkiem inaczej, lecz teraz sam sobie zaprzecza, odwracając się do niego plecami.

- Biedny chłopiec - westchnęła Fate. .

- Tak, biedny chłopiec. Tyle że ten chłopiec jest już dorosłym mężczyzną, który nie zawsze trzyma się uczciwych zasad.

- Racja - zgodziła się Fate.

Rozmawiały jeszcze przez całą godzinę, to śmiejąc się, to widząc w swoich oczach łzy.

- Krytykujemy Jaya i na pewno słusznie - powiedziała Fate, podnosząc się z fotela - ale to dzięki niemu mogłam cię poznać, ciociu. To wielkie i niezwykle przeżycie dostać nagle jak gdyby w prezencie członka najbliższej rodziny. Szkoda tylko, że na to spotkanie czekałyśmy tak długo.

- To moja wina, Fate. Uściskały się.

- Oczywiście, powiem o wszystkim mamie. Również o tym, że za kilka miesięcy będzie miała siostrzeńca lub siostrzenicę. Już widzę jej radość.

- Poproś, żeby zadzwoniła do mnie.

Pożegnały się na dworze przed frontowymi drzwiami.

Kiedy Fate przekręciła kluczyk w stacyjce i uruchomiła silnik, stwierdziła, że chcąc wyjechać, będzie musiała trochę się nagimnastykować. Z przodu bowiem zaparkowało właśnie długie audi, tak iż znalazła się w kleszczach pomiędzy dwoma samochodami. Spojrzała w tylne lusterko. W wozie za nią siedział mężczyzna i czytał gazetę. Widziała właściwie tylko jego blond włosy. Od razu poznała, że to nie włosy, lecz marnej jakości peruka. To dziwne, pomyślała, że przy wszystkich tych cudach nauki i techniki, nikt nie jest w stanie wyprodukować peruki, która niczym nie różniłaby się od prawdziwych włosów.

Decyzja Brama o przekazaniu kierownictwa nad firmą synowi wzbudziła wśród członków zarządu różnego rodzaju opory i protesty.

Co prawda, udało mu się w końcu zneutralizować opozycję, ale wniosek narzucał się jeden - nowy szef nie zostanie przyjęty burzliwymi oklaskami. No cóż, pomyślał Bram, niech Jay pokaże im, co potrafi, skoro tak palił się do przejęcia steru.

Porządkował właśnie papiery na biurku i już chciał wychodzić, kiedy zadzwonił telefon. Zanim rozmówca się przedstawił, Bram rozpoznał głos znajomego oficera policji.

- Trochę przedwcześnie pana uspokajałem, panie Soames. Człowiek, o którym mówiliśmy, został wypuszczony z więzienia. Złożył apelację od wyroku i wygrał sprawę. Przebywa na wolności już od sześciu miesięcy.

Bram poczuł, że pocą mu się dłonie. Dennis Phillips już od pół roku krążył po Londynie. Morderca, gwałciciel i szaleniec został wypuszczony z więzienia po kilkunastu zaledwie latach odsiadki.

- Ale proszę nie obawiać się - kontynuował policjant. - Zmiana tożsamości osoby, której mógłby ewentualnie zagrozić, jest dostateczną gwarancją bezpieczeństwa. Wykluczając czysty przypadek spotkania się na ulicy czy w metrze, nie ma sposobu, żeby trafił na jej trop.

Bram podziękował i odłożył słuchawkę. Czy miał przekazać tę wiadomość Taylor? Wykluczone. Znał ją już na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jak zareagowałaby na tę nowinę.

Po kilkugodzinnej jeździe nocą na północ, podczas której Plum bądź drzemała, bądź myślała o Bramie i dręczyła się tymi myślami, dojechali wreszcie na miejsce. Spojrzała przez boczną szybę samochodu i zobaczyła w szarym świetle wczesnego poranka starodawne domostwo, o którym wspominał jej Gil McKenzie.

Widok sprawił na niej przygnębiające wrażenie. Budowla przypominała raczej ponurą średniowieczną twierdzę, zamienioną na więzienie, niż dom, w którym mieszkają, odpoczywają i bawią się normalni ludzie. Patrząc na kamienne, pokryte bluszczem ściany, Plum słyszała niemal brzęk kajdanów i potępieńcze jęki.

- Siedź tu i czekaj na mnie - powiedział Gil. - Trzymaj drzwi zamknięte, bo psy jeszcze cię nie znają.

- Psy? - zapytała, czując, że za chwilę wpadnie w histerię.

I faktycznie, w tej samej sekundzie, gdy wymówiła to fatalne słowo, pojawiła się tuż za szybą krwiożercza paszcza jakiejś olbrzymiej bestii.

Plum chciała chwycić Gila za rękę, natrafiła jednak na pustą przestrzeń. Zdążył już wysiąść.

- Gil, nie zostawiaj mnie samej - jęknęła, ale głosem tak cichym, iż z pewnością nie mógł jej usłyszeć.

Zresztą witał się właśnie z psami, klepiąc je po łbach i targając za uszy. Następnie coś do nich powiedział i skierował się ku drzwiom

frontowym. Psy nie pobiegły za nim. Zostały przy samochodzie, nie wiadomo, czy po to, żeby ją ochraniać, czy też po to, by więzić.

Plum zaczęła wyrzucać sobie swoją zbyt pochopną decyzję. Wybrała się gdzieś na kraniec świata z człowiekiem, którego nawet nie lubiła i który w dodatku złożył jej niejedyn dowód braku akceptacji jej osoby. Owszem, musiała gdzieś uciec, gdyż widok Brama i Taylor dosłownie zabijał ją, ale czyż szkockie odludzie było jedynym schronieniem? Czyż pod angielskim niebem nie można było znaleźć wielu przyjemniejszych miejsc, gdzie człowiek mógł swobodnie wysiąść z samochodu, nie narażając się na rozszarpanie przez dzikie bestie?

Z kamiennej twierdzy wyszła jakaś kobieta, z którą Gil serdecznie się przywitał. Wyglądała staro, gdzieś na sześćdziesiąt kilka lat, lecz zachowała prostą sylwetkę. Oboje przez chwilę o czymś tam rozmawiali, po czym Gil wskazał ręką za siebie. Plum mimowolnie się zaczerwieniła, widząc, jak dwie twarze i dwa spojrzenia zwracają się w stronę samochodu. Jeszcze krótka wymiana zdań i Plum wiedziała, że za chwilę zostanie wzięta na spytki.

Psy nie wytrzymały w roli strażników i podbiegły długimi susami do swoich opiekunów. Zaczęły ocierać się o ich nogi i wyczyniać najdziwniejsze pląsy i łamańce. Bestie zmieniły się w baranki.

- Plum, chciałbym przedstawić ci moją nianię - powiedział Gil, otwierając drzwi samochodu. - Sprawisz jej przyjemność, zwracając się do niej po prostu „nianiu” Wiem, że to brzmi trochę dziwnie, ale

nie krępuj się. Patrzy nianiu, i docień moje starania - zwrócił się z kolei do siwowłosej, lecz czerstwo wyglądającej kobiety. - Zawsze biadoliłaś, że ten dom potrzebuje gromadki bachorów, którymi mogłabyś się opiekować. Sądzę, że Plum postara się, żebyś miała pełne ręce roboty i nie czuła się niepotrzebna.

Plum spojrzała na niego gniewnie i zacisnęła dłonie. Jak śmiał mówić o niej w ten sposób! Jak śmiał naigrawać się z niej wobec tej kobiety!

Już chciała mu to wszystko wygarnąć, po czym zażądać odstawienia na dworzec, kiedy rozległ się miękki i melodyjny głos niani:

- Och, co za śliczna dziewczynka. Ale jaka chuda. Biedactwo chyba umiera z głodu. I jak mogłeś zostawić ją samą w tym samochodzie?

Wciąż besztając Gila i wyrzucając mu brak serca, staruszka nachyliła się ku Plum z ciepłym uśmiechem na twarzy i chwyciła w swoje pulchne dłonie jej szczupłą i nie wiadomo dlaczego zlodowaciałą dłoń. Zresztą niania cała była pulchna, ciepła i rumiana. Przypominała drożdżowy placek, dopiero co wyjęty z piekarnika. Placek tak świeży i pachnący, że od razu chciałoby się go zjeść w całości.

I gdzież te ponure opowieści o niegościnnosci Szkotów, o ich chorobliwej podejrzliwości wobec wszystkich bez wyjątku intruzów z południa? Niania jednym uśmiechem wykazała ich nieprawdziwość.

Śmiała się jej okrągła, rumiana twarz, śmiały się jej dobre, niebieskie oczy. Wręcz cała była jednym serdecznym uśmiechem.

- Wyłaż, dziecino, i nie zwracaj uwagi na te durne zwierzaki. Nie mam pojęcia, po co Gil je trzyma. Zidiociałe to kompletnie, a zeżre tyle, co, za przeproszeniem, cztery świnie w chlewie.

- Strzegą, nianiu, naszego obejścia - zauważył Gil.

- Powiedziałaś: strzegą? - Najwidoczniej niania, ku wielkiej radości Plum, nie zamierzała tak łatwo odpuścić

Gilowi. - Przed kim strzegą? Przed kotami chyba. A nawet i to nie, bo wciąż je widzę rozwalone w sieni lub przed kominkiem w świetlicy. A kiedy się zagapię, to włożą, bezczelne łotry, na sofy i fotele. Załóż lepiej elektroniczny alarm, tak jak zrobili Lindseyowie. Ostatnio o mało co nie wyzionęłam ducha, gdy jedno z tych bydląt wskoczyło mi podczas snu na głowę.

Plum roześmiała się, co bynajmniej nie uraziło niani, a wprost przeciwnie, wywołało na jej twarzy triumfalny uśmiech, jakby gratulowała sobie, że udało się jej rozruszać zmarzniętą i głodną dziewczynkę.

- Nianiu, chyba przesadzasz - powiedział Gil, o dziwo, niemal potulnym głosem.

- Wiem, co mówię. Ale dość tego. Lepiej przestańmy tu głądzić i zabierzmy nasze chuchro do środka. Co ten ponurak zrobił ci takiego, moje dziecko? - spytała, obrzucając zaciekawionym spojrzeniem wieczorową sukienkę Plum.

- Uprowadził mnie z mojego własnego przyjęcia, nianiu - odparła Plum, figlarnie się uśmiechając. - Porwał mnie, nie prosząc nawet o pozwolenie.

- Naprawdę? Wcale się nie dziwię, bo ci McKenzie mają to we krwi. Opowiadano mi, jak jego pradziadek porwał swoją przyszłą żonę na oczach jej narzeczonego. Wynikł z tego krwawy kryminał, kilkuletnia wojna. Ale McKenzie przyzwyczajeni są do tego.

Plum nadstawiła uszu. Wszystko to było takie romantyczne. Tyle że stateczny i pedantyczny Gil nie bardzo pasował do tej tradycji.

A potem Plum, ulegając nastrojowi chwili, wyobraziła sobie coś, co przecież naprawdę mogło się za chwilę wydarzyć. Oto otwierają się wrota baśni. Niania robi jej gorącą

kąpiel i prowadzi do łóżka. Nakrochmalona pościel cudownie szeleści, a butelka z gorącą wodą rozkosznie grzeje stopy. Roznosi się woń dziurawca, mięty i lawendy. Plum, leżąc, otwiera usta, zamyka je i przełyka smakowity kleik, a niesiona ręką niani łyżka wraca po następną porcję. Wszystko jest tak, jak w dziecięcych snach i marzeniach. Ktoś opiekuje się nią, dba, żeby nie nabiła sobie guza, i modli się do Boga o zbawienie jej duszy. Ktoś ją głaszcze i mruczy do ucha kołysankę... Ktoś ją kocha.

Być może, pomyślała, przyjazd do Szkocji nie był najgorszym pomysłem. Szkoda tylko, że pobyt tu nie dawał się pomyśleć bez Gila.

Jeden z psów dotknął zimnym, wilgotnym nosem dłoni Plum. Pogłaskała go, a on aż łypnął ślepiami z radości.

Londyn... matka... Bram... były to tylko różne nazwy tego samego bólu.

- Obudź się, dziecino. Czas wstawać. Przyniosłam ci herbatkę z sokiem z jeżyn. Na dole zjesz śniadanie, ale, niestety, sama. Dziedziec jest już za wzgórzem.

Plum przeciągnęła się i otworzyła oczy. Zaraz jednak musiała je zmrużyć, gdyż niania rozsunęła zasłony i do pokoju wdarło się jaskrawe światło słonecznego dnia.

- Co to znaczy być „za wzgórzem”? - zapytała, siadając na łóżku i spuszczać nogi.

- Widzisz, dziecino, ze wszystkich stron otoczeni tu jesteśmy wzgórzami. Być „za wzgórzem” to być po prostu w terenie.

Ale Plum nie słuchała niani. Całą jej uwagę pochłaniała w tej chwili własna jej osoba. Miała na sobie nocną koszulę babki Gila, zapinaną pod samą brodę i sięgającą kostek. Przyzwyczajona dotąd spać nago, dziwnie się czuła w tym historycznym i pruderyjnym stroju. Lustro na toaletce powiedziało jej jednak, że bardzo jej w nim do twarzy. Spojrzała na zegarek i jęknęła.

- Przecież nie ma jeszcze dziewiątej!

W Londynie rzadko kiedy wstawała przed południem. Dziewiąta rano oznaczała właściwie środek nocy. Niania zaśmiała się.

- Dziedziec wcale się nie kładł i już od szóstej buja ze swoim sokołem.

- Buja z sokołem? - Plum przemknęła przez głowę absurdalna myśl, że Gil lata, unosi się, buja w obłokach razem z tym drapieżnym

ptakiem, jak gdyby niania chciała jej wmówić, że Gil posiadał zdolność łątania.

- Tak, ptak leci, a on pędzi za nim na koniu. Tylko po co? Co on chce od tego stworzenia? Wychował go od pisklęcia, które znalazł pod jakąś skałą w strąconym gnieździe.

- Sokół - powtórzyła Plum, niemal smakując każdą zgłoskę tego słowa.

Sokół kojarzył się jej ze średniowiecznym rycerstwem i starą gałęzią łowiectwa, kiedy to myśliwy zdobywał zwierzynę za pomocą odpowiednio wytresowanych ptaków i kiedy to mężczyźni potwierdzali swoją męskość czynami pełnymi odwagi i honoru.

Inne rzeczy, na które patrzyła i z którymi się tu zetknęła, też wydawały się jej niezwykle. Ogromne łoże z kolumnkami, na którym mogłoby się wyspać pewnie z dziesięć osób; wanna, tak głęboka i długa, jakby zamówiono ją z myślą o jakimś baśniowym wielkoludzie; tajemniczo skrzypiące podłogi z desek i kominki o paszczach gotowych połknąć na raz pełen wóz drewna - wszystko to zdawało się być skrojone na miarę całkiem innych czasów.

Do tego zaś, żeby poczuła się w pełni księżniczką ze średniowiecznego zamku, brakowało jej tylko odpowiedniego stroju. Z braku własnej garderoby musiała zadowolić się tym, co do sypialni przyniosła jej niania. Były to džinsy, koszulka typu T-shirt oraz para sportowych butów. Wszystko to przez jakiś dziwny przypadek pasowało na nią jak ulał.

Właśnie, skąd tutaj damskie ubrania o takich rozmiarach?

Dociekliwa Plum nie mogła nie zadać niani tego pytania.

- Dziedzic posłał po nie do miasta - usłyszała.

Plum wciąż niczego nie rozumiała, czemu dała wyraz odpowiednią miną. Niania uśmiechnęła się.

- Te rzeczy należą do córki jednego z dzierżawców. Dziewczyna przebywa teraz w mieście, studiuje. - Skończywszy słać łożko, niania wygładziła kapę. - A teraz czas na śniadanie. Będzie owsianka oraz tosty z miodem.

Owsianka, tosty i miód! Czyli po prostu coś najbardziej zgubnego, jeśli chodzi o utrzymanie linii.

- Nie jadam śniadań, nianiu.

- Nie jadasz w Londynie, ale tu będziesz jadła - powiedziała niania z miną osoby wiedzącej, że dwa plus dwa równa się cztery.

I Plum, oczywiście, zjadła śniadanie.

Należałoby raczej powiedzieć, że pochłonęła je w okamgnieniu. Micha owsianki, trzy ociekające miodem tosty, potężny kubek kawy z mlekiem - wszystko to stanowiło bez wątpienia jej życiowy rekord.

Gryząc, pijąc i przetykając, chłonęła równocześnie paplaninę niani. Dowiedziała się między innymi, że w czasach, kiedy Szkocji bliżej było do Francji niż do Anglii, ród McKenzie połączył się pewnym ożenkiem z jakąś księżącą i bardzo arystokratyczną rodziną francuską. Znaczyło to mniej więcej, że w żyłach Gila płynęła kropelka krwi Karola Wielkiego lub jakiegoś innego francuskiego władcy.

Plum nigdy nie była orłem z historii, mimo to gwizdnęła z wrażenia.

- A kiedy on wróci z tego bujania z sokołem?

- Och, nieprędko. Powiedział, że wybiera się na cały dzień. A wieczorem ma się spotkać z dzierzawcami. Jutro drugie spotkanie, tym razem z leśniczymi. Jakiś azjatycki dżentelmen chce w przyszłym roku wynająć nasze tereny łowieckie,

- Wygląda na to, że jest bardzo zajęty - podsumowała Plum.

Oczywiście, była z tego bardzo zadowolona. Gil zajęty, zarzucony obowiązkami, to Gil nieobecny, a tego właśnie przede wszystkim pragnęła. Przebywać można z kimś, z kim ma się coś wspólnego i z kim łączy choćby odrobina sympatii. Tymczasem każde spotkanie z Gilem mogło przemienić się w kłótnię. Gil działał jej na nerwy i vice versa.

Jedna rzecz tylko wydawała się w tym wszystkim zasmucająca. Dlaczego tak mało ludzi szukało jej towarzystwa? Matka, ojciec, Bram - wszyscy oni nie wykazywali najmniejszej ochoty spotykania się z nią, woleli prowadzić własne życie. Nie inaczej było też z Gilem. Była drzazgą za jego paznokciem, kamykiem w jego bucie...

W oczach Plum pojawiły się łzy.

- Nie wiem, po co Gil mnie tu przywiózł, skoro zamierza zostawić mnie samej sobie - poskarżyła się z irytacją w głosie.

Promienna i rumiana twarz niani nabrała nagle surowego wyrazu.

- Nie wiesz, dziecińo? To nic. Z pewnością miał swoje powody.

Plum nie znosiła języka zagadek.

- Jakie powody, nianiu?

- Dziedzic od najmłodszych lat lubił opiekować się wszystkimi, którzy potrzebują pomocy.

- Ale dlaczego musiałeś powiedzieć mojej matce, że jestem tutaj? - zapytała Plum, nerwowo ściągając wodze.

- Matka powinna wiedzieć, gdzie znajduje się jej córka - odparł Gil, po czym pchnął konia do pełnego galopu.

Minął tydzień od jej przyjazdu do Szkocji i Plum prawie zdażyła już zapomnieć o wszystkich związanych z Londynem i trapiących ją dotąd sprawach. Tak było do wczoraj, gdyż wczoraj wieczorem zadzwoniła matka. Przede wszystkim swoim zimnym głosem zapytała ją, kiedy zamierza wracać do domu, po czym, nie czekając na odpowiedź, zauważyła, że Plum winna jest jej chyba jakieś przeprosiny za opuszczenie przyjęcia bez słowa wyjaśnienia.

- Czy ty w ogóle masz dość wyobraźni, żeby zrozumieć, jak ja się czułam? Znikasz, zapadasz się pod ziemię i nikt nie umie powiedzieć, co się z tobą stało. Na szczęście zadzwonił Gil, bo już byłam o krok od zaalarmowania policji. Zechciej, proszę, przynajmniej powiedzieć mi, jak doszło do tego wyjazdu do Szkocji.

- Gil mnie porwał. W ich rodzinie to normalka.

- Nie rozmawiaj ze mną w ten sposób, Plum. Mam swoją wersję. Okręciłaś sobie tego biednego Gila wokół palca i zmusiłaś go, żeby cię zabrał do swojego domu. Ale przecież nie możesz nadużywać jego

gościnności. Wracaj do Londynu, Plum. I zrób to natychmiast. Kup bilet i wsiądź do pociągu.

Wracać do Londynu? Przenigdy. Jeśli kiedykolwiek w ogóle czuła się jak w domu, to najprędzej tu, o ile słowem tym określa się coś więcej niż tylko ściany i dach. Tu była niania, która ją rozpieszczała, i tu były wrzosowiska, po których lubiła włóczyć się godzinami.

- Przykro mi, mamó, ale nie kupię biletu i nie wsiądę do pociągu. Zostaję tutaj - odparła i pożegnawszy się z matką, odłożyła słuchawkę.

Dopiero w tym momencie zauważyła, że Gil jest w pokoju i siłą rzeczy słyszał całą rozmowę. Spojrzała nań wyzywająco. Jeżeli nie chciał jej tutaj, to trudno, kłamka zapadła. Nie była przesyłką pocztową, którą można, zależnie od adresu, przewozić z Londynu na Szetlandy lub w przeciwnym kierunku. Gil musiał ponieść wszystkie konsekwencje swojej decyzji.

W tej kwestii mogła zresztą na niego liczyć, gdyż był człowiekiem odpowiedzialnym. Bardzo serio podchodził do życia. Poza tym zaskoczyło ją, że jest aż tak bogaty. Owszem, poznała dotąd wielu zamożnych mężczyzn, ale bardziej interesowało ich dostarczanie sobie przyjemności, niż poświęcanie się jakimś nudnym obowiązkom. Gil natomiast miał zawsze pełne ręce roboty. Mimo młodego wieku cieszył się wielkim szacunkiem wiejskiej społeczności. Po radę i pomoc przychodzili do niego nawet zupełni starcy.

A teraz ona i Gil jechali konno przez wrzosowiska w świetle wczesnego poranka i Plum, zamiast łamać sobie głowę i serce jakimiś problemami, oddawała się rozmyślaniom, które były znaczenie przyjemniejsze - zastanawiała się na przykład, czy rosa spada z nieba, czy też powstaje wskutek kondensacji pary wodnej zawartej w powietrzu.

Falujące wzgórza, błękitne oczka wodne, ciemne połacie lasów - wszystko to razem składało się na krajobraz, który chwycił za serce i przyprawiał o zawrót głowy.

Klacz, której dosiadała Plum, była pojętnym i ładnym zwierzęciem, ale zarówno pod względem urody, jak i szlachetności rodowodu, ustępowała rączemu i tańczącemu pod jeźdźcem arabowi Gila. Podobnie było z jeździeckimi umiejętnościami ich obojga. Plum miała opanowaną konną jazdę na szkolnym zaledwie poziomie, podczas gdy Gil mógłby występować jako kaskader w westernach. Wrośnięty w siodło, kierował koniem ze swobodą i elegancją, których mogliby pozazdrościć mu najlepsi jeźdźcy. W prawej ręce trzymał wodze, na lewej zaś, okręconej skórzaną płachtą, zakapturzonego sokoła.

Jechali więc na przełaj, a biegnące za nimi psy figlowały we wrzosach, trawach i zaroślach. Nieskazitelnie czyste niebo nad głowami zapowiadało piękny i ciepły dzień.

Gdyby Gil nie był takim nadętym i nudnym pyszałkiem, zdolna byłaby zobaczyć w nim w tej chwili tajemniczego jeźdźca z gór, o którym wspominały niektóre szkockie legendy. Jego smoliście czarne

włosy falowały w prądzie powietrza, a z wyprostowanego w siodle ciała biła siła i odwaga. Mógłby przywozić na myśl pewnych bohaterów z historycznych powieści Waltera Scotta, gdyby nie ów kompletny brak wdzięku i romantycznych uwodzicielskich gestów, który podkreślał jeszcze swoimi moralizatorskimi kazaniami.

Wyjechał na szczyt wzgórza i zatrzymał konia. Czekał na nią. A kiedy się zbliżyła, zeskoczył na ziemię i przywiązał wierzchowca do rosnącej w pobliżu karłowatej sosenki. Poszła za jego przykładem.

Gil skupił się teraz na swoim sokole. Powiedział do niego kilka słów, uwolnił jego łebek z kaptura, a następnie nakarmił wyjętymi z torby kawałkami surowego mięsa. Plum przeszły ciarki. Uświadomiła sobie, że dziób i szpony, na które patrzyła, uśmierciły już zapewne niejedną ofiarę.

Gwałtownym ruchem Gil podniósł rękę i ptak wzbił się z łopotem skrzydeł ku błękitnemu niebu.

- Jak długo będzie w powietrzu? - zapytała Plum.

- Jak długo zechce - odparł, śledząc lot sokoła.

- Mówiłeś do niego z taką czułością, jakby był twoją kochanką.

Dlaczego nie masz kochanki, Gil? Nie lubisz kobiet? Boisz się ich? Nie lubisz seksu?

- Lubię seks, Plum - odparł, odrywając wzrok od ptaka i przenosząc go na jej twarz. - W odróżnieniu od ciebie bardzo lubię seks. Bo ty go nie lubisz, prawda?

Zarumieniła się jak piwonia.

- Bzdura. Wszyscy wiedzą, że jestem w tym bardzo dobra.

Chciałbyś sprawdzić?

Wiedziała, rzecz jasna, jaka będzie jego odpowiedź. Pomyliła się jednak.

- Dobrze, Plum. Niech wreszcie zobaczę, co potrafisz - odparł, a ona spojrzała na niego zdumiona.

- No? Na co czekasz? Chodź i pokaż mi - powtórzył. W pierwszej chwili poczuła się skrępowana. Zbyt dużo było tu świadków. Łąka, wzgórze, konie, drzewa, a wreszcie niebo ponad ich głowami - wszystko to zaczęło jakby bacznie się jej przyglądać. To poczucie, że jest obserwowana przez przyrodę, absurdalne, a przecież bardzo intensywne, sprawiło, iż odpinając klamrę paska u spodni Gila, czyniła to tak niezręcznie, że omal nie połamała sobie paznokci. Cholera, przecież nie jest dziwką. Lubi te rzeczy, zawsze je lubiła, ale od tego lubienia do prowadzenia sportowej szkółki z treningami na świeżym powietrzu była jeszcze daleka droga. Dlatego kiedy Gil, zniecierpliwiony jej powolnością, przejął inicjatywę w swoje ręce, była mu za to bardzo wdzięczna.

Gil był Szkotem, podobno nawet szkockim arystokratą.

Narodową cechą Szkotów była zaś zawsze oszczędność. Oszczędność Gila w seksie wyrażała się tym, że nie tracił czasu na niepotrzebne gry i podchody. Po prostu ułożył ją na trawie, ściągnął jej dzinsy, a potem wziął ją z westchnieniem, w którym była rozkosz i ulga, podobna do tej, z którą w upalny letni dzień spragniony wędrowiec zanurza usta w szklance chłodnej wody. Była w tym wszystkim prostota, o którą od

początku go zresztą podejrzewała, ale, rzecz dziwna, prostota bardzo pasująca do tego łoża z traw i nieba nad głowami. No i te jego pocałunki. Najzwyczajniejsze w świecie, ale jakże gorące i namiętne.

Skończywszy, uporządkował swoje ubranie i rzekł:

- Teraz jesteś moja, Plum. Żaden mężczyzna oprócz mnie nie ma prawa cię dotknąć. Bo żaden inny nie będzie cię tak kochał, jak ja cię kocham. Jesteś moja i tylko moja, rozumiesz?

Oniemiała i, oszołomiona, skinęła głową.

- Dobrze. A teraz ubieraj się i wracamy do domu. Zadzwonimy do twojej matki i powiemy jej o naszych zaręczynach. Jeśli zaś chodzi o ślub, to odbędzie się w możliwie najkrótszym terminie.

- Gil, czy ty chcesz... chcesz się ze mną ożenić? - spytała z niedowierzaniem.

- Dobrze mnie zrozumiałaś.

- Ależ to niemożliwe. Przecież ty nawet... Jak możesz mnie kochać? Ty zawsze... Ty nigdy... Kiedy... kiedy...?

- Nie wiem. - Westchnął, spuścił głowę. Po chwili podniósł wzrok i powiedział zwyczajnym tonem: - Pokochałem cię w chwili, kiedy ujrzałem cię w tym przeklętym barze. Już wtedy chciałem cię chwycić na rękę, zanieść do samochodu i przywieźć tutaj.

- Chciałeś mnie porwać, tak jak to zrobił ze swoją przyszłą żoną twój pradziadek? - Plum brakowało tchu.

- Mniej więcej - powiedział Gil z poważną miną, lecz jego oczy się śmiały.

Gil kochał ją i chciał się z nią ożenić. Nie będzie musiała wyjeżdżać do Londynu. Zostanie tutaj, wiedząc, że będzie kochana i rozpieszczana przez resztę swojego życia.

Gdyby usłyszała to od niego przed miesiącem, zapewne ogarnąłby ją śmiech. Musiało się jednak przez ten czas coś zmienić w jej sercu i umyśle, bo zamiast tego poczuła wzruszenie. I radość... Tak, radość. Świat był cudowny. Chciała wskoczyć na konia i pocwałować ze wzgórza na złamanie karku. Chciała tarzać się naga w oroszonych wrzosach, trawach i paprociach. Chciała wzlecieć ku niebu i bujać w błękicie razem z sokołem.

- Kocham cię, Gil. Kocham cię tak mocno, że mogłabym za ciebie oddać życie! - zakrzyknęła, rzucając się na Gila i obsypując go pocałunkami.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że Gil chce się ożenić z Plum - powiedziała Helena do Jamesa. - Wydaje się to wręcz...

- Nieprawdopodobne? - zasugerował James. - Mam nadzieję, że chłopak wie, w co się pakuje.

- Pomyśl tylko, co to oznacza. - Helena wydawała się w tej chwili przynajmniej o dziesięć lat młodsza. - Żadnych więcej dramatów i scysji. Żadnych obaw, że Plum zajdzie w przypadkową i niechcianą ciążę. Spokój i ulga.

Gil pragnie ślubu w możliwie najkrótszym terminie. Ma to być cicha, rodzinna ceremonia.

- Zbyt piękne, aby było prawdziwe - rzekł James, któremu zawsze bliski był sceptycyzm. - Wiem, że to twoja córka, Heleno, ale czasami...

- Problem w tym, czy faktycznie uważałam Plum za swoją córkę. Ona zawsze była dla mnie bardziej dzieckiem Flyte'a niż moim. Do dzisiaj dręczą mnie z tego powodu wyrzuty sumienia. Inna, bardziej czuła i kochająca matka...

Machnęła ręką. Nie można zmienić przeszłości. Flyte i Plum stanowili ranę na jej duszy, i tak już pozostanie.

Tym goręcej powinna więc dziękować Opatrzności, że spotkała takiego mężczyznę jak James, któremu urodziła dwie wspaniałe córki. Ten mąż i te córki to była jej przyszłość, gwarancja, że jej życie okaże się spełnione i owocne. O udękach przeszłości najlepiej zapomnieć. Kiedyś może powie Gilowi, jak bardzo go kocha za to, że uwolnił ją od tych wszystkich trosk i kłopotów związanych z Plum.

A swoją drogą, decyzja Gila była dla niej prawdziwą zagadką. On, człowiek poważny, utytułowany i majątny, i Plum, młoda kobietka z zaszarganą reputacją, bez wykształcenia, bez żadnych plastycznych czy muzycznych uzdolnień. Doprawdy, na dziwnych i niezrozumiałych zasadach ludzie czasami łączą się w pary.

Gil miał koncepcję cichych i skromnych zaślubin, ale przecież pewne osoby należało zaprosić, chociażby tylko po to, żeby zatrzeć tamto niemiłe wrażenie spowodowane zniknięciem Plum z przyjęcia.

Suknia ślubna Plum stanowczo musi być z kremowego atlasu. W tym kolorze najbardziej będzie jej do twarzy. We włosach kwiaty, najlepiej kremowe miniaturowe różyczki.

A druhnami będą jej obie młodsze siostry. Czy Plum w ogóle zdaje sobie sprawę, ile wysiłku, zabiegów i inwencji wymaga organizacja takiego choćby najskromniejszego ślubu i wesela? Skompletowanie listy gości, wystrój kościoła, dobór muzyki, zakwaterowanie przyjezdnych... Helena podjęła już decyzję.

- James, wybieram się do Szkocji. Jest tyle rzeczy do zrobienia, a chyba wiesz, jak niepraktyczna jest Plum.

I uśmiechnęła się do męża uśmiechem kochającej żony.

Tymczasem w Szkocji Gil oznajmił Plum, że pójda z sobą do łóżka dopiero po ślubie.

- Muszę liczyć się z nianią. Ona ma swoje zasady. Szanuję je i nie chcę sprawiać jej przykrości.

Dotyczyło to „łóżka” w ścisłym tego słowa znaczeniu, bo poza tym, korzystając z różnych kryjówek, jak strychy, polany czy stajnie, oraz różnych posłań, dostarczali sobie przyjemności, które zabronione były im w domu.

- Chcę cię ostrzec, Gil - powiedziała Plum, bawiąc się włosami na jego piersi - że wraz z przyjazdem matki nastąpi tu mała rewolucja. Kiedy ona bierze coś w swoje ręce, wszyscy muszą być na jej rozkazy.

- Pięknie. Tego właśnie najbardziej pragną narzeczeni. Żeby ktoś załatwił za nich wszystko, co trzeba załatwić.

Rozmawiali w stajni, leżąc na sianie i wyznając sobie miłość na wszystkie możliwe sposoby.

- I tylko pomyśl, za dwadzieścia lat to ty będziesz brała wszystko w swoje ręce przy organizowaniu ślubu naszej córki.

- Czuję, że najpierw będzie syn, a potem dopiero posypią się córki...

Roześmieli się oboje w głos, a Plum śmiała się podwójnie - z tej swojej niczym nie umotywowanej pewności, jak i z tego, że w ogóle pojawia się taki temat.

Dzieci... I to z kim? Z Gilem, tym - jak go nazwała, gdy spotkali się po raz pierwszy - prostakiem! Teraz wiedziała już, że myliła się wtedy. Prostaczką była ona sama, jej towarzystwo, w ogóle cały prawie Londyn zamieszkiwali prostacy zaślepieni pieniędzmi, sławą, seksem... Prawdziwe życie było dla niej tutaj.

Bo tutaj była miłość.

- Szczęśliwa, pani Soames? - zapytał Bram, pochylając się i całując Taylor w rozchylone usta.

- Tak - wyszeptała, strząsając z kłap i ramion jego ciemnej marynarki różnobarwne konfetti.

A zatem ona i Bram byli już mężem i żoną, lecz zanim to się stało, przeżyła kilka ekscytujących dni, podczas których została jakby przeniesiona w przeszłość, doświadczając podniecenia i zapału dwudziestolatki.

Były to trzy dni w Paryżu, dokąd wybrała się wraz z siostrą i Fate po wyprawę ślubną. Tam dopiero przekonała się na własne oczy, co można nosić pod sukienką bezpośrednio na ciele, lecz co już nie jest bielizną, tylko jedwabną mgłą, koronkową siecią babiego lata, płatkami róży, słonecznym obłokiem. Ceny tych arcydzieł napełniały pokorą, gdyż dawały właściwe pojęcie o hierarchiach tego świata.

Decyzję o zakupie jakiejś rzeczy zawsze podejmowała Caroline, wyposażona przez Brama w rozległe pełnomocnictwa, ona zaś, Taylor, spełniała w całym tym święcie zakupów jedynie bierną rolę. Czasami buntowała się. Uczyniła tak na przykład przy okazji wyboru pończoch. Nie założyła czegoś, tłumaczyła, co nie wiadomo, czy istnieje, czy też nie.

- Ależ oczywiście, że je założysz - stwierdziła Caroline z miną osoby, która wie wszystko i zawsze ma rację.

- Pomyśl tylko o przyjemności, jaką będzie odczuwał Bram przy ich zdejmowaniu.

- A ty pomyśl, co się stanie z tą jedwabną mgłą, kiedy będę zmuszona założyć kalosze.

Pobyt z siostrą był jakby odzyskaniem utraconej części samej siebie. Lata rozłąki poszły w niepamięć. Tak wspaniale im się ze sobą rozmawiało, tak wiele miały sobie do powiedzenia. Bram, wysyłając je do Paryża, ofiarował w gruncie rzeczy Taylor szansę zbudowania na powrót swojego życia rodzinnego.

Tymczasem życie rodzinne Brama legło w gruzach. Miał syna i stracił go. Na wszystkie pytania Taylor, czy nie dałoby się jakoś załagodzić konfliktu, odpowiadał zawsze tak samo:

- Tę sprawę uważaj za zakończoną. Jay miał swoją szansę i nie skorzystał z niej.

Mimo to Taylor poszłaby o zakład, że Bram byłby bardzo rad, widząc dziś Jaya w uroczym kościółku, w którym brali ślub, a także tutaj, w oblanym słońcem ogrodzie, gdzie nowożeńcy wraz z Caroline, Oliverem i Fate świętowali zaślubiny.

Z osób, które bezwzględnie powinny się tu znajdować, brakowało Jaya, i nie tylko Bram cierpiał w głębi duszy z tego powodu. Cierpiała również Fate, nie ulegało to dla Taylor najmniejszej wątpliwości.

Podczas tamtych trzech dni w Paryżu, kiedy Fate akurat nie było przy nich, Taylor i Caroline często poruszały temat stosunków łączących Fate i Jaya.

Dla Taylor prędko stało się jasne, że jej siostra ma słabość do syna Brama, który najwidoczniej zaprezentował jej całkiem inną twarz od tej, którą znała z własnej obserwacji.

Nigdy zresztą nie wątpiła w zdolności Jaya do czarowania osób, na których mu zależało, czego najlepszym dowodem była jej siostrzenica. Jay najpierw zawrócił jej w głowie, zdobył jej serce, by później rzucić maskę i przyznać z cyniczną otwartością, że używał jej tylko jako narzędzia w swojej grze. Ktoś inny mógłby go za to znienawidzić, lecz Fate widocznie niezdolna była do tego rodzaju uczuć.

Fate nadal kochała go, mimo że próbowała walczyć ze swoją miłością i mimo całej swojej wiedzy o tym człowieku.

- Nie odpakowałaś jeszcze prezentów - powiedziała Caroline, podchodząc do Taylor.

Taylor uśmiechnęła się. Kiedy ona i Caroline były jeszcze małymi dziewczynkami, to starsza siostra rezerwowała zawsze dla siebie przywilej otwierania paczek i prezentów. Emocje z, tym związane rozpalały ją do białości.

- Zostawiam to sobie na później.

Odruchowo strzepnęła ze swojej sukienki kilka płatków konfetti. Prosta w kroju, sukienka ta posiadała zadziwiającą zdolność przesycaenia całej przestrzeni wokół osoby, która ją nosiła, atmosferą elegancji i nieuchwytnego czaru. Stojąc w niej wówczas, w domu mody, przed lustrem, i doświadczając tajemniczej magii stroju, zaczynała rozumieć podstawową różnicę pomiędzy zwykłą modą a

najwspanialszymi dziełami francuskich stylistów. Za które zresztą trzeba było płacić prawdziwie bająnskie sumy. I dlatego ona tej sukienki nie chciała.

Próżny protest. Bram wydał Caroline wyraźne instrukcje, żeby nie załując pieniędzy, kupiły tylko taką kreację, która będzie godna urody Taylor, i w której, o ile zechce nawiązać do pięknej tradycji, nie powstydzi się wystąpić na swoim ślubie jej córka.

Tak, Bram był szafarzem, przede wszystkim szafarzem szczęścia, ona zaś, Taylor, wciąż nie mogła oprzeć się ogromnemu zdumieniu, że w życiu mogą się zdarzać aż tak radykalne i dalekosiężne zmiany. Gdyby rok temu ktoś powiedział jej, że oto zbliża się dzień, kiedy stanie na ślubnym kobiercu z ukochanym mężczyzną w obecności swojej siostry i jej najbliższych, uznałaby takie wróżby nie tylko za szczyt fantazji i nieodpowiedzialnego gładzenia, lecz nadto zaczęłaby podejrzewać tę osobę o chęć naigrawania się z jej samotności i strachu.

Jednak nawet dzisiaj niebo nad jej głową nie było bezchmurne. Nie chodziło o przeszłość. Bram wreszcie zdołał przekonać ją, że jej strach przed Dennisem posiadał identyczny wymiar obsesji, co tamta zboczona i chorobliwa „miłość” Dennisa. Nie, przygnębiała ją sytuacja, w której mężczyzna za szczęście z kobietą płaci rozstaniem z synem. W takiej sytuacji szczęście Brama nie mogło być pełne, ona zaś pragnęła, by czuł się w pełni szczęśliwy.

Zatem Jay, jego stosunek z ojcem i rana na sercu Brama to była jedna ciemna chmura. Drugą była Fate.

Fate...

Rozejrzała się, lecz nigdzie jej nie było.

- Poszła - rzekła Caroline, gdy Taylor spytała ją o córkę. -

Powiedziała, że musi doprowadzić pewną rzecz do końca.

Powiedziała też, że będziesz wiedziała, o co chodzi.

Przez chwilę obie siostry patrzyły na siebie w milczeniu.

- Poszła spotkać się z Jayem? - zapytała Caroline.

- Tak.

- Mam nadzieję, że ten człowiek nie zrobi jej krzywdy. - W

oczach Caroline pojawił się niepokój.

Taylor podzielała nadzieję siostry, ale w obu przypadkach była to tylko nadzieja.

- Nie otworzyłaś jeszcze prezentów - po raz drugi przypomniała jej Caroline.

- Nie. Tę przyjemność zostawiam sobie na wieczór. Czuję się trochę zmęczona. Ostatecznie nie była młodą panną młodą. Miała prawie czterdzieści lat i nosiła w łonie swoje pierwsze dziecko.

Był taki moment podczas mszy świętej, kiedy spojrzała na Brama i zobaczyła w jego oczach łzy. Wówczas pojęła w nagłym olśnieniu, że oto ta właśnie chwila uświęcenia i pobłogosławienia ich związku zawsze będzie najwspanialszą i najwznioślejszą chwilą jej życia. Na tę jedną bowiem chwilę została uwolniona od strachu i obdarzona kojącym szczęściem. Poczucie zagrożenia, w którym żyła od lat, ustąpiło miejsca błogiej radości.

Z wyżyn swojego szczęścia współczuła wszystkim biednym ludziom na tym świecie. Współczuła też Jayowi. Wcale nie był dorosłym mężczyzną. Był wciąż małym chłopcem, tyleż spragnionym miłości, co jej pozbawionym. Bękartem w oczach postronnych świadków, hańbą i wstydem w oczach dziadków, kulą u nogi w oczach matki, wyrodnym synem w oczach ojca.

Współczując Jayowi, martwiła się przecież o Fate.

Fate kochała tego chłopca i dlatego właśnie narażona była na szczególnie poważne niebezpieczeństwo. Jay nienawidził bowiem wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z kobietą, która odebrała mu ojca, a Fate była przecież jej siostrzenicą.

- O czym myślisz?

Uśmiechnęła się do Brama, on zaś dotknął dłonią jej brzucha. Ostatnio coraz częściej to robił. Twierdził, że w ten sposób czuje się bliżej swego dziecka.

- Kocham cię, Bram.

Uniosła rękę i pogładziła go po policzku. Błysnął diamentowy pierścionek na jej palcu, zaślniła obrączka.

Oto dowody i symbole miłości, pomyślała. W pełni harmonizowały z jej wewnętrznym szczęściem. I w tym sensie była jednością. Ale jednością nie była Fate. Za fasadą jej radosnego podniecenia, związanego z tym dniem i tą uroczystością, kryły się smutek i ból.

Fate z bijącym sercem zatrzymała się na półpiętrze kamienicy, w której mieszkał Jay. Podjęła decyzję o przyjsciu tutaj nagle i niespodziewanie, niespodziewanie nawet dla samej siebie, ale teraz musiała rozważyć trapiące ją wątpliwości. Przede wszystkim, idąc za impulsem serca, wykazała brak wszelkiego rozsądku. Bo nawet jeśli Jay był w domu, co wydawało się raczej wątpliwe, to na pewno nie wpuści jej do środka, nie powita z otwartymi ramionami. Nie była przecież osobą, której wizyty życzyłby sobie i pragnął.

Więc dlaczego właściwie tu przyszła?

Przede wszystkim dlatego, że zobaczyła w domu Brama pewne zdjęcie, wyjątkowe w całej kolekcji, które do głębi ją poruszyło. Widać było na nim mężczyznę z ośmio-, może dziewięcioletnim chłopcem, na którego twarzy malowały się najsprzeczniesze uczucia - wściekłość, bunt, lęk, niepokój, duma, nieufność i smutek. To nie była twarz dziecka, które jest szczęśliwe. Patrząc na nie, chciało się je przygarnąć do piersi, utulić i jeszcze obdarować prezentem, byleby tylko przestało być takie smutne i się uśmiechnęło.

Tymczasem Jay został dziś odtrącony. Nie tylko przez ojca. Przez nich wszystkich.

Jak musiał się czuć, wiedząc, że nie ma już nikogo bliskiego? Czy żałował tego, co zrobił? Czy gotów był naprawić wyrządzone krzywdy? Czy zło, którego się dopuścił, płynęło z jego zdeprawowanej duszy, czy też stanowiło produkt uboczny

wewnętrznej szamotaniny i tęsknoty za harmonią w stosunkach z ojcem?

Na te i inne pytania nie miała, oczywiście, gotowych odpowiedzi. Gdyby je miała, nie wykazałaby się absolutną głuchotą na głos zdrowego rozsądku i nie przyszłaby tutaj.

Ale nie żałowała tamtego odruchu, który przywiódł ją aż do tego miejsca. Zostanie przegnana od progu, trudno. Nie będzie miała przynajmniej sobie nic do wyrzucenia. Będzie mogła sobie powiedzieć, że zrobiła wszystko, co było w jej mocy, by ocalić Jaya przed samym sobą.

Nabrała w płuca powietrza. Policzyła stopnie. Do drzwi mieszkania pozostało jej tylko dziesięć trudnych kroków.

Jay ponuro wpatrywał się w pustą szklanę, którą trzymał w dłoni. Sięgnął po butelkę. Wydała mu się dziwnie lekka. Wziął ją pod światło. Na dnie nie było już ani kropli whisky.

Zaczął pić minionej nocy. I doprawdy, sam sobie dostarczył powodu do picia. Umówił się na kolację z dawną znajomą, atrakcyjną blondynką. W restauracji flirtował z nią i w ogóle wiele zdołał, by napęlić ją błogą pewnością, że tę noc spędzą razem w jej łóżku.

Nic dziwnego więc, że wpadła w dziką furię, gdy wysadziwszy ją przed jej domem, powiedział z beczelną miną, że musi wracać do siebie. Żadna kobieta nie darowałaby mu takiej obrazy. Ta również, gdyby miała nóż, rzuciłaby się z nim na niego. A tak tylko usłyszał jej słowa:

- Ty świni! Nigdy nie byłeś dobry w pieprzeniu się, dobrze pamiętam. Tłoki i maszyna parowa, nic więcej...

Mogliby sprzedawać cię w seks-shopach zamiast wibratora. Jesteś pusty, pusty w środku jak nadmuchany balon...

Jay pozwolił jej mówić i nawet się nie otrząsnął. Faktycznie czuł się wybebeszony i całkiem bez ikry. Wróciwszy do domu, zaczął pić.

Pił niemal do tej chwili. Bo od kwadransa już tylko patrzył w dno pustej szklanki.

Wstał z fotela, wziął butelkę i chwiejnym krokiem powędrował do kuchni. Wrzucił flaszkę do kosza na śmieci. Zadzźwięczało szkło. Wrzucona butelka była ostatnią, ale wcale nie pierwszą, którą opróżnił podczas tego pijackiego seansu.

Wracając do salonu, usłyszał dzwonek u drzwi. Co za diabeł mógł się do niego dobijać? Mniejsza z tym. Nie zamierzał nikomu otwierać.

Kucnął i przyjrzał się zawartości barku. Ani jednej butelczyny z poczciwą whisky, tylko jakieś lepkie świństwo w kącie. Aż go zemdliło na myśl, że miałby się po tym wszystkim napić ziołowego likieru.

Dzwonek wciąż dzwonił, nie ustawał w dzwonieniu. Nie, to nie mógł być jego ojciec. Ojciec ścisnął w tej chwili swoją oblubienicę, swoją dopiero co poślubioną małżonkę. Jay poczuł, że robi mu się niedobrze. Niewątpliwie był pijany, ale przyczyną tego nieprzyjemnego ssania w żołądku nie był alkohol tylko straszliwe upokorzenie. Ojciec wyrzekł się go dla kobiety, z którą sprawił sobie

dziecko. Stało się dokładnie to, przed czym przestrzegała go Nadia, kiedy spotkał się z nią w Nowym Jorku.

Nie mógł już znieść tego dzwonienia, pękała mu od niego głowa. Powlókł się do holu i otworzył drzwi.

Fate wydała cichy okrzyk. Zobaczyła jakiegoś nie znanego sobie człowieka o żółtej cerze, podkrążonych oczach, dzikim spojrzeniu i potarganych włosach. Oczywiście, wiedziała, że to Jay, ale Jay ciężko chory, ze śladami dwudniowego zarostu na policzkach.

- No, no... czyżby córeczka oblubienicy? - Czknął. Rozszedł się odór alkoholu. - Przyszłaś rozgrzać moje łóżko, siostrzyczko? A może przyniosłaś jakąś dobrą wieść? Na przykład o nagłym zgonie mojej macochy, której biedne serce nie wytrzymało napięcia?

Gdyby nie weszła już do środka i gdyby Jay, oparty o drzwi, nie zagradzał jej drogi odwrotu, z pewnością odwróciłaby się bez słowa i uciekła stąd. Był pijany, a ona bała się pijaków. Przyszła do ośmioletniego chłopca, którego chciała pocieszyć, a zastała wulgarnego pijaczyne.

- Uczestniczyłaś w tym radosnym wydarzeniu, prawda? - zapytał, starannie wymawiając zgłoski, jakby się bał, że w każdej chwili może wpaść w bełkot.

- Tak, byłam tam. Ale dlaczego ciebie nie było? Wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem.

- Ja? Żeby co? Zamknąć szczęśliwe kółeczko? Przygarnąć do piersi twoją mamusię?

- Mylisz się. Taylor nie jest moją matką. Jest moją ciotką.

Wydął wzgardliwie wargi.

- Więc dlaczego mnie okłamała? Powiedziała, że jesteś jej chrześniaczką.

Zachwiał się, a rozumiejąc, że nie ustoi długo, poszedł dziwnym krokiem w głąb mieszkania. Poszła za nim. Weszli do salonu. Usiadła możliwie najdalej od niego.

- Okłamała cię - powiedziała, nawiązując do jego pytania - tylko dlatego, żeby nas ochronić.

- Wyrażaj się jaśniej, dobrze? Widzisz przecież, że jestem pijaną, tępą świnią, pustą jak balon... która nie kapuje niczego, jeśli nie mówi się jasno i powoli... Co to znaczy „ochronić”?

- To znaczy, że Taylor uznała, iż nie może się z nami spotykać. Bała się, że stanie się nam krzywda. Miała zresztą powody...

I Fate zaczęła opowiadać. Nie wchodziła w szczegóły. Trzymała się tylko zasadniczego wątku wydarzeń. Mówiąc, nie patrzyła na Jaya. Dopiero gdy dotarła do końca opowieści, uniosła głowę. Ujrzała twarz, z której nic nie można było wyczytać.

- Dowiedziałas się o tym wszystkim od niej... od Taylor, prawda? - zapytał po chwili milczenia.

- Tak.

- I co, uwierzyłaś jej?

Miała już tego dość. Jeżeli tego człowieka zżerała jakaś śmiertelna choroba, to musiała być nią podejrzliwość.

- A dlaczego miałabym jej nie wierzyć!

Słuchając Fate, Jay coraz bardziej zdumiewał się przebiegłością Taylor. Bez trudu, jak widać, udało się jej wymyślić tę wzruszającą i klarowną bajeczkę. Ale uwierzyć w nią mogły tylko tak naiwne i łatwowierne istoty, jak Fate. Wątpił już na przykład w szczerłość ojca. Tyle że Bram miał powody, by publicznie akceptować wersję Taylor. Zbyt poważnie zaangażował się w ten romans, by przed innymi przyznawać się do klęski. To, że został wystawiony do wiatru, to jedna sprawa, a jego duma i poczucie własnej godności, to druga. Wołał zdusić w sobie świadomość porażki i uśmiechać się do rozszarpującego go drapieżnika.

A co do Fate, to również miała powód godzić się na kłamstwo. Gdyby zaczęła poddawać słowa Taylor w wątpliwość, musiałaby tym samym postawić pod znakiem za-

pytania całą swoją przeszłość, a przede wszystkim autentyczność rodzicielskiej miłości.

- Powinieneś był pojawić się na ślubie, Jay. Domyślam się, w jakim musisz być nastroju od pewnego czasu, ale przecież miłość Brama do Taylor nie wyklucza jego miłości do ciebie. Nie rozumiesz tego?

Aż coś zachrypiało mu w płucach. Coś rozsadzało mu klatkę piersiową. Wiele lat temu pewna kobieta powiedziała mu ciepłym i słodziutkim głosem, bardzo podobnym do głosu Fate, zupełnie co innego.

- Ojciec nie kocha cię - brzmiały jej słowa. - Jak można kochać takiego diabła jak ty?

Tą kobietą była Helena.

Dźwignął się z sofy i ciężkim krokiem podszedł do Fate. Spojrzała na niego z przerażeniem w oczach. Ujrzała na jego twarzy furie i pragnienie mordy. On jednak rzucił się na nią i zaczął ją całować.

Broniąc się, ugryzła go w wargę. Syknął. Pocięła krew.

Jay dotknął krwawiących ust, oderwał dłoń i przez chwilę przyglądał się poplamionym palcom.

- Nie ujdzie ci to na sucho, maleńka - powiedział, wyjmując chusteczkę i przykładając ją sobie do skaleczonej wargi.

To był czas na ucieczkę. Więc dlaczego się zawahała? Dlaczego pozwoliła mu odgadnąć narastającą w niej gotowość?

- Pocałuj mnie, Fate - rzekł rozkazującym głosem. -No, już. Zasmakuj mojej krwi. Ale pamiętaj, że nikomu nie daruję żadnej wyrządzonej krzywdy.

To jednak, co nastąpiło z chwilą, kiedy zamilkł, nie wydawało się ani odwetem, ani żadną karą. Przypominało raczej nagrodę za dobre zachowanie. Była małą dziewczynką, która zasnęła przy oglądaniu dobranocki i którą, nie budząc jej, rozdzielano, żeby położyć w czystej i chłodnej pościeli. Więc najpierw zdjęto jej pantofle, później rajstopy, a na koniec majtki. Ktoś tchnął gorącym oddechem w jej uda. Ktoś, a była to ta sama osoba, gdyż poznawała ją po dłoniach, zadarł i zarzucił na jej głowę spódnicę sukienki, ażeby mieć ją przez jakiś czas przepołowioną, na poły naga, na poły zaś zasłoniętą.

Opadła muślinowa mgła biustonosza. Teraz, nie widząc go oczami, czuła go tylko na swoich nabrzmiałych piersiach, brzuchu, który drżał, i łonie, które zwilgotniało. Zaczęło brakować jej powietrza. Odgadł to i uwolnił ją z sukienki, która w ostatniej sekundzie była tylko kwefem.

Już naga, ujrzała obok siebie nagiego Jaya. Obnażając ją, sam się obnażył. Biorąc, darowywał rzecz identyczną.

Przywarli do siebie natychmiast. Jay jęknął. Gotów był do wymierzania kary, ona zaś gotowa była ją przyjąć. Rozrzuciła nogi. Natarł, chwilę błądził, wreszcie wszedł w nią. Odpowiedziała mu głębokim westchnieniem.

Teraz należał tylko do niej, gdyż był w niej, a ona miała go w sobie. Nic ich już nie dzieliło, nic, co mogłoby ustanowić dystans, chyba tylko ta skóra oblekająca ich ciała. Doświadczając owej jedności, Fate czuła się tak, jakby doświadczała jej z kimś kochanym, słodkim i cudownym, nie zaś z człowiekiem, który jeszcze przed minutą budził w niej strach, może nawet odrazę. On chyba musiał przeżywać to podobnie, gdyż całował ją jak natchniony, pieścił i coraz szczerzej otulał płaszczem swego ciała.

Umknął jej uwagi moment, kiedy weszli we wspólny rytm. Przyssała się wargami do jego naprężonej szyi. Jej paznokcie rysowały na jego plecach jakiś abstrakcyjny, pokrętny wzór. Sapał, odchylając coraz bardziej do tyłu głowę, jakby gotował się do lotu. Ogarnęła ją rozpacz, że za nim nie nadaży, że zostanie tu, a on odleci bez niej. Ale stało się całkiem inaczej. Poczowała się nieważka i

bezciesna dokładnie w momencie, kiedy krzyknął, zdumiony i olśniony rozległością perspektywy widzianej ze szczytu.

- Jay... - wyszeptała z ogromną czułością, pragnąc odnaleźć to, co właśnie straciła, czyli bezpośredni kontakt z jego ciałem.

Spojrzała w jego oczy i zmartwiała. Jay patrzył na nią jak na rzecz, gorzej, bo na rzecz wstrętą i odpychającą.

- Dziwne - powiedział - dziwne i zabawne. Najpierw pragniesz kobiety aż do szaleństwa, a kiedy ją zdobędziesz, czujesz, że to nie to. Żadna nie zaspokoi twych pragnień, żadna nie wzniesie się na przyzwoity poziom. Tak, seks jest nudny. Szukanie go podnieca, ale jak już go masz, zawsze jest tak samo. To banalne....

Spojrzał na zegarek i rzekł z chłodną obojętnością:

- Muszę wyjść za pół godziny. Przykro mi, ale będziesz musiała się ubrać i pożegnać. Co zaś się tyczy Taylor, to nie wierz ani jednemu jej słowu. Ona jest twoją matką. I tylko dlatego, że to twoja matka, zachciało mi się cię rozebrać.

Fate zdążyła już zebrać drżącymi rękami rozrzucone ubrania i jako tako zasłonić swoją nagość. Dlaczego słowa nie potrafią zabijać?

- myślała. Dlaczego musiała wysłuchać wszystkiego do końca? Wolałaby już nie żyć.

- Wciąż nie wiem, dlaczego to zrobiłeś. - Musiała uzyskać odpowiedź na to jedno chociażby pytanie.

Wykrzywił usta w szatańskim uśmiechu.

- Teraz nie dziwię się, że uwierzyłaś Taylor. Jesteś naiwna. Ja nie kochałem się z tobą, Fate. Ja cię po prostu wygrzmociłem.

Potraktuj to jako prezent ślubny dla tamtej parki. Bo poza tym nic dla mnie nie znaczysz. Nie jesteś nawet dobrą dupą. No dobra, teraz ubieraj się i znikaj.

- To jeszcze ich nie otworzyłaś! - zawołał Bram z nutką zawodu w głosie, widząc, że dopiero w tej chwili Taylor zabiera się do rozpakowywania paczek i paczuszek.

Uwielbiał obsypywać ją prezentami i chłonać zmienny wyraz jej twarzy, kiedy trzymała w dłoniach jakiś zgrabny pakuneczek i odwijała ozdobny papier.

- Założę się, że jako dziecko przyprawiałaś wszystkich o chorobę tym dawkowaniem sobie przyjemności - zauważył.

Rozbawiona, potrząsnęła głową.

- Nasi rodzice zaprzestali kupowania nam prezentów, gdy ja i Caroline miałyśmy około siedmiu, dziewięciu lat. Ojciec uznał, że tego rodzaju praktyki konserwują niedojrzałość. Zaczęto wręczać nam listy przedmiotów, spośród których każda wybierała jeden, po czym musiała w pisemnej rozprawce przypominającej esej uzasadnić swój wybór. Rozprawka dzieliła się na dwie części. W pierwszej przedstawiałyśmy powody, które skłoniły nas do dokonania takiego, a nie innego wyboru, w drugiej zaś korzyści, fizyczne, duchowe lub intelektualne, których oczekiwaliśmy z posiadania tej rzeczy. Raz, tuż przed Gwiazdką, Caroline zbuntowała się i odrzuciła całą listę. Oświadczyła, że chce dostać rower. Nie muszę chyba dodawać, jaki usłyszała komentarz. - Przerwała, po czym wykrzyknęła w radosnym

zaskoczeniu: - Och, Bram, jak możesz mnie tak rozpieszczać! -

Trzymała w dłoni kunsztownej jubilerskiej roboty szafirowe kolczyki.

Podeszła i pocałowała męża w usta.

- Są śliczne. I chyba zbyt cenne, żeby je nosić na co dzień.

Umarłabym, gdybym je zgubiła. A poza tym kiedy przeprowadzimy się na wieś, nie będę miała zbyt wiele okazji, żeby je zakładać.

- Będziemy wymyślać okazje. Wszystko zależy od naszej inwencji. Może być nawet siedem okazji na tydzień. Rzecz jasna, nastąpi krótka przerwa na urodzenie naszego dzidziusia. - Delikatnie i czule dotknął jej brzucha.

Wszyscy roześmieli się, a Bram dobrze wiedział, że mimo tego formalnego protestu, który złożyła Taylor, w głębi duszy jest przejęta i oczarowana tym prezentem.

- A teraz odpakuj i otwórz to pudełko z kwiatuskami. Chyba że chcesz - sięgnął palcami ku pracownicy zawiązanej kokardce - żebym ja się tym zajął?

Trzepnęła go po dłoni.

- Ani się waż. To jest mój prezent i tylko ja go otworzę.

Stojący w pobliżu Caroline i Oliver znowu się roześmieli.

Wszyscy troje patrzyli teraz na Taylor, mocującą się z czerwoną wstążką i wzorzystym papierem. Wreszcie uporała się ze wszystkimi przeszkodami, zagradzającymi jej dostęp do tajemnicy, i otworzyła wieczko pudełka.

Znieruchomiała, a jej twarz powlekła się śmiertelną bladością, niemal zszarzała. Uśmiech, który jeszcze widniał na jej twarzy,

zaczaj: powoli ginąć i rozplýwać się w tragicznym grymasie, jakby ktoś, nie śpiesząc się, ścierał go gumką. Otworzyła usta i przeraźliwie krzyknęła.

Bram wyrwał z jej rąk pudełko. Przede wszystkim poczuł ohydny fetor, który błyskawicznie zaczął rozprzestrzeniać się po pokoju. Można by pomyśleć, że ktoś podniósł klapę otworu kanalizacyjnego. Chociaż nie, ta woń wydawała się jeszcze bardziej okropna. Był to zapach piekieł.

Bram poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Usłyszał głos Olivera, ale jakby przez ścianę:

- Co to jest, na Boga?

- Martwy płód... tak mi się zdaje - odparł Bram nie-swoim głosem, po czym zamknął pudełko i ostrożnie, jakby stawiał szklanę napęlnioną po brzegi płynem, położył je na blacie stolika.

Taylor, odprowadzona tam przez Caroline, siedziała na sofie w półleżącej pozycji i wpatrywała się w przestrzeń szeroko otwartymi oczami.

- Dzwonię po lekarza - powiedział Bram, instynktownie czując, że jest to osoba najbardziej w tej chwili potrzebna.

Kto mógł to zrobić? - myślał gorączkowo, wykręcając numer, który znał na pamięć. Oczywiście ktoś, kto nienawidził Taylor i chciał jej zrobić krzywdę, a także zrobić krzywdę nie narodzonemu jeszcze dziecku. Ten okrutny pomysł mógł się zrodzić tylko w głowie ludzkiej bestii. Bardzo dobrze znał człowieka, który nienawidził Taylor i jej dziecka. Tym człowiekiem był Jay.

Bram zamknął oczy, prosząc Boga, żeby nie była to prawda. To nie mogła być prawda, gdyż Jay, choć nienawidził Taylor, nie był ludzkim potworem.

Więc kto?

Taylor wiedziała. Lekarz, po zbadaniu jej i zaaplikowaniu środka uspokajającego, zszedł na dół do salonu, lecz Bram nie mógł się podnieść z fotela. Całkiem opuściły go siły. Patrzył na żonę, która chodziła z kąta w kąt, i czuł, że ten dzień okaże się przełomowy w jego życiu nie tylko ze względu na ślub i wesele.

- To on - mówiła na poły do siebie, na poły zaś do męża. -
Wiem, że to on. Jakimś cudem musiał uciec z więzienia i wpaść na mój trop. Bram, co ja takiego zrobiłam? To wszystko moja wina. Jeżeli coś się stanie...

- Nic nie ma prawa się stać - powiedział głosem, któremu starał się nadać zdecydowane i twarde brzmienie.

Niestety, efekt był raczej żaloszny. A stało się tak dlatego, że po raz pierwszy w swym życiu Bram doświadczył własnej niemocy. Wszystkie te jego pewne siebie miny, wszystkie te zapewnienia, których nie szczędził Taylor, że nie ma czego się bać, bo on, Bram, stoi u jej boku, okazały się nic nie wartym potrząsaniem szabelką. Nie mógł nawet uwolnić Taylor od strachu przed Dennisem Phillipsem, a co dopiero mówić o ochronieniu jej przed bezpośrednim atakiem tego szaleńca.

Dennis Phillips. Bram nie miał czystego sumienia, kiedy myślał o tym człowieku. Nie powiedział Taylor, że jej dawny kochanek od kilku miesięcy przebywa na wolności.

Ale jakim cudem udało mu się ją wytropić? Teoretycznie było to całkiem niemożliwe.

- On czai się gdzieś w pobliżu - powiedziała Taylor, rzucając lękliwe spojrzenie w stronę okna. - Obserwuje nas i wszystko o nas wie.

- Taylor, kochanie, nie można tak myśleć, bo inaczej wszyscy wpadniemy w manię prześladowczą.

- To nie jest mania prześladowcza. Ja to wiem! I nie pozwolę mu, by zabił moje dziecko. Uprzedzę go i sama go najpierw zabiję!

- Taylor, uspokój się.

- Idź na dół i pokaż lekarzowi to pudełko. Chcę wiedzieć, co to takiego. Muszę... muszę to wiedzieć. - Załkała i padła na łóżko.

- Mogę powiedzieć, czym to nie jest - rzekł lekarz, przypatrzwszy się dokładnie niezwyklej zawartości pudełka. - Na pewno nie jest to ludzki płód. Wynikałoby stąd, że zwierzęcy, choć trudno byłoby mi określić gatunek. Swoją drogą, radziłbym zgłosić rzecz na policję. To mi wygląda na coś poważniejszego od głupiego żartu... Ale chwileczkę... Tu coś jest w bocznej przegródce. - Sięgnął do pudełka i wyjął z niego białą kopertę, którą natychmiast wręczył Bramowi.

Koperta, mimo że pozbawiona śladów krwi, przesycona była tym samym wstrętnym zapachem, który wszyscy obecni zdążyli już

poznać. Widniało na niej wystukane maszynowym pismem imię i nazwisko Taylor.

Bram, przewycięzając dławiający go wstręt, rozerwał kopertę i wyjął list. Rozłożył go, a ponieważ Taylor weszła właśnie do pokoju, zaczął czytać na głos.

- Wiem, że mnie pamiętasz. Myślałaś, że uda ci się uciec, ale ja mam dobry węch. Chciałaś okłamać mnie, że umarłaś, tak jak okłamywałaś mnie przed laty, że mnie kochasz. Kłamstwa są karane. Powinny być karane. Okłamałaś nie tylko mnie, lecz również moje dziecko, którego jesteś niegodna, tak jak niegodna byłaś mojej miłości. Ty, matka, oddałaś moje dziecko obcym ludziom, wyrzekłaś się go i za to spotka cię surowa kara. Lecz zanim spadnie na ciebie cios, mam zamiar zaopiekować się moim dzieckiem, jak to przystało rodzonemu ojcu. Zabiłabyś ją, gdybyś mogła, i nazwała to spędzeniem płodu, a twoi przekłęci rodzice przyklasnęliby temu morderstwu. Na szczęście czuwałem i powstrzymałem twoją rękę. Twoi rodzice nie żyją. Nadszedł czas, byś dołączyła do nich. Ona jest moja, tylko moja i ani ty, ani nikt inny już nie rozdzieli mnie od niej...

Bram przestał czytać. Ręka, w której trzymał list, bezwładnie opadła wzdłuż jego ciała. Taylor spazmatycznie załkała.

- Jest na wolności, prawda? Wypuścili go? A tak mnie zapewniali...

- Złożył wniosek o rewizję wyroku i dopiął swego -rzekł Bram jakimś dziwnie obojętnym głosem.

- Wiedziałaś. - Podeszła do niego i spojrzała mu w oczy. -
Wiedziałaś i nie powiedziałaś mi.

Spuścił głowę z miną skrzeszonego grzesznika. Nie miał nic na swoją obronę.

- Och, Bram, co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam? On sądzi, że Fate jest jego córką. To chyba o to chodzi, prawda? Nie rozumiem tego listu, ale chodzi mu chyba o nią... Skąd mu to przyszło do głowy? Takie pomysły miewa tylko Jay... Bram, powiedz mi, przekonaj mnie, że to nie Jay. Jesteś jego ojcem, znasz go najlepiej. Powiedz mi.

Bram tylko potrząsnął głową. Wciąż milczał. Dławił go wstyd, że nie mógł ani Taylor, ani rodzicom Fate dać tego jednego zapewnienia, którego pragnęli i na które bez wątpienia zasługiwali.

- Fate poszła do Jaya i być może jest jeszcze u niego - powiedziała Taylor, chwytając Brama za rękaw marynarki. - Zadzwoń do niego, Bram. Zadzwoń do niego i powiedz mu, żeby ją zatrzymał. W żadnym wypadku nie wolno jej opuścić jego mieszkania. Och, Boże, gdyby coś się jej stało...

- Nic się nie stanie. Jeśli będzie trzeba, zapewnimy jej ochronę choćby i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie damy jej zrobić krzywdy.

Taylor wbiła oczy w podłogę.

- Powiedziano mi przed laty na policji, że będę dla niego niczym szpilka w stogu siana, kamień na dnie oceanu... Powiedziano, że nic mi nie grozi i mogę czuć się absolutnie bezpieczna... - Jęknęła i zaszlochała.

- Więc ostatecznie gdzie jest ta młoda osoba, której państwo poszukujecie i której waszym zdaniem grozi poważne niebezpieczeństwo? - zapytał tęgi, wysoki policjant, zwracając się do Brama.

Bram rzucił okiem na Taylor.

- Podejrzewamy, że poszła do mojego syna. Próbowałem się do niego dodzwonić, ale nikt nie podnosi słuchawki.

- Rozumiem. W tej sytuacji możemy jej szukać właściwie wszędzie i nigdzie. Przepraszam za to drastyczne sformułowanie, ale taka jest prawda.

- Tak, taka jest prawda - przyznał Bram cichym głosem, jakby bał się ujawniać ją światu.

Ale Caroline usłyszała. Nawet nie płakała. Zrobiła się tylko strasznie blada, a jej skulone i nieruchome ciało oczekiwało ostatecznego ciosu.

Jay ciągle czuł działanie alkoholu, lecz jego umysł, a szczególnie jego pamięć, działały sprawnie. Pamiętał każde słowo Fate, zanim ta opuściła jego mieszkanie.

- W porządku - powiedziała, stojąc na środku sypialni, ubrana i gotowa do wyjścia. - Wiem, że czekasz na moment, aż zamknę za sobą drzwi. Pewnego dnia spotkam mężczyznę, który doceni mnie i pokocha. - Jej głos w tym momencie lekko zadrżał. - Miałam nadzieję, że ty nim jesteś. Pomyliłam się. Trudno, bywa. Zrobię wszystko, żebyśmy już nigdy więcej się nie spotkali.

Mówiąc to, nie patrzyła na niego. On również patrzył gdzieś w bok. A kiedy wreszcie zdecydował się spojrzeć na nią, już jej nie było.

Donośny dzwonek u drzwi połączony z pukaniem przywołał go do rzeczywistości. Poszedł otworzyć.

Na progu stał ojciec, człowiek, którego najmniej się w tej chwili spodziewał.

- Czy jest u ciebie Fate? - zapytał, wchodząc do środka.

Jay milczał. Musiał się najpierw pozbierać. Widok ojca wywołał w nim najsprzeczniesze uczucia. Również nadzieję. Nadzieję na pojednanie. Ale Bram nie przyszedł z wyciągniętą do zgody ręką. Szukał Fate. Tym gorzej dla niego.

- Co? Już nie wystarczy ci matka? Chciałbyś tryknąć jej córkę?
Bram sapnął i chwycił go za ramię.

- Uspokój się, Jay. Po prostu odpowiedz mi, czy Fate jest tutaj.

- Nie ma jej. - Jay wyrwał rękę. - A w ogóle co ci strzeliło do głowy, by w dzień swojego ślubu latać po Londynie i szukać pasierbicy?

- Kiedy wyszła? - zapytał Bram, najwidoczniej skupiony tylko na jednym. - Czy powiedziała, dokąd idzie?

- Godzinę temu. I nic nie powiedziała.

Bram przyjrzał się twarzy syna i nie spodobała mu się ta twarz.

- Co jej zrobiłeś? Co powiedziałeś? Jay sarkastycznie wzruszył ramionami.

- Co można powiedzieć kobiecie, która rozczarowała cię w łóżku? To tylko, co powinna usłyszeć. Że powtórki nie będzie.

Bram zmartwił ze zgrozy.

- Wzięłeś dziewczynę do łóżka, a potem wyrzuciłeś ją na ulicę? Czy ty w ogóle nie masz serca?

Jay próbował się roześmiać, próba ta jednak wyraźnie nie powiodła się.

- Ty od razu z grubej rury, a serce to tylko pompa przetaczająca krew. Była tu dziewczyna, której kazałem sobie pójść. I co z tego?

- To z tego, że życie Fate jest zagrożone. Próbujemy odnaleźć ją i ustrzec przed najgorszym. Oczywiście, ciebie to nic nie obchodzi. Ale my, to znaczy ja, Taylor i jej rodzice, boimy się, że zginie. Robi to na tobie jakieś wrażenie?

- Daruj sobie, tato. Nie wmawiaj mi, że wierzysz w tę bajeczkę. Kto ci nawcisnął tych bzdur? Taylor? To ona jest matką Fate, dałbym sobie za to rękę uciąć, nic dziwnego więc, że się trzęsie o swojego

bachora. A może jest odwrotnie? Może to właśnie ona chce sprzątnąć niewygodną osóbkę? Już raz ją przecież sprzedała...

- To nie ja, lecz ty masz głowę pełną bzdur. Taylor wiele zrobiła, by Fate nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo. A jej wysiłki i wyrzeczenia poszły na marne być może głównie z powodu twojego egoizmu. Jakiś tam Dennis Phillips wbił sobie do głowy, że Fate jest córką Taylor. Powiedz, to nie ty zaraziłeś go tą myślą? Znasz faceta o tym imieniu i nazwisku? Ma około czterdziestki.

- Dennis Phillips... Owszem, Fate wspomniała mi o nim, lecz osobiście nie znam nikogo, kto tak by się nazywał. Zresztą wciąż myślę...

- Że okłamuję cię? Nie, Jay, to ty okłamujesz samego siebie, bo nie masz odwagi spojrzeć prawdzie w oczy. Ale jeżeli coś przydarzy się Fate, to człowiekiem, którego przede wszystkim będziesz musiał się strzec, będę ja. - Bram nerwowo przeczesał włosy palcami. - Już dawno dostrzegłem zło tkwiące w tobie, ale dotąd winiłem za to siebie. Jednak teraz... - Potrząsnął głową. - Nic nie usprawiedliwia twojego okrucieństwa. Powinieneś być wyciągnąć wnioski ze swoich własnych doświadczeń. Zawsze czułeś się niekochany i odtrącony przez najbliższych. I oto znajduje się osoba, która darzy cię głębokim uczuciem, ty zaś postępujesz z nią gorzej niż z dziwką. Bo chyba wiesz, że Fate zakochała się w tobie?

- Wiem, że coś takiego sobie wmówiła. To już zresztą przebrzmiała historia.

Jay poczuł nieprzyjemny smak w ustach. Co to mogło być? Żółć, gorycz, zawód, tęsknota, żal? Głupie pytania. Ani myślał analizować swych uczuć.

Próbował się bronić.

- Nie- można kochać się w kimś, kogo wcale się nie zna.

Studentki miewają różne fantazje.

- Żal mi cię, Jay. - Bram położył dłoń na klawisze. - Powinieneś pójść do psychiatry po wskazówki, jak dojść do ładu z samym sobą. Ja w tej chwili mam ważniejsze rzeczy na głowie niż pochylać się nad twoimi kompleksami.

Zadzwoił telefon. Ojciec i syn drgnęli jak na komendę. Jay pierwszy podniósł słuchawkę, by po chwili podać ją Bramowi.

- To Taylor - powiedział.

- Bram, dostałam kolejny list. - Głos, który rozbrzmiewał w słuchawce, w niewielkim stopniu przypominał głos jego żony. - Pisze, że Fate... zaraz, powtórzę jego słowa... że jest już pod jego ojcowską opieką. Poza tym powtarza wszystkie oskarżenia i groźby. Bram, ja chyba umrę ze strachu. - Taylor wybuchnęła płaczem.

- Zaraz wracam. Czy powiadomiłaś policję?

- Tak. Przesłuchują właśnie Caroline i Olivera.

Raz jeszcze zapewnił ją o swoim szybkim powrocie i odłożył słuchawkę. Spojrzał na Jaya. Mięśnie jego szczęk pulsowały, jakby za chwilę miał wrzasnąć na syna i stłuc go za tę jego obojętną minę. Opanował się jednak i skierował ku drzwiom.

- Tato... - rozległo się za jego plecami. Nie odwracając się, Bram potrząsnął głową.

- Nie teraz, Jay. Cokolwiek chcesz powiedzieć, musi to poczekać. Taylor mnie potrzebuje. - Wyszedł, trzaskając drzwiami.

Chyba ta piekielna whisky mi zaszkodziła, pomyślał Jay w ciszy, jaka zapadła po wyjściu ojca. Wyczuwał kawał lodu na dnie żołądka, a w sercu ostry cierń. Dlaczego Taylor miała powiadamiać policję? Chyba tej Fate nic się nie stało? Prawdę mówiąc, była miłą dziewczyną. I taką ciepłą. I nawet dość ładną. Właściwie bardzo ładną...

Zamknął oczy i zacisnął pięści.

Fate... Fate... Przecież to nie on wydał ją w łapy tego zbrojnego. Tego Phillipsa. Nie jego jest wina, że jakiś maniak wbił sobie do głowy, że jest ojcem Fate.

A jeśli rzeczywiście zginęła...

Nie!

Ona musiała gdzieś być. Nie mogła wyparować.

Spojrzał w lustro. Wyglądał fatalnie, ale był ubrany. Mógł wyjść na ulicę.

Wyszedł i rozejrzał się. Samochody i ludzie. Ludzie i samochody.

Logicznie rzecz ujmując, Fate mogła obrać tylko dwa kierunki - do domu Brama i do swego własnego domu. Sęk w tym, że Fate znajdowała się w stanie ducha, który wykluczał logiczne myślenie.

Jakie były inne możliwości? Gdzie dopadł ją ten Phillips i jakim sposobem wciągnął do samochodu?

Bram sugerował, że to on, Jay, zaraził Phillipsa przekonaniem, że Fate jest córką Taylor. Ale jak można zarazić kogokolwiek czymkolwiek, gdy nie doszło do żadnego kontaktu? W całym swoim życiu nie miał nigdy do czynienia z żadnym Dennisem Phillipsem.

Do zamknięcia supermarketu- pozostał tylko kwadrans i sklep świecił pustkami. Młoda kobieta za kasą spojrzała na Dennisa z zaczepnym uśmiechem. Spodobało się jej, że facet zrobił takie eleganckie zakupy - bukiet lilii i kosztowną bombonierkę. Wybiła cenę i oderwała paragon.

- Ktoś będzie szczęśliwy - rzuciła w formie komentarza.

- To dla mojej córki - odparł chępliwie. - Spotkaliśmy się po długiej rozłące.

W gruncie rzeczy facet wyglądał bardzo przeciętnie. Średniego wzrostu, w średnim wieku, brązowawe włosy, twarz, której za godzinę nie będzie się pamiętało. Tylko jego oczy przykuwały uwagę. Można by rzec, pały wewnętrznym światłem.

Pewnie nie widział świata poza swoją córką. Szczęśliwa dziewczyna, pomyślała kasjerka. Ona też nie miałaby nic przeciwko temu, żeby jej ojciec podarował jej kiedyś kwiaty i wiśnie w czekoladzie.

Dennis Phillips zapłacił i wyszedł ze sklepu. Szybkim spojrzeniem zlustrował parking. Jego samochód stał w pewnej

odległości od innych. Idąc przez plac, Dennis uważnie obserwował otoczenie. Wolał mieć pewność, że nie jest śledzony.

Niegdyś interesowały go książki z dziedziny szpiegostwa. Lubił czytać o rozgrywkach pomiędzy szpiegiem a kontrwywiadowcą. Wiedział, jakie są najnowsze techniki podsłuchu oraz szyfrowania komunikatów. Znał też różne sztuczki, pozwalające wyprowadzić tropiciela w pole.

W więzieniu przerzucił się na innego rodzaju lektury. Zaczął studiować genealogię i dzieje dramatu. Nikt nie domyślał się, że za tymi oryginalnymi raczej zainteresowaniami kryje się jedno pragnienie i jeden cel. Chciał wytropić i ukarać tę dziwkę, przez którą trafił do więzienia. Myśl o wolności, a w końcu, gdy opuścił więzienie, i przebywanie na wolności, przepełnione były pragnieniem odszukania jej i wyrównania rachunków. Rzecz okazała się w praktyce wcale nie taka łatwa. Dość szybko odnalazł jej siostrę, lecz potem musiał długo, bardzo długo czekać.

Pogarda zaćmiła mu wzrok. Nienawidził tej kobiety od dawna, ale było to niczym w porównaniu z tą nienawiścią, którą poczuł, gdy poznał całą prawdę. Nie tylko zdradziła go, lecz nadto ukradła mu dziecko, a jakby jeszcze tego było mało, podrzuciła je innym niczym kukułcze jajo.

Mógłby ją zabić tylko za to jedno. Przypominała mu jego matkę, która najpierw rozeszła się z jego ojcem, czyniąc jego, Dennisa, półsierotą, a kiedy chciał ją za to ukarać, poszła do szkoły i oświadczyła dyrektorowi, że nie chce takiego wyrodnego dziecka. W

rezultacie wychował się w domu pełnym podrzutków, dzieci z pijackich rodzin i sierot.

Wreszcie nadszedł jednak dzień zemsty. Zastał ją samą w domu. Mężczyzna, który zajął miejsce jego ojca, był w pracy. Udała radość z wizyty syna, lecz Dennis wiedział, że od środka zżera ją strach. Rozkoszował się tym jej strachem. Czuł się silny, mocny, wszechmocny. Wszczął z nią rozmowę, pozornie jedną z tych zwykłych rozmów pomiędzy synem a matką, lecz gdy zobaczył na jej twarzy pierwsze sygnały odprężenia, zaatakował. Był karzącym ramieniem swojego ojca. Krzyczała, błagała o litość, wkrótce jednak ucichła. Nie, nie zabił jej. Po prostu tylko oznakował jej ciało. Polało się trochę krwi. Usłyszał później, że jej kochanek spakował walizki i się wyniósł.

Wiedział od dawna, że wszystkie kobiety to dziwki, które powinno się upiec na rozpalonym ruszcie. Czuł do nich jedynie pogardę i nienawiść. Za wyjątkiem jednej. Swojej własnej córki. Do niej czuł wyłącznie bezgraniczną miłość. Była taka piękna, taka doskonała. Długo nie wiedział, że jest jego córką, mimo że śledził ją dzień w dzień. Szukał Anne, która ukryła się pod oszukańczym imieniem Taylor.

Otworzył drzwi samochodu. Siadł za kierownicą z przekleństwem na ustach. Anne dobrze wiedziała, jak bardzo pragnął dziecka. Przez tyle lat, będąc ojcem, nic o tym nie wiedział, że jednak je ma. I nie dowiedziałby się, gdyby nie przypadek. Gdyby nie podsłuchał na ulicy tego człowieka.

Potem dowiedział się, że mężczyzna nazywa się Jay Soames. Czuł do niego instynktowną wrogość. Bogaty, arogancki playboy, który sprawił, że jego przecudna dziewczynka płakała. Ale odtąd nie uroni już ani jednej łzy. Miała teraz obrońcę, który ochroni ją przed okrucieństwem tego świata.

Miłość do Taylor była niegdyś dla niego równoznaczna z doznaniem pełni istnienia. W porównaniu z obecną miłością do Fate tamto doświadczenie zbladło i upodobniło się do czegoś w rodzaju nauki pisania i czytania w szkole uczuć. Dwie miłości, do matki i do Taylor, przyniosły mu rozczarowanie, gniew i zgryzotę. Teraz będzie inaczej.

Zwolnił i wyszukał wolne miejsce przy krawężniku. Zaparkował, ale nie śpieszył się z wysiadaniem z samochodu. Uważnie i w napięciu obserwował uliczkę. Znajdowała się kilka przecznic od miejsca, ku któremu zmierzał. Znał reguły gry. Ostrożności nigdy za wiele. Szary kolor samochodu stanowił starannie dobrany element kamuflażu. Ten samochód to było coś doskonale nijakiego. Nie wyróżniał się niczym, ani w sensie pozytywnym, ani negatywnym. Jeżdżąc nim, mógł śledzić Fate całymi tygodniami, ona zaś nawet nie domyśliła się, że jest pod obserwacją. Cierpliwość i upór opłaciły się. Fate doprowadziła go do Taylor, która, jak wiedział to od samego początku, nie zginęła bynajmniej razem z rodzicami i żyła sobie w najlepsze.

Nie powiadomił jeszcze Fate, co zamierza zrobić z jej matką i przybranymi rodzicami. Chciał najpierw zdobyć jej zaufanie. Powinna

zobaczyć całe zło, jakie im wyrządzono, oddzielając córkę od ojca i ojca od córki. A kiedy Fate pojmie cały bezmiar ich niegodziwości, odczuje tę samą nienawiść, którą on czuł. Połączą się w nienawiści i pragnieniu odwetu. Była bądź co bądź jego dzieckiem, krwią z jego krwi, kością z jego kości.

Nie zobaczył niczego, co by mogło wzbudzić jego podejrzliwość i wysiadł z samochodu. Ruszył chodnikiem krokiem szybkim i zdecydowanym. Spieszno mu było zobaczyć Fate, gdyż po prostu stęsknił się za nią. Była jego najukochańszą córeczką, której niósł łąkocie i kwiaty. Koniecznie musiał pokazać, jak bardzo ją kocha i jak ona ma odwzajemniać mu jego uczucie.

Fate na chwilę zamarła. W ciemności coś się poruszyło. Mysz? Szczur? Zadrżała. A może to on wracał? Oblała się zimnym potem.

Siedziała na niskim łóżku polowym, oparta plecami o gładką, jakby plastikową ścianę. Miała związane nogi i skute kajdankami ręce. Kajdanki przymocowane były w dodatku do tkwiącej w ścianie metalowej klamry. Wiedziała, że to klamra, a nie na przykład hak, gdyż zanim zgasił światło i pozostawił ją w ciemnościach, miała kilka sekund na rozpoznanie otoczenia.

Pochowano ją za życia. Tak to odczuwała i tak wyglądało to naprawdę. Ten człowiek mógł nie wrócić, a wtedy ona umrze tutaj z zimna, głodu i pragnienia. A potem zjedzą ją szczury.

Nieludzki strach chwycił ją za gardło. Boże, czym sobie zasłużyła na tak okrutny los? Gdyby wtedy na ulicy, kiedy do niej podszedł, a ona, zgadując niebezpieczeństwo, zaczęła uciekać, pojawił się jakiś przechodzień lub jeszcze lepiej wóz policyjny... Ale nie, ulica była pusta, a ten człowiek szybki, zwinny i silny, niczym dziki kot polujący na antylopę. Doścignął ją kilkoma susami, chwycił w pól i zatkał jej rozwarte do krzyku usta nasączoną chloroformem szmatą. Nogi ugięły się pod nią i zemdląła.

Odzyskała przytomność dopiero w tym pomieszczeniu.

Tak naprawdę wciąż miała poczucie, że śni jakiś koszmarny sen, że to nie może być prawda. A jednak to nie był sen, niestety.

Gdy otworzyła oczy z narkozy, pomyślała, że przyciągnął ją tutaj, żeby zgwałcić i zamordować. On jednak, jakby czytając w jej myślach, zaczął uspokajać ją, że absolutnie nie ma czego się bać. Nie uwierzyła mu. Dopiero kiedy powiedział, że jest jej ojcem, że ona, Fate, jest dzieckiem jego i Taylor, zrozumiała, że porwał ją nie z bocznic, lecz raczej jakiś szaleniec, być może nawet ten człowiek, o którym mówiła jej ciotka.

- Czy pan nazywa się Dennis Phillips? - zapytała przez zaciśnięte gardło.

Doskoczył do niej i chwycił ją za ramiona.

- Mów do mnie „ojcze” albo najlepiej „tato” - wysapał chrapliwie. - A więc mówiła ci o mnie. Czy nie wspomniała czasami, że przyrzekliśmy sobie dożywotnią miłość? Złamała przysięgę, bezczelnie okłamała mnie. Okłamała nas oboje. Przed tobą ukryła twój prawdziwy ojca, przede mną moją córkę. Ale teraz jesteśmy razem i... Dlaczego zadajesz się z tym playboyem? Jay Soames, o nim mówię... Pożąda cię, lecz nigdy nie dostanie mojej córeczki. Jesteś moja i już nikt nas nie rozłączy. Wiedz o tym, Fate. Musisz w tej chwili powiedzieć sobie: „Nigdy go nie opuszczę; do końca życia zostanę ze swoim ojcem”. W ten sposób odkupisz to, co uczyniła mi twoja matka. Wzgardziła moją miłością i muszę ją za to ukarać. Zdrada nikomu nie może ujdź na sucho... Nie pojmowała głębi mojej miłości i wpędziła mnie w same kłopoty... Po co byłeś u Jaya Soamesa? No, po co...?

Fate zwilżyła spierzchnięte wargi. To, co mówił, było straszne, ale jeszcze bardziej straszny był wyraz jego płonących oczu. Nigdy jeszcze nie zetknęła się z szaleńcem i oto teraz była w jego władzy. Słyszała o podobnych przypadkach porwań, wcale często miała okazję czytać o nich w gazetach, ale zawsze dotąd nieszczęście przydarzało się innym ludziom. Podobnie chyba jest ze śmiercią, pomyślała. Inni umierają, ale my żyjemy tak, jakby śmierć nas nie dotyczyła.

- Chciałam wpłynąć na niego, żeby przeprosił się ze swoim ojcem... - zaczęła ostrożnie tłumaczyć.

- Znaczy się z Bramem Soamesem. Tego też znam. Ożenił się dziś z Anne. Posłałem im prezent. Stary Soames prędko pożałuje tego, co zrobił. Wziął za żonę dziwkę. Dziwkę! - powtórzył, podnosząc głos aż do krzyku. - Puściła się już chyba jako dziecko, bo kiedy pierwszy raz ją przeleciałem, nie krwawiła, mimo że zapewniała przedtem, iż jest dziewicą. Dziewice krwawią, o tym wie każdy pierwszoklasista. Mam nadzieję, że jesteś jeszcze dziewicą, Fate, moja córeczko... Tak bardzo chciałem mieć dziecko, ale ona nie i nie. Nosiła cię już w sobie, a wciąż mi powtarzała, że z dzieckiem musimy poczekać. Oszustka... Ale odnalazłem ją i trzymam na muszce. Jeszcze pożałuje, że nie było jej wtedy w samochodzie razem z rodzicami. A natrafiłem na nią przez jej siostrę, twoją przybraną matkę. Wiesz, że ona jako młoda dziewczyna wyjechała do Australii i tam wyszła za mąż? Rodzice nie zaakceptowali jej męża, tak jak i na mnie nie wyrazili zgody. Zasłużyli na śmierć, sama teraz widzisz...

Fate drżała jak listek osiki, rekonstruując w myślach obłąkańczy bełkot Dennisa. Był opętany jedną myślą, jedną ideą, jednym celem, który ukształtował całe jego życie i nadal mu dyktował wszystkie jego czyny i słowa. Dennis przerażał ją, lecz równocześnie budził w niej litość i współczucie. Poza tym jego obsesja była w jakiejś mierze podobna do obsesji Jaya, co też dawało do myślenia. Oczywiście, Jay nie był porywaczem i mordercą, lecz także było go stać na wiele czynów niegodnych, byleby tylko nie utracić kontroli nad ojcem i zachować go wyłącznie dla siebie.

Jay... Czy gdyby wiedział, gdzie jej szukać, pośpieszyłby jej na ratunek? Czy obchodziła go choć trochę? Czy też uznałby, że nie ma sensu się wtrącać w sprawy pomiędzy ojcem a córką. Bo Jay uwierzyłby Dennisowi, tego akurat była pewna. Od dawna przecież twierdził, że Oliver nie jest jej ojcem.

Załkała, by zaraz rozplakać się na dobre.

Z tego, co Dennis zdążył jej powiedzieć, wyciągnęła wniosek, że Taylor, Bram i jej rodzice wiedzą już o porwaniu i na pewno zgłosili rzecz na policję. Poszukiwania najpewniej już się rozpoczęły. Myśl o tym stanowiła pewną pociechę. Ktoś troszczył się o nią, komuś zależało na jej ocaleniu.

Wielka jest siła miłości, zaczęła myśleć, żeby pokrzepić własne serce. Miłość obdarza intuicją, miłość prostuje ścieżki. Kochając, można dokonać naprawdę wiele. Kto wie, czy kochający ją ludzie nie odnajdą tej kryjówki, zanim policja nie wyczerpie wszystkich swoich rutynowych sposobów.

A jeśli mimo wszystko nie zostanie odnaleziona? Dennis Phillips uprzedził ją, że ich rozstanie nie wchodzi w rachubę. Jak zamierzał utrzymać ją w swoim wyłącznym posiadaniu? Trzymając w tej piwnicy, o ile była to w ogóle piwnica, przykutą kajdankami do ściany?

Nie wolno jej było wpadać w panikę. Powinna odsunąć od siebie strach i postarać się myśleć trzeźwo i logicznie.

O jej uszy obilo się przecież kilka głośnych spraw, kiedy ofierze porwania udało się wyjść cało z opresji.

Z reguły ofiara otwierała się na porywacza, próbując nawiązać z nim jakąś nić porozumienia. I nigdy w niczym nie zaprzeczała mu, żeby nie wywołać jego agresji. W gruncie rzeczy Fate zachowała się już zgodnie z tym wskazaniem. Kiedy Dennis powiedział, że jest jej ojcem, pozornie zaakceptowała ten fakt. I nieważne, że uczyniła tak bardziej ze strachu, niż świadoma zasad racjonalnego postępowania.

Drgnęła i skuliła się nagle. Usłyszała, że ktoś wkłada klucz do zamka, a potem w ciemności rozbłysło światło latarki.

- Fate, wróciłem. Wybacz, że musiałem zostawić cię samą, ale miałem wiele spraw do załatwienia. Spójrz, co ci kupiłem. - W snopie światła pojawiły się kwiaty i bombonierka.

Dennis, kładąc prezenty na łóżku, owionął swoim oddechem jej twarz, tak iż instynktownie cofnęła się i przywarła do ściany.

- Niemądra dziewczynka. Nie bój się. Nie zrobię ci krzywdy. Jestem twoim ojcem. Kocham cię. Pozwól mi odwiązać to, żebyśmy

mogli sobie swobodnie pogawędzić. Mam tyle planów w związku z nami... Tylko bądź cierpliwa.

- Jakich planów? - zapytała zdyszczanym głosem, gdy odwiązał chusteczkę kneblującą jej usta.

Gdyby tylko udało się jej wyciągnąć od niego jakąś istotną informację. Potrzebowała jej, tak jak alpinista potrzebuje skalnego występu, by wesprzeć na nim zawieszoną w powietrzu stopę. Musiała poczuć się silniejsza i bardziej pewna siebie. Musiała wyzwolić się z dławiącego ją strachu.

Pytanie, które zadała, nie spodobało się Dennisowi, gdyż wyprostował się i syknął coś przez zęby.

- Wkrótce się dowiesz. A teraz zjedz czekoladkę. Lubisz wiśnie w czekoladzie, prawda?

Miał rację, przepadała za wiśniami w czekoladzie. Ale ostatnią rzeczą, na jaką miała w tej chwili ochotę, były słodczyce, choćby nawet jej ulubione. Czy jednak mogła odmówić? Posłusznie otworzyła usta.

- Ty łakomczuszkę - powiedział, wkładając jej do ust czekoladkę. - Nie licz na to, że pozwolę ci zjeść od razu wszystkie. Rozbolałby cię brzusek. Twoja matka najbardziej lubiła twardą czekoladę. Taki też miała charakter. Była twardego serca. Ale ty masz miękkie serduszko, jak ta wisienka w środku. Wiesz, chyba na minutkę zdejmę ci kajdanki. Pewnie chce ci się siusiu, co? Ja to rozumiem i pozwolę ci się załatwić. Muszę jednak najpierw zawiązać ci oczy. I nie próbuj uciekać, bo wówczas twój tata bardzo się rozgniewa.

Mówił takim tonem, jakby za to, że pozwoli zrobić jej siusiu, oczekiwał wdzięczności, jeśli nie pomnika po śmierci. Boże, czy ktoś wydobędzie ją z tej otchłani strachu i poniżenia?

Obwiązał jej głowę dwiema chusteczkami, jedną zasłaniającą oczy, drugą kneblującą usta. Odczuła pokusę rzucenia się na niego. Jediną bronią, jaką dysponowała, były jej paznokcie i z rozkoszą porałyby mu twarz tymi paznokciami. Ale gdyby się nie udało, mogłaby tylko pogorszyć swoją sytuację. Jeśli w ogóle miała wyjść cało z tego okropnego położenia, to tylko odgrywając rolę potulnej owieczki.

Miejsce, do którego ją zawiódł, znajdowało się w pewnej odległości od jej „celi”. Poczowała powiew świeżego powietrza. Potem były chyba jakieś drzwi, które musiał otworzyć kluczem, zanim wprowadził ją do środka.

- Poczekam na zewnątrz - powiedział, wycofując się. - Możesz zdjąć opaski.

Uczyniła to i rozejrzała się wokół siebie. Wnętrze przypominało toaletę, jakie widuje się na kempingach. Ta również wyposażona była w przenośny prysznic i charakterystyczny sedes. Na krześle, a raczej zydłu leżały dwa równo złożone czyste ręczniki oraz gąbka i mydło. Gdy zaś spojrzała w stronę wieszaka, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wisiały tam bowiem jej džinsy, jej koszula i jej wełniany sweter. Natychmiast domyśliła się, że wykradł je z jej szafy. Ale akurat tej kradzieży nie mogła nie pochwalić. Czuła się okropnie w

eleganckiej sukience, w której została porwana, i z prawdziwą przyjemnością pomyślała teraz o przebraniu się.

Poza tym sportowy ubiór zwiększał szansę ucieczki.

Rozebrała się, załatwiła i wzięła prysznic. Wycierając ciało szorstkim ręcznikiem, pomyślała mimo woli, że jak na osobę porwaną i uwięzioną przez szaleńca pławi się w prawdziwych luksusach.

RS

- Hej, uważaj! Bo jak nie...

Jay spojrzał wrogo na zataczającego się mężczyznę, który skierował do niego te słowa. Nie miało sensu dyskutować z nim, kto tu właściwie zagraża przechodniom, wpadając na nich i deptając im po butach. Zresztą nic już nie miało sensu. Dochodziła druga w nocy, a on miał za sobą sześć godzin nieprzerwanego przeczesywania dzielnicy metr po metrze. Nigdzie nie znalazł ani śladu Fate. Nawiasem mówiąc, fiasko to było do przewidzenia. Absurdem było wyobrażać sobie, że znajdzie się kogoś w wielomilionowym mieście, nie mając w ręku ani jednej nici.

Trudno, trzeba było wracać do domu. Jay zbliżał się już do wylotu swojej ulicy, gdy nagle zmienił decyzję. Zawrócił i skierował się wprost do domu ojca.

We wszystkich oknach paliły się światła. Naprzeciwko drzwi frontowych stał zaparkowany radiowóz. Jay nacisnął dzwonek.

Otworzył Bram. Miał udręczoną, poszarzałą twarz, a w oczach jakąś bezbronność. Przechodząc przez hol, Jay zauważył w lustrze, że z wyglądu niewiele różni się od ojca.

Nie potrzebował pytać, czy wydarzyło się coś nowego. Już sama panująca w domu atmosfera zdawała się zdradzać impas w poszukiwaniach.

- Musiałem przyjść - powiedział, głośno przelykając ślinę.

Bram poklepał go po ramieniu.

- Rodzice Fate pojechali już do domu. Nie muszę ci mówić, w jakim są stanie. Śledztwo utknęło w martwym punkcie.

- Widziałem na zewnątrz wóz policyjny.

- Przesłuchują Taylor. Chcą dowiedzieć się jak najwięcej o Phillipsie. Jest z nimi specjalistka od portretów psychologicznych. Taylor, która była z Phillipsem bardzo blisko, i to przez kilka lat, jest bez wątpienia najlepszym źródłem informacji. Martwię się o nią. Bez przerwy mówi o swojej winie i odpowiedzialności za to, co się wydarzyło.

- Taylor wini siebie? Przecież to ja wypchnąłem Fate prosto w łapy tego drania. Gdybym nie kazał jej iść... -Pokręcił głową. - Co to w ogóle za facet ten Phillips?

- Psychopata i obsesjonista. Wiesz, taki, co to wbija sobie coś do głowy, by potem cały świat zredukować do tej jednej idei.

- A teraz uwierzył - założmy, że za moją sprawą - iż Fate jest jego córką. I dlatego ją porwał, czy tak?

- Nie wiemy do końca, skąd wzięło się u niego przeświadczenie o ojcostwie - powiedział Bram, unikając wzroku syna.

Z pewnością nie ma o mnie dobrego zdania, pomyślał Jay z goryczą. Obojętnie jednak, jak złe byłoby o nim zdanie ojca, jego o sobie samym było jeszcze gorsze.

Do salonu weszła Taylor. Towarzyszyli jej dwaj umundurowani policjanci oraz starsza kobieta o wyglądzie dyrektorki liceum.

- Przykro mi, że tak niewiele państwu pomogłam - powiedziała Taylor, zwracając się do kobiety.

- Pomogła nam pani przynajmniej w tym, że teraz już wiemy, jakie kierunki poszukiwań możemy z góry wykluczyć. To nam z pewnością zaoszczędzi wiele czasu, energii i środków. Dobrze na przykład wiedzieć, że Phillips uważał się za mistrza kamuflażu. Koresponduje z tym zresztą treść jego dziecięcych fantazji, o których pani wspomniała.

- Tak, w dzieciństwie często wyobrażał sobie, że jest zwierzęciem, że żyje w lesie, a jego domem i schronieniem jest wygrzebana w ziemi nora, którą nazywał legowiskiem. Nie raz mówił, że tylko w takiej jamie czułby się naprawdę bezpiecznie, w odróżnieniu od ludzkich siedlisk, gdzie wszyscy wszystkich obserwują. - Taylor zadrżała, jakby nagle poczuła przejmujący chłód.

- Rozumiem. - powiedziała pani psycholog, wyjmując z torby notes i coś w nim jeszcze odnotowując. - Być może rysuje się nam pewien trop. Muszę to poddać jeszcze zespołowej konsultacji. Dziękuję pani, a teraz ja i moi koledzy pożegnamy się już. Wygląda pani na skrajnie wyczerpaną, radzę więc przespać się choćby kilka godzin.

- Dobrze, zrobię to, ale dopiero po odnalezieniu mojej siostrzenicy - powiedziała Taylor, wymieniając ze starszą kobietą pożegnalny uścisk dłoni.

Wydawała się opanowana i spokojna, lecz nawet dla Jaya, który znał ją bardzo powierzchownie i jeszcze deformował tę wiedzę swoim uprzedzeniem, było oczywiste, że udaje się jej to tylko dzięki wewnętrznej dyscyplinie i żelaznej woli.

Patrząc na nią, Jay poczuł dla Taylor, kobiety, której dotąd nienawidził i którą oskarżał o najgorsze, coś w rodzaju szacunku. Jej opanowanie, jej determinacja, jej miłość i poświęcenie, wszystko to nagle zaczęło mu bardzo imponować. Ujrzał w niej osobę, którą dobrze byłoby mieć po swojej stronie. W ogóle czuł się jak człowiek, któremu usunięto z oczu bielmo i po raz pierwszy dostrzega rzeczywistość w jej prawdziwej postaci. Ale na żal i wyrzuty sumienia było już za późno. Zresztą ani żalem, ani też wyrzutami sumienia nie można naprawić stosunków, które przyjęły postać otwartej i bezpardonowej wojny.

- Lepiej już sobie pójdę - powiedział, zwracając się do ojca. - Jeśli wydarzy się coś nowego, daj mi znać.

- Ale dlaczego nie miałbyś zostać z nami? - odparł Bram. - W tym domu jest dość pokojów.

Bram i Jay jak na komendę spojrzeli na Taylor, jej pozostawiając ostateczną decyzję.

Dla Taylor zaś, która prawidłowo odczytała zawarte w ich spojrzeniach pytanie, była to kolejna przykra niespodzianka, kolejny cios. Jay był ostatnią osobą, z którą chciałyby przebywać w tej chwili pod jednym dachem. Wiedziała przecież, że zaprzysiągł jej dożgonną wrogość. Znała też wszystkie jego związane z Bramem obsesje i nietrudno jej było zgadnąć, jakie mogą być konsekwencje tego opętania.

Ostatnio zaś zauważała zbyt wiele podobieństw pomiędzy Jayem a Dennisem. Oczywiście, istniały też zasadnicze różnice, niemniej syn

Brama budził w niej lęk i nieufność. I teraz, gdy najbardziej ze wszystkiego pragnęła życzliwości i wsparcia, ktoś taki miał spać w sąsiednim pokoju, a choćby i nawet na końcu korytarza?

Nie mając śmiałości dłużej patrzeć na Taylor, Jay spojrzął na ojca i ku swemu zdumieniu zobaczył w jego oczach gorącą, choć nieśmiałą prośbę. Wyglądało to tak, jakby Bram wstawiał się za nim u żony, jakby błagał ją o wielkoduszność i przebaczenie. Czyżby więc Bram... Czyżby jego ojciec nadal go kochał?

Ale za co miałby go kochać? Za te wszystkie intrygi, którymi go oplatał, byleby tylko zrazić go do Taylor i zachować dla siebie? Za te wszystkie dowody nieszczerości i obłudy, których mu nie szczędził? Pragnął zdobyć miłość ojca siłą i podstępem, lecz takimi metodami nie zdobywa się miłości. Miłość otrzymuje się lub nie. A jeśli się otrzymuje, to tylko w niczym nie skrepowanym i wolnym akcie ofiarowania. Bo miłość ma sens tylko jako bezinteresowny dar.

Coś takiego próbowała zaofiarować mu Fate, on jednak wzgardził jej darem, a ofiarodawczynię wyszydził i brutalnie wypchnął z domu. Jak się okazało, prosto w zastawioną na nią sieć.

- Jak sądzicie, skąd u tego Phillipa przekonanie, że Fate jest jego córką? - zapytał, dziwiąc się swemu pytaniu. Było jasne, że zarówno Bram, jak i Taylor jego właśnie podejrzewają o bierny albo też czynny współudział w budowaniu tego przeświadczenia.

- Pamiętam - powiedziała Taylor - że zawsze bardzo chciał mieć ze mną dziecko. Być może liczył, że zdobędzie w ten sposób nade mną przewagę, że uzależni mnie od siebie. Ale dlaczego akurat Fate...

Jay zacisnął dłonie.

- Nie powiedziałem mu, że Fate jest jego córką. Nie znam tego człowieka. Zresztą poza Fate i tobą, tato, z nikim nie poruszałem tego problemu.

Zakłopotany Bram spojrzał na zegarek.

- Dochodzi czwarta. Wszyscy ledwie trzymamy się na nogach. Spróbujmy mimo wszystko przespać się kilka godzin.

- Rankiem znów będę przesłuchiwana - powiedziała Taylor. - Myślę, że mogłam zapomnieć o czymś istotnym w dzisiejszej rozmowie.

Bram ściągnął brwi.

- Przecież już dość cię wymaglowali. Z pewnością powiedziałaś wszystko, co miałaś do powiedzenia.

- A jednak zależy mi na ponownym przesłuchaniu - oświadczyła z delikatną stanowczością, kładąc dłoń na swoim brzuchu. - Dzisiaj bardzo trudno było mi się skupić. Fate nie jest moim dzieckiem, ale...
- Na chwilę zamknęła oczy. - Nawet jeżeli odzyskamy ją całą i zdrową, żadne z nas nie będzie już takie samo. Rany zagoją się, blizny pozostaną.

Słuchając i obserwując Taylor, Jay doświadczał jakiejś dziwnej przemiany. Jak gdyby dopiero teraz stawał się w pełni dorosły, o ile dorosłością wypada nazwać wewnętrzną powagę oraz poczucie

odpowiedzialności za swoje czyny i słowa. To on powinien wyrwać Fate z rąk tamtego człowieka, bo to on wobec niej najbardziej zawinił. Sprofanował i odrzucił jej miłość, chociaż tak bardzo... tak bardzo ją kochał.

Kochał? Tak. On, Jay Soames, bardzo kochał Fate.

Aż poruszył się niespokojnie pod wpływem tej myśli. Tylko tchórze postępują w ten sposób. Bo tylko tchórz nie przyjmuje do wiadomości czegoś, co z takich czy innych względów mu nie odpowiada. Nie odpowiadało mu wiązać się z Fate, ponieważ włączył ją do swojej intrygi przeciwko Taylor. A zatem okłamywał samego siebie, kiedy zaś wreszcie zdobył się na szczerłość, było już za późno.

- Fate jest taka młoda... - powiedziała Taylor załamującym się głosem.

- Właśnie - próbował pocieszać ją Bram. - Ponieważ jest młoda, jest również silna. Na razie nie grozi jej najgorsze, przecież dla Dennisa wciąż jest jego córką. Dopóki on tak myśli, ona jest względnie bezpieczna. Zobaczysz, kochanie, że wszystko dobrze się skończy, zobaczysz... -Podszedł do Taylor i położył dłonie na jej ramionach. Jay odwrócił wzrok.

Dziesięć minut później Jay był już w wyznaczonej mu przez ojca sypialni. Wyjrzał przez okno i zobaczył chodzącego przed ich domem policjanta. Mieli więc ochronę, lecz to nie oni jej potrzebowali, tylko Fate. Ta sama Fate, która się z nim kochała, by po godzinie znaleźć się w jakiejś mrocznej i wilgotnej piwnicy.

Gdyby on, Jay, nie zrobił tego, co zrobił; gdyby nie powiedział tego, co powiedział; gdyby wyznał Fate to, co naprawdę czuł do niej - wówczas wszystko byłoby inaczej. Gdyby... Najgorsze słowo po słońcem!

Rozebrał się, położył, lecz długo nie mógł zasnąć. A kiedy wreszcie zasnął, osaczony został przez tak okropne koszmary, że modlił się we śnie o przebudzenie. Niestety, musiał dośnić wszystko do końca.

Nocną ciszę przebił daleki krzyk.

Taylor gwałtownym ruchem usiadła na łóżku i zaczęła nad słuchiwać. Może ten krzyk był tylko tworem jej wyobraźni? Albo to ona sama krzyczała przez sen, co przecież przed poznaniem Brama zdarzało się jej prawie każdej nocy...

Ale nie. Krzyk powtórzył się i był teraz dużo wyraźniejszy. Dochodził z tego końca korytarza, gdzie znajdowała się sypialnia Jaya. Przypominał wołanie na pomoc. Miał też w sobie coś z błagania o litość.

Ścisnęło jej się serce. Nie mogła nie zareagować, byłoby to równoznaczne z wyrzeczeniem się swojego macierzyństwa. Tak mogło krzyczeć tylko dziecko, dręczone przez senną zmore, ona zaś, choć dopiero brzemienna, czuła się już matką.

Spuściła nogi, wsunęła stopy w kaptcie i wyszła na korytarz. Po chwili była już w pokoju Jaya. Wpadająca z korytarza smuga wąskiego światła kładła się wprost na łóżko.

Jay leżał na lewym boku, twarzą do drzwi, z zaciśniętymi w pięści dłońmi. Miał zamknięte oczy i bełkotał coś przez sen. Za wyjątkiem „daleko” i „dość” nie mogła zrozumieć pozostałych słów. Podchodząc, wyróżniła jeszcze jedno słowo - „mama”.

Błogie ciepło rozlało się po całym jej ciele. Jay snił o swojej matce. Może uczestniczył w tej chwili w wypadku, w którym poniosła śmierć. A może przywoływał ją z zaświatów, spragniony dotyku jej miękkich kochających dłoni.

Ona, Taylor, też była matką i jako matka tu przyszła z macierzyńską posługą.

Przysiadłszy na brzegu łóżka, ujęła pięści Jaya w swoje dłonie.
- Cicho, Jay. Wszystko będzie dobrze, jestem przy tobie - powiedziała do niego z ogromną czułością, powtarzając tę odwieczną formułę pocieszenia i wsparcia.

Nie obudził się, nie otworzył oczu, lecz chyba jej kojący szept dotarł do głębin jego podświadomości, gdyż rozluźnił się, westchnął i zaczął oddychać spokojniej i wolniej.

Nachyliła się i złożyła na jego zimnym, spoconym czole macierzyński pocałunek - znak zrozumienia, miłości i błogosławieństwa.

Mieli ze sobą dużo wspólnego. Oboje kochali Brama i oboje winili siebie za to, co przydarzyło się Fate. Prawda jednak była taka, że stanowili tylko dwa ogniwa w długim łańcuchu wydarzeń, które doprowadziły do tej tragedii.

Biedny mały chłopiec, pomyślała Taylor, patrząc na uśpioną i spokojną już twarz Jaya. Jakim strasznym ciosem musiała być dla niego strata matki. Nic dziwnego, że walczył tak rozpaczliwie o swoje wyłączone prawo do ojca.

Zanim odeszła, delikatnie pogładziła go po policzku. Uśmiechnął się przez sen.

Świtało już, lecz Dennis nie czuł się senny. Chodził tam i z powrotem między czterema ścianami swojej kryjówki i w nastroju podniecenia napawał się swym szczęściem. Nie był już sam, odzyskał swoją córkę i miał ją na wyciągnięcie ręki.

Szkoda tylko, że ona nie cieszyła się tak jak on. Niestety, kochając, musiał być zarazem okrutny. Zanim Fate wsunęła się do śpiworu, który dla niej przygotował, prosiła go swoim słodkim głosem, żeby na noc uwolnił ją z więzów. Odmówił, i to bardzo stanowczo, gdyż trzeźwo patrzył na sprawy. Jasne, że z wielką ochotą cisnąłby w kąt kajdanki, które krępowały jej ręce, ale Fate była na razie tylko młodym dzikim zwierzątkiem, które należało dopiero poskromić. Wolna, podjęłaby przy pierwszej nadarzającej się okazji próbę ucieczki i w konsekwencji zrobiłaby sobie krzywdę. Nie chciał jej krzywdy, chciał jej dobra. Po jakimś czasie, gdy uspokoi się i zmądrzeje, kajdanki z pewnością przestaną być potrzebne.

A w ogóle to powinna nosić zdecydowanie dłuższe włosy. Dziewczęta tylko w długich włosach wyglądają ładnie i wdzięcznie. Więc kiedy jej włosy zaczną już sięgać przynajmniej ramion, on, kochający tata, kupi jej mnóstwo pięknych ubrań. Gdziekolwiek

pojawią się razem, ludzie będą chwalić nieprzeciętną urodę jego córki. A on będzie chodził dumny jak paw, świadomy zazdrości mniej szczęśliwych ojców.

Kiedy sprawa ucichnie i psy gończe wrócą do swoich komisariatów, on i Fate porzucą tę kryjówkę i wyruszą w szeroki świat. Pokaże jej hałaśliwe metropolie i zaciszne nadmorskie kurorty. Jeśli karnawał, to tylko w Rio, a jeśli zima, to tylko w Alpach. Przemierzą całą kulę ziemską. Będą polować w Kenii i jeździć na słoniach w Indiach. Dysponował już pewną sumą pieniędzy, którą zaoszczędził sobie w więzieniu, a poza tym mógł podjąć się każdej pracy. Przecież nie miał dwóch lewych rąk.

Ostrożnie uchylił drzwi i rozproszył mrok sąsiedniego pomieszczenia światłem latarki. Fate spała. A może tylko udawała, że śpi? Wykluczone. Młode zwierzątka nie mają zdolności aktorskich. Nie potrafią odgrywać komedii. I dlatego można je kochać bez obawy, że wystawią człowieka do wiatru.

Fate... Kilkakrotnie z lubością wymówił jej imię.

Była jego. Była jego od chwili, gdy dowiedział się, że jest córką Taylor. Przetelegrafował mu tę wiadomość młody Soames podczas swojej rozmowy z Fate. Rozmawiali na chodniku przed domem, w którym ten napchany pieniędzmi synalek miał swój apartament. Oczywiście nie mieli pojęcia, że on, Dennis, stoi tuż za rogiem. Mówili podniesionymi głosami.

Tak, ludzie są bardzo nierozważni. Rzadko kiedy przychodzi im do głowy, że mogą być śledzeni i podsłuchiwani. Tym lepiej dla

śledzących i podsłuchujących. Wówczas bowiem ktoś może im coś podarować. Tak właśnie jemu podarowano jego córkę, jego skarb, jego laleczkę, jego śliczności...

RS

Jay obudził się. Znajdował się w ogrodzie. To znaczy widział ściany i sufit swojej sypialni, tyle że woń, jaka unosiła się w powietrzu, przypominała zapach ogrodu wieczorową porą. Mieszanka róż, bzów i jaśminów. Delikatny kwiatowy zapach kobiecych perfum.

Obwąchał poduszkę. Pachniała tylko potem i proszkiem do prania. Woń perfum najwyraźniej nie miała jakiegoś konkretnego źródła, a tylko unosiła się w powietrzu, jakby ten pokój nawiedziła nocą bogini pól, lasów i ogrodów.

Dom pogrążony był w ciszy. Ojciec i Taylor widocznie jeszcze spali. Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma. Co w tej chwili mogła robić Fate? Spała niespokojnym snem? Płakała? Błagała swojego prześladowcę, żeby zwrócił jej wolność?

A jakie były jego plany na najbliższą przyszłość? Bez wątplenia Phillips widział siebie w roli ojca, którego pozbawiono dziecka i który poczuł się zmuszony egzekwować swoje prawo własności. W zasadzie policja miała rację. Taki ojciec nie zrobi krzywdy swojemu dziecku, przeciwnie, będzie strzegł swojej własności niczym źrenicy oka. Chyba że to dziecko zacznie się go wypierać. Fate miała do tego pełne prawo, gdyż prawdziwym jej ojcem był Oliver. Gdyby jednak Fate faktycznie uznała, że najkrótszą drogą do odzyskania wolności jest przekonanie Dennisa o jego pomyłce, popełniłaby straszliwy błąd. Wówczas bowiem cała jego wściekłość, wściekłość szaleńca, obróciłaby się przeciwko niej.

Jay wyskoczył z łóżka i po kwadransie szedł już oblaną porannym słońcem ulicą. Napędzana elektrycznością furgonetka mleczarza zatrzymywała się co dwa, trzy domy, nie czyniąc żadnego hałasu. Ktoś otworzył okno, gdzieś trzasnęły drzwi, duży pies gapił się przez pręty ogrodzenia. Z domu pokrytego zielonym dachem wyszła para młodych ludzi. Szli spleceni w uścisku. Widać nie wystarczała im ta noc, którą spędzili ze sobą, i pragnęli przedłużyć fizyczny kontakt aż do momentu, gdy wsiądą do metra bądź samochodu.

Jay odwrócił wzrok. Ciężko mu było patrzeć na cudze szczęście.

Usłyszał kościelny dzwon. Spojrzał w kierunku, skąd dochodziło dzwonięcie. Zobaczył biały kościółek, przycupnięty na skraju skweru, porośniętego bukami i klonami. Nie namyślając się wiele, postanowił wejść do środka.

Drzwi stały otworem. Wnętrze oświetlały cztery skromne kinkiety, po dwa z każdej strony. Słońce nie przebijało przez witraże, gdyż jeszcze nie zdążyło się wznieść ponad korony drzew skweru.

Kościół był pusty, tylko w lewym rzędzie ław w pobliżu ołtarza siedziała jakaś osoba. Kobieta. Pograżona w modlitwie, miała zwieszoną głowę i złożone dłonie. Jej modlitewne skupienie pogłębiało jeszcze panującą tu ciszę. Po kilku minutach wstała i dopiero teraz ją rozpoznał.

Taylor również go rozpoznała, jednak nie potwierdziła tego żadnym znakiem. Przechodząc, prześlizgnęła się po nim krótkim,

spłoszonym spojrzeniem. Poczł zapach jej perfum. Ten sam, który odnalazł po przebudzeniu w swoim pokoju.

Znał juź tajemnicę tego ranka. Taylor przyszła go pocieszyć, bo pewnie krzyczał i jęczał przez sen, by później po pociechę dla siebie przyjść do tej Bożej świątyni.

Spojrzał w kierunku ołtarza. Zobaczył obraz Ukrzyżowanego poprzez zasłone z łez. Próbował uporządkować swoje myśli. Nie udało się, więc zaczął gorączkowo poszukiwać w pamięci wyuczonej w dzieciństwie modlitwy. Daremnie. Wyrzekł się Boga przed wielu, wielu laty i teraz przyszedł do Niego z pustymi rękami. Nie miał Mu nawet do zaofiarowania tych kilku prostych słów, które zna każde dziecko.

Zagniewany na siebie, odwrócił się i skierował ku wyjściu. Dopiero na progu pomyślał, że mógł się choć przeżegnać. Było juź jednak za późno. Zobaczył Taylor. Stała w promieniach porannego słońca. Czekala na niego. Mógł jeszcze skrócić w bok i ratować się ucieczką, ale ona juź zauważyła go i szła ku niemu.

- Musisz mnie nienawidzić - wybuchnął.

- Mylisz się, Jay. Nie ma we mnie nienawiści. Jest tylko strach przed tobą. - Zadrzała. - Za bardzo przypominasz mi Dennisa. Twoja zaborczość, twoja wrogość wobec świata bardzo łatwo może zmienić się w obsesję.

- A czy uważasz, że mógłbym zrobić to co on?

Milczała. To milczenie było bardzo wymowne. Jay poczuł się dotknięty do żywego. Dennis Phillips złamał prawo. Spędził wiele lat

w więzieniu. Był mordercą, gwałcicielem i porywaczem. Wszystko też wskazywało na to, że nie mieścił się w normach zdrowia psychicznego. Podczas gdy on, Jay...

- I mimo że uważasz mnie za potencjalnego mordercę, nie bałaś się przyjść do mnie tej nocy?

- Tej nocy byłeś dzieckiem, samotnym i potrzebującym pomocy.

- Położyła dłoń na swoim brzuchu, jakby chcąc mu tym gestem przypomnieć, że jest już matką.

- Nie chciałem skrzywdzić Fate. Ja ją... Kocham.

Jay nie poznawał samego siebie. On, który jeszcze przed nikim się nie otworzył, który nie ufał nikomu i niczemu, który w końcu ani razu nie zachował się po ludzku wobec drugiej osoby, mówił nagle jak na świętej spowiedzi.

- Tak, wiem - powiedziała Taylor.

- Och, Boże, gdzie on mógł ją zaciągnąć?

Za całą odpowiedź obdarzyła go uśmiechem, w którym zawarła całą swoją ufność w dobroć Boga i Jego wspomnienie.

Wróciwszy do domu, zastali w salonie rodziców Fate, którzy dopiero co przyjechali, oraz inspektora policji. Inspektor zapewniał właśnie Caroline, że policja robi wszystko, by odnaleźć jej córkę.

- Przeszukaliśmy dziesiątki domów i piwnic w okolicy, gdzie po raz ostatni widziano zaginioną. Jesteśmy niemal pewni, że kryjówka znajduje się w niewielkiej odległości od miejsca porwania. Phillips wie, co robi. Bez wątplenia wziął wszystko pod uwagę, na przykład ewentualność kolizji lub rutynowego sprawdzania dokumentów wozu.

Dłuższa jazda z ofiarą, zapewne uśpioną jakimś środkiem narkotycznym, wiązałyby się z nadmiernym ryzykiem.

Wszedł policjant, informując inspektora, że jest wzywany przez radio.

Minęło dziesięć minut pełnego napięcia oczekiwania, zanim inspektor wrócił. Na jego twarzy malowało się ożywienie.

- Jest duże prawdopodobieństwo, że odkryliśmy jego kryjówkę - oznajmił.

- Gdzie? - padło z kilku ust równocześnie to samo pytanie, zaś Taylor i Caroline rzuciły się sobie w ramiona i wybuchnęły płaczem.

- Jeden z moich ludzi widział mężczyznę bardzo podobnego do Phillipsa, który opuszczał teren budynku przeznaczonego do rozbioru. Całkiem niedaleko od pańskiego domu, panie Soames - dodał inspektor, zwracając się do Jaya. - Obstawiliśmy plac i obserwujemy każdy...

- Obserwujecie! - wybuchnął Oliver. - Jeśli sądzą, że jest tam Fate, to dlaczego, do diabła, nie wejdziecie i nie wyciągniecie jej z tego piekła?!

- Przede wszystkim musimy upewnić się, że ten mężczyzna to faktycznie Phillips. Poza tym nie możemy wykluczyć - inspektor mimowolnie ściszył głos - czy czasami nie czekają tam na nas różne niebezpieczne pułapki.

- Jak mamy to rozumieć? - zapytała Caroline z pobladłą twarzą. Wszyscy zresztą mieli przerażone miny.

- Gość mógł na przykład zaminować teren - odparł inspektor dziwnie bezosobowym głosem. - Do szaleńców trzeba podchodzić w rękawiczkach. Trudno przewidzieć, co im może strzelić do głowy.

- A kiedy zostanie ustalona tożsamość tego mężczyzny? - zapytał Bram.

- Na pewno dzisiaj, ale godziny nie jestem w stanie państwu podać. - Inspektor spojrzał na mężczyznę. -I żadnych bohaterskich wyskoków, panowie. Jeden nierozważny krok z waszej strony, a życie moich ludzi, jak również życie Fate, może się znaleźć w wielkim niebezpieczeństwie.

Jay wiedział, że inspektor ma rację. Ale wiedział też, że każdy z nich trzech, a Oliver chyba najbardziej, pragnąłby wziąć czynny udział w osaczeniu Phillipsa i uwalnianiu Fate.

Minęła godzina. Inspektor nie śpieszył się z odejściem. Było jasne, że czeka na jakąś wiadomość. Wreszcie otrzymał ją. Przyszło potwierdzenie, że podejrzany mężczyzna to ponad wszelką wątpliwość Dennis Phillips.

Zanim jednak inspektor wszedł do radiowozu i udał się na miejsce akcji, wyznaczył jako łącznika, a także strażnika całego domu, młodego policjanta ze swej ekipy.

Mijały godziny. Skończył się dzień, zapadła noc, a będący w dyspozycji policjanta radiotelefon wciąż milczał.

- Na co oni czekają? - zapytał Oliver, wyglądając przez okno. - Jak długo jeszcze będą pozwalali znęcać się mu nad moją córką?

Oliver już po raz dziesiąty lub dwudziesty zadawał sobie i innym te pytania, nikt jednak nie zauważył tej powtarzalności, gdyż myśli wszystkich już od wielu godzin koncentrowały się wyłącznie na tej jednej kwestii.

Liczyli godziny, minuty i sekundy. Czuli się wyczerpani, lecz nikomu nie chciało się spać. Kto zgłodniał, robił sobie kanapkę. Dla zabicia czasu próbowali oglądać telewizję, ale kontrast pomiędzy rzeczywistością a programową ofertą był tak ogromny, że prędko wyłączyli odbiornik.

Nastał świt, a potem ranek. Słoneczny błękit nieba wydawał się nie do zniesienia dla zmęczonych oczu.

Dopiero o wpół do dziewiątej rozległ się charakterystyczny sygnał radiotelefonu. Młody policjant, który dzielił z nimi ich napięcie i niepokój, porwał za słuchawkę. Ktokolwiek teraz do niego mówił, mówił bardzo krótko. Słuchawka zaraz wróciła na swoje miejsce.

- Wchodzą - rzekł tylko policjant, prześlizgując się wzrokiem po pobladłych, stężonych w oczekiwaniu twarzach. - Phillips opuścił teren budynku. Doczepiono mu ogon. Reszta przystępuje do zasadniczej akcji.

To Bram pierwszy dostrzegł, że Jay kieruje się ku drzwiom, i to Bram zastąpił mu drogę.

- Muszę tam być - powiedział Jay przez zaciśnięte zęby.

- Musisz? Dla dobra i bezpieczeństwa Fate czy żeby choć w części oczyścić swoje sumienie?

Jay zamknął oczy. Oczywiście, ojciec miał rację. Jak zawsze...
jak zawsze...

Zawrócił, padł na fotel i pogрузzył się w myślach. Mijały sekundy i minuty. Czas ciągnął się w nieskończoność. Nikt nie poruszał się i nie zdradzał chęci do rozmowy. Rodzice Fate stali przy oknie, Taylor i Bram siedzieli na otomanie w pobliżu kominka i tylko on, Jay, nie miał przy sobie nikogo. Zawsze był sam, a teraz czuł, że tak już pozostanie.

Nie wiadomo dlaczego, ale samochód ten od razu przykuł jego uwagę. Nie był to wóz policyjny, żadnych anten, świateł alarmowych czy oznakowań, a jednak kiedy ukazał się u wylotu ulicy, Jay natychmiast przykleił się do niego wzrokiem. Jechał wolno, jakby wiozł jakiś cenny lub wybuchowy ładunek. Kiedy zaś zatrzymał się przed frontowymi drzwiami, wszystko stało się jasne.

Najpierw z wnętrza wozu wynurzył się inspektor. Po chwili pochylił się i pomógł wysiąść Fate.

- Fate... - powiedział Jay jak dziecko, które dopiero się uczy dopasowywać odpowiednie słowa do poszczególnych przedmiotów.

Spojrzała w stronę okna i ich spojrzenia się spotkały. Porażona słonecznym światłem, zmrużyła oczy. Jaka jasność, pomyślała, wciąż mając w pamięci tamtą ciemność grobowca.

Policja uwolniła ją, gdy była już bliska nerwowego załamania. Dennis, wychodząc, znów przykuł ją do ściany kajdankami, po czym ostrzegł swoim ciepłym głosem kochającego tatusia, że wokół założone są ładunki wybuchowe, które mogą eksplodować przy

głośniejszym hałasie. Podejrzewała, że tylko blefuje, kiedy jednak sobie poszedł, za gardło chwycił ją strach. Dennis był szaleńcem, a nic nie może się równać determinacji szaleńca. Dlaczego miałby ją oszukiwać co do tych ładunków?

Więc kiedy do kryjówki wpadło dwóch policjantów, przeraziła się, że za chwilę ona i oni wylecą w powietrze. Nic jednak takiego się nie stało i teraz chłoneła wszystkimi porami twarzy rozkoszne ciepło porannego słońca, starając się nie patrzeć na okno, w którym stał Jay.

Ktoś chwycił ją w ramiona. Zobaczyła tuż przed sobą zalaną łzami szczęścia twarz matki. Potem wszystko zaczęło się zmieniać jak w kalejdoskopie. Twarz ojca, który też nie potrafił powstrzymać łez, twarz Taylor i twarz Brama. Wszyscy oni ściskali ją, całowali i zarzucali mnóstwem ważnych i nieważnych pytań.

Wreszcie kres tej euforii położył inspektor. Poprosił wszystkich, żeby weszli do domu, a następnie wyjaśnił, że o ile minęło niebezpieczeństwo ze strony Phillipa, który siedzi już pod kluczem, to nie minęło ze strony wszędobylskich dziennikarzy, a chyba nikt tu sobie nie życzy, żeby ta sprawa znalazła się jutro na pierwszych stronach wszystkich krajowych dzienników i była wałkowana przez co najmniej dwa tygodnie.

Ta rozsądna rada przypadła wszystkim do gustu. Kiedy jednak przechodząc przez hol i kierując się do salonu, mijali stojącego z boku Jaya, nikt się do niego nie odezwał, nikt nawet nie spojrział na niego. On zaś, owszem, spodziewał się kary, ale nie aż tak okrutnej. Mimo

wszystko sądził, że pozwolą mu żyć, że nie zostanie skazany na nieistnienie.

A kiedy Fate, oszołomiona, szczęśliwa i jednocześnie bardzo cierpiąca, odpowiedziała już na wszystkie pytania, sama ośmieliła się zadać jedno jedyne:

- Gdzie jest Jay?

Niestety, nikt nie potrafił udzielić jej odpowiedzi. Wszyscy zbyt przejęci byli jej powrotem, by zauważyć jego zniknięcie.

RS

EPILOG

Trzy lata później

- Chyba już wiesz, że Fate wraca?

Zanim odpowiedział, Jay zdołał jeszcze uwolnić swojego małego braciszka z miażdżącego uścisku młodszej od niego o pół roku, ale zdecydowanie silniejszej i bardziej agresywnej córeczki Plum.

- Tak, Taylor wspomniała mi o tym.

Plum wykrzywiła usta w lekkim uśmiechu i zaczęła uspokajać wrzeszczącą teraz Larę, która domagała się, by wziąć ją na ręce. Nie było to łatwe, gdyż ogromny brzuch, widomy znak kolejnej ciąży, czynił z Plum niemal inwalidkę.

Kto by przypuszczał, pomyślała, dźwigając córeczkę, że Jay aż do tego stopnia się zmieni. Cynik, intrygant i egoista przeobraził się w ciągu bardzo krótkiego czasu w niańkę dla dzieci Brama i Taylor. Plum była w tym okresie zbyt zajęta swoimi sprawami, by śledzić z bliska ów proces całkowitej i zadziwiającej przemiany, ale widziała rezultaty i te przeszły najśmielsze oczekiwania.

Jay nie tylko pozwalał dzieciom wlażyć sobie na głowę, nie tylko bawił się z nimi i chodził na spacer, lecz nadto czerpał z tego mnóstwo przyjemności. Jak tak dalej pójdzie - Plum nie mogła odmówić sobie odrobiny sarkazmu - to zaczną wynajmować go w Londynie za Świętego Mikołaja.

- No, Lara, czas wracać do domu - powiedziała do córeczki. -
Pocałuj wujcia, pożegnaj się z Thomasem i uciekamy.

Prześliczna dwuletnia dziewczynka oplótła szyję Jaya swoimi pulchnymi rączkami i pocałowała go w sam środek ust, mrużąc przy tym z rozkoszy oczęta. Tak, dzieciaki uwielbiały „brata” i „wujcia”. Przynajmniej te starsze, gdyż półroczna okruszynka Brama i Taylor, o wdzięcznym imieniu Charlotte, niewiele jeszcze wiedziała o tym bożym świecie.

- Zaniosę Larę do samochodu - zaofiarował się Jay, pamiętając o tych dwóch tygodniach, które pozostały Plum do dnia rozwiązania.

Thomas, rzecz jasna, nie chciał być gorszy. Jay rozumiał jego ambicje i rezerwując dla Lary lewe ramię, prawą rękę, jako mocniejszą, obciążył sobie młodszym bratem.

Tak, Jay wreszcie kochał i był kochany, pomyślała Plum. Co prawda na razie całym sercem kochały go tylko dzieci, ale i to miało ogromną wartość.

Przekroczył już trzydziestkę i wciąż był kawalerem. Helena, której zawsze Jay wydawał się diabłem wcielonym, nie wierzyła w istnienie tak głupiej kobiety, która świadomie połączyłaby z nim swój los. Plum, oczywiście, zachowywała wobec tego sądu daleko posuniętą rezerwę. Jay mógł ożenić się w każdej chwili. Był pod każdym względem świetną partią. Wykształcony, przystojny, bogaty. Wiele kobiet oddałoby mu swoją rękę z zamkniętymi oczami. Za wyjątkiem tej jednej...

Spojrzała jeszcze raz na Jaya. Być może jego męska uroda straciła coś z dawnego blasku, jak na blasku traci malowidło, gdy zwietrzeje farba i zetrze się werniks, ale przecież są i takie obrazy, które dopiero wówczas można nazwać pięknymi, kiedy trochę ściemnieją i przygasną. Gdyby ona, Plum, tak całkowicie i bez reszty nie była zakochana w Gilu, mężczyzną, w którego stronę najpierw zwróciłyby oczy, byłby bez wątpienia Jay.

A jednak kobieta, którą on próbował zdobyć, najnormalniej w świecie dała mu kosza. Oświadczył się Fate w kilka dni po jej uwolnieniu z rąk tego szaleńca, jednak przeliczył się, biedaczysko.

- Przekaż Taylor i Bramowi moje pozdrowienia - powiedziała, otwierając tylne drzwi auta, żeby Jay mógł usadzić Larę w dziecięcym foteliku. - Jutro wracam do domu.

- Zachichotała i poklepała się po imponującym brzuchu.

- Gil chce, aby ta dwójka, bo tym razem zanosি się na bliźniaki, urodziła się w mniej dramatycznych okolicznościach niż Lara.

Faktycznie, okoliczności przyjścia na świat Lary można było nazwać dramatycznymi bez popadania w przesadę. Urodziła się bowiem w karetce pogotowia, zaparkowanej na poboczu autostrady.

- Jedź ostrożnie - powiedział Jay, całując ją w oba policzki. - Pamiętaj, że wiesz moją chrześniaczkę.

Wciąż nie wiedziała, dlaczego W ostatniej chwili zmieniła zamiar i zamiast Brama poprosiła Jaya na ojca chrzestnego. Mogła tylko powiedzieć, że uważała ten wybór za trafiony, podobnie jak swoją decyzję przyjęcia oświadczyn Gila. Może była głupiutką

kobietką, ale dwa razy posłuchała głosu serca, ono zaś odpowiedziało jej właściwie.

Jay i Thomas pomachali Plum i Larze, po czym wycofali się czym prędzej do domu, gdyż pod wieczór zaczynało robić się chłodno.

Taylor i Bram mieli wrócić dopiero w niedzielę późnym popołudniem, wcześniej bowiem czekała ich uroczystość wręczenia dyplomów magisterskich. Jeden z absolwentów, Neil Walters, z uwagi na swoje inwalidztwo mógł ukończyć Studia jedynie dzięki specjalnie opracowanemu przez Bramę komputerowi osobistemu, i to on właśnie ich zaprosił. Potem zaś planowali dwudniowy wypad nad morze, gdyż Taylor zatęskniła nagle za włóczęgą po dzikich plażach.

Stosunki pomiędzy Bramem a Jayem układały się w zasadzie pomyślnie, lecz od czasu do czasu dochodziło między nimi do sporów i spięć. Filantropijna działalność ojca różniła się zasadniczo od ostrej walki o zysk, którą toczył syn, stojący na czele prężnego przedsiębiorstwa. W sumie jednak Bram musiał przyznać, że Jay na tym polu odniósł już znaczne sukcesy. Fuzja z Japończykami, do której w końcu doprowadził, pozwoliła wypłynąć firmie na szerokie międzynarodowe wody i zdobyć nowe rynki zbytu. Słowem, Jay sprawdził się jako menedżer i przedsiębiorca.

Teraz jednak, przyrządzając Thomasowi kolację, Jay nie myślał o swoich finansowych sukcesach, lecz o winie i karze. Nigdy nie doszło do procesu sądowego, w którym wina Dennisa Phillipsa byłaby udowodniona, on sam zaś zostałby ukarany. Zanim jeszcze

wyznaczono termin pierwszej rozprawy, w celi, w której przebywał Phillips, wybuchła bójka pomiędzy więźniami. Dennis otrzymał cios w szczękę, a padając uderzył głową o kant stołu. Sekcja zwłok wykazała, że śmierć nastąpiła natychmiast.

Wiadomość o śmierci swojego prześladowcy Taylor przyjęła bez śladu hipokryzji. Wręcz ucieszyła się tą śmiercią, czym wyraziła nastrój wszystkich. Brak rozprawy sądowej oznaczał w dodatku brak żeru dla żądnych sensacji dziennikarzy.

A Fate? Trzy dni po odrzuceniu oświadczeń Jaya odleciała do Australii, gdzie miała, jako przedstawicielka Brama Soamesa, dysponująca wszystkimi jego pełnomocnictwami oraz realnym kapitałem, rozpropagować na uniwersytetach oprogramowanie Brama i Taylor oraz zainicjować programy badawczo-edukacyjne z udziałem osób niepełnosprawnych. Jak na razie wywiązywała się ze swej misji na piątkę.

Tak, minęły już trzy lata od momentu, kiedy Jay widział Fate po raz ostatni.

Fate... Mógł jej nie widzieć, ale nie było dnia, by o niej nie myślał, wiedząc równocześnie, że co się stało, to się nie odstanie.

Zjadłszy kolację, Thomas zaczął domagać się deseru.

- Żadnych słodczy. - W tym punkcie starszy brat wydawał się być nieugięty. - Herbatka i do łóżeczka.

- A bajka? - przypomniał mu malec. - Lubię bajki.

- Bajka będzie. Słowo. Lecz teraz muszę zajrzeć do Charlotte.

Charlotte, jak przystało na sprytną kobietkę, radziła sobie doskonale, bawiąc się grzechotkami i oglądając, niczym najwspanialsze zabawki, swoje własne rączki.

- Ma takie oczy jak Fate - powiedziała Caroline, gdy po raz pierwszy zobaczyła dziecko, i miała całkowitą rację.

Dlatego właśnie Jay tak lubił patrzeć w oczy przyrodniej siostrzyczki, która była zarazem cioteczną siostrą Fate.

Co się stało, to się nie odstanie, powtórzył w myślach. To on przecież zniszczył miłość, którą Fate mu ofiarowywała, o mało co nie niszcząc jej samej. Teraz, jako ten nowy i odrodzony Jay, mógł żałować zmarnowanej szansy, lecz wiedział, że drugi raz w życiu nie otrzyma tak wspaniałego i bezinteresownego daru. Musiał zadowalać się substytutami i na taki właśnie „substytut” spoglądał w tej chwili, zmieniając mu pieluszkę. Przed Charlotte była bowiem jeszcze kolacja, a jak tu jeść z mokrą pupą?

Wróciwszy do kuchni, przekonał się, że Thomas bynajmniej nie zrezygnował z idei deseru.

- Tylko jedno ciasteczko-prosił z błagalnym wyrazem twarzy.

- No dobrze, ale pod warunkiem, że myjemy zęby przez całe pięć minut.

Malec kilkakrotnym kiwnięciem głową skwapliwie zapewnił, że gotów jest szorować zęby nawet przez godzinę.

Ogromna staroświecka kuchnia, w której się znajdowali i z której Taylor uczyniła ośrodek i centralny punkt życia rodzinnego, zajmowała niemal połowę parteru nowego domu, który Soamesowie

kupili niemal trzy lata temu. Nabyli właściwie smętną rudę, lecz po starannej i wiernej renowacji powstała z niej oryginalna wiejska rezydencja z połowy osiemnastego stulecia. Wyposażenie wnętrza, tam, gdzie to było możliwe, również urządzono w stylu epoki. W rezultacie powstał dom pełen elegancji i ciepła, harmonijna całość łącząca stare z nowym, w której każdy czuł się swojsko i swobodnie.

W kuchni znajdowało się mnóstwo szaf, szafek, schowków i spiżarni. I oto Jay, poleciwszy Thomasowi zanieść brudny talerz do zlewu, sięgnął do jednego takiego schowka i wyjął krakersy.

Ciastko dla Thomasa to była jedna sprawa, a kleik dla Charlotte to druga. Kiedy zaś dziewczynka usiadła już na specjalnym krzeselku z żółtym śliniaczkiem pod brodą, zaczął się ceremoniał karmienia. Jay nabierał papkę na czubek łyżki i otwierał usta; siostrzyczka naśladowała go i papka wędrowała tam, gdzie powinna. Najśmieszniej wyglądały bezzębne dziąsła panienki w zestawieniu z jej okrągłą i radosną twarzą. Ale gdy patrzył w jej oczy, to wówczas jego serce kołatało. Widział Fate, tę samą Fate, która niegdyś wyznała mu miłość.

Fate miała właśnie wrócić, przypomniała mu o tym Plum. A skoro Fate wraca, to on musiał wyjechać. Spotkanie z nią w ogóle nie wchodziło w rachubę. Przekraczało jego siły. Zresztą i tak czekała go podróż w interesach do Stanów. Po prostu przyspieszy swój wyjazd o kilka dni.

Godzinę później, ułożywszy uprzednio dzieci do snu, zamknął kurek prysznic i właśnie sięgał po ręcznik, gdy usłyszał dzwonek u

drzwi. Kto mógł dobijać się tu po zmroku? Dom stał w zbyt dużej odległości od przelotowej szosy, by mogli to być przypadkowi goście. Gdyby zaś Taylor i Bram oczekiwali wizyty kogoś, z pewnością uprzedziliby go o niej. Była to więc najprawdopodobniej żona pastora, zabiegająca o datki dla swej charytatywnej organizacji, albo też Plum, która zgubiła drogę lub zapomniała mu powiedzieć o jakiejś ważnej rzeczy.

Zarzucił szlafrok na mokre ciało i wyszedł z łazienki. Przechodząc obok pokoju Thomasa, zajrzał do środka, chcąc sprawdzić, czy brzdąc nie skopał czasem kołderki. Skopał i należało podciągnąć mu ją pod brodę.

Nakrywszy chłopca, Jay zbiegł po schodach do holu. Przeszedł boso po kamiennej posadzce, zostawiając mokre ślady stóp, po czym otworzył drzwi.

- Cześć, oto jestem. Zmieniłam rezerwację na wcześniejszy...

Fate nagle urwała, wpatrując się w Jaya szeroko otwartymi oczami. I nawet nie chodziło o to, że nie oczekiwała go tutaj, ale że tak bardzo się zmienił. Schudł, wydłużył się i spoważniał. W sumie jednak wysubtelniał i wyszlachetniał. Zakłopotana nieco swoim spostrzeżeniem, poprawiła włosy nieświadomym gestem.

- Gdzie Taylor i Bram? - zapytała, wchodząc do holu i starając się oddychać normalnie.

- Pojechali na uroczystość wręczania dyplomów, a potem na dwa dni nad morze, nawdychać się jodu.

Zarumieniła się.

- Nie wiem dlaczego, ale byłam przekonana, że wszystko to ich czeka dopiero w przyszłym tygodniu.

Po co ona w ogóle tu przyjechała? Teraz miał prawo pomyśleć, że przyjechała tu dla niego. Spojrzała na Jaya z zamiarem wyczytania czegoś z jego twarzy, ale uniemożliwił to półmrok panujący w holu. Cóż, napije się herbaty, trochę odpocznie i pod pretekstem czekających ją ważnych spraw w Londynie się pożegna.

Właściwie wciąż był jej drogi. Ale jakoś tak się stało, że jej gorące uczucie zlało się w jedną całość z przeżyciem tamtych godzin spędzonych w ciemnej jamie, do której zaciągnął ją Dennis, i stąd kojarzyło się jej z bólem, strachem i gniewem. Bo ten policzek, jaki jej wymierzył, brutalnie wyszydzał jej miłość, już dawno mu wybaczyła.

Przeszli do kuchni. Zapytał, czego się napije. Poprosiła o mocną herbatę.

Zmieniła się, pomyślał Jay, stając przy kuchence gazowej. Z dziewczyny stała się kobietą. Rozstała się z fryzurą urwisa i miała teraz włosy sięgające ramion, z nieznacznym przedziałkiem na środku głowy. I przykładała wagę do wyglądu zewnętrznego. Jedwabna bluzka, złota bransoletka powyżej przegubu dłoni, pomalowane paznokcie. Makijaż i zapach. Słowem, przystojna, zadbana, elegancka kobieta. Patrz, ale nie dotykaj.

- A kiedy wracają?- spytała.

- Pojutrze - odparł i w tym momencie udało mu się pokonać paraliżującą go nieśmiałość: - Jeżeli chciałabyś na nich zaczekać, to jeden z gościnnych pokoi jest już przygotowany.

Przez chwilę milczała. Wzruszyła ramionami.

- Skoro już tu jestem, a zrobiło się późno, to mogę przenocować.

Jay postawił na stole dwie filiżanki. Pijąc herbatę, rozmawiali głównie o Australii. Fate zachwycała się tym krajem. Wróżyła mu świetną przyszłość.

A później Jay zaprowadził ją na górę do jej sypialni. Pierwsze, co zobaczyła, gdy otworzył drzwi, to leżące na skotłowanym łóżku części intymnej kobiecej garderoby. Zdrętwiała. Usłyszała szum w uszach. Przepęłniła ją gorycz pomieszana z gniewem. Jak śmiał przyprowadzić ją do pokoju, gdzie może dopiero co przed godziną tarzał się po łóżku z jakąś kobietą! Jak śmiał...

Jay zauważył jej reakcję i pośpieszył z wyjaśnieniem.

- Przepraszam, pomyliłem drzwi. Twój pokój znajduje się trochę dalej. To rzeczy Plum - mówił, wskazując ręką na majtki i biustonosz.

- Nie, nie spałem z nią. W ogóle nigdy w życiu jej nie dotknąłem. Plum jest w dziewiątym miesiącu ciąży, złożyła nam dzisiaj wizytę i zamknęła się tu na godzinę, żeby odpocząć. Stąd to rozgrzebane łóżko. Co się zaś tyczy tych majtek - wzruszył ramionami i uśmiechnął się, po raz pierwszy od momentu kiedy otworzył przed nią drzwi - to pozostawiam to bez komentarza.

Tak, to była cała Plum. Gdziekolwiek się pojawiła, tam musiała zostawić po sobie jakieś szczególne ślady. Lecz mimo wyjaśnienia tej

sprawy, Fate czuła się wciąż podenerwowana. Rzecz dziwna, nie mieli do siebie absolutnie żadnych praw, a przecież myśl o tym, że Jay mógł spać z inną kobietą, sprawiła jej autentyczny ból. Poszli korytarzem w stronę prawego skrzydła.

- Proszę, to twoja sypialnia - powiedział Jay. - Łazienkę masz tuż obok. Zaletą tego miejsca jest to, że ja śpię w drugim końcu korytarza. Oczywiście, z twojego punktu widzenia - dodał sarkastycznie.

Spojrzała na niego z powagą w oczach.

Powiedzieli sobie dobranoc i Jay się wycofał. Zamknęła za nim drzwi. Oparła o nie czoło. Słuchała kroków, które powoli się oddalały.

Fate nie mogła ukryć rozczarowania, gdy weszła do pustej kuchni. Odzie oni się podzieli? Przecież jeszcze pięć minut temu słyszała głos Jaya pomieszany z dziecięcymi nawoływaniami.

Minęła już dziewiąta, co oznaczało, że skandalicznie zasnęła. Musiała wyjechać stąd jak najszybciej. Pozostawanie tu groziło popadnięciem w całkowity zamęt duchowy.

Coś podszeptało jej, żeby podejść do okna. Dzień był słoneczny, niebo bez jednej chmurki. W górze pas nieskalanego błękitu, w dole pas soczystej zieleni. Od razu dostrzegła Jaya - szedł przez trawnik w stronę malowniczego stawu, niósł Charlotte, Thomasa prowadził za rękę. Pamiętała z listów Taylor, że kiedy urodził się Thomas, Bram rzucił pomysł, by staw wysuszyć, wyrównać ziemią i posadzić w tym miejscu drzewa. Taylor nie chciała słyszeć o czymś takim.

- Jeżeli będziemy usuwać z jego drogi wszystkie niebezpieczeństwa, to jak się nauczy je rozpoznawać? Po prostu możliwie wcześniej nauczymy go pływać.

Jeziorko pozostało więc i teraz błyszczało w słońcu niczym modre oczko w pawim piórze. Trzciny falowały, woda lekko się marszczyła. Aż chciało się pobiec i dać nura w przejrzystą, chłodną toń.

Jay, wciąż trzymając Charlotte na rękę, zaczął się bawić z Thomasem w puszczenie kaczek. Malec zanosił się od śmiechu, gdy rzucony płaski kamyk odbił się od powierzchni wody dwa albo trzy razy. Kiedy kamyków zabrakło, szukał ich na brzegu niczym kura ziaren. Tymczasem Charlotte, obojętna na uroki świata, bawiła się w najlepsze włosami Jaya, to znaczy realizowała metodycznie plan ich wyrwania.

Był to widok naprawdę chwytający za serce. Mężczyzna, mały chłopiec, niemowlę - cała trójka na tle pięknego parku w promieniach porannego słońca.

Fate poczuła, że za gardło chwyta ją wzruszenie.

Przypomniała sobie pewną telefoniczną rozmowę z Taylor.

- Czy to rozsądne dopuszczać go tak blisko dzieci? - zapytała wówczas.

- Ufam mu - odparła Taylor. - Ktoś musi mu zaufać. Jay bardzo się zmienił. Od dawna już się stara, by zdobyć nasze zaufanie i naszą miłość.

- A co na to Bram?

- W kwestii wychowania dzieci Bram pozostawia mi wszelkie decyzje.

- Aż nie chce się wierzyć, że Jay wyleczył się z tej swojej obsesji. Ileż razy mi mówiłaś, że przeraża cię jego zaborczość w odniesieniu do Brama.

- Tak, ale to był dawny Jay. Nowy Jay ma z tamtym niewiele wspólnego.

- Wilk zawsze pozostanie wilkiem. Nie namówisz go do marchewki.

- Co do wilków, masz rację, ale przecież ludzie się zmieniają. Pamiętasz? Szaweł dręczył chrześcijan, a potem zmienił się w Pawła. Ludzie różnią się od zwierząt tym, że mają sumienie i wrażliwość moralną. Jay już wie, że niezależnie od miłości Brama do mnie i dzieciaków, ojciec i jego kocha.

- Chyba nie jest to prawda aż tak skomplikowana, by nie mógł jej pojąć trzy lata temu. Jay wydawał mi się zawsze inteligentnym człowiekiem.

- Owszem, Jay jest inteligentnym człowiekiem. Rzecz w tym, że nie chciał poznać prawdy. Dobro innych nie obchodziło go. Dopiero trzeba było prawdziwego wstrząsu, to znaczy porwania ciebie przez Dennisa, żeby mógł spojrzeć na świat z innej perspektywy i zapomnieć o własnym ja. I wtedy dopiero odkrył, że potrafi kochać.

- Kogo?

- Ciebie, oczywiście.

- Powiedział ci to? Bo mnie co prawda się oświadczył, lecz ani słowem nie wspomniał o miłości. Jestem pewna, że on nie potrafi kochać, ciociu. Po prostu nie ma w mózgu tych komórek, które są odpowiedzialne za miłość.

Aż do tego momentu Fate głęboko wierzyła w słuszność swojej oceny. Widok z okna przekonał ją jednak, że nie miała racji, przynajmniej w sensie ogólnym. Jay zdolny był do miłości. Czy jednak zdolny był do kochania jej, Fate, to już całkiem inna sprawa.

Wyszła z domu i pobiegła przez trawnik w stronę stawu. Uściskała dzieci i dołączyła do zabawy. Za drugim rzutem udało się jej puścić cztery kaczki. Prędko jednak musieli przerwać, gdyż Charlotte zebrało się na płacz, a Thomas zaczął się skarżyć, że jest głodny.

Najgorsze jednak, że mur, który oddzielał ją od Jaya, a który runąłby w jednej chwili, gdyby tylko któreś z nich zdobyło się na jakieś serdeczniejsze słowo, pozostał nienaruszony.

Dwa dni później, już po wyjeździe Jaya, Taylor zapytała:

- Jak długo zamierzasz jeszcze karać go, Fate? Aż ożeni się z inną kobietą? Aż ta kobieta urodzi mu dzieci? Aż te dzieci pokończą szkołę? Jakiego chcesz od niego zadośćuczynienia?

- Nie chcę od niego niczego - odparła Fate ze złością, choć nie było jasne, co ją tak rozzłościło.

- Nie wierzę ci, Fate. Ty wciąż go kochasz, podobnie jak on wciąż kocha ciebie.

Fate roześmiała się, ale jej śmiech był samą goryczą.

- Jak może mnie wciąż kochać, skoro nigdy przedtem mnie nie kochał? Do oświadczyn popchnęło go poczucie winy. Zobaczył we mnie ptaka z połamanymi skrzydłami i ulitował się nad moją niedolą. Ale mylił się. Nie potrzebowałam i nie potrzebuję jego litości. Jay nigdy mnie nie kochał. Wiem to.

Taylor umyła i wytarła ręce, którymi zagniatała ciasto.

- Pokochał cię jeszcze przed tą sprawą z Dennisem. Tylko że bał się przyznać do tego przed sobą.

I Taylor opowiedziała Fate o wszystkim, o czym wiedziała. O nocnych zmorach, które dręczyły Jaya podczas snu, i o tamtym spotkaniu w kościele, kiedy wyznał jej, co prawda z chmurną twarzą, lecz niewątpliwie szczerze, że kocha jej siostrzenicę.

- Czy ty czasami, Tay, nie próbujesz skojarzyć nas ze sobą?

- Przede wszystkim chcę, żebyście poznali prawdę. Co z tego wyniknie, to już inna sprawa.

- W takim razie dlaczego sam nie powiedział mi tego wszystkiego, co przed chwilą usłyszałam od ciebie?

- Być może założył, że cokolwiek ci powie, i tak okażesz się na to obojętna. Przecież odrzucając jego oświadczenia, wyraźnie podkreśliłaś, że nie chcesz go w żadnym wypadku i pod żadnym warunkiem. Odrzuciłaś bezwarunkowo jego miłość. Nic dziwnego, że uważa, iż odwdzięczyłaś mu się po prostu pięknym za nadobne. Więc wybieraj - Jay czy twoja duma? Nikt za ciebie nie dokona tego wyboru.

Fate spojrzała w okno. Jej wzrok pobiegł ku modremu oczku, okolonemu szuwarami, na którym dostrzegła teraz prawdziwe dzikie kaczkę. Mimowolnie zaczęła je liczyć.

- Daj mi jego dokładny adres - powiedziała, nie odwracając głowy. Wiedziała, że sprzedał londyński apartament i kupił dom w Richmond nad rzeką. - Pojadę do niego, gdy wróci.

Przede wszystkim jechało się jej wspaniale. Wciąż na granicy dozwolonej prędkości, a w chwilach szczególnego spotęgowania radości i podniecenia - grubo ponad nią. Kochała Jaya i pędziła na złamanie karku, żeby mu to powiedzieć. Silnik mruczał, ciężarówki ustępowały jej z drogi, a za każdym kolejnym zakretem oczekiwały na nią coraz to piękniejsze widoki. I kto tu powiedział, że angielski krajobraz jest najbardziej monotony w Europie?

Jak spodziewała się - chociaż sama nie wiedziała, skąd to przeczucie - znalazła Jaya nad rzeką. Siedział na rozkładanym krześle, zaś obok niego na kempingowym stoliku leżały gazety, komórkowy telefon i rozłożone szachy. On jednak trzymał wzrok utkwiony w toczącej się i szemrzącej wodzie. Z oddali dobiegało szczekanie psa, a bliżej drugiego brzegu posuwała się mozolnie pod prąd niewielka żaglowa łódź.

Usłyszał jej kroki, zerwał się z krzesła i odwrócił. Patrzyła mu prosto w oczy. Bez uśmiechu, nawet bez jakiegoś szczególnego wyrazu twarzy. Miała mu do powiedzenia tylko to, co najważniejsze.

- Ta twoja propozycja małżeńska, Jay... Jeżeli podtrzymujesz ją, to moja odpowiedź brzmi „tak”. A jeżeli nie... to i tak nigdy nie

przestanę cię kochać. Chciałabym tylko, żeby moja miłość nie była dla ciebie ciężarem. Chcę...

Przerwała. Musiała przerwać, gdyż doskoczył, chwycił ją w ramiona i zamknął jej usta namiętym pocałunkiem. Zresztą słowa nie były już potrzebne. Oboje czekali na ten moment, oboje podświadomie przewidywali jego nadejście. Wszystko, co najważniejsze, zostało już powiedziane.

Chociaż nie. Przeszłość przestała się liczyć, lecz jeśli ten dzień miał być początkiem przyszłości, to ona, Fate, koniecznie musiała usłyszeć z jego ust te dwa, tak proste przecież słowa.

Kiedy Więc dwie godziny później, wyczerpani miłością, leżeli obok siebie na łóżku, zapytała:

- Kochasz mnie, Jay?

Wsparł się na łokciu. Spojrzał, mimo iż dobrze wiedział, że znów go oślepi piękność jej młodego ciała.

- Kocham cię, Fate. Kocham cię ponad życie. Byłaś, jesteś i będziesz moją największą miłością.